

Philip K. Dick

Ostatni Pan i Władca
The Golden Man

Złotoskóry **(The Golden Man)**

- Czy tu zawsze tak gorąco? - spytał komiwojażer.

Zwracał się do wszystkich osób siedzących przy barze i w wytartych łóżach pod ścianą. Był mężczyzną w średnim wieku, ubranym w wymięty szary garnitur, białą koszulę z plamami potu, obwisłą muszkę i słomkowy kapelusz. Uśmiechał się dobrodusznie.

- Tylko latem - odezwała się kelnerka.

Pozostali nawet nie drgnęli. W jednej z łóż siedziała para zapatrzonych w siebie nastolatków. Dwóch robotników w koszulach z rękawami zawiniętymi na ciemnych owłosionych rękach jadło zupę fasolową zagryzając bułkami. Był tam również szczupły ogorzały farmer, starszy biznesmen w granatowym garniturze z kamizelką i kieszonkowym zegarkiem, śniady kierowca o szczurzej twarzy, pijący kawę, i zmęczona kobieta, która weszła, by dać wytchnienie swoim stopom i na chwilę odłożyć ciężkie tobołki.

Komiwojażer wyjął paczkę papierosów. Z ciekawością rozejrzał się po obskurnym lokalu, zapalił, oparł ręce na barze i zagadnął siedzącego obok mężczyznę.

- Jak się nazywa ta miejscowość?

- Walnut Creek - mruknął sąsiad.

Przez chwilę komiwojażer pił colę małymi łykami, niedbale trzymając papierosa w pulchnych białych palcach. Wkrótce sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął skórzany portfel. Dłuższy czas przewracał wizytówki, dokumenty, grzbiety biletów, banknoty, poplamione kartki papieru, nie kończące się szpargały, aż wreszcie znalazł jakąś fotografię.

Na jej widok wyszczerzył zęby w uśmiechu, a potem chrapliwie zachichotał z cicha.

- Popatrz pan - powiedział do siedzącego obok mężczyzny.

Mężczyzna wciąż czytał gazetę.

- Ej, spójrz pan na to. - Komiwojażer trącił go łokciem i podsunął mu fotografię. - Jak się panu podoba?

Nagabnięty rzucił okiem na zdjęcie. Przedstawiało rozebraną do

pasa kobietę z odwróconą twarzą. Miała jakieś trzydzieści pięć lat i obwisłe białe ciało. Z ośmioma piersiami.

- Widział pan kiedy coś takiego? - Komiwojażer chichotał przewracając małymi zaczerwienionymi oczkami. Z obleśnym uśmiechem znowu trącił sąsiada.

- Już to widziałem - odparł zde gustowany mężczyzna, podejmując przerwana lekturę.

Komiwojażer zauważył, że stary farmer pochylił się i patrzy na fotografię. Usłużnie mu ją podał.

- Podoba ci się, ojczulku? Niezłe, co?

Farmer z poważną miną oglądał zdjęcie. Odwrócił je, obejrzał wygnieciony kartonik, potem jeszcze raz spojrzął na wizerunek kobiety i odrzucił fotografię komiwojażerowi. Fotografia ześlizgnęła się z baru i spadła na podłogę emulsją do góry.

Komiwojażer podniósł ją i otrzepał, a później ostrożnie, prawie z czułością włożył na powrót do portfela. Kelnerka zatrzepotała rękami, kiedy w przelocie zobaczyła zdjęcie.

- Śliczna, co? - zauważył komiwojażer, puszczając do niej oko. - Chyba nie powie pani, że nie?

Kelnerka obojętnie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Widziałam ich mnóstwo koło Denver. Całą kolonię.

- Właśnie tam zrobiono to zdjęcie. W Denverskim Obozie AKD.

- Czy któreś z nich jeszcze żyje? - spytał farmer.

Komiwojażer zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Żartuje pan czy co? - rzekł i energicznie machnął dłonią. - Ani jedno.

Wszyscy nadstawili uszu. Nawet para licealistów w loży przestała trzymać się za ręce i teraz oboje siedzieli prosto, z zaciekawieniem wytrzeszczając oczy.

- Widziałem jednego takiego dewianta koło San Diego - powiedział farmer. - Któregoś dnia w zeszłym roku. Miał skrzydła jak nietoperz. Pokryte skórą nie piórami. Tylko skóra i kości.

- To nic - ochoczo włączył się do rozmowy szczurooki kierowca taksówki. - W Detroit był taki z dwiema głowami. Widziałem go na wystawie.

- Żywego? - spytała kelnerka.

- Skądże. Już go uśpili.

- Na socjologii - odezwał się licealista - pokazywali nam taśmy z kupą różnych takich. Skrzydlatych z południa, wielkogłowych, znalezionych w Niemczech, i taką okropną odmianę o szyszkowatych kształtach, przypominającą owady. A...

- Najgorsi są angielscy - stwierdził stary biznesmen. - Ukryli się w kopalniach węgla. Z grupy, która schowała się pod ziemią w czasie Wielkiej Wojny, przeżyli tylko oni.

- Niedawno odkryli nowy gatunek w Szwecji - wtrąciła kelnerka. - Czytałam o nich. Podobno potrafią kierować myślami na odległość. Było ich tylko paru. AKD dotarło tam bardzo szybko.

- To odmiana gatunku nowozelandzkiego - odezwał się jeden z robotników. - Umie czytać w myślach.

- Czytanie i kierowanie to dwie różne rzeczy - powiedział biznesmen. - Kiedy słucham o czymś takim, to ogromnie się cieszę, że mamy AKD.

- Był taki gatunek, który odkryli zaraz po Wielkiej Wojnie - odezwał się farmer. - Na Syberii. Umiał przenosić przedmioty na odległość. To się nazywa psychokineza. Sowieckie AKD natychmiast się nim zajęło. Nikt już go nie pamięta.

- Ja sobie przypominam - rzekł biznesmen. - Byłem wtedy małym chłopcem. Pamiętam, bo to pierwszy dewiant, o jakim słyszałem. Ojciec zawołał mnie i moje rodzeństwo do salonu i opowiedział nam o nim. To były czasy, kiedy ci z AKD wszystkich sprawdzali i każdemu stemplowali rękę. - Pokazał swój chudy, kościsty nadgarstek. - Mnie też ostemplowano. Sześćdziesiąt lat temu.

- Teraz po prostu sprawdzają przy porodzie - powiedziała kelnerka. Zadrzała. - W tym miesiącu był jeden w San Francisco. Pierwszy od ponad roku. Myśleli, że to już się skończyło.

- Ale jest ich coraz mniej - wtrącił taksówkarz. - Frisco nie było tak skażone jak niektóre miasta. Weźmy Detroit.

- W Detroit w dalszym ciągu mają dziesięć do piętnastu przypadków rocznie - wtrącił licealista. - W całym mieście. Ocalało tam sporo basenów i ludzie z nich korzystają pomimo automatycznych znaków.

- A jaki był tamten? - spytał komiwojażer. - Ten z San Francisco.

Kelnerka zrobiła nieokreślony ruch ręką.

- Zwyczajny. Taki bez palców u nóg. Pochylony. Z wielkimi oczami.
- Typ nocny - stwierdził komiwojażer.
- Matka go ukryła. Podobno miał trzy lata. Namówiła lekarza, żeby wpisał fałszywe dane do formularza AKD, a lekarz był przyjacielem tej rodziny.

Komiwojażer dopił swoją colę. Machinalnie bawiąc się papierosem, siedział i słuchał gwaru rozmów, które sam sprowokował. Podniecony licealista pochylał się ku dziewczynie naprzeciwko, imponując jej posiadaną wiedzą. Szczupły farmer i biznesmen, niemal przytuleni do siebie, wspominali dawne czasy, ostatnie lata Wielkiej Wojny, jeszcze przed pierwszym 10-letnim Planem Odbudowy. Taksówkarz i dwaj robotnicy na przemian opowiadali sobie niestworzone historie z własnych przeżyć.

Komiwojażer zagadnął kelnerkę.

- Ale ten przypadek z Frisco ich poruszył - odezwał się w zadumie. - I pomyśleć, że coś takiego mogło zdarzyć się tak blisko.

- Taa - mruknęła kelnerka.

- Ta strona zatoki właściwie nie była skażona - ciągnął komiwojażer.
- Tutaj nigdy ich nie mieliście.

- Nie. - Kelnerka nagle się poderwała. - W tej okolicy nie było żadnego. Nigdy.

Szybko pozbierała brudne naczynia z baru i ruszyła na zaplecze.

- Nigdy? - spytał zdziwiony komiwojażer. - Nigdy nie mieliście żadnych dewiantów po tej stronie zatoki?

- Nie. Żadnych - odparła kelnerka i zniknęła na zapleczu, gdzie młody kucharz w białym fartuchu stał przy swoich palnikach. Jej głos zabrzmiał trochę za głośno, nieco zbyt ostro i nienaturalnie.

Zapadła cisza. W jednej chwili umilkły wszelkie rozmowy. Wszyscy zaczęli nagle wpatrywać się w swoje talerze wzrokiem pełnym napięcia i niepokoju.

- Tu w okolicy nie było żadnego - powiedział taksówkarz głośno i wyraźnie, bez szczególnego adresu. - W ogóle nigdy.

- Zapewne - grzecznie zgodził się komiwojażer. - Ja tylko...

- Lepiej byś pan nie kręcił - odezwał się jeden z robotników.

Komiwojażer zamrugnął oczami.

- No pewnie, przyjacielu, oczywiście. - Nerwowo pogrzebał

w kieszeni. Na podłogę z brzękiem wypadły dwie monety. Pośpiesznie je pozbiarał. – Nie chciałem nikogo urazić.

Na chwilę zapanowała cisza. Widząc, że po raz pierwszy nikt nic nie mówi, odezwał się licealista.

– Ja coś słyszałem – rozpoczął gorliwie bardzo ważnym tonem. – Ktoś opowiadał, że na farmie Johnsona widział coś, co przypominało jednego z tych...

– Zamknij się – warknął biznesmen nie odwracając głowy.

Chłopak zaczerwienił się i usiadł. Chciał coś powiedzieć łamiącym się głosem, lecz urwał. Wpatrywał się w swoje ręce i nerwowo przełykał ślinę.

Komiwojażer zapłacił kelnerce za colę.

– Którędy najszybciej dojadę do Frisco? – spytał, lecz kelnerka już odwróciła się do niego tyłem.

Goście siedzący przy barze byli pochłonięci jedzeniem. Żaden z nich nawet nie podniósł wzroku. Jedli w lodowatym milczeniu. Uporczywie wpatrywali się w talerze z nieprzyjaznym, wręcz wrogim wyrazem twarzy.

Komiwojażer podniósł swoją pękatą teczkę, pchnął ażurowe drzwi i wyszedł na ulicę zalaną oślepiającym światłem słońca. Ruszył w stronę rozklekotanego buicka z 1978 roku, zaparkowanego w odległości kilku metrów. W cieniu markizy stał jakiś policjant z drogówki w granatowej koszuli, ospale rozmawiając z młodą kobietą w żółtej jedwabnej sukience, która lepiła się do jej szczupłego ciała.

Zanim komiwojażer wszedł do samochodu, na chwilę się zatrzymał. Uniesioną ręką pozdrowił policjanta.

– Proszę mi powiedzieć, dobrze zna pan to miasto?

Policjant obrzucił wzrokiem zmięty szary garnitur, muszkę, przepoconą koszulę i numer rejestracyjny z innego stanu.

– A o co chodzi?

– Szukam farmy Johnsona – odparł komiwojażer. – Przyjechałem, żeby się z nim zobaczyć w sprawie pewnego procesu sądowego. – Podeszedł do policjanta, trzymając w palcach białą wizytówkę. – Jestem jego adwokatem... z nowojorskiej palestry. Czy może mi pan powiedzieć, jak tam dojechać? Nie byłem tu od paru lat.

Nat Johnson spojrział na południowe słońce i stwierdził, że dobrze świeci. Z fajką w pożółkłych zębach rozsiadł się na schodkach prowadzących na werandę. Ten szpakowaty mężczyzna o silnych rękach, ubrany w czerwoną kraciatą koszulę i płócienne dżinsy, miał wciąż jeszcze gęste włosy mimo sześćdziesięciu pięciu lat aktywnego życia.

Obserwował swoje grające dzieci. Ze śmiechem przebiegła koło niego Jean z rozwianymi czarnymi włosami. Pod sportową koszulką podskakiwał jej biust. Miała szesnaście lat, jasne oczy, mocne proste nogi, a jej szczupłe młode ciało było lekko pochylone do przodu pod ciężarem dwu podków. Za nią pędził czternastoletni Dave. Z takiego ładnego chłopca o białych zębach i czarnych włosach każdy ojciec byłby dumny. Dave dogonił siostrę, minął ją i zatrzymał się przy dalszym kołku. Stał wyczekująco na rozstawionych nogach, swobodnie trzymając podkowy w dłoniach wspartych na biodrach. Podbiegła do niego zadyszana Jean.

- No, rzucaj! - wykrzyknął Dave. - Ty pierwsza. Ja poczekam.

- Żeby odtrącić moje?

- Nie, żeby je przysunąć.

Jean cisnęła jedną podkową na ziemię, drugą chwyciła obiema rękami i spojrzała na odległy kołek. Pochyliła swoje gibkie ciało, przesunęła jedną nogę do tyłu i wygięła grzbiet. Zamknęła jedno oko, dokładnie wycelowwała, a potem fachowo rzuciła podkową, która z brzękiem uderzyła w kołek, zakręciła się wokół niego i upadła obok, wznosząc chmurę kurzu.

- Nieźle! - zawołał Nat Johnson ze schodków. - Choć trochę za mocno. Rób to spokojniej.

Wypiął dumnie pierś, kiedy dziewczyna, wyginając lśniące zdrowe ciało, przymierzyła się i rzuciła drugą podkową. Z przyjemnością patrzył na dwoje silnych, ładnych dzieci, prawie dojrzałych, u progu dorosłości, zajętych grą w upalnym słońcu.

A był jeszcze Cris.

Stał z założonymi rękami pod werandą. Nie brał udziału w grze. Obserwował. Tkwił tam od chwili, gdy Jean i Dave zaczęli grać. Przez cały czas jego pięknie rzeźbiona twarz miała ten sam wyraz na poły skupienia i zadumy, jakby patrzył obok dwójki rodzeństwa gdzieś

daleko za podwórko, stodołę, koryto strumienia, szereg cedrów.

- Chodź, Cris! - zawołała Jean, kiedy Dave poszedł zebrać podkowy.

- Nie zagrasz z nami?

Nie, Cris nie chciał grać. Nigdy nie grał. Przebywał gdzieś we własnym świecie, w świecie niedostępnym dla żadnego z nich. Nigdy w niczym nie brał udziału, ani w grach, ani w pracy, ani w życiu rodzinnym. Zawsze był sam. Daleki, obojętny, trzymał się na stronie. Patrzył obok ludzi i przedmiotów... dopóki ni stąd, ni zowąd coś w nim nie przeskakiwało, a wówczas momentalnie się zmieniał, na krótko powracał do ich świata.

Nat wyciągnął rękę i popukał fajką w schodek. Potem nabił ją tytoniem ze skózanego kapciucha, patrząc na starszego syna. Cris teraz nabrał życia. Wyszedł na podwórko z założonymi rękami, jakby wkraczał do ich świata, opuściwszy na chwilę swój własny. Jean go nie widziała; odwrócona tyłem przygotowywała się do rzutu.

- Ej - odezwał się zdumiony Dave. - Idzie Cris.

Cris podszedł do siostry, zatrzymał się i wyciągnął rękę. Wysoki, pełen godności, stał spokojnie i obojętnie. Jean niepewnie podała mu podkową.

- To chcesz? Chciałbyś zagrać? - spytała.

Cris nie odpowiedział. Wziął podkową, lekko się pochylił, z niezwykłą gracją wyginając ciało, a potem błyskawicznie machnął ręką. Podkowa poszybowała, opadła na daleki kołek i zawirowała na nim z zawrotną szybkością. Idealny rzut.

Dave'owi opadły kąciki ust.

- Co za ohydne świństwo - burknął.

- Cris - powiedziała Jean z wyrzutem. - Nie grasz fair.

Nie, Cris grał fair. Przez pół godziny obserwował, a później podszedł i rzucił jeden raz. Jeden doskonały rzut, jedno idealne trafienie.

- On nigdy nie robi błędów - narzekał Dave.

Cris z obojętną miną stał w południowym słońcu niczym złoty posąg. Złote włosy, złota skóra, mgiełka złocistego meszku na gołych ramionach i nogach...

Raptem zeszytniał. Nat wyprostował się zaskoczony.

- Co jest? - mruknął.

Cris szybko się odwrócił czujnym ruchem wspaniałego ciała.

- Cris! - zawołała Jean. - Co...

Cris rzucił się przed siebie. Jak strumień uwolnionej energii przeciął podwórko, przeskoczył płot, wpadł do stodoły i wybiegł z drugiej strony. Jego uciekająca postać zdawała się ślizgać po suchej trawie, kiedy sunął w dół w stronę wyschniętego potoku, a później jego korytem i między cedrami. Jeszcze tylko krótki błysk złota i już go nie było. Zniknął. Nie dochodził stamtąd żaden dźwięk. Nic się nie poruszało. Cris całkowicie rozpułynał się w krajobrazie.

- Co to było tym razem? - spytała znużona Jean.

Podeszła do ojca i rzuciła się na ziemię w cieniu. Jej gładka szyja i górna warga błyszcząły od potu, który pozaczył plamami wilgoci koszulkę. - Coś zobaczył?

- Za czymś pobiegł - stwierdził Dave, zbliżając się do nich.

- Być może. Trudno powiedzieć - mruknął Nat.

- Lepiej powiem mamie, żeby dla niego nie nakrywała - rzekła Jean.
- On chyba nie wróci.

Nata Johnsona opanował gniew i bezradność. Nie, Cris nie wróci. Nie przed obiadem i prawdopodobnie nie jutro... czy nawet pojutrze. Tylko Bóg jedyny wie, jak długo go nie będzie, dokąd poszedł i dlaczego. Oddalił się na własne życzenie i teraz przebywa gdzieś samotnie.

- Gdybym uważał, że to coś da, tobym was po niego wysłał - zaczął Nat. - Ale to nie ma...

Urwał. Jakiś samochód zbliżał się polną drogą, prowadzącą do farmy. Stary, rozklekotany buick, pokryty kurzem. Za kierownicą siedział korpulentny mężczyzna o czerwonej twarzy, ubrany w szary garnitur. Wesóło pomachał do nich ręką, kiedy samochód z chrzęstem się zatrzymał i ucichł wyłączony silnik.

- Dzień dobry - powiedział i skinął głową, wysiadając z samochodu. Figlarnie nasunął sobie kapelusz na oczy. Mężczyzna był w średnim wieku, wyglądał dobrodusznie i mocno się pocił, gdy szedł po wyschniętej ziemi w stronę werandy. - Może wy, dobrzy ludzie, mi pomożecie.

- Czego pan chce? - spytał Nat Johnson opryskliwie.

Bał się. Kątem oka obserwował koryto strumienia, modląc się w duchu. Boże, niech on stamtąd nie wychodzi. Jean miała przyśpieszony oddech, płytki i nierówny. Była przerażona. Pozbawiona

wyrazu twarz Dave'a straciła wszelką barwę.

- Kim pan jest? - zapytał Nat.

- Nazywam się Baines. George Baines. - Mężczyzna wyciągnął rękę, lecz Johnson ją zignorował. - Być może słyszeliście o mnie. Jestem właścicielem firmy budowlanej „Pacifica”. To my budujemy te małe domy odporne na bomby tuż za miastem. Te małe okrągłe, które widać, kiedy się jedzie główną autostradą z Lafayette.

- Czego pan chce? - powtórzył Nat.

Z wysiłkiem opanował drżenie dłoni. Nigdy nie słyszał o tym człowieku, chociaż zauważył te domy. Trudno byłoby nie zauważyć takich ohydnych bunkrów, przypominających ogromne mrowisko przecięte autostradą. Baines wyglądał na ich właściciela, ale czego chce tutaj?

- Kupiłem kawałek ziemi w tej okolicy - wyjaśnił Baines. Potrząsnął plikiem szeleszczących bibułek. - Oto dokumenty, ale nie mam zielonego pojęcia, gdzie go szukać. - Uśmiechnął się dobrodusznie. - Wiem, że jest gdzieś tutaj, niedaleko, po tej stronie drogi stanowej. Urzędnik z hipoteki hrabstwa powiedział mi, że ta działka leży około mili od tamtego wzgórza, a ja nie najlepiej czytam mapy.

- To nie tu - wtrącił się Dave. - Tutaj wszędzie są tylko farmy i nikt ich nie chce sprzedać.

- Ależ to jest farma, synku - powiedział Baines łagodnie. - Kupiłem ją dla siebie i mojej pani. Chcemy się tu przenieść. - Zmarszczył zadarty nos. - Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy, że chcę tu budować jakieś osiedla. To wyłącznie dla mnie. Stary dom, dwadzieścia akrów ziemi, pompa i parę dębów...

- Pokaż pan te dokumenty. - Johnson wyrwał plik papierów z ręki Bainesa ze zdziwienia mrugającego oczami i szybko je przejrzał, a potem zwrócił z zaciętą twarzą. - O co panu chodzi? Ta umowa dotyczy działki o pięćdziesiąt mil stąd.

- Pięćdziesiąt mil! - wykrzyknął oniemiały Baines. - Nie żartuje pan? Ale urzędnik powiedział mi...

Johnson wstał. Był dużo wyższy od grubasa i w najlepszej kondycji fizycznej, a przy tym piekielnie podejrzliwy.

- Do diabła z urzędnikiem. Niech pan wsiada do samochodu i zabiera się stąd. Nie wiem, czego pan szuka i po co pan tu przyjechał,

ale chcę, żeby pan opuścił moją ziemię.

W potężnej dłoni Johnsona coś błysnęło. W południowym słońcu złowieszczo połyskiwała metalowa rurka. Baines dostrzegł ją i gwałtownie przełknął ślinę.

- Nie chciałem nikogo urazić, proszę pana. - Cofnął się nerwowo. - Chyba jesteście przewrażliwieni. Tylko spokojnie, dobrze?

Johnson się nie odezwał. Mocniej chwycił miotacz energii i czekał, aż grubas odejdzie. Baines jednak się ociągał.

- Posłuchaj, przyjacielu. Jechałem w tym skwarze pięć godzin, szukając tej mojej cholernej działki. Czy macie coś przeciwko temu, że skorzystam z waszej... toalety?

Johnson przyjrzał mu się podejrzliwie. Podejrzliwość stopniowo przeszła w obrzydzenie. Wzruszył ramionami.

- Dave, pokaż mu, gdzie łazienka.

- Dzięki. - Baines błysnął zębami w uśmiechu wdzięczności. - A jeśli nie sprawię tym zbyt wielkiego kłopotu, to prosiłbym jeszcze o szklankę wody. Z przyjemnością za nią zapłacę. - Zachichotał znacząco. - Nie ma to jak wiejska gościnność, co?

- Chryste - powiedział Johnson, odwracając się w całkowicie zmienionym nastroju, kiedy grubas ciężko potoczył się za synem do domu.

- Tato - szepnęła Jean. Gdy tylko grubas wszedł do wnętrza, natychmiast wbiegła na werandę i patrzyła z lękiem szeroko otwartymi oczami. - Tatusiu, myślisz, że on...

Johnson objął ją ramieniem.

- Trzymaj się - rzekł. - On zaraz odjedzie.

W jasnych oczach dziewczyny malowało się niewypowiedziane przerażenie.

- Za każdym razem, gdy pojawia się ten człowiek ze spółki wodnej albo poborca podatkowy, jakiś włóczęga, dziecko, ktokolwiek, czuję okropne ukłucie bólu... o, tu. - Chwyciła się za serce, przyciskając rękę do piersi. - I tak od trzynastu lat. Jak długo jeszcze uda nam się utrzymać to w tajemnicy? Jak długo?

Baines z wdziękiem wytoczył się z łazienki. Pod drzwiami sztywno stał milczący Dave Johnson z kamienną twarzą.

- Dziękuję, synu - westchnął Baines. - A teraz, gdzie mogę dostać szklankę wody? - Ze smakiem oblizał wargi, ciesząc się zawczasu. - Kiedy człowiek się najeździ po takiej prowincji w poszukiwaniu rudery, którą mu wcisnął jakiś natrętny handlarz nieruchomościami...

Dave ruszył do kuchni.

- Mamo, ten człowiek chce się napić wody. Tato powiedział, że może.

Dave odwrócił się tyłem. Baines zerknął na matkę, drobną siwowłosą kobietę o zwiędłej, ściągniętej twarzy bez wyrazu. Ze szklanką w ręku szła w stronę zlewu.

Wtedy wyskoczył do przedpokoju. Przebiegł przez sypialnię, otworzył jakieś drzwi i zobaczył, że prowadzą do szafy. Popędził z powrotem, a później przez salon i jadalnię wpadł do drugiej sypialni. W krótkim czasie przeszukał cały dom.

Wyjrzał przez okno na podwórko z tyłu domu. Dostrzegł rdzewiejący wrak ciężarówki i wejście do podziemnego schronu. Jakieś blaszane bańki, kury rozgrzebujące ziemię. Psa śpiącego pod szopą, parę starych opon samochodowych.

Znalazł drzwi prowadzące na dwór. Bezszelestnie otworzył je i wyszedł. Nie widział nikogo. Jedyne pochyloną ze starości stodołę, a za nią cedry i jakiś strumień. A także szczątki tego, co niegdyś było ustępem.

Ostrożnie ruszył wzdłuż budynku. Miał może pół minuty. Drzwi do łazienki zostawił zamknięte, chłopak więc pomyśli, że do niej wrócił. Baines zajrzał do wnętrza domu przez okno, za którym była spora rupieciarnia, pełna starych ubrań, pudeł i stert czasopism.

Odwrócił się i ruszył z powrotem. Dotarł do narożnika domu.

Kiedy wyszedł zza rogu, wyrosła przed nim szczupła sylwetka Nata Johnsona, który zastąpił mu drogę.

- Dobra, Baines. Sam tego chciałeś.

Wystrzelił snop różowego światła. Oślepiający błysk przyćmił słońce. Baines skoczył do tyłu i sięgnął do kieszeni marynarki. Muśnięty strumieniem światła, które go oszołomiło, prawie upadł. Ubranie ochronne pochłonęło energię i zaczęło ją rozpraszać, ale Baines zadzwonił zębami i przez chwilę podskakiwał jak marionetka na sznurku. Otoczyła go ciemność. Czuł, że siatka ubrania ochronnego

rozgrzewa się do białości, zmagając się z pochłanianą energią.

Baines wyciągnął swój miotacz, a Johnson nie miał ubrania ochronnego.

- Jesteś aresztowany - groźnie mruknął Baines. - Odłóż miotacz i podnieś ręce. Zawołaj rodzinę. - Ponaglił go ruchem broni. - No, Johnson, pośpiesz się.

- Ty żyjesz - rzekł Nat z wyrazem rosnącego przerażenia na twarzy. - A więc musisz być...

Pojawili się Dave i Jean.

- Tato!

- Chodźcie tu - rozkazał im Baines. - Gdzie jest wasza matka?

Dave odrzucił głowę jak sparaliżowany.

- W domu - rzekł.

- Idź i przyprowadź ją tutaj.

- Ty jesteś z AKD - szepnął Nat Johnson.

Baines nie odpowiedział. Palcami przebierał po szyi, grzebiąc w fałdach miękkiego ciała. Zabłyszczał przewód laryngofonu, gdy wyłuskał go z bruzdy między podbródkami i wkładał do kieszeni. Z polnej drogi dobiegał warkot silników, który szybko stawał się coraz głośniejszy. Podjechały dwa czarne pojazdy o opływowych liniach i zaparkowały koło domu. Zaroiło się od ciemnych, szarozielonych mundurów Okręgowej Policji Obywatelskiej. Na niebie pojawiło się mrowie czarnych kropek, chmura ohydnych much, które zaćmiły słońce, kiedy wysypali się z nich żołnierze i sprzęt, wolno opadając coraz niżej.

- Tu go nie ma - powiedział Baines, gdy podszedł do niego pierwszy żołnierz. - Uciekł. Zawiadomcie Wisdoma w laboratorium.

- Cały rejon jest otoczony.

Baines odwrócił się do Nata Johnsona, który stał oniemiały, niczego nie pojmując. Obok niego syn i córka. - Skąd on wiedział, że tu będziemy? - spytał Baines.

- Nie wiem - mruknął Johnson. - Po prostu... wiedział.

- Telepata?

- Nie wiem.

Baines wzruszył ramionami.

- Wkrótce się dowiemy. Prowadzimy obławę na całym terenie. Nie

może się wymknąć, choćby nawet próbował jakichś diabelskich sztuczek. Chyba że się zdematerializuje.

- Co z nim zrobicie, kiedy... jeśli go złapiecie? - spytała Jean drżącym głosem.

- Przebadamy go.

- A później zabijecie?

- To zależy od wyników badań laboratoryjnych. Gdybyście podali mi więcej szczegółów, moje przewidywania byłyby dokładniejsze.

- Nie możemy nic powiedzieć, bo niczego więcej nie wiemy. - Dziewczyna z rozpaczy zaczęła krzyczeć. - On nic nie mówi!

Baines aż podskoczył.

- Co?

- On nic nie mówi. Nigdy z nami nie rozmawiał. Nigdy.

- Ile ma lat?

- Osiemnaście.

- Brak komunikacji. - Baines się pocił. - W ciągu osiemnastu lat nie było między wami żadnego kontaktu językowego? Czy on w ogóle kontaktuje się w jakikolwiek sposób? Używa jakichś znaków? Kodu?

- On nas... ignoruje. Jada tutaj. Przebywa z nami. Czasami gra, kiedy my gramy. Albo siada koło nas. Znika na wiele dni. Nigdy nie mogliśmy ustalić, co robi... i gdzie. Sypia w stodole... sam.

- Czy rzeczywiście jest złoty?

- Tak.

- Wszystko ma złote. Skórę, oczy, włosy, paznokcie. Wszystko.

- Jest wysoki? Dobrze zbudowany?

Przez chwilę dziewczyna nie odpowiadała. Dziwne wzruszenie wygładziło jej ściągniętą twarz, na moment się rozpromieniła.

- On jest niewiarygodnie piękny. Jak bóg, który zstąpił na ziemię. - Grymas wykrzywił jej usta. - Nie znajdziecie go. On wszystko wie. Wie to, o czym wy nie macie zielonego pojęcia. Jego zdolności tak bardzo przekraczają wasze ograniczone...

- Uważasz, że go nie złapiemy? - Baines zmarszczył brwi. - Cały czas lądują nowe grupy. Jeszcze nie widziałaś, jak Agencja przeprowadza taką operację. Rozpracowujemy mutantów od sześćdziesięciu lat. Jeśli się wymknie, będzie to pierwszy...

Baines nagle urwał. Do werandy szybko zbliżali się trzej mężczyźni

Dwaj ubrani na zielono funkcjonariusze Policji Obywatelskiej. Trzeci, najwyższy, szedł między nimi spokojnie i sprężysto, delikatnie połyskując.

- Cris! - przejmująco wykrzyknęła Jean.

- Mamy go - powiedział jeden z policjantów.

Baines niecierpliwie przebierał palcami po miotaczu.

- Gdzie i jak go złapaliście?

- Sam się poddał - odparł policjant głosem pełnym podziwu. - Dobrowolnie do nas przyszedł. Proszę spojrzeć. Wygląda jak metalowy posąg. Niczym jakiś... bóg.

Złocista postać na chwilę zatrzymała się koło Jean. Potem z wolna, spokojnie odwróciła się przodem do Bainesa.

- Cris! - przeraźliwie krzyknęła Jean. - Po coś wracał?

Ta sama myśl dręczyła również Bainesa. Odsunął ją od siebie... na razie.

- Odrzutowiec już czeka? - spytał pośpiesznie.

- Gotów do odlotu - odparł jeden z policjantów.

- Doskonale. - Baines ominął ich i zszedł po schodkach na gliniastą ziemię. - Idziemy. Chcę, żeby go odstawiono bezpośrednio do laboratorium. - Przez chwilę badawczo przyglądał się potężnej postaci mężczyzny stojącego między dwoma funkcjonariuszami Policji Obywatelskiej. Przy nim sprawiali wrażenie pokurczy, jakby nagle stali się niezgrabni i odpychający. Niczym karty... Co przedtem powiedziała Jean? Jak bóg, który zstąpił na ziemię. Baines ze złością ruszył z miejsca. - Chodźcie - burknął. - Ten może być trudny. Takiego jak on jeszcze nie spotkaliśmy. Nie wiemy, co u licha, może zrobić.

Pomieszczenie było puste, nie licząc postaci siedzącego mężczyzny. Cztery gołe ściany, podłoga i sufit. Silne białe światło bezlitośnie wciskało się w każdy kąt. Na jednej ze ścian pod sufitem znajdowała się wąska szczelina z okienkami, przez które obserwowano wnętrze.

Mężczyzna był spokojny. Nie poruszył się od chwili, gdy trzasnęły zamki w drzwiach, opadły ciężkie rygle, a w okienkach ukazały się szeregi bystrych twarzy techników. Mężczyzna siedział pochylony do przodu ze splecionymi dłońmi i wzrokiem utkwionym w podłogę. Twarz miał spokojną, niemal bez wyrazu. Przez cztery godziny nie

poruszył ani jednym mięśniem.

- No i co? - spytał Baines. - Dowiedzieliście się czegoś?

- Niewiele - mruknął Wisdom z goryczą. - Jeżeli w ciągu czterdziestu ośmiu godzin nie uda nam się zdobyć o nim jakichś informacji, to poddamy go eutanazji. Nie możemy ryzykować.

- A, pewnie myślisz o tych z Tunisu - rzekł Baines.

On również o tym pomyślał. Znaleziono ich dziesięciu w ruinach tego opuszczonego miasta w północnej Afryce. Mieli prosty sposób na przetrwanie. Zabijali swoje ofiary i wchłaniali je, a później, upodabniając się do nich, zajmowali ich miejsce. Nazwano ich kameleonami. Zanim zlikwidowano ostatniego, sześćdziesiąt osób straciło życie. Sześćdziesięciu najwyższej klasy ekspertów, świetnie wyszkolonych pracowników Agencji Kontroli Dewiantów.

- Masz jakiś punkt zaczepienia?

- Cholera, on jest zupełnie inny. Ciężka sprawa. - Wisdom wskazał kciukiem stos rolek z taśmą. - Tu jest kompletny raport, cały materiał, jaki zebraliśmy od Johnsona i jego rodziny. Nafaszerowaliśmy ich środkami psychotropowymi, a potem puściliśmy do domu. Osiemnaście lat... i żadnego kontaktu językowego. Wygląda jednak na to, że on jest w pełni rozwinięty. Osiągnął dojrzałość w wieku trzynastu lat, a więc jego cykl rozwojowy jest krótszy i szybszy od naszego. Ale skąd ta grzywa? Cały ten złoty meszek? Jak połącany rzymski pomnik.

- Czy przyszły już wyniki z laboratorium analitycznego? Kazależ, oczywiście, zarejestrować jego fale mózgowe?

- Całkowicie przebadaliśmy jego mózg, ale analiza wykresów musi trochę potrwać. Wszyscy tu biegamy jak wariaci, a on tam po prostu sobie siedzi! - Wisdom puknął palcem w okienko. - Dość łatwo go złapaliśmy, więc pewnie w głowie nie ma zbyt wiele, prawda? Chciałbym jednak wiedzieć, co tam jest. Zanim poddamy go eutanazji.

- Chyba powinniśmy zachować go przy życiu, póki się nie dowiemy.

- Eutanazja za czterdzieści osiem godzin - z uporem powtórzył Wisdom. - Czy się dowiemy, czy nie. On mi się nie podoba. Na jego widok przechodzą mnie ciarki.

Ed Wisdom wstał nerwowo gryząc cygaro. Ten gruby, zwalisty mężczyzna o pełnych policzkach, beczkowatej klatce piersiowej, rudych włosach i zimnych, bystrych oczach, głęboko osadzonych w twarzy

znamionującej nieustępliwość, był dyrektorem Północnoamerykańskiego Oddziału AKD. Teraz jednak miał zmartwienie. Jego małe oczka we wszystkie strony rzucały niespokojne spojrzenia, dwie migocące szare iskierki na brutalnej, okrągłej twarzy.

- Myślisz, że to on? - spytał Baines cedząc słowa.

- Zawsze tak myślę - warknął Wisdom. - Muszę tak myśleć.

- Chciałem powiedzieć...

- Wiem, co chciałeś powiedzieć. - Wisdom chodził w tę i z powrotem między stołami i technikami przy pulpitach, między aparaturą, badawczą i bzyzącymi komputerami, między szczelinami, w których furkotała taśma, i wiszącymi diagramami. - To stworzenie żyło osiemnaście lat z rodziną, a nawet oni go nie rozumieją. Nawet oni nie wiedzą, co w nim siedzi. Wiedzą, co robi, ale nie wiedzą jak.

- A co robi?

- Wszystko wie.

- Wszystko, to znaczy co?

Wisdom wyciągnął zza pasa swój miotacz energii i cisnął go na stół.

- Proszę.

- Co?

Wisdom dał znak i okienko uchyliło się na kilka centymetrów.

- No, proszę, zastrzel go.

Baines zamrugnął oczami.

- Powiedziałeś za czterdzieści osiem godzin.

Wisdom zaklął, chwycił miotacz, wycelował przez okienko w plecy siedzącej postaci i nacisnął spust.

Różowe światło błysnęło oślepiająco. Na środku pokoju wykwitła chmurka energii. Zaiskrzyła się i znikła, pozostawiając kupkę ciemnego popiołu.

- O Boże! - wysapał Baines. - Ty...

Mężczyzna już nie siedział. Kiedy Wisdom strzelił, on błyskawicznie się zerwał i uskoczył przed strumieniem energii w kąt pokoju. Teraz powoli wracał z obojętną miną, w dalszym ciągu pogrążony w myślach.

- To już piąty raz - rzekł Wisdom, odkładając miotacz. - Poprzednio strzelałem razem z Jamisonem. Spudłowaliśmy. Tamten dokładnie wiedział, kiedy padną strzały. I gdzie trafią.

Baines i Wisdom popatrzyli na siebie. Obaj myśleli o tym samym.

- Ale nawet czytając w waszych myślach, nie mógł wiedzieć, gdzie uderzą wasze pociski - odezwał się Baines. - Kiedy, owszem, ale nie gdzie. Mógłbyś powiedzieć, gdzie celowałeś?

- Ja nie - odparł Wisdom zdecydowanie. - Strzelałem szybko, prawie na oślep. - Zmarszczył brwi. - Na oślep. Trzeba by to wypróbować. - Ruchem ręki przywołał do siebie techników. - Sprowadźcie tu grupę montera. Biegiem.

Chwycił pióro i zaczął coś rysować na kartce papieru.

Podczas montażu Baines spotkał się ze swoją sympatią w przylegającym do laboratorium klubie, który znajdował się w głównym hallu budynku AKD.

- Jak idzie? - spytała. Anita Ferris była wysoką blondynką o niebieskich oczach i dorodnej, starannie zadbanej figurze. Atrakcyjna kobieta pod trzydziestkę, wyglądająca na osobę kompetentną. Miała na sobie wykonaną z metalizowanej folii sukienkę i pelerynę, a na rękawie czerwono-czarny pasek, oznaczający pierwszą rangę. Anita była jednym z najważniejszych koordynatorów rządowych, zajmowała bowiem stanowisko dyrektora Agencji Semantyki. - Masz coś ciekawego tym razem?

- Mnóstwo - odparł Baines.

Z hallu poprowadził ją do zacisznego kącika w barze, gdzie grała przytłumiona muzyka, pełna zmiennych melodii, komponowanych matematycznie. Między stolikami sprawnie poruszały się niewyraźne kształty - ciche, niezawodne automaty-kelnerki.

Kiedy Anita popijała toma collinsa, Baines opowiedział jej, co udało im się ustalić.

- A może on wytwarza jakieś pole odchylające? - powoli spytała Anita. - Był taki jeden gatunek, który samą myślą wyginał przedmioty, bez żadnych narzędzi. Rodzaj fizycznego oddziaływania myśli na materię.

- Psychokineza? - Baines niespokojnie bębnił palcami w blat stolika. - Wątpię. To stworzenie ma zdolność przewidywania, lecz nie oddziaływania. Ono nie może powstrzymać strumieni energii, ale z diabelską pewnością schodzi im z drogi.

- Przeskakuje pomiędzy molekułami?

Żart Anity nie ubawił Bainesa.

- Mówię serio. Zajmujemy się nimi od sześćdziesięciu lat... dłużej niż my oboje w sumie tu pracujemy. W tym czasie pojawiło się osiemdziesiąt siedem różnych typów dewiantów, prawdziwych mutantów, zdolnych do rozmnażania, a nie jakieś tam wybryki natury. Ten jest osiemdziesiąty ósmy. Z tamtymi po kolei jakoś dawaliśmy sobie radę, ale ten...

- A co cię w nim tak niepokoi?

- Po pierwsze ma osiemnaście lat. Już samo to jest niewiarygodne, że jego rodzinie tak długo udawało się trzymać go w ukryciu.

- Tamte kobiety z Denver były od niego starsze. No, wiesz, te...

- Tak, ale one przebywały w państwowym obozie. Ktoś wysoko na górze ubrdał sobie, żeby pozwolić im na rozmnażanie. Miały być wykorzystane w przemyśle. Wtedy wstrzymaliśmy eutanazję na długie lata. Cris Johnson żył jednak poza naszą kontrolą. Te stworzenia w Denver były pod stałym nadzorem.

- A nuż on jest nieszkodliwy. Zawsze zakładacie, że dewiant jest zagrożeniem. On może być nawet pożyteczny. Ktoś uważał, że tamte kobiety warto by zatrudnić. Być może on ma coś, co przyczyniłoby się do rozwoju gatunku.

- Jakiego gatunku? Z pewnością nie gatunku ludzkiego. Skończyłoby się jak w tym starym powiedzeniu: „Operacja się udała, ale pacjent zmarł”. Jeżeli do naszego rozwoju wprowadzimy mutantą, to wówczas Ziemię odziedziczą mutanci, a nie ludzie. Mutanci, którzy będą żyli dla siebie. Niech ci się nawet przez chwilę nie śni, że zamkniemy ich na kłódkę i każemy sobie służyć. Jeśli rzeczywiście będą stali wyżej od homo sapiens, to we współzawodnictwie z nami wygrają. Żeby przetrwać, musimy od samego początku grać znaczonymi kartami.

- Innymi słowy z tego wynika, że skoro pojawi się homo superior, to łatwo go poznamy. Będzie nim ten, którego nie uda nam się poddać eutanazji.

- Coś w tym rodzaju - odparł Baines. - Zakładając, że homo superior istnieje. Być może jest tylko homo peculiaris. Człowiek z udoskonalonej linii.

- Neandertalczyk prawdopodobnie też uważał, że człowiek z Cro-

Magnon po prostu reprezentował udoskonaloną linię. Miał tylko trochę bardziej rozwiniętą zdolność wymyślania symboli i ciut lepiej obrabiał krzemień. Z twojego opisu wynika, że to stworzenie jest czymś więcej niż tylko zwykłym udoskonaleniem.

- To stworzenie - rzekł powoli Baines - ma umiejętność przewidywania. Dotychczas udało mu się pozostać przy życiu. W pewnych sytuacjach radziło sobie lepiej niż ty czy ja, gdybyśmy się w nich znaleźli. Jak długo twoim zdaniem potrafilibyśmy utrzymać się, przy życiu w tamtym pokoju pod ogniem strumieni energii? W pewnym sensie ono ma podstawową zdolność przetrwania. Jeśli zawsze będzie dokładnie...

W tym momencie odezwał się głośnik wiszący na ścianie.

- Baines, jesteś potrzebny w laboratorium. Zostaw, u licha, ten bar i wracaj na górę.

Baines odsunął krzesło i wstał.

- Chodź ze mną. Może cię zainteresuje to, co uroił sobie Wisdom.

Zbity tłumek najwyższych funkcjonariuszy AKD, siwowłosych mężczyzn w średnim wieku, stał kołem i słuchał chudego młodzieńca w białej koszuli z zawiniętymi rękawami, który objaśniał funkcjonowanie skomplikowanej sześcienniej konstrukcji z metalu i plastyku, ustawionej na środku podestu. Groźnie sterczały z niej dysze miotaczy energii tkwiących w gmatwaniu kabli.

- To pierwsza próba tego urządzenia w praktyce - mówił młodzieniec z werwą. - Strzela ono na chybił trafił w najwyższym stopniu przypadkowo... przynajmniej w takim, jaki byliśmy w stanie osiągnąć. Znajdujące się wewnątrz ciężkie kule są unoszone w górę za pomocą strumienia powietrza, a następnie swobodnie opadają, włączając przekaźniki. Kule te mogą opadać niemal w dowolnym układzie. Urządzenie strzela według ich układu, który za każdym razem jest inny, dając zmienne konfiguracje strzałów w czasie i przestrzeni. W sumie jest dziesięć miotaczy i każdy będzie w nieustannym ruchu.

- I nikt nie wie, jak będą strzelały? - spytała Anita.

- Nikt. - Wisdom zacierał swoje tłuste ręce. - Nie pomoże mu czytanie w myślach. Nie z tym.

Anita podeszła do okienek obserwacyjnych, kiedy urządzenie

przetaczano na stanowisko. Zatkaną ją.

- To on?

- Co ci jest?

Policzki Anity oblał rumieniec.

- Ależ ja spodziewałam się jakiegoś... stworzenia. Mój Boże, jaki on piękny! Jak złoty posąg. Jak bóstwo!

Baines roześmiał się.

- On ma osiemnaście lat, Anito. Za młody dla ciebie.

Kobieta w dalszym ciągu patrzyła przez okienko obserwacyjne.

- Przyjrzyj mu się. Osiemnaście lat? Nie wierzę.

Cris Johnson siedział na podłodze w samym środku pomieszczenia w kontemplacyjnej pozie z pochyloną głową, założonymi rękami, podwinąwszy nogi pod siebie. W silnym świetle wiszących nad nim lamp jego mocne ciało lśniło, jakby pokrywał je mieniący się złoty puch.

- Śliczny, prawda? - mruknął Wisdom. - No dobra. Włączajcie.

- Chcecie go zabić? - spytała Anita.

- Będziemy próbowali.

- Ale on jest... - urwała niepewnie. - On nie jest potworem. Nie wygląda jak tamte odrażające stworzenia z dwiema głowami czy podobne do owadów. Albo jak te okropieństwa z Tunisu.

- Więc czym on jest? - odezwał się Baines.

- Nie wiem. Ale nie możecie o tak, po prostu, go zabić. To byłoby straszne.

Urządzenie ożyło z cichym trzaskiem. Lufy drgnęły i bezszelestnie zmieniały pozycje. Trzy z nich cofnęły się, znikając wewnątrz sześcianu. Pozostałe wysunęły się do przodu, szybko i sprawnie ustawiły się pod odpowiednim kątem i nagle bez uprzedzenia otworzyły ogień.

Pociski energii posypały się zygzakowatym wachlarzem w skomplikowanym, coraz to innym układzie, pod różnymi kątami, ze zmienną prędkością, aż zlały się w jedną oszałamiającą nawałę, która objęła całe pomieszczenie.

Złocisty człowiek zerwał się i zaczął skakać w tę i we w tę, zręcznie unikając wybuchów energii, które ze wszystkich stron osmalały mu ciało. Zaczęły go przysłaniać tumany popiołu, aż w końcu utworzyły

jedną wielką chmurę pełną błysków eksplozji.

- Przestańcie! - wykrzyknęła Anita. - Na miłość boską, zabijcie go!

W pomieszczeniu panowało piekło. Postać mężczyzny zupełnie zniknęła. Wisdom odczekał chwilę, a potem skinął głową technikom obsługującym urządzenie. Technicy nacisnęli jakieś guziki i lufy zaczęły poruszać się coraz wolniej, aż wreszcie znieruchomiały. Kilka z nich cofnęło się do wnętrza sześcianu. Wszystkie przestały strzelać. Ucichło brzęczenie mechanizmu.

Cris Johnson jednak nie zginął. Wyłonił się z opadających obłoków popiołu poczerniały i osmalony, lecz bez szwanku. Uniknął wszystkich strumieni energii, wijąc się między nimi jak tancerz przeskakujący nad ostrzami różowych ognistych mieczy. Przeżył.

- Nie - odezwał się Wisdom, wstrząśnięty i ponury. - To nie telepatia. Układ strzałów był przypadkowy, a nie ustalony zawczasu.

Wszyscy troje stali oszołomieni, spoglądając na siebie z lękiem. Anita z pobladałą twarzą drżała. Jej niebieskie oczy były szeroko otwarte.

- Więc co? - spytała szeptem. - Co to może być? Co on ma?

- Umiejętność bezbłędnego zgadywania - podsunął Wisdom.

- Nie, on nie zgadywał. Nie oszukuj się - odezwał się Baines. - I w tym cały szkopuł.

- Nie, on nie zgadywał. - Wisdom powoli kiwał głową. - On wiedział. Przewidział każdy strzał. Ciekaw jestem... czy może się mylić? Czy może popełnić błąd?

- Przecież go złapaliśmy - podkreślił Baines.

- Sam powiedziałaś, że wrócił dobrowolnie. - Wisdom miał dziwny wyraz twarzy. - Czy on to zrobił po rozpoczęciu obławy?

Baines podskoczył.

- Tak, po.

- Więc nie mógł się z niej wydostać i wrócić. - Wisdom wykrzywił twarz w uśmiechu. - Obława musiała być szczelna. Należało się tego spodziewać.

- Gdyby była w niej choć jedna dziura - mruknął Baines - to on wiedziałby o tym... i wówczas by zwiął.

Wisdom przywołał grupę uzbrojonych strażników.

- Zaprowadźcie go do uśpienia.

Anita krzyknęła przeraźliwie.

- Wisdom, ty nie możesz...

- On za bardzo nas wyprzedza. Nie potrafimy z nim rywalizować. - Wisdom patrzył posępnym wzrokiem. - My możemy jedynie przypuszczać, co się stanie. On wie. Dla niego to pewność. Chociaż nie wydaje mi się, żeby mu to pomogło przy eutanazji. Całe pomieszczenie, w którym przeprowadza się ten zabieg, momentalnie wypełnia gaz o natychmiastowym działaniu. - Niecierpliwie dał znak strażnikom. - Ruszajcie. Zabrać go w tej chwili. Pospieszcie się.

- Poradzimy sobie? - spytał zamyślony Baines.

Strażnicy zajęli pozycje pod zdalnie sterowanymi drzwiami, które z wolna się otworzyły. Dwóch pierwszych ostrożnie weszło do środka z miotaczami gotowymi do strzału.

Cris stał w środku pomieszczenia tyłem do skradających się strażników. Przez chwilę był spokojny i nawet nie drgnął. Strażnicy utworzyli półkole, kiedy więcej ich weszło do wnętrza. Wtem...

Anita krzyknęła. Wisdom zaklął. Złocisty człowiek odwrócił się, błyskawicznie skoczył ku drzwiom przez potrójny szereg strażników i wypadł na korytarz.

- Łapać go! - wykrzyknął Baines.

Zakotłowało się od strażników. Uciekinier pędził na górę korytarzem rozświetlanym błyskami energii.

- To na nic - spokojnie powiedział Wisdom. - On się nie da trafić. - Nacisnął jakiś guzik, a potem drugi. - Ale może to nam coś da.

- Co... - zaczął Baines, lecz urwał.

Nagle zobaczył przed sobą skaczącą postać, która sunęła wprost na niego, a kiedy upadł na bok, błyskawicznie go minęła. Złocisty człowiek biegł bez wysiłku z pozbawioną wyrazu twarzą, robiąc uniki przed strumieniami energii, która wybuchała wokół niego.

Baines przez chwilę widział tę twarz z bliska, zanim Cris zniknął w bocznym korytarzu. Popędzili za nim strażnicy, strzelając i podnieconym głosem wykrzykując rozkazy. W podziemiach budynku turkotały ciężkie miotacze. Systematycznie zamykały się drzwi w korytarzach, odcinając drogę ucieczki.

- O Boże - westchnął Baines podnosząc się. - Czy on nie może robić nic innego, jak tylko uciekać?

- Wydałem rozkaz, żeby odizolować budynek - powiedział Wisdom.
- Nie ucieknie. Nikt nie wyjdzie ani nie wejdzie. W budynku może sobie pobiegać... ale na zewnątrz się nie wydostanie.

- Jeżeli jakieś wyjście przeoczono, to on będzie o tym wiedział - odezwała się Anita drżącym głosem.

- Żadnego wyjścia nie przeoczymy. Już raz go złapaliśmy i znowu złapiemy.

Wszedł robot-poślaniec. Z szacunkiem wręczył Wisdomowi jakąś kopertę.

- Z pracowni analitycznej, panie dyrektorze.

Wisdom rozerwał kopertę i wyjął papierową taśmę.

- Zaraz się dowiemy, jak on myśli. - Ręce mu drżały. - Może znajdziemy jego słaby punkt. Umysłowo może być od nas sprawniejszy, lecz to nie znaczy, że nie ma słabych punktów. Umie jedynie przewidzieć przyszłość, ale nie potrafi jej zmienić. Jeżeli czeka go śmierć, to ta zdolność mu nie...

Głos uwiązał Wisdomowi w gardle. Podał taśmę Bainesowi. - Idę do baru. Muszę się napić - rzekł z poszarzałą twarzą. - Mogę powiedzieć tylko jedno: mam nadzieję, że to nie ten gatunek przyjdzie po nas.

- Co mówi analiza? - niecierpliwiła się Anita, zaglądając Bainesowi przez ramię. - Jak on myśli?

- On nie myśli - odparł Baines i oddał taśmę swojemu szefowi. - W ogóle nie myśli. Całkowity brak czołowego płata. To nie jest istota ludzka... nie używa symboli. To tylko zwierzę.

- Zwierzę z jedną wysoce rozwiniętą zdolnością - rzekł Wisdom. - Nie żaden homo superior. W ogóle nie człowiek.

Po korytarzach budynku AKD we wszystkie strony przewalali się strażnicy ze sprzętem. Do budynku napływały oddziały Policji Obywatelskiej, zajmując pozycje obok strażników. Kolejno przeszukiwano korytarze i pokoje, a potem je zamykano. Wcześniej czy później Cris Johnson zostanie zlokalizowany i zapędzony w kozi róg.

- Zawsze się obawialiśmy, że pojawi się jakiś mutant na wyższym poziomie rozwoju umysłowego - rzekł zamyślony Baines. - Jakiś dewiant, który dla nas będzie tym, czym my jesteśmy dla małp.

Z dużą, pękatą czaszką, zdolnościami telepatycznymi, dysponujący doskonałym systemem semantycznym i najwyższymi umiejętnościami abstrakcyjnego myślenia i przewidywania. Jakaś wyższa forma naszego rozwoju. Doskonalsza istota ludzka.

- Kieruje się odruchami - powiedziała Anita z niedowierzaniem. Siedząc przy biurku z analizą w ręku, uważnie ją studiowała. - Odruchami... jak lew. Żłoty lew. - Odłożyła taśmę z dziwnym wyrazem twarzy. - Bóstwo pod postacią lwa.

- Zwierzę - opryskliwie poprawił ją Wisdom. - Chciałaś powiedzieć: jasnowłose zwierzę.

- Szybko biega i to wszystko - dodał Baines. - Nie używa narzędzi. Nie umie niczego zbudować ani wykorzystać. Po prostu stoi i czeka na stosowną okazję, a potem piekielnie szybko ucieka.

- To gorsze, niż mogliśmy się spodziewać - stwierdził Wisdom. Jego pełna twarz była szara jak popiół. Zgarbił się niczym starzec i niepewnie poruszał drżącymi rękami. - Być wypartym przez zwierzę! Przez coś takiego, co ucieka i się chowa. Co nie używa żadnego języka! - Splunął ze złością. - To dlatego oni nie mogli się z nim porozumieć. Zastanawialiśmy się, jaki on ma system semantyczny. A on nie ma żadnego! Jest w stanie mówić i myśleć nie bardziej niż... pies.

- A więc inteligencja jest w zaniku - powiedział Baines matowym głosem. - Jesteśmy ostatnim ogniwem... jak dinozaury. Doprowadziliśmy inteligencję do jej kresu. Może za daleko. Znaleźliśmy się w punkcie, w którym wiemy tak wiele... potrafimy świetnie myśleć... ale nie umiemy działać.

- Jesteśmy ludźmi myśli, a nie ludźmi czynu - rzekła Anita - co zaczęło nas paraliżować. To stworzenie zaś...

- Zdolność tego stworzenia funkcjonuje lepiej, niż kiedykolwiek funkcjonowały nasze zdolności. My możemy sobie przypomnieć nasze przeszłe doświadczenia, pamiętać je i czerpać z nich naukę. Jeśli idzie o przyszłość, to w najlepszym wypadku możemy snuć jedynie mgliste przypuszczenia na podstawie tego, co wydarzyło się w przeszłości. Musimy mówić o prawdopodobieństwach, które są szare, a nie czarno-białe. My tylko zgadujemy.

- Cris Johnson nie zgaduje - wtrąciła Anita.

- On patrzy przed siebie. Widzi, co nadejdzie. On... myśli do przodu.

Trudno to inaczej nazwać. On widzi przyszłość. Prawdopodobnie nie odbiera jej jako przyszłość.

- Nie, nie odbiera - powiedziała Anita w zamyśleniu. - Wydaje mu się terażniejszością. On ma rozszerzoną terażniejszość, lecz ta terażniejszość leży przed nim, nie za nim. Nasza terażniejszość wiąże się z przeszłością. Dla nas jedynie przeszłość jest rzeczą pewną, dla niego zaś przyszłość. I prawdopodobnie nie pamięta przeszłości, w każdym razie nie lepiej niż jakiegokolwiek zwierzę.

- Kiedy tacy jak on się rozwiną, w miarę ewolucji tego gatunku - rzekł Baines - przypuszczalnie udoskonalą tę zdolność myślenia do przodu. Zamiast dziesięciu minut pół godziny. Potem godzinę, dzień, rok. Wreszcie będą mogli widzieć całe życie. Życie w stałym, niezmiennym świecie bez niepewności i dylematów. Bez ruchu! Niczego nie będą się bali. Ten ich świat będzie idealnie statyczny jak masywny blok materii.

- A kiedy nadejdzie śmierć - dodała Anita - to ją zaakceptują. Nie będą próbowali z nią walczyć. Dla nich okaże się czymś, co już się wydarzyło.

- Co już się wydarzyło - powtórzył Baines. - Dla Crisa nasze strzały też już się wydarzyły. - Zaśmiał się nieprzyjemnie. - Istota o większych zdolnościach przetrwania wcale nie musi być doskonalszym człowiekiem. Gdyby doszło do nowego potopu, przetrwałyby tylko ryby, a w wypadku ery lodowcowej, być może jedynie białe niedźwiedzie. Zanim otworzyliśmy drzwi, on już widział tych żołnierzy, doskonale wiedział, gdzie staną i co zrobią. Przydatna zdolność, która jednak nie oznacza postępu w rozwoju umysłowym. Czysto fizyczny zmysł.

- Ale jeśli wszystkie wyjścia są obstawione - powtórzył Wiston - to on zobaczy, że nie może się wydostać. Przedtem sam się poddał i podda się sam jeszcze raz. - Pokręcił głową. - To zwierzę. Bez języka. Bez narzędzi.

- Mając ten nowy zmysł, niczego więcej nie potrzebuje - rzekł Baines i spojrzął na zegarek. - Już po drugiej. Czy budynek jest całkowicie odizolowany?

- Nie możesz wyjść - oświadczył Wisdom. - Musisz zostać tu na całą noc... albo przynajmniej dopóki nie złapiemy tego drania.

- Myślałem o niej. - Baines wskazał na Anitę. - Powinna być w swojej agencji przed siódmą rano.

Wisdom wzruszył ramionami.

- Nie mam nad nią żadnej władzy. Jeśli chce, to może się odmeldować.

- Zostanę - zdecydowała Anita. - Chcę tu być, kiedy... kiedy będą go zabijać. Tutaj się prześpię. - Zawahała się. - Wisdom, czy nie ma innego rozwiązania? Jeśli on jest po prostu zwierzęciem, to nie mogliśmy...

- Co, zoo? - Wisdom histerycznie podniósł głos. - Mamy zamknąć go w zoo? Chryste, nie! On musi zginąć!

Ciemny kształt na dłuższy czas przycupnął w ciemności. Znajdował się w magazynie. Ze wszystkich stron otaczały go skrzynie i kartony ułożone w równe rzędy, starannie przeliczone i poznaczane. Panowała cisza i poza nim nie było nikogo.

Lecz za chwilę wpadną tu żołnierze i przeszukają magazyn. Widział ich. Widział ich w całym pomieszczeniu, jasno i wyraźnie - żołnierze o zawziętych twarzach, którzy skradali się z miotaczami w rękach, rzucając spojrzenia pełne chęci mordy.

Widok ten był jednym z wielu. Jedną z mnóstwa plastycznych scen, przylegających do innych, w których złocisty człowiek sam występował. Za każdą z nich tłoczyły się nieprzebrane, zachodzące na siebie dalsze sceny; coraz bardziej zamazane, w końcu znikwały w stopniowo gęstniejącej mgle, w której kolejne grupy stawały się mniej wyraźne.

Ale najbliższą scenę, którą miał tuż przed sobą, widział dobrze. Z łatwością dostrzegał uzbrojonych żołnierzy. Trzeba zatem stąd wyjść, zanim się pojawią.

Złocisty człowiek cicho wstał i podszedł do drzwi. W korytarzu nie było nikogo, lecz widział już siebie dalej w pustym, szumiącym pomieszczeniu z metalu, oświetlonym ukrytymi lampami. Śmiało pchnął drzwi i wyszedł z magazynu.

W końcu korytarza jaśniała winda. Podszedł do niej i wsiadł. Za pięć minut nadbiegnie grupa strażników i wskoczy do niej. W tym czasie on już zdąży wysiąść i odesłać windę w dół. Teraz nacisnął guzik i pojechał piętro wyżej.

Wysiadł i znalazł się w pustym korytarzu. Nie widział nikogo, lecz to nie było dla niego niespodzianką. Nic nie mogło go zaskoczyć. Element zaskoczenia dla niego nie istniał. Pozycje przedmiotów, układ przestrzenny całej materii w najbliższej przyszłości znał tak dobrze jak własne ciało. Nie znał jedynie tego, co już minęło. Czasami zastanawiał się mgliście, co się z tym wszystkim stało.

Dotarł do niewielkiego podręcznego magazynu, który właśnie przeszukano. Uplynie pół godziny, nim ktokolwiek znów tu zajrzy. Miał więc do dyspozycji pół godziny, na tyle bowiem sięgał wzrokiem w przyszłość. A potem...

Potem zobaczy dalsze, kolejne obszary przyszłości, a później następne. Był w ciągłym ruchu, wchodząc w nowe rejony, których nigdy przedtem nie widział. Nieustannie rozwijała się przed nim panorama widoków, scen, zastygłych krajobrazów. Wszystkie postacie i przedmioty tkwiły nieruchomo jak figury na ogromnej szachownicy, po której z założonymi rękami i spokojną twarzą sunął on – bezstronny obserwator, równie dobrze widzący wszystko w oddali, jak i pod nogami.

Teraz, kiedy siedział skulony w niewielkim podręcznym magazynie, miał przed oczami mnóstwo najrozmaitszych scen, przedstawiających najbliższe pół godziny. Wiele go czekało. Owe pół godziny obejmowało niewiarygodnie skomplikowane połączenie oddzielnych konfiguracji. Dotarł do krytycznego rejonu, zaraz ruszy przez złożone, niezwykle pogmatwane światy.

Skupił uwagę na scenie za dziesięć minut. Niczym trójwymiarowe zdjęcie przedstawiała ciężki miotacz, przeciągany w drugi koniec korytarza. Żołnierze ostrożnie przechodzili od jednych drzwi do następnych, ponownie sprawdzając każdy pokój, co robili już wielokrotnie. Pod koniec półgodziny dotarli do podręcznego magazynu. Widział, jak zagląдают do środka. Oczywiście w tym czasie jego już tam nie będzie. Nie występował w tej scenie, przeszedł do innej.

Następna scena przedstawiała bramę zamkniętą zwartym szeregiem strażników. Nie ma wyjścia. Był w tej scenie. Ukrył się w niszy w ścianie bramy. Widział ulicę, gwiazdy, światła, sylwetki przejeżdżających samochodów i ludzi.

Na kolejnym obrazie wycofywał się z bramy. W żaden sposób nie

mógłby się wydostać. Następnie zobaczył siebie przy innych wyjściach, cały zastęp powielonych złocistych postaci, kiedy kolejno badał coraz dalsze rejony. Każde wyjście było jednak obstawione.

W jednej niewyraźnej scenie zobaczył siebie, jak leży osmalony i martwy; wcześniej próbował sforsować kordon, by uciec.

Lecz scena ta była zamazana. Jedno mignięcie zamglonej stop-klatki wśród wielu innych. Prosta droga, którą się poruszał, nie zboczy w tę stronę. Zaprowadzi go gdzie indziej. Złocista postać w nowej scenie, maleńka lalka w pokoju, tylko trochę go przypominała. To on, ale jakiś daleki, jakiego nigdy nie spotka. Zapomniał o tym i przeszedł do następnego obrazu.

Tysiące otaczających go scen tworzyły zawiłą układankę, której elementy teraz kolejno analizował. Patrzył z góry na dom lalek o nieskończonej liczbie pokoi, z których każdy miał własne meble i lalki, sztywne i nieruchome. Te same lalki i meble powtarzały się w wielu scenach. Nierzadko sam się w nich pojawiał. Ci dwaj mężczyźni na antresoli. Ta kobieta. Ciągłe ukazywały się te same kombinacje; przedstawienie często się powtarzało – ci sami aktorzy z tymi samymi rekwizytami krążyli wokół niego na wszelkie możliwe sposoby.

Nim nadszedł czas wyjścia z podręcznego magazynu, Cris Johnson sprawdził w myślach wszystkie sąsiednie pomieszczenia. Po kolei dokładnie je obejrzał wraz z tym, co się w nich znajdowało.

Pchnął drzwi i cicho wyszedł do hallu. Dokładnie wiedział, dokąd idzie i co ma zrobić. Skulony w dusznym magazynie, spokojnie i starannie przyjrzał się każdej miniaturze siebie, konfiguracji wyraźnych scen na jego wytkniętej drodze do tego pokoju w domu lalek, jedyne go pokoju spośród tysięcy innych, do którego zmierzał.

Anita zdjęła z siebie sukienkę z metalowej folii, powiesiła ją w szafie, zsunęła pantofle i kopnęła je pod łóżko. Już zaczynała rozpinąć biustonosz, kiedy nagle otworzyły się drzwi.

Zatkało ją. Złocisty człowiek cicho zamykał za sobą drzwi na zasuwkę.

Anita drżącą ręką chwyciła leżący na toalecie miotacz energii. Cała się trzęsła.

- Czego chcesz? - spytała. Jej palce konwulsyjnie zaciskały się na

miotaczu. - Zabiję cię.

Cris Johnson z założonymi rękami patrzył na nią w milczeniu. Po raz pierwszy widziała go tak blisko. Miał wspaniałą, pełną godności twarz, przystojną i niewzruszoną, grzywę złotych włosów, złotą skórę pokrytą połyskliwym meszkiem...

- No więc! - wykrztusiła. Serce jej waliło jak oszałałe. - Czego chcesz?

Z łatwością mogła go zabić, lecz miotacz zachwiał się w jej ręku. Cris Johnson stał bez obawy; wcale się nie bał. Dlaczego? Czyżby nie zdawał sobie sprawy, co ona trzyma w ręku i czym to mu grozi?

- No jasne - powiedziała nagle zduszonym szeptem. - Ty przecież widzisz przyszłość. Wiesz, że cię nie zabiję. Inaczej byś tu nie przyszedł.

Zaczerwieniła się przerażona i... zmieszana. On dokładnie wiedział, co ona robi. Widział to tak dobrze, jak ona widziała ściany pokoju, łóżko ze starannie złożoną narzutą, powieszzone w szafie ubranie, torebkę i drobiazgi na toaletce.

- No dobrze. - Anita cofnęła się, a potem nagle odłożyła miotacz na toaletkę. - Nie zabiję cię. Niby dlaczego miałabym to zrobić? - Pogrzebała w torebce, wyjęła papierosy i zapaliła jednego drżącą ręką. Miała przyśpieszony puls. Bała się, lecz równocześnie czuła dziwne podniecenie. - Spodziewasz się, że tu zostaniesz? To ci nic nie da. Oni już dwa razy sprawdzali tę sypialnię i z pewnością jeszcze tu wrócą.

Czy ją rozumiał? Na jego pełnej godności twarzy nie zauważyła żadnej reakcji. Boże, jaki on wielki. To niemożliwe, żeby miał zaledwie osiemnaście lat, że to jeszcze chłopiec, dziecko. Wyglądał raczej jak wspaniały złoty bóg, który zstąpił na ziemię.

Gwałtownie odrzuciła od siebie tę myśl. Nie był bogiem. To tylko zwierzę. Jasnowłose zwierzę, które przyszło zająć miejsce człowieka i wyprzeć go z Ziemi.

Anita chwyciła miotacz.

- Wynoś się! Jesteś zwierzęciem! Wielkim głupim zwierzęciem! Nawet nie rozumiesz, co do ciebie mówię... nawet nie używasz żadnego języka. Nie jesteś człowiekiem.

Cris Johnson wciąż milczał. Jakby czekał. Na co? Nie okazywał strachu czy niecierpliwości, chociaż z korytarza dobiegały odgłosy

poszukiwań. Słysząc było uderzenia metalu o metal, przeciąganie ciężkich miotaczy energii, okrzyki i przytłumione dudnienie, kiedy systematycznie przetrząsano cały budynek.

- Znajdą cię - powiedziała Anita. - Złapią cię tutaj. Lada chwila będą sprawdzać to skrzydło. - Z pasją zdusiła papierosa. - Na miłość boską, czego ty ode mnie oczekujesz?

Cris podszedł do niej. Anita się cofnęła. Chwycił ją silnymi rękami. Nagle przerażenie przyspieszyło jej oddech. Przez chwilę walczyła zajadle, rozpaczliwie.

- Puść!

Wyrwała się i odskoczyła od niego. Twarz Crisa była pozbawiona wszelkiego wyrazu. Spokojnie podszedł do Anity jak obojętny bóg, który zbliża się, by ją osiąść.

- Wynoś się!

Anita po omacku chwyciła miotacz i chciała go podnieść, ale wysliznął jej się z palców i stoczył na podłogę.

Cris schylił się i podniósł go. Wyciągnął rękę i na otwartej dłoni podał miotacz Anicie.

- Mój Boże - szepnęła.

Drżąc przyjęła miotacz, z wahaniem zacisnęła na nim rękę, a później z powrotem położyła na toaletce.

W półmroku pokoju sylwetka wielkiej złocistej postaci zdawała się jarzyć migotliwym blaskiem na tle cienia. Bóg... nie, nie bóg. Zwierzę. Duże złote zwierzę, pozbawione duszy. Anita czuła się zdezorientowana. Czym on jest... może i jednym, i drugim? Niepewnie pokręciła głową. Zrobiło się późno, już prawie czwarta. Anita była oszołomiona i wyczerpana.

Cris wziął ją w ramiona. Łagodnym ruchem uniósł delikatnie jej podbródek i pocałował ją, mocno ściskając silnymi rękami. Brakowało jej tchu. Ogarniał ją mrok mieszający się z migotliwą złotą mgiełką, która coraz szybciej i szybciej wirowała spiralnie wokół niej, porywając ze sobą jej zmysły. Anita zapadała się w nią z przyjemnością. Ów złocisty mrok zalał ją falą wzbierających uczuć, które z każdą chwilą się wzmagaly, aż wreszcie wszystko się w nich roztopiło.

Anita zamrugnęła oczami. Usiadła i machinalnie poprawiła sobie

włosy. Cris stał przy szafie. Sięgnął do niej i zdjął coś z wieszaka.

Odwróciwszy się rzucił to na łóżko. Była to ciężka podróżna peleryna Anity, wykonana z metalowej folii.

Anita spojrzała na pelerynę, niczego nie rozumiejąc.

- O co ci chodzi?

Cris stał przy łóżku. Czekał.

Anita niepewnie podniosła pelerynę. Poczowała zimne ciarki strachu.

- Chcesz, żebym cię stąd wyprowadziła, omijając strażników i policjantów - powiedziała cicho.

Cris milczał.

- Natychmiast cię zabiją. - Chwiejnie wstała. - Nie przebiegniesz przez kordon. Mój Boże, czy ty nie umiesz robić niczego poza bieganiem? Musi być jakiś lepszy sposób. Może uda mi się przekonać Wisdoma. Mam pierwszą rangę... rangę dyrektora. Mogę zwrócić się bezpośrednio do najwyższego kierownictwa. Chyba zdołam ich namówić, by wstrzymali eutanazję na czas nieokreślony. Mamy jedną szansę na miliard, jeżeli będziemy próbowali się przedrzeć...

Urwała.

- Ale ty nie ryzykujesz - mówiła dalej powoli. - Ty przecież nie liczysz na przypadek. Ty wiesz, co nadejdzie. Już widziałeś wszystkie karty. - Uważnie mu się przyjrzała. - Ciebie nie można oszukać. Byłoby to niemożliwe.

Przez chwilę stała głęboko zamyślona. Potem szybkim, zdecydowanym ruchem chwyciła pelerynę, narzuciła ją sobie na gołe ramiona, zapięła ciężki pas, pochyliła się wyciągając pantofle spod łóżka, złapała torebkę i pośpieszyła do drzwi.

- Chodź - powiedziała. Oddychała szybko, policzki jej pały. - Idziemy, póki jeszcze możemy się stąd wydostać. Mój samochód stoi na parkingu obok budynku. Za godzinę będziemy u mnie. Mam letni dom w Argentynie. W najgorszym wypadku możemy tam polecieć. Dom leży w głębi kraju, daleko od miasta. W dżungli na mokradłach. Prawie zupełnie odcięty od świata.

Niecierpliwie zaczęła otwierać drzwi. Cris powstrzymał ją wyciągniętą ręką. Delikatnie i spokojnie wsunął się przed Anitę.

Niewzruszenie odczekał dłuższy czas. Potem przekręcił gałkę i śmiało wyszedł z pokoju.

W pustym korytarzu nie było widać nikogo. W jego końcu Anicie mignęły tylko plecy znikającego strażnika. Gdyby wyszli chwilę wcześniej...

Cris zerwał się do biegu. Anita ruszyła za nim. Sunął szybko, bez wysiłku. Dziewczyna z trudem dotrzymywała mu kroku. Zdawał się dokładnie znać drogę. Skręcił w prawo, potem przez sień do przejścia służbowego. Wskoczyli do windy towarowej, którą pojechali w górę. Winda nagle się zatrzymała.

Cris znowu czekał. Wkrótce odsunął drzwi i wyszedł, a za nim Anita pełna niepokoju. Z niewielkiej odległości dochodziły ją bowiem dźwięki wydawane przez uzbrojonych ludzi.

Znajdowali się blisko wyjścia. Bezpośrednio przed sobą mieli podwójny kordon strażników. Dwudziestu ludzi tworzyło zwartą ścianę, przed którą w środku stał potężny, ciężki robot-miotacz. Na ściągniętych twarzach strażników malowało się napięcie. Byli w pogotowiu. Patrzyli szeroko otwartymi oczami, mocno ściskając broń. Dowodził nimi oficer policji obywatelskiej.

- Nigdy nie przejdziemy - wykrztusiła Anita. - Nie zrobimy nawet pięciu kroków. - Cofnęła się. - Oni...

Cris chwycił ją za rękę i spokojnie szedł dalej. Anitę opanował gwałtowny strach. Próbowła się wyrwać, lecz palce Crisa trzymały jej rękę w stalowym uścisku. Nie mogła ich rozewrzeć. Wielkie złociste stworzenie spokojnie, lecz zdecydowanie ciągnęło ją obok siebie w stronę podwójnego kordonu strażników.

- O, jest! - Uniosły się miotacze. Żołnierze ruszyli do akcji. Lufa robota zaczęła się obracać. - Brać go!

Anitę jakby sparaliżowało. Bezradnie zwisała u boku Crisa, który ani na moment nie rozluźniał chwytu. Najeżony lufami miotaczy kordon strażników był coraz bliżej. Anita próbowała opanować przerażenie. Potknęła się, niemal przewróciła. Cris podtrzymał ją bez wysiłku. Zaczęła go drapać, walczyła z nim, starała się wyrwać...

- Nie strzelać! - krzyknęła.

- Co to za kobieta? - Strażnicy mierzyli w Crisa, lecz obawiali się, że trafią w Anitę. Kogo on trzyma?

Jeden z nich dostrzegł pasek na jej rękawie. Czerwono-czarny. Ranga dyrektora. Najwyższa.

- Ona ma pierwszą rangę. - Zaskoczeni strażnicy odstąpili. - Proszę pani, niech pani się odsunie!

Anita odzyskała głos.

- Nie strzelać. On jest... pod moją opieką. Rozumiecie? Ja go wyprowadzam.

Ściana strażników nerwowo się cofnęła.

- Nikomu nie wolno wychodzić. Dyrektor Wisdom wydał rozkaz...

- Nie podlegam władzy dyrektora Wisdoma. - Anicie udało się nadać swojemu głosowi ostry ton. - Z drogi. Zabieram go do Agencji Semantyki.

Przez chwilę żaden strażnik się nie poruszył. W ogóle nie zareagowali. Lecz później powoli, niepewnie jeden strażnik odsunął się w bok.

Cris odskoczył od Anity, wyminął oszołomionych strażników i przez utworzone w kordonie przejście błyskawicznie wybiegł na ulicę. Posypały się za nim wściekłe wybuchy energii. Tłocząc się i pokrzykując strażnicy rzucili się w pościg. Zapomniana Anita została sama. W mroku wczesnego poranka na ulicę wylewał się tłum uzbrojonych ludzi, a wśród nich robot-miotacz. Zawyły syreny. Ryknęły silniki ruszających wozów patrolowych.

Oszołomiona Anita oparła się o ścianę, z trudem chwytając powietrze.

Uciekł. Zostawił mnie. Mój Boże, co ja zrobiłam? - myślała. Nieprzytomnie kręciła głową, ukrywając twarz w dłoniach. Zahipnotyzował ją. Odebrał jej wolę, zdrowy rozsądek. Rozum! Zwierzę, oszukało ją wielkie złote zwierzę. Wykorzystało ją, a teraz go nie ma. Uciekło w mrok nocy.

Łzy żalu i bólu tryskały jej spomiędzy zaciśniętych palców. Na próżno je ocierała; płynęły nieprzerwanym strumieniem.

- Uciekł - powiedział Baines. - Teraz to już go nigdy nie złapiemy. Prawdopodobnie jest o milion kilometrów stąd.

Anita siedziała skulona w kącie z twarzą odwróconą do ściany. Żałosna kupka nieszczęścia. Wisdom nerwowo krążył po pokoju.

- Ale dokąd on pójdzie? Gdzie się schowa? Nikt nie będzie chciał go ukryć! Przecież wszyscy znają ustawę o dewiantach!

- On prawie całe życie spędził w lesie. Będzie polował... zawsze to robił. Oni się zastanawiali, o co mu chodziło, kiedy samotnie się oddalał, a on chwycił zwierzęta i spał pod drzewami. - Baines zaśmiał się chrapliwie. - I pierwsza kobieta, jaką spotka, z rozkoszą go ukryje... jak ona.

Wskazał na Anitę kciukiem.

- Więc ten cały złoty kolor, ta grzywa, ta boska postawa, wszystko to miało jakiś cel. Nie było po prostu dla ozdoby. - Wisdom wykrzywił swoje grube wargi. - On dysponuje nie jedną zdolnością... lecz dwiema. Jedna jest nową, najnowszą cechą, która służy przetrwaniu, a ta druga jest stara jak świat. - Zatrzymał się rzucając wściekłe spojrzenia na skulony kształt w kącie. - Upierzenie. Barwne pióra, grzebienie u kogutów, łabędzi, ptaków; kolorowe łuski u ryb. Błyszczące futra i grzywy u zwierząt. Zwierzę niekoniecznie musi wyglądać jak dzika bestia. Weźmy lwy. Albo tygrysy. Jakiegokolwiek przedstawiciela dużych kotów. Wszystko o nich można powiedzieć, ale nie to, że wyglądają jak dzikie bestie. - Nigdy nie będzie musiał się martwić - rzekł Baines. - Poradzi sobie... dopóki istnieje choć jedna kobieta, która się nim zaopiekuje. A ponieważ widzi przyszłość, to dobrze wie, że żadna samica człowieka mu się nie oprze.

- Złapiemy go - mruknął Wisdom. - Kazałem rządowi ogłosić stan wyjątkowy. Żandarmeria i policja będą go szukały. Potężna armia ludzi... wszyscy specjaliści na Ziemi z najnowocześniejszą aparaturą i sprzętem. Wypłoszymy go prędzej czy później.

- Do tego czasu to już będzie bez różnicy - powiedział Baines. Ruchem pełnym ironii poklepał Anitę po ramieniu. - Będziesz miała towarzystwo, kochanie. Nie będziesz jedyna. Jesteś pierwsza z długiej procesji.

- Dziękuję - warknęła Anita.

- Najstarszy i najnowszy sposób na przetrwanie. Ich połączenie daje idealnie przystosowane zwierzę. Jak, u licha, uda nam się go powstrzymać? Ciebie możemy wysterylizować, ale nie potrafimy znaleźć tych wszystkich kobiet, które on spotka na swojej drodze. Wystarczy, że przeoczymy jedną i już po nas.

- Będziemy musieli próbować - rzekł Wisdom, - Postaramy się zgonić ich jak najwięcej, zanim zdążą coś z nim spłodzić. - Na jego

zmęczonej, zapadniętej twarzy pojawił się cień nadziei. - Być może jego cechy są recesywne i nasze je wyprą.

- Nie dałbym za to złamanego grosza - powiedział Baines. - Chyba już wiem, czyje cechy okażą się dominujące. - Uśmiechnął się krzywo.
- Przypuszczam, że nie nasze.

Przełożył Marek Cegieta

Mecz rewanżowy

(Return Match)

To nie było zwykłe kasyno gry i fakt ten stwarzał szczególny problem funkcjonariuszom Policji Specjalnej w Los Angeles. Kosmici, którzy je zorganizowali, bezpośrednio nad stołami umieścili potężny statek, tak więc w wypadku obławy jego silniki wszystko by zniszczyły. Sprytnie, pomyślał policjant Joseph Tinbane ze smutkiem. Za jednym zamachem kosmici opuściliby Terrę i zniszczyli wszelkie dowody swojej nielegalnej działalności.

A w dodatku zabiliby wszystkich graczy, którzy w przeciwnym razie mogliby złożyć zeznania.

Komisarz siedział w zaparkowanym autolocie i zażywał jedną po drugiej, niewielkie szczypty świetnej importowanej tabaki „Dean Swift”. Potem zajął się żółtą puszką zawierającą przysmak ze strzyżyków. Tabaka trochę go ożywiła, ale tylko trochę. Z lewej strony w wieczornym mroku rysował się pionowy kształt statku kosmitów, czarny i cichy, w dolnej części zlewając się z czarną budowlą, jak on czarną i cichą, ale to tylko pozory.

- Moglibyśmy tam wejść - odezwał się Tinbane do swojego mniej doświadczonego kolegi - lecz to równałoby się śmierci.

Zdawał sobie sprawę, że muszą zaufać robotom, chociaż są niezdarne i mają skłonności do popełniania błędów. W każdym razie nie są żywymi istotami i jako takie w tego rodzaju akcji mają przewagę nad ludźmi.

- Wszedł trzeci - cicho powiedział siedzący obok funkcjonariusz Falkes.

Do kasyna zbliżyła się szczupła sylwetka w ubraniu Ziemianina i zapukała do drzwi, które po chwili się otworzyły. Robot podał odpowiednie hasło i natychmiast został wpuszczony do środka.

- Sądzisz, że one wyjdą cało z wybuchu podczas startu? - spytał Tinbane Falkesa, który był specjalistą od robotyki.

- Jeden chyba tak, ale nie wszystkie. Lecz jeden wystarczy. - Bardzo ciekaw tego widoku, Falkes wychylił zza Tinbane'a swoją skupioną z emocji, młodzieńczą twarz. - Włącz już megafon. Powiedz im, że są

aresztowani. Nie ma sensu dłużej czekać.

- Według mnie jest - odparł Tinbane. - Póki statek jeszcze stoi, dobrze zobaczyć, co się tam pod nim dzieje. Zaczekajmy.

- Ale już więcej robotów nie przyjdzie.

- Poczekamy, aż złączą transmisję wideo - powiedział Tinbane. W końcu będzie to jakiś materiał dowodowy, który teraz rejestrowano w komendzie. A jednak towarzyszący Tinbane'owi policjant, wyznaczony wraz z nim do tej akcji, w pewnym sensie miał rację. Ponieważ do kasyna wszedł już ostatni z trzech człekokształtnych robotów, nic więcej się nie wydarzy, dopóki kosmici nie zorientują się, że nastąpiła infiltracja, i nie wycofają w swój typowy, zaplanowany sposób. - No dobra - rzekł Tinbane i wcisnął guzik włączający megafon.

Pochylając się nad mikrofonem, Falkes zaczął mówić. Jego słowa natychmiast powtarzał megafon: JAKO PRZEDSTAWICIELE PORZĄDKU REPREZENTUJĄCY POLICJĘ SPECJALNĄ W LOS ANGELES ROZKAZUJEMY WSZYSTKIM OSOBOM PRZEBYWAJĄCYM W KASYNIE WYJŚĆ NA ULICĘ. NALEŻY...

Jego głos zniknął w ryku silników startującego statku kosmitów. Falkes wzruszył ramionami i smutno uśmiechnął się do Tinbane'a, układając usta w bezgłośne zdanie: długo nie czekali.

Zgodnie z oczekiwaniami nikt nie wyszedł. Nikomu nie udało się uciec z kasyna. Nikt się nie pokazał nawet wówczas, gdy budowla zaczęła się topić. Statek wystartował zostawiając za sobą kałużę płynnej masy przypominającej wosk. W dalszym ciągu nikogo nie było widać.

Wstrząśnięty Tinbane uświadomił sobie, że wszyscy zginęli.

- Już czas, żebyśmy tam poszli - powiedział Falkes ze stoickim spokojem.

Zaczął się ubierać w kombinezon z neoazbestu, a po chwili to samo zrobił Tinbane.

Obaj policjanci razem weszli do gorącej, rozlewającej się kałuży, która niegdyś była kasynem. W samym środku, tworząc niewielki pagórek, leżały dwa z trzech człekokształtnych robotów; w ostatnim momencie udało im się coś przykryć własnymi ciałami. Tinbane nie zauważył ani śladu trzeciego; najwyraźniej uległ całkowitemu

zniszczeniu wraz z resztą. Z pozostałymi ciałami organicznymi.

Oglądając poskręcane szczątki dwóch robotów Tinbane zastanawiał się, co takiego uznały – w ten swój niejasny sposób – za wartość uchronienia. Coś żywego? Może jednego z tych podobnych do węży kosmitów? Raczej nie. A zatem stół do gry.

- Jak na roboty działały szybko – z uznaniem powiedział Falkes. – Ale tu coś jest – zauważył Tinbane.

Ostrożnie rozgrzebywał stopione metalowe szczątki, które niegdyś były dwoma robotami. Jakaś część, najprawdopodobniej tułów, ześlizgnęła się na bok odsłaniając to, co chciały ochronić roboty.

Automat do gry.

Tinbane zastanawiał się dlaczego. Jaką wartość mógł przedstawiać? Czy w ogóle był coś wart? Tinbane osobiście w to wątpił.

W laboratorium policyjnym przy Sunset Avenues w śródmieściu starego Los Angeles technik podał Tinbane'owi sążnistą analizę na piśmie.

- Opowiedz mi własnymi słowami – rzekł Tinbane z udręką, zbyt wiele lat bowiem pracował w policji, by mógł przebrnąć przez taki tekst. Zwrócił raport wysokiemu, szczupłemu technikowi.

- Właściwie nie jest to zwykła konstrukcja – rozpoczął technik zaglądając do raportu tak, jakby już zapomniał, co w nim napisał. Mówił tonem tak samo suchym i nudnym jak ton raportu. Najwyraźniej wpadł w rutynę. Również on uważał, że automat do gry uratowany przez człękokształtne roboty jest bez wartości, a przynajmniej takie wrażenie odniósł Tinbane. – Moim zdaniem nie przypomina żadnego z tych, które oni dotychczas przywozili na Terrę. Prawdopodobnie lepiej się zorientujesz, jak sam zobaczysz. Proponuję, żebyś wrzucił ćwierćdolarówkę i zagrał sobie partyjkę. Kasa laboratorium wyda ci monetę, którą później odzyskamy.

- Mam własną – odparł poirytowany Tinbane.

Ruszył za technikiem przez duże, przeciążone pracą laboratorium pełne skomplikowanego – w wielu wypadkach przestarzałego – sprzętu i porozbieranych konstrukcji, do stanowiska w głębi pomieszczenia.

Stał tam oczyszczony i naprawiony automat do gry, który uratowały roboty. Tinbane wrzucił monetę; pięć metalowych kulek natychmiast

wysypało się do pojemnika, a po przeciwnej stronie planszy zapłonęło zmieniające barwę światło.

- Nim zaczniesz, radzę ci dobrze przyjrzeć się planszy, tam gdzie kulka będzie przelatowała - odezwał się technik, stając obok Tinbane'a tak, żeby wszystko obserwować. - Pozioma część planszy pod szkłem ochronnym jest dość ciekawa. Całe miniaturowe miasteczko. Są tam domy, oświetlone ulice, główne budynki komunalne, napowietrzne tory wyrzutni statków ekspresowych... Niezwykle precyzyjna robota.

Tinbane pochylił się i patrzył z uwagą. Technik miał rację; miniaturowe miasteczko wykonano ze zdumiewającą dokładnością.

- Zbadaliśmy stopień zużycia ruchomych części automatu - poinformował go technik. - Wyniki prób wskazują, że używano go dość intensywnie. Ma spore luzy. Oceniamy, że po rozegraniu jeszcze niespełna tysiąca partii będzie musiał iść do warsztatu. Ich warsztatu, na lo. To jest tam, gdzie naszym zdaniem buduje się i konserwuje tego rodzaju sprzęt - rzekł i dodał wyjaśniająco: - To znaczy urządzenia do gier hazardowych.

- Na czym polega gra? - spytał Tinbane.

- Mamy tu kompletny wykaz możliwości - odparł technik. - Innymi słowy stalowa kulka nigdy nie porusza się tym samym torem. Liczba wszystkich możliwych kombinacji wynosi... - zaczął kartkować raport, ale nie mógł znaleźć dokładnych danych. - W każdym razie jest duża. Rzędu milionów. Naszym zdaniem jest to niezwykle zawile. Tak czy inaczej sam zobaczysz, kiedy wypuścisz pierwszą kulkę.

Tinbane pociągnął za tłoczek. Pierwsza kulka wytoczyła się z pojemnika do wyrzutni. Tinbane mocniej naciągnął sprężynę i puścił tłoczek. Kulka wystrzeliła z korytka i odbiła się od bandy, która nadała jej dodatkową prędkość.

Kulka teraz opadała, tocząc się powoli w stronę górnej granicy miasteczka.

- Pierwsza linia obrony, która utrudnia dostęp do miasteczka - powiedział technik zza pleców Tinbane'a. - to rząd pagórków kolorem, kształtem i fakturą przypominających krajobraz na lo. Wyraźnie zadano sobie wiele trudu, żeby uzyskać taką wierność. Prawdopodobnie jest to widok z satelitów krążących wokół lo. Z łatwością można sobie

wyobrazić, że ogląda się ten księżyc z wysokości ponad piętnastu kilometrów.

Stalowa kulka dotarła do obszaru nierówności. Jej trajektoria się zmieniała, aż wreszcie kulka zaczęła niepewnie krążyć bez określonego kierunku.

- Zboczyła - powiedział Tinbane. Zwrócił uwagę, jak świetnie wymodelowano teren, by uniemożliwić kulce ruch na wprost. - Całkiem ominie miasteczko.

Znacznie tracąc impet, kulka skręciła do bocznego rowka, którym niemrawo się potoczyła, i już wydawało się, że zniknie w dolnym otworze zbiorczym, gdy nagle uderzyła w bandę i wróciła do gry.

Na świetlnej tablicy zapalił się wynik. Punkt dla gracza oznaczający jego chwilowe zwycięstwo. I znów kulka toczyła się po nierównościach na pozór tą samą drogą co poprzednio.

- A teraz - powiedział technik - kiedy kulka będzie się zbliżała do bandy, w którą przed chwilą uderzyła, zwróć uwagę na pewną dość istotną rzecz. Nie patrz na kulkę, lecz na bandę.

Tinbane przyjrzał się i zobaczył, że spod bandy unosi się cieniutka strużka szarego dymu. Odwrócił głowę rzucając technikowi pytające spojrzenie.

- Teraz patrz na kulkę! - wykrzyknął nagle technik.

Kulka znów uderzyła w bandę, tuż nad dolnym otworem zbiorczym. Tym razem jednak banda nie zareagowała i nie odrzuciła jej z powrotem.

Tinbane mrugał oczami, kiedy znikła w otworze, wypadając z gry.

- I nic - rzekł po chwili.

- Ten dym, który widziałeś, wydobywał się z instalacji bandy. Nastąpiło zwarcie, ponieważ kulka odbita z tego miejsca znalazłaby się w niebezpiecznej pozycji... niebezpiecznej dla miasteczka.

- Innymi słowy - powiedział Tinbane - coś musiało zauważyć, w jaki sposób banda wpływa na zachowanie kulki. Układ ten funkcjonuje tak, by zabezpieczyć miasteczko przed skutkami działania kulki.

Już widział coś takiego w innych automatach do gry, przywiezionych przez kosmitów: wymyślne obwody, które nieustannie zmieniały planszę tak, że sprawiała wrażenie żywej, a wszystko po to, by zmniejszyć graczowi szansę na zwycięstwo. W wypadku tej konstrukcji

gracz zwyciężał wówczas, gdy pięć stalowych kulek znalazło się w centralnej części planszy – replice wzgórza z lo. Dlatego należało chronić wzgórze. Trzeba było więc wyłączyć bandę w tym strategicznym miejscu. Przynajmniej na jakiś czas. Do chwili wprowadzenia zdecydowanych zmian w topografii planszy.

- To nic nowego - rzekł technik. - Takie coś ty widziałeś już kilkanaście razy, a ja ze sto. Powiedzmy, że na tym automacie rozegrano już dziesięć tysięcy partii. Za każdym razem jego obwody przestrajają się w sposób dobrze przemyślany tak, by zneutralizować kulkę. Powiedzmy, że te zmiany się kumulują, a zatem obecnie wynik jakiegokolwiek gracza będzie stanowił ułamek wyników uzyskanych wcześniej, zanim obwody się przestroily. Celem tych zmian, jak we wszystkich automatach do gry zbudowanych przez kosmitów, jest sprowadzenie możliwości wygranej do zera. Możesz tylko próbować trafić w miasteczko, Tinbane. Zmontowaliśmy powtarzalne urządzenie do wyrzucania kulek i rozegraliśmy sto czterdzieści partii. Ani razu żadna z kulek nie zbliżyła się do miasteczka na tyle, by wyrzucić mu jakąkolwiek szkodę. Notowaliśmy uzyskane wyniki. Każdy z nich był nieco gorszy od poprzedniego.

Technik uśmiechnął się.

- I co? - spytał Tinbane.

- I nic. Tak jak ci powiedziałem i jak napisałem w raporcie. - Technik przerwał na chwilę. - Poza jedną rzeczą. Popatrz na to.

Pochylił się i przeciągnął swym chudym palcem po szklanej płycie nad jakąś konstrukcją w środku miniaturowego miasteczka.

- Dokumentacja fotograficzna wykazuje, że przy każdej partii ten element staje się coraz bardziej widoczny. Najwyraźniej budują go umieszczone pod spodem obwody, które dokonują też innych zmian. Ale w tym wypadku... czy to ci czegoś nie przypomina?

- Wygląda jak rzymska katapulta - odparł Tinbane. - Ale ustawiona pionowo, a nie poziomo.

- Nam to samo przyszło do głowy. Dobrze się przyjrzyj. W porównaniu ze skalą miasteczka jest nieproporcjonalnie duża. Właściwie ogromna. Najważniejsze, że nie jest w skali.

- Wygląda prawie tak, jakby mogła się w niej zmieścić...

- Nie prawie - rzekł technik. - Zmierzyliśmy ją. Ma dokładnie takie wymiary, że idealnie pasowałyby do niej każda z tych stalowych kulek.

- A potem? - spytał Tinbane, czując dziwny chłód.

- A potem odrzuci kulę w gracza - spokojnie odparł technik. - Celuje powyżej przedniej krawędzi automatu, w przód i do góry - rzekł i dodał: - Właściwie jest już niemal gotowa.

Badając automat do gry, nielegalnie sprowadzony przez kosmitów, Tinbane pomyślał, że najlepszą obroną jest atak. Ale czy ktokolwiek słyszał o tym w takim kontekście?

Zdał sobie sprawę, że wynik zerowy nie zadowala obronnych obwodów automatu. Zero nie wystarcza. Muszą dążyć do osiągnięcia wyniku poniżej zera. Dlaczego? Ponieważ celem, do którego zmierzają, nie jest wynik zerowy, lecz najlepsza forma obrony. Fantastycznie zaprojektowane.

A może nie?

- Sądzisz, że kosmici zrobili to celowo? - spytał wysokiego, szczupłego technika.

- To nieważne. Przynajmniej w tej chwili. Teraz liczą się dwie sprawy: automat został sprowadzony na Terrę z pogwałceniem jej praw, i to, że korzystali z niego Terranie. Czy taki był cel kosmitów, czy nie, automat wkrótce stanie się naprawdę śmiertcionośną bronią. Obliczyliśmy, że nastąpi to w ciągu najbliższych dwudziestu partii. Po każdym wrzuceniu monety budowa katapulty posuwa się naprzód. Bez względu na to, czy kulka dociera w pobliże miasteczka, czy nie. Potrzeba do tego jedynie dopływu energii z wewnętrznej baterii helowej. Budowa katapulty trwa w tej chwili, kiedy tu stoimy. Lepiej wystrzel pozostałe cztery kulki, żeby automat się wyłączył... albo pozwól nam go rozmontować... a przynajmniej odłączyć od obwodów źródła zasilania.

- Kosmici nie mają zbyt wielkiego szacunku dla ludzkiego życia - zauważył Tinbane. Myślał o masakrze dokonanej przez startujący statek. Kosmici zawsze tak robili. Wobec takiej rzezi zabicie jednego człowieka wydawało się zbędne. Co chcieli przez to osiągnąć?

- On działa wybiórczo - rzekł zamyślony Tinbane. - Eliminuje tylko jednego gracza.

- Wyeliminowałby wszystkich graczy - powiedział technik. - Jednego po drugim.

- Ale ktoś chciałby grać na takim automacie po pierwszym śmiertelnym wypadku? - spytał Tinbane.

- Ludzie tam chodzą wiedząc, że jeśli policja zrobi nalot, to zginą, bo kosmici wszystko spalą - zauważył technik. - Hazard jest nałogiem; pewien typ ludzi uprawia go bez względu na ryzyko, jakie się z nim wiąże. Nie słyszałeś o ruskiej ruletce?

Tinbane wypuścił drugą stalową kulkę; patrzył, jak się odbija i toczy w stronę repliki miasteczka. Zdołała pokonać nierówności terenu i zbliżała się do pierwszego domu. Może trafię w katapultę, pomyślał z pasją Tinbane, zanim ona trafi we mnie. Opanowało go dziwne, dotychczas mu nie znane podniecenie, kiedy obserwował, jak kulka uderza w maleńki domek, rozpląszcza go i toczy się dalej. Choć dla Tinbane'a mała kulka była wyraźnie większa od wszystkich domów i budowli w miasteczku.

Wszystkich poza stojącą w jego centrum katapultą. Tinbane gorączkowo obserwował kulkę, kiedy niebezpiecznie się do niej zbliżyła, a potem, odbita od jakiegoś budynku, potoczyła się dalej i zniknęła w otworze zbiorczym. Natychmiast wystrzelił trzecią kulkę.

- Gra idzie o wysoką stawkę, co? - odezwał się cicho technik. - Twoje życie i jej istnienie. To musi być nadzwyczaj frapujące dla osoby o stosownym temperamencie.

- Wydaje mi się, że trafię katapultę, nim ona wejdzie do akcji.

- Może tak, a może nie.

- Za każdym razem kulka jest coraz bliżej.

- Katapulcie do działania potrzebna jest jedna z tych stalowych kulek; to jej nabój, a ty coraz bardziej zwiększasz prawdopodobieństwo, że ona ją zdobędzie. Właściwie jej pomagasz - powiedział technik, a po chwili dodał posępnym głosem: - W istocie bez ciebie nie mogłaby funkcjonować; gracz to nie tylko przeciwnik, jest również niezbędny. Lepiej to zostaw, Tinbane. Automat cię wykorzystuje.

- Zostawię, kiedy trafię w katapultę - odparł Tinbane.

- No pewnie. Trafisz i zginiesz. - Spojrzał na Tinbane'a mrużąc oczy.

- Możliwe, że kosmici właśnie po to to zbudowali, żeby zrewanżować

się nam za naloty. Bardzo prawdopodobne, że o to im chodzi.

- Masz jeszcze jedną ćwierćdolarówkę? - spytał Tinbane.

W środku dziesiątej partii automat do gry zaskakująco zmienił strategię. Przystał kierować stalową kulkę w bok tak, aby omijała replikę miasteczka.

Obserwując kulkę Tinbane zauważył, że po raz pierwszy toczy się ona przez środek makiety. Bezpośrednio w kierunku nieproporcjonalnie dużej katapulty.

Najwyraźniej budowa katapulty już się zakończyła.

- Mam wyższy stopień od ciebie, Tinbane - powiedział zaniepokojony technik. - Rozkazuję ci przerwać grę.

- Każdy twój rozkaz dla mnie powinien być wydany na piśmie i zatwierdzony co najmniej przez inspektora - odparł Tinbane, lecz z ociąganiem zaniechał gry. - Mógłbym w nią trafić, ale stojąc w innym miejscu. Muszę się odsunąć na taką odległość, żeby strzał mnie nie dosięgnął - powiedział zamyślony. - Wówczas automat mnie nie rozpozna i nie będzie mógł celować.

Zauważył, że katapulta już lekko się obróciła. Wykryła go za pomocą jakiegoś układu optycznego. Mógł to być także układ termotropiczny, który wyczuł ciepło jego ciała.

W tym ostatnim wypadku obrona byłaby prosta: wystarczyło zawiesić gdzieś cewkę oporową. Ale katapulta mogło też kierować jakieś urządzenie wykrywające wszelkie pobliskie fale mózgowy, lecz laboratorium policyjne już by o tym wiedziało.

- Czym ona się kieruje? - spytał.

- Urządzenie to jeszcze nie istniało w czasie, gdy badaliśmy automat - odparł technik. - Niewątpliwie powstało dopiero niedawno, pod koniec budowy katapulty.

- Mam nadzieję, że nie zapisuje fal mózgowych - rzekł Tinbane w zadumie.

Pomyślał, że gdyby tak rzeczywiście było, to urządzenie bez trudności zapamiętałoby swojego przeciwnika i wykorzystało ten fakt w przyszłej grze.

Myśl ta przeraziła go bardziej niż bezpośrednie zagrożenie, wynikające z sytuacji.

- Umówmy się - zaproponował technik. - Będziesz kontynuował grę, dopóki katapulta nie wystrzeli do ciebie po raz pierwszy. Potem się wycofasz i pozwolisz nam ją rozebrać. Musimy się dowiedzieć, czym ona się kieruje, bo w przyszłości możemy napotkać podobne urządzenia w bardziej skomplikowanej formie. Zgadzasz się? Oczywiście podejmujesz pewne ryzyko, ale przypuszczam, że pierwszy strzał będzie oddany na próbę jako podstawa do poprawki przy drugim strzale... do którego nigdy nie dojdzie.

Tinbane zastanawiał się, czy nie powinien swoimi obawami podzielić się z technikiem.

- Niepokoi mnie jedno - rzekł. - Ona może mnie w jakiś sposób zapamiętać. Do przyszłych celów.

- Jakich przyszłych celów? Przecież zostanie całkowicie rozebrana. Zaraz po pierwszym strzale.

- Chyba lepiej będzie, jeśli się zgodzę - powiedział Tinbane niechętnie.

Pomyślał, że może już posunął się za daleko i że technik pewnie miał rację, kiedy kazał przerwać grę.

Następna kulka minęła katapultę zaledwie o milimetry. Ale nie to zdenerwowało Tinbane'a, lecz szybka, prawie niezauważalna próba przechwycenia jej przez katapultę ruchem tak błyskawicznym, że łatwo można go było przeoczyć.

- Ona pragnie tej kulki - stwierdził technik. - Pragnie ci e b i e .

On też to zauważył.

Tinbane z wahaniem dotknął tłoczka, który wyrzuci następną - prawdopodobnie ostatnią - stalową kulkę.

- Daj spokój - powiedział zdenerwowany technik. - Zapomnij o naszej umowie i przerwij grę. Rozbierzemy automat tak jak jest.

- Ale musimy się dowiedzieć, czym się kieruje - odparł Tinbane i pociągnął za tłoczek.

Stalowa kulka, która nagle wydała się Tinbane'owi ogromna, twarda i ciężka, bez wahania potoczyła się w stronę wyczekującej katapulty, nie napotykając po drodze żadnych przeszkód, współpracował z nią bowiem element kształtowania planszy. Kulka znalazła się na wyrzutni katapulty tak nieoczekiwanie, że Tinbane nawet nie pojął, co się stało.

Gapił się na nią, tkwiąc bez ruchu.

- Uciekaj! - krzyknął technik i błyskawicznie skoczył, własnym ciałem odrzucając Tinbane'a od automatu.

Z trzaskiem rozbitego szkła stalowa kulka przeleciała obok prawej skroni Tinbane'a, uderzyła w ścianę laboratorium i wpadła pod stół.

Tinbane z wahaniem wyprostował się i zrobił krok w stronę automatu.

- Nie wypuszczaj następnej kulki - powiedział technik ostrzegawczym tonem.

- Nie muszę - odparł Tinbane, odwrócił się i czmychnął.

Automat zrobił to sam.

Tinbane siedział w pokoju szefa laboratorium, Teda Donovana, paląc papierosa. Drzwi do laboratorium zamknięto, uprzedzając wszystkich techników o grożącym niebezpieczeństwie. Za zamkniętymi drzwiami laboratorium panowała cisza. Tinbane pomyślał, że automat czeka, gotów do działania.

Zastanawiał się, czy czeka on na kogokolwiek, jakiegoś człowieka, Terranina, który znajdzie się w jego zasięgu, czy tylko na niego... Tinbane'a.

Myśl ta przerażała go bardziej niż wówczas, gdy przyszła mu do głowy po raz pierwszy; nawet siedząc tutaj czuł, że kuli się ze strachu. Automat zbudowany na innej planecie, wysłany na Terrę bez żadnych instrukcji, po prostu zdolny do wybierania różnych możliwości obrony, w końcu sam odkrywa klucz. Przez przypadkową selekcję na chybił trafił podczas setek, a nawet tysięcy rozgrywek z kolejnymi osobami, z różnymi graczami, wpada wreszcie na właściwe rozwiązanie i sam zaczyna siebie zmieniać, a osoba, która rozgrywa ostatnią partię, również wybrana przypadkowo, staje się z nim związana śmiertelnym kontraktem. W tym wypadku osobą tą jest on, Tinbane. Niestety.

- Źródło zasilania rozładujemy na odległość - powiedział Ted Donovan. - To nie powinno być trudne. A ty idź do domu i zapomnij o wszystkim. Zawiadomimy cię, kiedy rozmontujemy obwód naprowadzający, o ile oczywiście nie przeciągnie się to do późnej nocy, bo w takim wypadku...

- Zawiadomcie mnie bez względu na porę, bardzo proszę - przerwał

mu Tinbane.

Nie musiał wyjaśniać dlaczego; szef laboratorium go rozumiał.

- Konstrukcja ta jest najwyraźniej wymierzona przeciwko policjantom, którzy robią naloty na kasyna. W jaki sposób kosmitom udało się naprowadzić na nią nasze roboty, tego oczywiście nie wiemy... na razie. Może znajdziemy również ten obwód. - Wziął do ręki istniejący już raport i popatrzył nań z niechęcią. - Okazuje się, że jest zbyt powierzchowny, bo traktuje automat jak jeszcze jedno zwykłe urządzenie do gry hazardowej, wykonane przez kosmitów, a przecież jest to maszyna piekielna.

Zdegustowany cisnął raport w kąt.

- Jeżeli oni rzeczywiście mieli taki zamiar, to im się udało. Całkowicie mnie wrobili - powiedział Tinbane.

Była to prawda, przynajmniej jeśli idzie o usidlenie go, o wciągnięcie do gry i współpracy.

- Jesteś urodzonym graczem, masz żyłkę hazardzisty, choć nie zdawałeś sobie z tego sprawy. Możliwe, że w przeciwnym wypadku automat by tak nie zareagował - rzekł Donovan i dodał: - To jednak interesujące. Automat do gry, który broni się atakiem i ma już dość tego, że toczą się po nim stalowe kulki. Mam nadzieję, że oni nie budują strzelnic do rzutków. Wystarczy taki automat.

- Jak we śnie - mruknął Tinbane.

- Słucham?

- Wydaje się to nierealne - rzekł Tinbane, choć wiedział, że jest inaczej. Wstał. - Zrobię tak, jak mówisz, i pójdę do domu. Macie mój numer wideofonu.

Był wyczerpany i przerażony.

- Okropnie wyglądasz - stwierdził Donovan, przypatrując mu się badawczo. - Ten automat nie powinien aż tak na ciebie działać. Przecież to stosunkowo nieszkodliwa maszyna, no nie? Powinieneś ją zaatakować, porządnie puścić w ruch. Pozostawiona sobie...

- Właśnie ją zostawiam - rzekł Tinbane. - Ale ona czeka. Chce, żebym wrócił.

Czuł, że go oczekuje, że spodziewa się jego powrotu. Ta maszyna potrafi się uczyć, a on ją nauczył... nauczył ją siebie.

Nauczył ją tego, że na planecie zwanej Terrą istnieje niejaki Joseph

Tinbane.

Kiedy otwierał drzwi swojego mieszkania, wideofon już dzwonił. Ołowianą ręką podniósł słuchawkę.

- Hallo?

- Tinbane? - To był głos Donovana. - Kieruje się falami mózgowymi, no i dobrze. Znaleźliśmy zapis twoich fal i naturalnie go zniszczyliśmy. Ale... - Donovan zawahał się. - Ustaliliśmy, że automat jeszcze coś zbudował od czasu wstępnej analizy.

- Nadajnik - powiedział Tinbane chrapliwie.

- Zgadza się. Zasięg prawie kilometr, a przy nadawaniu kierunkowym ponad trzy. Automat był nastawiony na nadawanie kierunkowe, musimy więc przyjąć, że ma zasięg trzech kilometrów. Oczywiście w ogóle nie mamy pojęcia, jak jest zbudowany i czy wysyła sygnały. Prawdopodobnie tak. Do jakiegoś biura albo jednego z poduszkowców, których oni używają. W każdym razie już wiesz. Jest to więc zdecydowanie broń odwetowa; twoje przeczucie, niestety, cię nie myliło. Kiedy nasi uczeni eksperci obejrzeliby to sobie, doszli do wniosku, że automat, jak by to powiedzieć, czekał na ciebie. Widział, że przyszedłeś. Pewnie główną funkcją tego urządzenia nigdy nie była gra; luzy, które zauważyliśmy, wykonano prawdopodobnie umyślnie, bo raczej nie są wynikiem zużycia. I to byłoby wszystko.

- Co według ciebie mam robić? - spytał Tinbane.

- Co robić? - Donovan zawahał się. - Nic. Siedź w domu i nie przychodź do roboty, ani na chwilę.

A więc, jeśli kosmici mnie znajdą, pomyślał Tinbane, to w komendzie nikomu nic się nie stanie. Dla was to korzystny układ, ale nie dla mnie.

- Chyba jednak stąd pójdę - rzekł na głos - oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Urządzenie to może mieć ograniczoną przestrzeń działania, obejmującą wyłącznie komendę Policji Specjalnej albo tylko jeden rejon miasta.

Sympatia Tinbane'a, Nancy Hackett, mieszkała w La Jolli. Mógł iść do niej.

- Rób, jak uważasz.

- W każdym razie nie możecie mi pomóc.

- Wiesz co? - rzekł Donovan. - Wyasygnujemy jakąś rozsądną sumkę, ile się da, która pozwoli ci funkcjonować, dopóki nie wytropimy tego cholernego nadajnika i nie ustalimy, dokąd wysyła sygnały. Teraz o największy ból głowy przyprawia nas to, że o tej sprawie zaczyna być głośno w całej komendzie. Będziemy mieli trudności z kompletowaniem grup do przeciwdziałania operacjom hazardowym kosmitów... a im właśnie o to chodzi. Możemy zrobić jeszcze jedno. Zlecić laboratorium wykonanie ekranu, który tak zmieni twoje fale mózgowe, że staną się nierozpoznawalne. Ale musiałbyś za to zapłacić z własnej kieszeni. Może uda się załatwić, żeby potrącano należność z twojej pensji, a spłaty rozłożyć na kilka miesięcy. Jeżeli to cię interesuje. Gdybyś chciał wiedzieć, co ja o tym myślę, to szczerze mówiąc, radzę ci tak zrobić.

- Dobrze - odparł Tinbane. Czuł się otepiały, pozbawiony życia, zmęczony i zrezygnowany. Wszystko naraz. Intuicja podpowiadała mu, że jego reakcje są logiczne. - Co jeszcze mi radzisz? - spytał.

- Nie rozstawaj się z bronią. Nawet w czasie snu.

- Jakiego snu? Uważasz, że teraz mógłbym zasnąć? Może mi się uda, kiedy ten automat zostanie całkowicie zniszczony.

Uświadomił sobie, że to i tak niczego nie zmieni. Już nie. Nie po tym, jak wzór jego fal mózgowych przekazano czemuś nieznanemu. Tylko Bóg wie, co to jest. Kosmici przywożą tu ze sobą tyle różnych skomplikowanych rzeczy.

Odwiesił słuchawkę, poszedł do kuchni, wyjął pół butelki starego burbona i przygotował sobie koktajl.

Co za historia, powiedział do siebie, żeby człowieka ścigał automat do gry z innej planety. Omal nie wybuchnął śmiechem.

Co tu zrobić, zastanawiał się, żeby złapać automat do gry? Automat, który cię zna i chce cię załatwić. A dokładniej, żeby złapać nieznanego kolegę aparatu...

Coś zastukało w okno kuchni.

Tinbane sięgnął do kieszeni i wyjął służbowy pistolet laserowy. Skradając się przy ścianie, podszedł do okna i wyjrzał. Zupełna ciemność. Niczego nie mógł zobaczyć. Latarka? Zostawił ją w schowku autolotu zaparkowanego na dachu budynku. Trzeba po nią iść.

W chwilę później z latarką w ręku zbiegł po schodach i wrócił do

kuchni.

W świetle latarki ukazał się jakiś kształt przywarty do zewnętrznej powierzchni okna, aparat przypominający owada z wystającymi długimi nibynózkami. To on tak stukał czułkami w szybę, najwyraźniej rozpoznając teren w ten swój ślepy mechaniczny sposób.

Musiał zejść po ścianie budynku; Tinbane dostrzegł przyssawki, którymi się przytrzymał.

W tym momencie ciekawość Tinbane'a przewyciężyła strach. Ostrożnie otworzył okno – nie ma sensu płacić administracji za zbitą szybę – i uważnie wycelował z laserowego pistoletu. Aparat się nie poruszył; wyraźnie był zdezorientowany. Tinbane domyślił się, że on reaguje stosunkowo powoli, znacznie wolniej od podobnych do niego owadów. O ile, oczywiście, nie jest nastawiony na detonację, a wobec tego nie ma co dumać.

Tinbane strzelił cienkim promieniem w spód aparatu.

Trafiony aparat zaczął odrywać się od ściany, puszczały jego liczne ssawki. Kiedy całkiem opadł, Tinbane chwycił go, szybko wciągnął do pokoju i rzucił na podłogę, cały czas mierząc doń z pistoletu. Aparat jednak na dobre przestał funkcjonować, w ogóle się nie poruszał.

Tinbane przeniósł go na kuchenny stolik, z szuflady z narzędziami obok zlewu wyjął śrubokręt, usiadł i zabrał się do badania zdobyczy. Czuł, że teraz nie musi się śpieszyć; napięcie opadło, przynajmniej chwilowo.

Dopiero po czterdziestu minutach udało mu się otworzyć aparat skręcony śrubami, do których nie pasował normalny śrubokręt. W końcu użył zwykłego kuchennego noża. Wreszcie otwarty aparat leżał przed Tinbane'em na stole. Obudowa składała się z dwóch części: jedna była pusta, druga zaś pełna stłoczonych części. Bomba? Zaczął w nich dłubać z przesadną ostrożnością, kolejno je sprawdzając.

Nie bomba – przynajmniej nie taka, jakie znał. A więc narzędzie mordu? Nie zauważył żadnych ostrzy, trucizn czy drobnoustrojów, żadnych rurek, które mogłyby zawierać śmiertelny ładunek, materiały wybuchowe czy coś w tym rodzaju. Wobec tego, na miłość boską, do czego to służy? Tinbane rozpoznał silnik, który pozwalał aparatowi poruszać się po ścianie budynku, a potem fotoelektryczną głowicę, zapewniającą mu orientację. I nic więcej. Absolutnie nic.

Z użytkowego punktu widzenia aparat nie przedstawiał żadnej wartości.

Czyżby? Tinbane spojrział na zegarek. Przesiedział nad tym już całą godzinę, nie zwracając uwagi na nic innego, a kto wie, może to inne było ważniejsze?

Nerwowo zsunął się z krzesła, stanął na zeszywniałych nogach, wziął laserowy pistolet i zaczął krążyć po mieszkaniu nasłuchując, próbując wykryć nawet najdrobniejsze zmiany, coś, co odbiegałoby od normalności.

Zdał sobie sprawę, że aparat pozwolił im zyskać na czasie. Pełną godzinę! Na to, o co rzeczywiście im chodziło.

Tinbane pomyślał, że najwyższy czas opuścić mieszkanie. Pojechać do La Jolli, wynieść się stąd, u licha, dopóki to wszystko się nie skończy.

Zadzwoił wideofon.

Kiedy go włączył, na ekranie ukazała się szara twarz Teda Donovana.

- Wystaliśmy policyjny autolot do obserwowania bloku, w którym mieszkasz - powiedział Donovan. - Zauważył coś, więc pomyślałem sobie, że pewnie chciałbyś o tym wiedzieć.

- Jasne - odparł Tinbane głosem pełnym napięcia.

- Jakiś pojazd na krótko wylądował na dachu twojego bloku. Nie był to normalny autolot, lecz coś większego. Nie mogliśmy rozpoznać co. Potem wystartował z wielką szybkością, ale myślę, że to oni.

- Czy coś zostawił? - spytał Tinbane.

- Obawiam się, że tak.

- Czy możecie coś z tym zrobić? - wykrztusił Tinbane przez zaciśnięte usta. - Byłbym bardzo wdzięczny.

- A co proponujesz? Nie wiemy, co to jest, i chyba ty też nie wiesz. Jesteśmy gotowi na każde rozwiązanie, ale uważam, że musimy poczekać, dopóki się nie zorientujesz, czym jest ten... nieprzyjacielski obiekt.

Coś grzmotnęło w drzwi w przedpokoju.

- Poczekaj, nie rozłączaj się - rzekł Tinbane. - Chyba już się zaczęło.

Czuł, że wpada w panikę, że opanowuje go niepoohamowany dziecięcy strach. Trzymając laserowy pistolet w niepewnej zdrętwiałej

dłoni, powoli, krok za krokiem, podszedł do drzwi wejściowych. Zatrzymał się. Potem otworzył zamki i uchylił drzwi. Troszeczkę. Najmniej, jak się dało.

Pchane jakąś ogromną, niepowstrzymaną siłą, drzwi otworzyły się szerzej, wyrывая klamkę z ręki Tinbane'a. Olbrzymia stalowa kula bezszelestnie wsunęła się do środka, napierając na wpółotwarte drzwi. Tinbane cofnął się – musiał – wiedząc, że to jest właściwy przeciwnik, a tamta chodząca po ścianie atrapa miała tylko odwrócić uwagę od niego.

Nie mógł wydostać się z domu. Już nie pojedzie do La Jolli. Potężna kula całkowicie blokowala wyjście.

- Jestem zamknięty. Tu, we własnym mieszkaniu – powiedział Donovanowi, wracając do wideofonu.

Zupełnie jak na wysuniętej pozycji, pomyślał. Niczym w tym pagórkowatym terenie o zmiennej konfiguracji na planszy automatu do gry. Pierwsza kula utkwiła w drzwiach, całkowicie je blokując. Lecz co zrobi druga? A trzecia?

Każda następna będzie coraz bliżej.

- Czy możecie coś dla mnie zbudować? – spytał chrapliwie. – Czy laboratorium może zacząć pracę o tak późnej porze?

- Spróbujemy – odparł Donovan. – Wszystko zależy od tego, co ci jest potrzebne. A o co ci chodzi? Co ci może pomóc?

Tinbane nie miał najmniejszej ochoty o to prosić. Ale musiał. Następna kula mogła wpaść przez okno albo zwalić się na niego, strzaskawszy sufit.

- Potrzebna mi jakaś katapulta. Dostatecznie duża i mocna, by mogła miotać kuliste pociski o średnicy około półtora metra. Myślisz, że dacie radę?

Modlił się, żeby tak było.

- Czy właśnie z tym masz do czynienia? – zachrypiał Donovan.

- Chyba że to halucynacja – rzekł Tinbane. – Mam do czynienia z rozmyślnym, automatycznie kierowanym miotaniem kul, którego celem jest terror, a szczególnie zniszczenie mojego morale.

- Policyjny autolot coś zauważył – odezwał się Donovan. – I to nie była halucynacja. Obiekt ten miał wymierną masę i... – Zawahał się. – Wyładowano z niego coś dużego. Jego masa, kiedy odlatywał, była

znacznie mniejsza. A więc, to nie halucynacja, Tinbane.

- Tak też myślałem.

- Podrzucimy ci tę katapultę najszybciej, jak się da - powiedział Donovan. - Miejmy nadzieję, że będą dostateczne przerwy między... atakami. I lepiej przygotuj się na co najmniej pięć.

Kiwając głową Tinbane zapalał papierosa, a przynajmniej próbował to zrobić, lecz ręce tak bardzo mu się trzęsły, że nie potrafił odpowiednio utrzymać zapalniczki. Wyjął więc żółtą lakierowaną puszkę tabaki „Dean Swift”, ale nie zdołał jej otworzyć; puszka wyślizgnęła mu się z palców i spadła na podłogę.

- Pięć w jednej partii - rzekł.

- Tak - niechętnie potwierdził Donovan. - Właśnie o to chodzi.

W pokoju zadrżała ściana.

Następna kula próbowała się dostać z sąsiedniego mieszkania.

Przełożył Marek Cegiela

Król Elfów

(The King of the Elves)

Nadciągający zmrok przyniósł ze sobą deszcz. Strugi wody uderzały w rząd pomp znajdujących się na skraju stacji benzynowej, a stare drzewo po drugiej stronie autostrady ugięło się pod naporem wiatru.

Shadrach Jones stał w drzwiach małego budynku stacji, oparty o pompę olejową. Przez otwarte drzwi strumienie wody zalewały drewnianą podłogę. Było już późno, zgasło słońce i robiło się coraz chłodniej. Shadrach sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął cygaro. Odgryzł koniec i zapalił je ostrożnie, odwracając się od drzwi. W półmroku zapalone cygaro zajaśniało ciepłym blaskiem. Shadrach zaciągnął się głęboko. Zapiął starannie marynarkę i wyszedł na zewnątrz.

- Co za cholerna noc! - powiedział do siebie. Deszcz smagał go mokrymi biczami, wiatr spychał do tyłu. Zmrużył oczy, przemierzył spojrzeniem autostradę. Nie zauważył żadnego samochodu. Pokiwał głową, zakręcił pompy.

Wrócił do budynku stacji i zamknął za sobą drzwi. Otworzył księgę rachunkową i policzył zarobione w ciągu dnia pieniądze. Nie było tego wiele.

Niewiele, lecz dość dla jednego starego mężczyzny. Wystarczy na tytoń, drzewo na opał i na czasopisma; na to, żeby w przyjemnym nastroju mógł czekać na sporadycznie przejeżdżające samochody. Niewiele samochodów przemierzało teraz autostradę. Autostrada poczęła niszczyć, w jej suchej, szorstkiej nawierzchni pojawiły się liczne pęknięcia i większość kierowców wolała jechać wielką, państwową autostradą biegnącą za wzgórzami. Derryville to małe miasteczko, zbyt małe, aby opłacało się zbudować tam większą fabrykę, za małe, by komukolwiek na nim zależało.

Zdarzało się, że upłynęło wiele godzin, zanim... Shadrach znieruchomiał. Zacisnął palce na pliku banknotów.

Z zewnątrz dobiegł go melodyjny głos dzwonka sygnalizacyjnego.

- Dzyńńń!

Shadrach włożył pieniądze do podręcznej kasy i zamknął szufladę.

Wstał powoli i podszedł do drzwi, nasłuchując. Przy drzwiach zgasił światło i czekał w ciemnościach, wyglądając przez okienko.

Nie widział żadnego samochodu. Strugi deszczu wirowały na wietrze, obłoki mgły sunęły wzdłuż drogi. I coś stało obok pomp.

Otworzył drzwi i wyszedł na dziedziniec. Początkowo nie mógł nic dostrzec w ciemności, a potem z niepokojem przełknął ślinę.

Dwie maleńkie postacie stały na deszczu, trzymając w rękach rodzaj platformy. Kiedyś mogły być odziane w wesołe, barwne szaty, lecz teraz ich przemoczona odzież zwisała smętnie, ociekając wodą. Przybysze niezdecydowanie spojrzeli na Shadracha. Po ich małych twarzyczkach spływały duże krople wody, wiatr rozwiewał im szaty, szarpał nimi, owijał je wokół nich.

Na platformie coś się poruszyło. Mała głowa zwróciła się powoli w stronę Shadracha. W półmroku błysnął matowo mokry hełm.

- Kim jesteś? - zapytał Shadrach.

Niewielka postać na platformie usiadła prosto.

- Jestem Królem Elfów i przemokłem do suchej nitki.

Shadrach patrzył ze zdumieniem.

- To prawda - dodał jeden z nosicieli. - Wszyscy jesteśmy zupełnie mokrzy.

Mała grupka Elfów dołączyła pojedynczo do nich, skupiła się wokół swego króla. Smętnie tulili się do siebie, milcząc.

- Król Elfów - powtórzył Shadrach. - A niech to wszyscy diabli!

Czy to mogło być prawdą? Przybysze rzeczywiście byli bardzo mali, a ich ociekające wodą stroje nader dziwne i kolorowe. Ale Elfy?

- A niech mnie wszyscy diabli! No cóż, kimkolwiek jesteście, nie powinniście byli wypuszczać się w taką noc jak ta.

- Oczywiście, że nie - wymamrotał król. - To nie nasza wina. Nie nasza... - jego głos zamienił się w duszący kaszel. Elfy-żołnierze z niepokojem spojrzały na platformę.

- Lepiej wnieście go do środka - odezwał się Shadrach. - Mój dom jest w pobliżu. Wasz król nie powinien moknąć na deszczu.

- Czy myślisz, że podoba się nam przebywać w taką noc na dworze? - mruknął drugi nosiciel. - Gdzie to jest? Wskaż nam drogę.

Shadrach skinął w stronę autostrady. - O, tam. Wystarczy, że pójdziecie za mną. Rozpalę ogień.

Poszedł drogą, szukając po omacku pierwszego z płaskich kamiennych stopni, które w lecie ułożył wraz z Phineasem Juddem. Na szczycie schodów obejrzał się za siebie. Platforma z Królem Elfów zbliżała się powoli, kołysząc się nieco z boku na bok. Za nią szły Elfy-żołnierze, mała kolumna milczących, ociekających wodą istot, nieszczęśliwych i zmarzniętych.

- Rozpalę ogień - powtórzył Shadrach. Pośpiesznie wprowadził ich do domu.

Zmęczony Król Elfów leżał oparty na poduszce. Napiwszy się gorącej czekolady, odprężył się i jego ciężki oddech podejrzenie przypominał chrapanie.

Zażenowany Shadrach przestąpił z nogi na nogę.

- Przepraszam - odezwał się nagle Król Elfów, otwierając oczy. Przetarł dłonią czoło. - Musiałem zgubić wątek. O czym to ja mówiłem?

- Powinieneś udać się na spoczynek, Wasza Królewska Mość - powiedział zaspanym głosem jeden z żołnierzy. - Jest już późno i żyjemy w ciężkich czasach.

- To prawda - odrzekł Król Elfów, kiwając głową. Spojrzał na ogromną postać Shadracha stojącego przed kominkiem z kuflem piwa w rękę. - Śmiertelniku, dziękujemy ci za gościnę. Zazwyczaj nie narzucamy się ludziom.

- To wszystko przez te Trolle - dodał drugi żołnierz, zwinięty w kłębek na kanapie.

- Słusznie - zgodził się z nim inny Elf. Usiadł i sięgnął po miecz. - Te śmierdzące Trolle, ryjące w ziemi i skrzeczące...

- Bo widzisz - mówił dalej Król Elfów - nasz orszak udawał się z Wielkich Płaskich Stopni w stronę zamku, który znajduje się w jednej z dolin w Górach Olbrzymich...

- Masz na myśli Sugar Ridge - uzupełnił Shadrach.

- ...Gór Olbrzymich. Podróżowaliśmy powoli. Nadciągnęła burza z deszczem i piorunami. Straciliśmy orientację. I nagle pojawiła się grupa przedzierających się przez zarośla Trolli. Więc opuściliśmy las i szukaliśmy schronienia na Nieskończonej Drodze...

- Autostradzie nr 20.

- I dlatego tu jesteśmy. - Król Elfów urwał na chwilę, po czym ciągnął: - Padał coraz większy deszcz. Dał ostry, lodowaty wiatr.

Nieskończenie długo pięliśmy się w górę. Nie wiedzieliśmy, dokąd idziemy i co się z nami stanie.

Tu Król Elfów spojrział na Shadracha. – Wiedzieliśmy tylko jedno: za nami szły Trolle, skradając się przez las, maszerując w deszczu, miażdżąc wszystko przed sobą.

Przyłożył rękę do ust i zakaszłał, pochylając się do przodu. Wszystkie Elfy czekały z niepokojem, aż skończył i wyprostował się.

– To ładnie z twojej strony, że pozwoliłeś nam wejść do środka. Nie będziemy długo sprawiać ci kłopotu. Nie leży to w zwyczaju Elfów...

Znów zakaszłał, zakrywając dłonią twarz. Zaniepokojone Elfy podeszły bliżej. Wreszcie król poruszył się i westchnął.

– O co chodzi? – zapytał Shadrach. Podszedł i wyjął kubek z wątej dłoni. Król Elfów leżał na poduszce z zamkniętymi oczami.

– Musi odpocząć – powiedział jeden z żołnierzy. – Gdzie jest twój pokój? To znaczy sypialnia?

– Na górze – odpowiedział Shadrach. – Pokażę wam gdzie.

Późno w nocy pogrążony w myślach Shadrach siedział zupełnie sam w ciemnej jadalni. Na górze, w jego sypialni odpoczywały Elfy; król w łóżku Shadracha, pozostałe zwinęły się w kłębek na dywanie.

W domu panowała głęboka cisza. Na zewnątrz padał ulewny deszcz, wiatr miotał strugami wody o ściany domu. Shadrach słyszał, jak trzeszczą na wietrze gałęzie samotnego drzewa. Na przemian; to splatał, to rozplatał palce.

Cóż to za niezwykła historia z tymi Elfami i ich starym, chorym królem! A te piskliwe głosy! Jakie te Elfy były zaniepokojone i drażliwe!

Ale jakże patetyczne, chociaż maleńkie i przemoczone do suchej nitki, a ich wesoło barwione szaty zwisały w nieładzie ociekając wodą.

A Trolle – jakie one były? Nieprzyjemne i niezbyt czyste. Miały coś wspólnego z grzebaniem w ziemi, rozbijaniem wszystkiego dookoła i przedzieraniem przez las...

Nagle Shadrach roześmiał się z zażenowaniem. Co się z nim stało, że uwierzył w to wszystko? Z gniewem odłożył cygaro, rumieniąc się ze wstydu. Co tu się działo? Co to za kiepski żart?

Elfy? Shadrach aż stęknął z oburzenia. Elfy w Derryville? W centrum Colorado? Może w Europie były Elfy. Może w Irlandii. Słyszał coś o tym. Ale tu? Na górze, w jego własnym domu, śpiące w jego łóżku?

- Dość się tego nasłuchiwałem - powiedział do siebie. - Nie jestem takim idiotą, jak się wam wydaje.

Zawrócił w stronę schodów, po omacku szukając poręczy. Zaczął iść do góry.

W górze nad nim zapaliło się nagle światło, otworzyły jakieś drzwi.

Dwa Elfy wyszły powoli na podest. Patrzyły na niego z góry. Shadrach zatrzymał się w połowie schodów. Dostrzegł w ich twarzach coś takiego, że przystanął w miejscu.

- O co chodzi? - zapytał z wahaniem.

Nie odpowiedziały. Dom stał się bardzo zimny i ciemny. Z zewnątrz chłostał go deszcz, od wewnątrz mroził chłód nieznanego.

- Co jest? - zapytał znów. - O co chodzi?

- Nasz Król nie żyje - odezwał się jeden z Elfów. - Umarł kilka chwil temu.

Shadrach patrzył na nich szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami. - Umarł? Ale...

- Był bardzo zmarznięty i zmęczony. - Oba Elfy weszły do pokoju, cicho i powoli zamykając za sobą drzwi.

Shadrach stał zaciskając palce na poręczy; twarde, mocne, szczupłe palce.

Pokiwał bezmyślnie głową.

- Rozumiem - powiedział do zamkniętych drzwi sypialni. - On nie żyje.

Elfy-żołnierze otaczały go uroczystym kręgiem. Jadalnię oświetlały jasne promienie słońca; zimny, oślepiająco biały blask poranka.

- Zaczekajcie - odezwał się Shadrach. Szarpnął krawat. - Muszę iść do stacji benzynowej. Czy nie możecie porozmawiać ze mną, gdy wrócę do domu?

Twarze Elfów-żołnierzy były poważne i zatroskane.

- Posłuchaj - powiedział jeden z nich. - Proszę, wysłuchaj nas. To dla nas bardzo ważne.

Shadrach przeniósł dalej wzrok. Przez okno widział parującą w upale autostradę, a na końcu wąskiej drogi jaskrawo błyszcząca w słońcu jego stacja benzynowa. Gdy tak patrzył, do stacji podjechał jakiś samochód i zatrąbił cienko, niecierpliwie. Kiedy nikt nie wyszedł, samochód znów pojechał dalej autostradą.

- Prosimy cię - dodał inny żołnierz.

Shadrach obiegnął spojrzeniem krąg niewielkich postaci, ich pełne napięcia twarze, naznaczone troską i niepokojem. To dziwne, zawsze uważał Elfy za beztroskie istoty, fruujące wesoło w powietrzu, bez jakichkolwiek zmartwień czy problemów.

- Więc mówcie - powiedział. - Słucham was. - Podeszedł do dużego krzesła i usiadł. Elfy otoczyły go ze wszystkich stron. Przez chwilę rozmawiały ze sobą szeptem. Potem zwróciły się do człowieka.

Shadrach czekał, skrzyżowawszy ramiona.

- Nie możemy istnieć bez Króla - stwierdził jeden z żołnierzy. - Nie moglibyśmy przetrwać. Nie w dzisiejszych czasach.

- A Trolle - dodał inny - mnożą się bardzo szybko. To ohydne bestie. Ciężkie, niezgrabne, nieokrzesane, cuchnące...

- Mają okropny zapach. Wychodzą z wilgotnych, ciemnych nor, gdzie ślepe rośliny rosną z dala od powierzchni ziemi, daleko od słońca.

- No cóż, wobec tego powinniście wybrać nowego Króla - zasugerował Shadrach. - Nie widzę w tym żadnego problemu.

- Nie wybieramy Króla Elfów - powiedział jakiś żołnierz. - Stary Król musi wyznaczyć swego następcę.

- Aha - odrzekł Shadrach. - W tej metodzie nie ma nic złego.

- Kiedy nasz stary Król konał, wypowiedział kilka niezrozumiałych słów - odezwał się inny Elf. - Pochyliliśmy się nizej, przerażeni i nieszczęśliwi, nasłuchując.

- Tak, to na pewno bardzo ważne - zgodził się z nim Shadrach. - Na pewno chcieliście coś usłyszeć.

- Wymówił imię tego, który będzie nam królował.

- To dobrze. W takim razie usłyszeliście je. Więc na czym polega trudność?

- Imię, które wymówił, to było twoje imię.

Shadrach wybałuszył oczy ze zdumienia: - Moje?

- Konający Król powiedział: uczyńcie waszym Królem tego wysokiego śmiertelnika. Wiele wydarzy się, jeżeli to on poprowadzi Elfy do walki z Trollami. Widzę odradzające się znów Imperium Elfów, tak jak to było w dawnych czasach, jak było, zanim...

- Ja? - Shadrach zerwał się na równe nogi. - Ja? Królem Elfów?

Obszedł dookoła pokój, trzymając ręce w kieszeniach. - Ja.

Shadrach Jones, Król Elfów. – Uśmiechnął się lekko. – Na pewno nigdy dotąd o tym nie myślałem.

Podszedł do lustra nad kominkiem i przyjrzał się sobie uważnie. Zobaczył swoje rzadkie, siwiejące włosy, ciemną skórę, wystające jabłko Adama.

– Król Elfów – powiedział. – Król Elfów. Niech no tylko usłyszy o tym Phineas Judd. Niech no tylko się dowie!

Phineas Judd na pewno byłby bardzo zaskoczony.

Słońce świeciło na bezchmurnym niebie nad stacją benzynową.

Phineas Judd siedział, bawiąc się akceleratorem swojej starej furgonetki. Motor zapalał się i gasł. Phineas wyciągnął rękę, przekręcił kluczyk zapłonu, a potem opuścił szybę w oknie.

– Co powiedziałaś? – zapytał. Zdjął okulary i zaczął powoli polerować stalową oprawkę smukłymi, zręcznymi palcami. Włożył okulary na nos i pogładził dłonią smętne resztki włosów na głowie.

– Co to było, Shadrach? – odezwał się znów. – Powtórz to jeszcze raz.

– Jestem Królem Elfów – powtórzył Shadrach. Zmienił pozycję, oparł drugą nogę na stopniu. – Kto by pomyślał? Ja, Shadrach Jones, Królem Elfów!

Phineas spojrzał na niego. – Od jak dawna jesteś... Królem Elfów, Shadrach?

– Od ostatniej nocy.

– Rozumiem. Od ostatniej nocy. – Phineas skinął potakująco głową.

– Rozumiem. A jeżeli wolno mi zapytać, co się wydarzyło ostatniej nocy?

– Elfy przyszły do mojego domu. Kiedy stary Król Elfów umarł, powiedział im, że...

Z głośnym warkotem podjechała ciężarówka. Z szoferki wyskoczył kierowca.

– Wody! – zawołał. – Gdzie, do diabła, jest wąż?

Shadrach odpowiedział niechętnie: – Zaraz przyniosę. – Zwrócił się znów do Phineasa: – Może mógłbym porozmawiać z tobą dziś wieczorem, kiedy wrócisz z miasta. Chcę opowiedzieć ci resztę. To bardzo interesujące.

– Na pewno – odparł Phineas, włączając motor w swojej małej

furgonetce. - Na pewno, Shadrach. Wysłucham tego z wielkim zainteresowaniem.

I pojechał dalej.

Kilka godzin później Dan Green podjechał swoją landarą do stacji benzynowej.

- Hej, Shadrach! - zawołał. - Chodź no tu! Chcę cię o coś zapytać.

Shadrach wyszedł z budynku stacji, trzymając w ręku szmatę.

- Co takiego?

- Chodź tu. - Dan wychylił się z okna, uśmiechnięty od ucha do ucha. - Czy mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Czy to prawda? Czy ty rzeczywiście jesteś Królem Elfów?

Shadrach zarumienił się lekko. - Myślę, że tak - wyznał, odwracając wzrok. - Tak, na pewno jestem nim.

Uśmiech Dana zgasł. - Hej, czy próbujesz mnie nabrać? Co to za kawały?

Shadrach rozgniewał się. - O co ci chodzi? Pewnie, że jestem Królem Elfów. A jeśli ktoś twierdzi, że nie jestem...

- W porządku, Shadrach - powiedział Dan, szybko zapalając silnik. - Nie ciskaj się. Zastanawiałem się tylko nad tym.

Shadrach miał bardzo dziwną minę.

- W porządku - powtórzył Dan. - Przecież nie spieram się, prawda?

Pod koniec dnia wszyscy dookoła wiedzieli o Shadrachu i w jaki sposób został nagle Królem Elfów. Pop Richey, który prowadził Szczęśliwy Sklep w Derryville, twierdził, że Shadrach mówił tak, żeby zjednać sobie klientów.

- To sprytny dziadzio - powiedział Pop. - Teraz jeździ tamtędy bardzo mało samochodów. Na pewno wie, co robi.

- Nie wiem - zaproponował Dan Green. - Powinieneś go posłuchać. Sądzę, że on naprawdę w to wierzy.

- Król Elfów? - Wszyscy wybuchnęli śmiechem. - Zastanawiam się, co jeszcze powie.

Phineas Judd zamyślił się. - Znam Shadracha od lat. Nie rozumiem tego. - Spochmurniał, jego twarz wykrzywił grymas niezadowolenia. - Nie podoba mi się to - stwierdził ponuro.

Dan popatrzył na niego. - Więc uważasz, że on w to wierzy?

- Na pewno - odparł Phineas. - Może się mylę, ale jestem przekonany, że tak właśnie jest.

- Ale jak mógłby w to wierzyć? - zapytał Pop. - Shadrach nie jest głupcem. Prowadzi tę stację od wielu lat. Przecież musi coś z tego mieć? Tak ja to widzę. Ale co, jeżeli nie chce zwiększyć klienteli?

- Jak to, nie wiesz, co on z tego ma? - wtrącił ze śmiechem Dan. Jego złoty ząb błysnął w słońcu.

- Co? - zapytał Pop.

- Całe nowe królestwo, ot co - i może z nim robić, co zechce. Jak ci się to podoba, Pop? Czy nie chciałbyś zostać Królem Elfów i nie prowadzić dłużej tego sklepiku?

- A co masz do zarzucenia mojemu sklepowi? - obruszył się Rop. - Nie wstydzę się tego. To lepiej niż być ekspedientem w sklepie tekstylnym.

Dan zaczerwienił się. - A cóż w tym złego? - Spojrzał na Phineasa. - Czyż nie tak? Przecież nie ma nic złego w handlu tkaninami, prawda, Phineasie?

Phineas wpatrywał się w podłogę. Podniósł oczy. - Co? O czym mówiłeś?

- O czym myślisz? - zainteresował się Pop. - Wyglądasz na zaniepokojonego.

- Martwię się o Shadracha - odpowiedział Phineas. - Starzeje się. Siedzi tam zupełnie sam przez cały czas. Bez względu na pogodę. Gdy pada, to woda strumieniami płynie mu po podłodze - przy autostradzie okropnie wieje zimą...

- Więc ty uważasz, że on w to wierzy? - upierał się Dan. - Nie wydaje ci się, że on coś z tego ma?

Phineas z roztargnieniem pokręcił głową, nic nie odpowiedział. Śmiech ucichł. Wszyscy spojrzeli po sobie. Tej nocy Shadrach zamykał stację benzynową, gdy z mroku podeszła do niego niewielka postać.

- Hej! - zwołał Shadrach. - Kim jesteś?

Elf-żołnierz mrugając oczami zbliżył się do światła. Miał na sobie szarą szatę, przepasaną srebrnym paskiem, na nogach skórzane buciki, u boku krótki miecz.

- Mam dla ciebie ważne pismo - oznajmił. - Ale gdzie ja je włożyłem?

Przeszukiwał ubranie, a Shadrach czekał cierpliwie. Wreszcie Elf wydobył małą zwój, rozwinął go, wprawnie rozbił woskową pieczęć i podał człowiekowi.

- Co jest tam napisane? - zapytał Shadrach. Pochylił się, zbliżył do oczu cieniutki pergamin. - Nie mam przy sobie okularów. Nie mogę odczytać tych maleńkich literek.

- Trolle ruszyły. Usłyszały, że stary Król nie żyje. Gromadzą się po okolicznych wzgórzach i dolinach. Będą próbowały rozbić Królestwo Elfów, rozproszyć nas...

- Rozumiem - powiedział Shadrach. - Jeszcze zanim wasz nowy król naprawdę obejmie rządę.

- Właśnie - przytaknął Elf. - To przełomowy moment dla Elfów. Nasz byt jest zagrożony od wieków. Trolli jest tak wiele, a Elfy są bardzo słabe i często chorują...

- Więc co powinienem zrobić? Czy masz jakiś pomysł?

- Powinieneś spotkać się z nami dziś wieczorem pod Wielkim Dębem. Zabierzemy cię do Królestwa Elfów. A tam ty i twój sztab opracujecie plan obrony Królestwa.

- Co? - Shadrach poczuł się nieswojo. - Ale ja jeszcze nie jadłem kolacji. I moja stacja benzynowa... jutro jest sobota, będzie dużo samochodów...

- Ale przecież jesteś Królem Elfów - stwierdził żołnierz.

Shadrach dotknął ręką podbródka i potarł go powoli.

- Tak, to prawda - odrzekł. - Jestem nim, czyż nie tak?

Elf uklonił się.

- Gdybym wiedział, że coś takiego się wydarzy... - powiedział Shadrach. - Nie przypuszczałem, że jako Król Elfów...

Urwał, mając nadzieję, że żołnierz coś wtrąci, lecz ten obserwował go spokojnie, z obojętną miną.

- Może ktoś inny powinien być waszym Królem - orzekł Shadrach. - Bardzo mało wiem o wojnie i takich sprawach jak walka i wszystko, co się z nią wiąże. - Znów urwał i wzruszył ramionami. - Nigdy nie miałem z tym nic wspólnego. Tu w Colorado nie ma wojen. To znaczy, ludzie nie wojują ze sobą.

Jednak Elf-żołnierz nadal milczał.

- Dlaczego właśnie ja zostałem wybrany? - ciągnął bezradnie

Shadrach, załamując ręce. – Nic o tym nie wiem. Co go skłoniło do dokonania takiego wyboru? Dlaczego nie wybrał kogoś innego?

– Ufał ci – odpowiedział Elf. – Z ulewnego deszczu wpuściłeś go do domu. Wiedział, że nie oczekiwałeś żadnej zapłaty, niczego za to nie chciałeś. Znał niewielu, którzy dając, niczego w zamian nie oczekiwali.

– Och! – Shadrach zamyślił się nad słowami Elfa. – W końcu podniósł oczy. – Ale co z moją stacją i z moim domem? I co na to powie Dan Green i Pop ze sklepu...

Elf-żołnierz oddalił się od światła.

– Muszę iść. Robi się późno, a w nocy Trolle wyjdą na powierzchnię. Nie chcę zbytnio oddalać się od pozostałych Elfów.

– Oczywiście – przytaknął Shadrach.

– Teraz, kiedy stary Król nie żyje, Trolle niczego się nie boją. Plądrują wszędzie. Nikt nie jest bezpieczny.

– Gdzie ma się odbyć to spotkanie? I kiedy?

– Pod Wielkim Dębem. O zachodzie księżyca, gdy tylko opuści niebo.

– Przypuszczam, że tam będę – rzekł Shadrach. – Myślę, że masz rację. Król Elfów nie może pozostawić swego Królestwa na pastwę losu i to w chwili, gdy jest tam bardzo potrzebny.

Rozejrzał się dookoła, ale Elf już odszedł.

Shadrach poszedł autostradą, zdumiony i pełen wątpliwości. Kiedy dotarł do pierwszego z płaskich kamiennych stopni, zatrzymał się.

– A ten stary dąb jest na farmie Phineasa! Co na to powie Phineas?

Ale przecież był Królem Elfów, a Trolle gromadziły się wśród wzgórz. Shadrach stał, przysłuchując się, jak szeleści liśćmi wiatr wiejący wśród drzew za autostradą i wzdłuż dalekich stoków wzgórz.

Trolle? Czy tam naprawdę w nocnym mroku gromadziły się Trolle, które nie bały się nikogo i niczego?

I ta sprawa z obowiązkami Króla Elfów?

Shadrach szedł po schodach, zaciskając mocno usta. Gdy znalazł się na szczycie schodów, zgasły już ostatnie promienie słońca. Zbliżała się noc.

Phineas Judd patrzył w okno. Zaklął i pokręcił głową. Potem podszedł szybko do drzwi i wybiegł na werandę. W zimnym blasku księżyca jakaś niewyraźna postać przemierzała położone niżej pola,

polną ścieżką zbliżała się do jego domu.

- Shadrach! - zawołał Phineas. - Co się stało? Co tu robisz o tej porze?

Shadrach zatrzymał się i oparł pięści na biodrach.

- Wracaj do domu - powiedział do niego Phineas. - Co cię napadło?

- Przepraszam, Phineasie - odparł Shadrach. - Przykro mi, że muszę przejść przez twoje pole. Ale mam się z kimś spotkać pod starym dębem.

- Tak późno w nocy?

Shadrach pochylił głowę.

- Co się z tobą dzieje, Shadrach? Z kim, do licha, masz się spotkać w środku nocy na mojej farmie?

- Mam się spotkać z Elfami. Musimy opracować plan wojny z Trollami.

- Ach tak, oczywiście. Trollami. Cały czas musisz wystrzegać się Trolli.

- Trolle są wszędzie - stwierdził Shadrach, kiwając głową. Nigdy dotąd nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nie można o nich zapomnieć ani ich zignorować. Nigdy nie zapominają o tobie. Zawsze planują zasadzkę, obserwują cię...

Phineas patrzył na niego, oniemiały ze zdumienia.

- À propos - powiedział Shadrach. - Mogę zniknąć na jakiś czas. To zależy, ile czasu zajmie ta sprawa. Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia w walce z Trollami, więc nie wiem dokładnie. Ale zastanawiam się, czy nie mógłbyś podczas mojej nieobecności zaopiekować się stacją benzynową, zajrzeć ze dwa razy dziennie; może rano, a potem w nocy, żeby upewnić się, iż nikt się tam nie włamał czy coś podobnego.

- Wyjeżdżasz? - Phineas zszedł szybko po stopniach. - Co to za gadanina o Trollach? Gdzie się udajesz?

Shadrach cierpliwie powtórzył wszystko jeszcze raz.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ jestem Królem Elfów. Muszę stanąć na ich czele.

Zapanowało milczenie. - Rozumiem - powiedział wreszcie Phineas.

- To prawda. Wspomniałeś już o tym, czyż nie tak? Ale, Shadrach, może wpadniesz do mnie na trochę? Opowiesz mi o Trollach, napiszesz

się kawy...

- Kawy? - Shadrach spojrzął na blady księżyc i ponure niebo. Świat był ciemny i martwy, noc bardzo zimna, a księżyc nie zajdzie jeszcze przez jakiś czas.

Shadrach zadrżał.

- Noc jest zimna - przekonywał go Phineas. - Jest zbyt zimno, żeby chodzić po dworze. Zajdź do mnie...

- Mam chyba jeszcze trochę czasu - przyznał Shadrach. - Filiżanka kawy na pewno mi nie zaszkodzi. Ale nie mogę zostać zbyt długo.

Shadrach rozprostował nogi i westchnął: - Ta kawa rzeczywiście jest bardzo dobra, Phineasie.

Phineas wypił kilka łyków i odstawił filiżankę. W salonie było spokojnie i ciepło. Był to bardzo przytulny, maleńki salonik z poważnymi obrazami na ścianach; szarymi, nieciekawymi obrazami, które interesowały się wyłącznie własnymi sprawami. W rogu stały niewielkie organy, na których leżał starannie ułożony stos nut.

Shadrach zauważył organy i uśmiechnął się: - Czy nadal grasz na nich, Phineasie?

- Niewiele. Miechy nie pracują jak należy. Jeden z nich zupełnie nie daje się nadymać.

- Myślę, że mógłbym kiedyś je naprawić. Oczywiście, jeżeli będę w pobliżu.

- To byłoby wspaniale - oświadczył Phineas. - Właśnie myślałem, że mógłbym cię o to poprosić.

- Czy pamiętasz, jak grałeś „Vilię” i Dan Green przyszedł z tą damą, która pracowała u Popa tamtego lata? Tą, która chciała otworzyć sklep z ceramiką?

- Oczywiście, że pamiętam - odpowiedział Phineas.

W chwilę później Shadrach odstawił filiżankę i poruszył się niespokojnie.

- Czy chcesz jeszcze kawy? - zapytał szybko Phineas. - Dolać ci trochę?

- Może troszeczkę? Ale już niedługo muszę odejść.

- To nieodpowiednia noc do spacerów po dworze.

Shadrach wyjrzał przez okno. Było znacznie ciemniej, księżyc niemal zaszedł. Pola były zupełnie puste. Shadrach zadrżał. - Nie

mógłbym nie przyznać ci racji.

Phineas zwrócił się do niego żywo: - Posłuchaj, Shadrach. Idź do domu, tam jest ciepło. Możesz wyjść i walczyć z Trollami w inną noc. Trolle będą zawsze. Sam tak powiedziałeś. Będziesz miał na to dość czasu, kiedy pogoda się poprawi i kiedy nie będzie tak zimno.

Shadrach zmęczonym ruchem potarł czoło. - Wiesz, to wszystko wygląda jak jakiś zwariowany sen. Kiedy zacząłem mówić o Elfach i Trollach? Kiedy to się wszystko zaczęło? - Urwał. - Dziękuję za kawę. - Wstał powoli. - Ogrzałem się i bardzo podobała mi się nasza rozmowa. Ty i ja siedzieliśmy i rozmawialiśmy jak dawniej.

- Czy idziesz - Phineas zawahał się - do domu?

- Myślę, że tak będzie lepiej. Jest już późno.

Phineas zerwał się szybko z krzesła. Odprowadził Shadracha do drzwi, obejmując go ramieniem.

- W porządku, Shadrach, idź do domu. Zanim położysz się do łóżka, zrób sobie dobrą, gorącą kąpiel. To ci pomoże. I może jeszcze tylko łyeczek brandy na rozgrzewkę.

Phineas otworzył frontowe drzwi i zeszedł powoli po stopniach werandy na twardą, ciemną ziemię.

- Tak, myślę, że już sobie pójdę - odezwał się Shadrach. - Dobrej nocy...

- Idź do domu. - Phineas poklepał go po ramieniu. - Biegnij do domu i weź dobrą, gorącą kąpiel. A potem idź prosto do łóżka.

- To dobry pomysł. Dziękuję, Phineasie. Doceniam twoją życzliwość. - Shadrach spojrzał na leżącą na swoim ramieniu rękę Phineasa. Od lat nie był tak blisko starego znajomego.

Shadrach wpatrzył się w rękę przyjaciela. Zaintrygowany, zmarszczył czoło.

Ręka Phineasa była ogromna i szorstka, ramiona krótkie, palce grube, paznokcie połamane i popękane, niemal czarne, albo takie sprawiały wrażenie w blasku księżyca.

Shadrach popatrzył na Phineasa. - To dziwne - mruknął.

- Co dziwne, Shadrach?

W blasku księżyca twarz Phineasa wydawała się dziwnie ciężka i brutalna. Shadrach nigdy dotąd nie zauważył, że przyjaciel ma wielką, ciężką, silnie wysuniętą do przodu dolną szczękę. Skóra twarzy była

żółta i szorstka jak pergamin. Za szklami okularów oczy wyglądały jak dwa kamienie, zimne i martwe. Uszy były ogromne, włosy lepiące się i splątane.

Dziwne, że nigdy przedtem tego nie dostrzegł. No, ale przecież nigdy nie oglądał Phineasa w księżycowej poświacie.

Shadrach cofnął się, przyglądając się uważnie staremu przyjacielowi. Z odległości kilku stóp Phineas Judd wydawał się niezwykle niski i przysadzisty. Miał kabłąkowate nogi i olbrzymie stopy. I było coś jeszcze...

- Co ci jest? - zapytał Phineas, stając się podejrzliwy. - Czy dzieje się coś złego?

Działo się coś bardzo złego. A on nigdy tego nie zauważył przez te wszystkie lata, kiedy byli przyjaciółmi. Phineasa Judda otaczał niemiły zapach; słaby, cierpki odór zgnilizny, rozkładającego się ciała, wilgoci i pleśni.

Shadrach powoli rozejrzał się wokół siebie. - Coś złego? - powtórzył. - Nie, nie mógłbym tego powiedzieć.

Przy ścianie domu tkwiła stara, na pół rozwalona beczka na wodę deszczową. Shadrach podszedł do niej.

- Nie, Phineasie. Właściwie nie mógłbym powiedzieć, że coś jest nie tak.

- Co robisz?

- Ja? - Shadrach chwycił jedną klepkę i wyciągnął ją. Wrócił znów do Phineasa, niosąc ostrożnie tę zaimprovizowaną broń. - Ja jestem Królem Elfów. A ty... kim... lub czym jesteś?

Phineas ryknął i zaatakował go wielkimi jak łopaty rękami dusiciela.

Shadrach walnął go w głowę ciężką klepką. Phineas zawył z bólu i wściekłości.

A wtedy rozległ się głośny łoskot i spod jego domu wypadła rozjuszona horda posuwających się susami, podskakujących ciemnych stworów, przygarbionych, o ciężkich, przysadzistych ciałach, ogromnych głowach i stopach. Shadrach obrzucił spojrzeniem potok ciemnych stworzeń wypadających z sutereny Phineasa i zrozumiał, kim są.

- Na pomoc! - zawołał! - Trolle! Na pomoc!

Trolle otaczały go ze wszystkich stron, rzuciły się na niego,

szarpały, wspinały po nim, okładały pięściami jego twarz i ciało.

Shadrach energicznie wymachiwał klepką, bijąc i kopiąc na oślep Trolle. Zdawało się, że są ich setki. Coraz więcej wypadało ich spod domu Phineasa; wciąż rosła czarna fala stworzeń o ciałach przypominających ogromne garnki. W świetle księżyca błyskały dziko ich wielkie oczy i zęby. – Pomocy! – zawołał znów Shadrach, lecz tym razem znacznie słabiej. Zaczynało brakować mu tchu. Serce pracowało z coraz większym trudem. Jakiś Troll, trzymając się kurczowo jego ramienia, ugryzł go w przegub.

Shadrach odtrącił go, uwolnił się od hordy czepiającej się jego nóg, raz po raz unosząc do ciosu i opuszczając klepkę.

Jeden z Trolli chwycił jej koniec. Pomagała mu cała gromada, szarpiąc gwałtownie, usiłując wyrwać tę groźną dla nich broń z ręki człowieka. Shadrach trzymał się jej rozpaczliwie. Trolle zalały go jak fala powodziowa, czepiały się płaszcz, siedziały okrakiem na ramionach, nogach, rękach, ciągnęły za włosy.

Nagle usłyszał w oddali czysty głos złotej trąbki, odbijający się echem wśród wzgórz.

Trolle nagle przestały atakować. Jeden spadł z szyi człowieka, inny puścił jego ramię. Sygnał zadźwięczał znów, tym razem głośniejsze.

– Elfy! – wychrypiał jakiś Troll. Odwrócił się i podążył w stronę trąbki, zgrzytając zębami i plując z wściekłości.

– Elfy!

Trolle ruszyły do przodu jak rosnąca wciąż fala zgrzytających zębów i pazurów, prąc wściekle ku kolumnie Elfów. Elfy złamały ich szyki i zmierzyły siły w bitwie, krzycząc z radości ostrymi, piskliwymi głosami. Potok Trolli gnał ku nim; Troll przeciw Elfowi, ogromne pazury przeciw złotemu mieczowi, ostre kły przeciw sztyletowi.

– Bij Elfy!

– Śmierć Trollom!

– Dalej!

– Naprzód!

Shadrach walczył zaciekle z Trollami, które nadal czepiały się jego ciała. Był wyczerpany, dyszał ciężko, z trudem chwytając oddech. Walił raz po raz, kopiąc i skacząc, zrzucając z siebie Trolle w powietrze i na ziemię.

Nigdy nie dowiedział się, jak długo trwała ta bitwa. Utonął w morzu ciemnych ciał, okrągłych, cuchnących, trzymających się go kurczowo, szarpiących, gryzących, czepiających się nosa, włosów i palców. Walczył ponuro, w milczeniu.

Wszędzie dookoła legiony Elfów toczyły zacięty bój z hordą Trolli. Zewsząd otaczały go małe grupki walczących wojowników.

Nagle Shadrach zaprzestał walki. Podniósł głowę, niepewnie rozejrzał się dookoła. Nic się nie poruszało. Panowała głęboka cisza. Bój ustał.

Kilka Trolli nadal czepiało się jego rąk i nóg. Człowiek cofnął się chwiejnym krokiem, szamocząc się z ostatnim Trollem, który uparcie trzymał się jego ramienia.

- Teraz twoja kolej! - stęknął Shadrach. Oderwał Trolla i rzucił w powietrze. Troll spadł na ziemię i zniknął w mroku.

Niczego więcej nie było. Nigdzie nie poruszał się żaden Troll. Na oświetlonych jasno przez obojętny księżyc połach panowała cisza.

Shadrach osunął się na kamień. Oddychał z trudem. Czerwone punkty tańczyły mu przed oczami. Wyężdżając resztki sił, wyciągnął z kieszeni chustkę do nosa i wytarł nią twarz i szyję. Zamknął oczy, potrząsając głową na boki.

Kiedy znów otworzył oczy, Elfy zbliżały się do niego, formując na nowo swój legion. Wszystkie były rozczochrane i posiniaczone, ich złote zbroje poharatane i podziurawione. Większość nie miała na głowie hełmów, a te, które ocalały, były pogięte, bez ozdobiących je przedtem szkarłatnych piór. Nieliczne ocalałe pióra, połamane, zwisały smętnie.

Ale bój zakończył się zwycięstwem Elfów. Wygrały wojnę. Hordy Trolli zostały zmuszone do ucieczki.

Shadrach wstał powoli. Elfy otoczyły go ciasnym kręgiem, patrząc na niego z głębokim szacunkiem. Kiedy chował chustkę do kieszeni, jeden z wojowników pomógł mu utrzymać się na nogach.

- Dziękuję wam - wymamrotał. - Bardzo wam dziękuję.

- Trolle zostały pokonane - odezwał się jakiś Elf, nadal zdumiony tym, co się wydarzyło.

Shadrach spojrział na otaczające go Elfy. Było ich wiele, znacznie więcej, niż dotąd widział. Wszystkie Elfy wyruszyły do boju. Ich twarze były ponure i surowe, przejęte powagą chwili, zmęczone straszną

walką.

- Tak, odeszły wszystkie - powiedział Shadrach. Odzyskiwał oddech.

- Udzieliliście mi pomocy w ostatniej chwili. Cieszę się, że przyszliście właśnie wtedy. Byłem bliski końca, walcząc sam jeden ze wszystkimi Trollami.

- Król Elfów sam jeden zatrzymał całą armię Trolli - oświadczył piskliwie jakiś Elf.

- Co?! - wykrztusił zaskoczony Shadrach. A potem uśmiechnął się. - To prawda, przez jakiś czas walczyłem z nimi zupełnie sam. Sam zatrzymałem Trolle. Całą cholerną armię Trolli.

- Jest jeszcze coś więcej - odezwał się inny Elf.

Shadrach zamrugnął oczami: - Więcej?

- Spójrz tam, o Królu, najpotężniejszy ze wszystkich Elfów. Tędy, w prawo.

Elfy zaprowadziły Shadracha w to miejsce.

- Co to jest? - mruknął, nic z początku nie widząc. Spojrzał w dół, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemności.

- Czy nie można by tu poświecić pochodnią?

Kilka Elfów przyniosło małe pochodnie z sosnowego drzewa.

Tam, na zamarzniętej ziemi, leżał na plecach Phineas Judd, wpatrując się w niebo szeroko otwartymi oczami. Usta miał półotwarte. Nie poruszał się. Jego ciało było zimne i sztywne.

- On nie żyje - powiedział uroczyście jakiś Elf.

Shadrach, nagle zatrwożony, z trudem przetłknął ślinę. Zimny pot wystąpił mu na czoło.

- Na Boga! To mój stary przyjaciel! Co ja zrobiłem?

- Zabiłeś Wielkiego Trolla.

Shadrach umilkł.

- Co ja zrobiłem?

- Zabiłeś Wielkiego Trolla, wodza wszystkich Trolli.

- To się nigdy dotąd nie zdarzyło! - zawołał z podnieceniem w głosie inny Elf. - Wielki Troll żył wiele stuleci. Nikt nie umiał sobie nawet wyobrazić, że kiedykolwiek mógłby umrzeć. To najdonioślejsza chwila w naszej historii.

Wszystkie Elfy spoglądały na nieruchome ciało ze zdumieniem zmieszonym ze sporą dozą lęku.

- Och, co wy! - zaproponował Shadrach. - Przecież to tylko Phineas Judd.

Lecz gdy to mówił, ciarki przeszły mu po plecach. Przypomniał sobie, co zobaczył tak niedawno, gdy gasnące światło księżyca oświetlało jego starego przyjaciela.

- Spójrz. - Jeden z Elfów nachylił się i rozpiął błękitną kamizelkę Phineasa. Rozchylił zarówno surdut, jak i kamizelkę. - Widzisz?

Shadrach pochylił się, by lepiej widzieć.

I aż stęknął z zaskoczenia.

Pod błękitną kamizelką Phineasa Judda zobaczył kolczugę z zaśnieżonej porzewiałej stali, obciskającą krępe ciało. Na kolczudze wyryte były insygnia, ciemne, zniszczone przez czas, pokryte brudem i rdzą. Na pół zatarty, rdzewiejący emblemat, skrzyżowana noga sowy i muchomor.

Godło Wielkiego Trolla.

- Ojej! - powiedział Shadrach. - To ja go zabiłem.

Przez długi czas w milczeniu spoglądał w dół. Później powoli uświadomił sobie wagę tego, co się stało. Wyprostował się z uśmiechem.

- Cóż to jest, Królu? - pisał jakiś Elf.

- Właśnie pomyślałem o czymś - odparł Shadrach. - Właśnie zdałem sobie sprawę, że... że ponieważ Wielki Troll nie żyje i armia Trolli została zmuszona do ucieczki...

Urwał. Wszystkie Elfy czekały w milczeniu.

- Pomyślałem, że może... to jest, może nie jestem już wam potrzebny...

Elfy słuchały go z szacunkiem. - Co takiego, potężny Królu? Mów dalej.

- Pomyślałem, że może mógłbym teraz wrócić do mojej stacji benzynowej i przestać być Królem. - Shadrach rozejrzał się dookoła z nadzieją. - Czy tak nie uważacie? Wojna skończyła się. On nie żyje. Co na to powiecie?

Elfy milczały jakiś czas. Patrzyły smutnie w ziemię. Żaden nic nie powiedział. Wreszcie poczęły odchodzić, gromadząc się wokół chorągwi i proporców.

- Tak, możesz wrócić - odezwał się spokojnie jakiś Elf. - Wojna jest

skończona. Trolle zostały pokonane. Możesz wrócić do swojej stacji benzynowej – jeżeli tego rzeczywiście pragniesz.

Shadrach odetchnął z ulgą. Wyprostował się, uśmiechnięty od ucha do ucha. – Dziękuję! To wspaniale! To naprawdę wspaniale! To najlepsza nowina, jaką usłyszałem w życiu.

Oddalił się od Elfów, zacierając ręce i chuchając w nie.

– Cholernie dziękuję! – uśmiechnął się szeroko do milczącej gromady. – No cóż, pójdę sobie już. Jest późno. Późno i zimno. To była ciężka noc. Zo... baczmy się potem.

Elfy w milczeniu skinęły głowami.

– Świetnie. Zatem, dobrej nocy. – Shadrach odwrócił się i począł iść ścieżką. Zatrzymał się na chwilę, pomachał Elfom. – To dopiero była bitwa, co? Naprawdę sprawiliśmy im porządne lanie. – Przyśpieszył kroku. Jeszcze raz przystanął, odwrócił się i pomachał. – Pewnie, że się cieszę, iż mogłem wam pomóc. A więc, dobrej nocy!

Jeden lub dwa Elfy pomachały w odpowiedzi, lecz żaden z nich nic nie powiedział. Z góry widział wyraźnie rzadko uczęszczaną autostradę, rozpadającą się stację benzynową, dom, który może nie przetrwać równie długo jak on sam, i pomyślał, że nie ma dość pieniędzy na remont lub kupno lepszej koncesji.

Zawrócił.

Elfy nadal stały tam w milczeniu. Nie odeszły.

– Miałem nadzieję, że jeszcze was tu zastanę – powiedział z ulgą Shadrach.

– A my mieliśmy nadzieję, że nas nie opuścisz – odparł jeden z żołnierzy.

Shadrach kopnął jakiś kamyk. W pełnej napięcia ciszy kamyk podskoczył do góry i spadł na ziemię. Elfy nadal obserwowały uważnie człowieka.

– Opuścić was? – zapytał Shadrach. – Przecież jestem Królem Elfów!

– Więc pozostaniesz naszym Królem? – zawołał jakiś Elf.

– Człowiekowi w moim wieku trudno jest zmienić tryb życia, przestać sprzedawać benzynę i nagle zostać królem. To przez jakiś czas budziło we mnie lęk. Lecz teraz już się nie boję.

– Zostaniesz? Zostaniesz?

– Oczywiście – odpowiedział Shadrach Jones.

Mały krąg pochodni zamknął się radośnie. W ich świetle Shadrach zobaczył platformę podobną do tej, na której niesiono starego Króla Elfów. Ale ta była znacznie szersza, na tyle duża, by utrzymać człowieka, i wiele tuzinów żołnierzy z dumą trzymało ją na ramionach.

Jakiś żołnierz ukłonił się i powiedział uszczęśliwiony:

- To dla ciebie, Wasza Królewska Mość.

Shadrach wspiął się na platformę. Było to mniej wygodne niż podróż piechotą, lecz zrozumiał, że w ten sposób jego poddani chcieli zabrać go do Królestwa Elfów.

Przełożyła Ewa Witecka

Na obraz i podobieństwo Yanceya (*The Mold of Yancy*)

Leon Sipling jęknął i odsunął papiery. W instrukcji liczącej tysiące był jedynym pracownikiem migającym się od roboty. Był prawdopodobnie jedynym yancemanem na Callisto, który w tej chwili nie robił tego, co do niego należało. Wiedziony strachem i rozpaczą połączył się przez audio z Babsonem, kontrolerem ogólnym.

- Wydaje mi się, Bab, że jestem w kropce - powiedział zachrypniętym głosem. - Nie moglibyście wyświetlić mi obrazu do mojego miejsca? Może jakoś złapałbym rytm... - Uśmiechnął się słabo. - Poszum innych twórczych umysłów.

Po chwili wahania, z niesympatycznym wyrazem grubo ciosanej twarzy, Babson sięgnął do przełącznika.

- Wstrzymujesz robotę, Sip? Trzeba z tym zdążyć do wiadomości o szóstej. Według programu podczas przerwy obiadowej jest transmisja.

Na ekranie ściennym zaczęła się już formować wizualna część postaci i Sipling przeniósł na nią całą swoją uwagę, zadowolony, że ma pretekst, aby uciec od zimnego spojrzenia Babsona.

Ekran ukazał trójwymiarowego Yanceya, w zwykłej pozie trzy czwarte, od pasa w górę. John Edward Yancey w swojej spłowiejącej koszuli roboczej; podwinięte rękawy, smagłe owłosione ręce. Mężczyzna w średnim wieku, pod sześćdziesiątkę, z opaloną twarzą, czerwonawą szyją, dobrodusznym uśmiechem i przymrużonymi oczyma - ponieważ patrzył w słońce. W tle widać było obejście - garaż, ogród kwiatowy i tył schludnego białego plastikowego domku. Yancey, spocony i zmęczony upałem i stryżeniem trawnika, uśmiechał się do Siplinga - jak to sąsiad, który przystanął, żeby wymienić kilka niewinnych uwag na temat pogody, planety i sytuacji w najbliższej okolicy.

- Wyobraźcie sobie - odezwał się Yancey w audiofonach na biurku Siplinga - że mojemu wnukowi Ralfowi zdarzyła się któregoś ranka cholernie głupia historia. - Mówił tonem ściszym, bardzo osobistym. - Wiecie, jaki jest Ralf, zawsze lubi być w szkole o pół godziny

wcześniej... chce siedzieć w ławce przed wszystkimi.

- Nadgorliwiec - burknął Joe Pines przy sąsiednim biurku. Z ekranu Yancey ciągnął dalej nie speszony, pewny siebie, sympatyczny.

- No więc Ralf zobaczył wiewiórkę - siedziała sobie spokojnie na chodniku. Ralf przystanął, żeby się jej przyjrzeć. - Mina Yanceya była tak autentyczna, że Sipling prawie mu uwierzył. Niemal widział wiewiórkę i najmłodszego płowowłosego wnuka Yanceyów - znajome dziecko znajomego syna najbardziej znajomej - i lubianej - postaci na całej planecie.

- I ta wiewiórka - wyjaśnił Yancey - jak to wiewiórka - zbierała orzechy. A przecież, do licha, to było całkiem niedawno, środek czerwca. Taka mała wiewióreczka - rękami pokazał rozmiary - zbierała te orzechy i chowała na zimę.

Nagle wyraz rozbawienia i niewymuszonej swobody znikł z twarzy Yanceya i zastąpiło go poważne skupienie - bardzo znaczące. Niebieskie oczy pociemniały (dobra robota facetów od koloru). Szczęka stała się bardziej kwadratową, stanowczą (brawo zespół androidowców!). Yancey wydawał się teraz starszy, bardziej uroczy, imponujący, dojrzały. Nagle ogród znikł, a na jego miejsce pojawiło się inne tło. Yancey stał teraz mocno osadzony w pejzażu typowo kosmicznym - wśród gór, wiatrów i wielkich, starych lasów.

- Zacząłem się zastanawiać - powiedział głosem jakby głębszym, powolniejszym. - Taka mała wiewióreczka... Skąd ona mogła wiedzieć, że nadchodzi zima? A jednak się do niej przygotowywała. - Głos nabrał wyższych tonów. - Przygotowywała się do zimy, której nigdy nie widziała.

Sipling zeszywniał i też się przygotował - nadchodziła jego kolej. Joe Pines, przy swoim biurku, wyszczerzył zęby i wrzasnął:

- Gotowe!

- Ta wiewiórka - rzekł uroczyście Yancey - miała wiarę. Nie, oczywiście, że nigdy nie widziała nawet śladu zimy. A jednak wiedziała, że zima nadchodzi. - Mocna szczęka poruszyła się, ręka wolno uniosła do góry...

I w tym momencie Yancey zmarł. Zastygł w bezruchu, milczący, pozbawiony głosu, przerywając swoje przestanie w pół myśli.

- Proszę bardzo - rzekł agresywnie Babson wygaszając Yanceya. -

Pomogło ci?

Sipling nerwowo przebierał w papierach.

- Nie - przyznał. - Szczerze mówiąc, nic. Ale... ale ja coś wymyślę.

- Mam nadzieję. - Twarz Babsona pociemniała złowieszczo, a jego małe, złośliwe oczka jak gdyby się jeszcze zmniejszyły. - Co się z tobą dzieje? Masz jakieś problemy domowe?

- Wszystko będzie w porządku - mruknął Sipling, na którego wystąpiły poty. - Dziękuję.

Na ekranie pozostał słaby zarys sylwetki Yanceya, z ustami w dalszym ciągu ułożonymi do słowa „wiedziała”. Reszta była w głowie Siplinga: dalszy ciąg słów i gestów nie został wyprodukowany ani wmontowany w układ. Brakowało udziału Siplinga, a więc cała postać została nagle zatrzymana w pół słowa.

- Wiesz co - powiedział Pines zmieszany - ja to wezmę za siebie. Wyłącz swoje biurko, to ja się włączę.

- Dzięki - mruknął Sipling - ale tę cholerną część mogę zrobić tylko ja. To jest gwóźdź programu.

- Powinieneś odpocząć. Jesteś przemęczony.

- Tak - zgodził się Sipling na granicy hysterii. - Jestem wykończony.

Było to oczywiste dla każdego w biurze. Ale tylko jeden Sipling znał przyczynę tego stanu. Tylko że Sipling z całej siły walczył, żeby jej na głos nie wykrzyknąć.

Zasadniczej analizy środowiska politycznego na Callisto dokonywały komputery Niplanu w Waszyngtonie, ale końcowe oceny były dziełem ludzkiego personelu technicznego. Komputery mogły stwierdzić, że ustrój polityczny Callisto zmierza ku totalizmowi, ale nie potrafiły wyjaśnić, co to znaczy. Do tego, by zinterpretować ową tendencję jako niebezpieczną, potrzebni byli ludzie.

- To niemożliwe - zaprotestował Taverner. - Na Callisto istnieje stały ruch towarowy; z wyjątkiem syndykatu Ganimeda mają w garści cały handel międzyplanetarny. Wiedzielibyśmy, gdyby się tam działo coś niedobrego.

- A skąd mielibyśmy to wiedzieć? - zapytał szef policji Kellman.

Taverner wskazał arkusze danych, wykresy i tabele liczb i procentów, które pokrywały ściany biur Policji Niplanu.

- Zamanifestowałyby się to na sto różnych sposobów. Akcje terrorystyczne, więzienia polityczne, obozy zagłady. Słyszelibyśmy o samokrytykach, zdradach, nielojalności - o wszystkich tych głównych atrybutach dyktatury.

- Proszę nie mylić totalizmu z dyktaturą - powiedział sucho Kellman. - Państwo totalitarne ingeruje we wszystkie sfery życia obywateli, urabia ich opinie na każdy temat. Dyktaturę może sprawować rząd albo parlament, albo wyłoniony w wyborach prezydent czy wreszcie rada duchownych, to nie ma znaczenia.

- W porządku - Taverner dał się przekonać. - Jadę. Wezmę ludzi i zobaczymy, jak to wygląda z bliska.

- Ale czy potraficie się zrobić na Callistotów?

- A jacy oni są?

- Nie jestem pewien - przyznał Kellman, w zamyśleniu spoglądając na okrywające ściany skomplikowane wykresy. - Ale obojętne, jacy są, robią się powoli jednakowi.

Wśród pasażerów międzyplanetarnego statku pasażerskiego, który wylądował na Callisto, był Peter Taverner z żoną i dwojgiem dzieci. Z wyrazem troski na twarzy Taverner rozpoznał przy wyjściu funkcjonariuszy miejscowych służb. Pasażerowie podlegali ścisłej kontroli. Kiedy opuszczono pochylnię, funkcjonariusze ruszyli do przodu.

Taverner wstał i zebrał swoją rodzinę.

- Nie zwracaj na nich uwagi - powiedział do Ruth. - Mamy dobre papiery.

Według nienagannie przygotowanych dokumentów Taverner był maklerem specjalizującym się w metalach kolorowych i poszukującym możliwości handlu hurtowego. Callisto było centrum wymiany handlowej w dziedzinie ziemi i bogactw naturalnych. Nieustanny strumień żądnych pieniądza przedsiębiorców płynął w obie strony przywożąc surowce ze słabo rozwiniętych księżyców i dostarczając maszyny górnicze z planet wewnętrznych układu.

Taverner starannie przewiesił płaszcz przez rękę. Potężnie zbudowany mężczyzna w wieku trzydziestu kilku lat, mógł uchodzić za prosperującego biznesmena. Jego dwurzędowy garnitur był drogi, lecz

tradycyjny, a buty wypucowane do połysku. Zważywszy to wszystko, miał szansę przejść bez problemu. Zbliżający się do wyjścia Taverner z rodziną stanowili idealny wprost obraz przedstawiciela średniej klasy międzyplanetarnej.

- Pan przybywa w jakiej sprawie? - zapytał funkcjonariusz w zielonym mundurze, z długopisem zawieszonym w powietrzu. Sprawdzone dowody tożsamości, sfotografowano i wciągnięto do akt. Porównano EEG - zwykłe rutynowe czynności.

- Metale kolorowe... - zaczął Taverner, ale natychmiast przerwał mu drugi urzędnik.

- Pan jest już trzecim policjantem dziś rano. Co wy tam kombinujecie na tej Terra? - Urzędnik wpatrywał się w Tavernera intensywnie. - Mamy więcej policjantów niż duchownych.

Starając się nad sobą panować Taverner odparł spokojnie:

- Przyjechałem tu na odpoczynek. Ostry alkoholizm - żadna misja oficjalna.

- To samo powiedzieli pańscy pobratymcy. - Funkcjonariusz uśmiechnął się niewesoło. - A zresztą - jeden mniej czy jeden więcej glina z Terry - co za różnica. - Otworzył barierki i skinął na rodzinę Tavernerów, żeby przechodziła. - Witajcie na Callisto. Bawcie się dobrze, miłego wypoczynku. To najszybciej rozwijający się księżyc w całym układzie.

- Praktycznie planeta - zauważył Taverner z ironią.

- Tylko patrzeć. - Urzędnik przejrzał jakieś raporty. - Nasi przyjaciele w waszej małej organizacji donoszą, że rozklejacie na ścianach jakieś mapy i wykresy dotyczące Callisto. Czyżbyśmy byli aż tak ważni?

- Czysto akademickie zainteresowanie - rzekł Taverner; jeżeli przyuważyli trzech, to znaczy, że mają całą grupę. Najwyraźniej miejscowe władze były nastawione na wykrywanie wszelkiej infiltracji... Ta myśl zmroziła Tavernera.

Ale go przepuszczają. Czyżby byli aż tak pewni siebie?

Sprawy nie wyglądały dobrze. Wypatrując taksówki w ponurym nastroju szykował się do pozbierania rozproszonych członków grupy.

Wieczorem w barze „Lampion” na głównej ulicy handlowego

centrum Taverner spotkał się z pozostałymi członkami zespołu. Pochyleni nad szklaneczką whisky porównywali spostrzeżenia...

- Jestem tu prawie od dwunastu godzin - zaczął Eckmund gapiąc się apatycznie na rzędy butelek w mrocznej głębi baru. W powietrzu unosił się dym cygar; szafa grająca w kącie łomotała metalicznie. - Przeszedłem się po mieście patrząc, robiąc różne obserwacje.

- Co do mnie - powiedział Dorser - to wybrałem się do taśmoteki. Próbowałem porównać oficjalne mity z rzeczywistością Callisto. Rozmawiałem z uczonymi - z ludźmi światłymi, których spotykałem w czytelnich.

Taverner sączył drinka.

- No i co? Macie coś ciekawego?

- Wiesz, najlepsza jest najprostsza metoda na chybił trafił - uśmiechnął się krzywo Eckmund. - Łaziłem zwyczajnie po jakiejś ulicy slumsów i próbowałem rozmów z ludźmi na przystanku autobusowym. Zacząłem narzekać na władze: na autobusy, na kanalizację, podatki - na wszystko. Natychmiast się przyłączyli. I to tak od serca, bez wahania. I bez strachu.

- Legalny rząd - skomentował Dorser - ma zwykłą archaiczną strukturę. System dwupartyjny; jedna partia trochę bardziej konserwatywna od drugiej - nie ma właściwie między nimi żadnej zasadniczej różnicy. Ale obie wybierają kandydatów w jawnych wyborach wstępnych biorąc pod uwagę głosy wszystkich zarejestrowanych wyborców. - Po jego twarzy przebiegł skurcz rozbawienia. - Wzorowa demokracja. Podręcznikowa. Same szczytne slogany: wolność słowa, zebrań i religii, te rzeczy. Braliśmy to. Elementarz.

Cała trójka zamilkła na chwilę.

- Są więzienia - odezwał się wolno Taverner. - W każdym społeczeństwie zdarzają się pogwałcenia prawa.

- Odwiedziłem jedno z nich - rzekł Eckmund bekając. - Złodziejaszki, mordercy, zbiegli dłużnicy, bandziory - to samo co wszędzie.

- A nie ma więźniów politycznych?

- Nie. - Eckmund podniósł głos. - Możemy mówić dowolnie głośno. Nikogo to nie obchodzi, nawet władzy.

- Pewnie po naszym wyjeździe zamkną z kilka tysięcy ludzi - mruknął Dorser w zamyśleniu.

- Mój Boże - odparł Eckmund. - Przecież każdy może opuścić Callisto, kiedy chce. A w państwie policyjnym granice muszą być zamknięte. Ich granice są szeroko otwarte - ludzie się kręcą w te i we w te.

- Może to jakiś pierwiastek chemiczny w pitnej wodzie - zasugerował Dorser.

- Ale jak, do diabła, mogą mieć system totalitarny bez terroryzmu? - rzucił retoryczne pytanie Eckmund. - Daję głowę, że nie mają policyjnej kontroli myśli. Tu praktycznie strach nie istnieje.

- Ale w jakiś sposób wywierają na ludziach presję - nalegał Taverner.

- W każdym razie nie metodami policyjnymi - powiedział z naciskiem Dorser. - Nie siłą i brutalnością. Nie przez aresztowania, więzienia i przymusowe roboty.

- Gdyby to było państwo policyjne - rzekł z namysłem Eckmund - to byłby jakiś ruch oporu. Jakaś grupa wywrotowa mająca na celu obalenie władz. Ale w tym kraju możesz otwarcie narzekać; możesz sobie kupić czas na antenie radiowej i telewizyjnej, miejsce w gazetach - co chcesz. - Wzruszył ramionami. - Skąd w takich warunkach podziemny ruch oporu? To bzdura.

- A jednak - rzekł Taverner - ci ludzie żyją w systemie jednopartyjnym, z obowiązującą linią partyjną i oficjalną ideologią. Widać po nich skutki starannie kontrolowanego państwa totalitarnego. Są królikami doświadczalnymi - bez względu na to, czy sobie zdają z tego sprawę, czy nie.

- A czy mogliby nie zdawać sobie z tego sprawy?

Taverner, zakłopotany, potrząsnął głową.

- Też uważam, że to niemożliwe. Ale musi działać tu jakiś mechanizm, którego nie rozumiemy.

- Wszystko stoi otworem. We wszystko mamy wgląd.

- Pewnie szukamy nie tego, co trzeba. - Taverner od niechcienia spoglądał na ekran telewizyjny nad barem. Zwykły muzyczno-taneczny program z gołymi dziewczynkami właśnie się kończył i ukazała się męska twarz. Sympatyczny, pięćdziesięcioletni mężczyzna o okrągłym

obliczu, szczerych niebieskich oczach, niemal dziecinnie ruchliwych ustach i z aureolą delikatnych ciemnych włosów wokół lekko odstających uszu.

- Przyjaciele - zagrzmiała postać z ekranu. - Miło mi, że mogę dziś wieczór być z wami. Chciałbym sobie z wami pogadać.

- Reklama - rzekł Dorser gestem zamawiającym u mechanicznego barmana następnego drinka.

- Kto to jest? - zainteresował się Taverner.

- Ten sympatyczny piernik? - Eckmund przeglądał swoje notatki. - Popularny komentator. Nazywa się Yancey.

- Czy on jest członkiem rządu?

- Nic o tym nie wiem. To taki domorosły filozof. W stoisku z gazetami znalazłem jego życiorys. - Eckmund podał szefowi broszurkę w wesołych kolorach. - O ile się zorientowałem, zupełnie zwyczajny facet. Był w wojsku, brał udział w wojnie między Marsem a Jupiterem. Odznaczony na polu bitwy, dosłużył się stopnia majora. - Obojętnie wzruszył ramionami. - Mówiący almanach. Obiegowe sądy na każdy temat, stare, dobre rady, w rodzaju, jak się wyleczyć z zaziębienia. I jak jest źle na Terra.

Taverner obejrzał broszurkę.

- Tak, widziałem na mieście jego podobizny.

- Bardzo popularna postać. Uwielbiany przez masy. Przedstawiciel ludu - przemawia w ich imieniu. Kiedy kupowałem papierosy, zauważyłem, że popiera pewien szczególny gatunek, który od razu zrobił zawrotną karierę, niemal wypierając wszystkie inne z rynku. To samo z piwem. Whisky w tej szklance to też pewien rodzaj popierany przez Yanceya. Nie mówiąc o piłeczkach tenisowych. Tyle że on nie gra w tenisa; Yancey gra w krokieta. Bez przerwy, w każdy weekend. - Biorąc kolejnego drinka Eckmund dokończył: - Dlatego teraz wszyscy grają w krokieta.

- Jak krokiet mógł się stać sportem ogólnoplanetarnym? - rzucił Taverner.

- To nie jest planeta - sprostował Dorser. - To nędzny księżyc.

- Nie w opinii Yanceya - rzekł Eckmund. - Mamy traktować Callisto jako planetę.

- Niby w jaki sposób?

- W sensie duchowym to jest planeta. Yancey chce, żeby ludzie patrzyli na sprawy z duchowego punktu widzenia. Podkreśla, że rządowi powinny przyświecać takie ideały, jak Bóg i uczciwość i że ci ludzie powinni być pracowici i moralnie czysti. Wyświechtane truizmy.

Twarz Tavernera stężała.

- To ciekawe - mruknął. - Będę musiał go poznać.

- Po co? To miernota, najnudniejszy facet, jakiego można sobie wyobrazić.

- Możliwe - odparł Taverner. - Dlatego mnie interesuje.

Babson, wielki i groźny, powitał Tavernera u wejścia do Budynku Yanceya.

- Oczywiście, że może się pan zobaczyć z panem Yanceyem. Ale pan Yancey jest człowiekiem bardzo zajęтым, więc to nie będzie sprawą prostą. Każdy chce się widzieć z panem Yanceyem.

Taverner był niewzruszony.

- Jak długo będę musiał czekać?

Kiedy szli przez główny korytarz do wind, Babson dokonywał obliczeń.

- No, powiedzmy, cztery miesiące.

- Cztery miesiące?

- John Yancey to chyba najbardziej popularny spośród żyjących ludzi.

- Może tutaj - rzekł ze złością Taverner, kiedy wchodzili do zatłoczonej windy. - Ja w każdym razie nigdy o nim nie słyszałem. Ale jak on jest taki dobry, to dlaczegoście go nie otrąbili po całym Niplanie?

- Szczerze mówiąc - przyznał Babson konfidencjonalnym szeptem - zupełnie nie rozumiem, co ludzie w nim widzą. Dla mnie to po prostu zero. Ale wszyscy się nim zachwycają. Ostatecznie Callisto to prowincja. Yancey przemawia do takiej wiejskiej mentalności, do ludzi, którzy pojmują świat wprost. Obawiam się, że Terra byłaby dla niego miejscem zbyt wyrafinowanym.

- A próbowaliście?

- Jeszcze nie - odparł Babson. I z namysłem dodał: - Może później.

Podczas kiedy Taverner zastanawiał się nad znaczeniem słów zwalistego mężczyzny, winda stanęła. Wysiedli i znaleźli się

w luksusowym, wyłożonym dywanem hallu, oświetlonym lampami umieszczonymi we wnękach. Babson pchnął drzwi i weszli do obszernego, gwarnego biura.

Właśnie wyświetlano najświeższą wersję postaci Yanceya. Śledziła go w milczeniu grupa yancemanów, z pełnym skupienia krytycznym wyrazem twarzy. Yancey siedział w swoim gabinecie przy staroświeckim dębowym biurku. Nie ulegało wątpliwości, że pracuje nad rozwiązaniem poważnych kwestii natury filozoficznej – biurko zarzucone było papierami i książkami. Na twarzy Yanceya malował się wyraz namysłu, trzymał się ręką za czoło, a jego ściągnięte rysy świadczyły o głębokim skupieniu.

- To na niedzielny rano – wyjaśnił Babson.

Wargi Yanceya poruszyły się.

- Przyjaciele – zaczął swoim dźwięcznym, intymnym, szczerym głosem – siedzę tutaj przy tym biurku, tak jak i wy siedzicie w swoich domach. – Kamera przesunęła się ukazując otwarte drzwi gabinetu. W living roomie widać było dobrze znaną postać żony Yanceya, pełnej wdzięku swojskiej kobiety w średnim wieku. Siedziała na wygodnej kanapie skromnie szyjąc. Na podłodze ich wnuk Ralf bawił się w dobrze znane szklane kulki. W kącie drzemał pies.

Jeden z przyglądających się obrazowi yancemanów zapisał coś w notesie. Taverner spojrzał na niego zdumiony.

- Oczywiście i ja tam byłem – podjął Yancey uśmiechając się krótko. - Czytałem Ralfowi komiksy. Siedział u mnie na kolanach. - Tło zbladło, a na ekranie pojawiło się jakby ulotne widmo Yanceya z wnukiem na kolanach. Zaraz potem wróciło biurko i pełen księżek gabinet. - Taka rodzina jak moja to skarb – zwierzał się Yancey. - W tych czasach stresu jest dla mnie podporą.

Śledzący obraz yanceman znów coś zanotował.

- Siedząc tu, w swoim gabinecie, w ten cudowny niedzielny poranek – ciągnął Yancey – uświadamiam sobie, jak bardzo jesteśmy szczęśliwi, że żyjemy i że mamy tę wspaniałą planetę z pięknymi miastami i domami i te wszystkie rzeczy, które Bóg dał nam ku uciesze. Ale musimy bardzo uważać, żeby tych darów nie zmarnować.

Yancey uległ przemianie. Taverner odniósł wrażenie, że jest to już jakby człowiek trochę innego pokroju, nie ten sam. Jego pogodny

nastrój gdzieś się ulotnił. Był to Yancey starszy, a zarazem i większy. Ojciec o surowym spojrzeniu przemawiający do swoich dzieci.

- Moi przyjaciele - zaczął - są takie siły, które mogłyby osłabić naszą planetę. Wszystko, co zbudowaliśmy dla naszych bliskich, dla naszych dzieci, może nam zostać odebrane z dnia na dzień. Musimy się uczyć czujności. Musimy bronić naszych swobód, naszej własności, naszego sposobu życia. Jeżeli damy się podzielić i zaczniemy się między sobą sprzeczać, staniemy się łatwym łupem dla wrogów. Musimy pracować wspólnie, przyjaciele.

Oto, o czym myślałem tego niedzielnego poranka. Współpraca. Praca zespołowa. Potrzebne nam jest bezpieczeństwo, a żeby być bezpieczni, musimy jako społeczeństwo stanowić jedno. To klucz, przyjaciele, klucz do bardziej dostatniego życia. - Pokazując przez okno na trawnik i ogród Yancey powiedział jeszcze: „Ja byłem...” i tu głos urwał się, a obraz zastygł. W pomieszczeniu zabłyśły wszystkie światła, a śledzący obraz yancemani zaczęli między sobą szeptać.

- W porządku - powiedział jeden z nich. - Przynajmniej jak do tej pory. Ale co z resztą?

- Znow Sipling - odparł drugi. - Brak jego części. Co się z tym facetem dzieje?

Babson, zachmurzony, wstał.

- Przepraszam bardzo - zwrócił się do Tavernera. - Ale muszę na chwilę wyjść. Sprawy techniczne. Może się pan tu rozejrzeć, jeśli pan ma ochotę. I jeżeli coś z literatury pana zainteresuje, to też bardzo proszę.

- Dzięki - odparł niepewnie Taverner; był speszony. Wszystko wydawało się niewinne, nawet trywialne. A jednak coś było nie w porządku, i to coś zasadniczego.

Zaczął się podejrzliwie rozglądać.

Nie ulegało wątpliwości, że John Yancey wypowiadał się na każdy temat jak wyrocznia. W każdej dziedzinie miał swoje zdanie: w sprawie sztuki nowoczesnej, zastosowania czosnku do potraw, używania napojów alkoholowych czy jedzenia mięsa, socjalizmu czy wojny, wykształcenia, dużych dekolców, wysokich podatków, ateizmu, rozwodów, patriotyzmu - istniały opinie Yanceya we wszystkich

możliwych odcieniach i niuansach.

Czy była jakaś dziedzina, w której by się Yancey nie wypowiadał?

Taverner badał opasłe kasety, którymi wyłożone były ściany pomieszczenia. Wypowiedzi Yanceya szły już w miliony stóp taśmy... czy jeden człowiek może znać się na wszystkim?

Taverner wybrał jakąś taśmę na chybił trafił i stwierdził, że jest to lekcja zachowania się przy stole.

- Otóż pewnego wieczoru przy kolacji - zaczął miniaturowy Yancey, a jego głos popiskiwał cicho w uszach Tavernera - zauważyłem, jak mój wnuk Ralf kroi swój stek. - Yancey uśmiechnął się do audytorium, kiedy na wizję wpłynął obraz sześciolatka zajadle pijącego mięso. - Pomyślałem sobie, że biedny Ralf niepotrzebnie się tak męczy nad tym mięsem. I wydało mi się...

Taverner wyłączył taśmę i włożył ją z powrotem we właściwą przegródkę. Yancey miał zdecydowane zdanie w każdej sprawie... ale czy rzeczywiście tak bardzo zdecydowane?

Zaczęło w nim narastać dziwne podejrzenie. W niektórych sprawach tak. Pomniejszych. Tu Yancey miał jasność i sypał jak z rękawa maksymami zaczerpniętymi z bogatego skarbcza mądrości ludowych. Ale co do problemów poważniejszych - natury filozoficznej czy politycznej - a to już co innego.

Taverner wyjął jedną z licznych taśm z działu „Wojna” i puścił zupełnie przypadkowy fragment.

- ...Jestem przeciwny wojnie - oświadczył Yancey gniewnie. - A ja coś mogę na ten temat powiedzieć. Bo ja już swoje na wojnie odsłużyłem.

Potem nastąpił montaż scen batalistycznych. Z wojny między Jupiterem a Marsem, w której Yancey wyróżnił się odwagą, lojalnością wobec towarzyszy, nienawiścią do wroga, słowem całą gamą najwłaściwszych zalet.

- Uważam jednak - ciągnął energicznie - że planeta powinna być silna. Potulność i słabość prowokują atak i rodzą agresję. Będąc słabi zachęcamy do wojny. Ważna jest gotowość, byśmy zawsze mogli bronić naszych bliskich. Całym sercem i duszą jestem przeciw wojnie bezsensownej, ale powtarzam raz jeszcze to, co już po wielekroć mówiłem: gdy trzeba, staniemy w potrzebie nie unikając wojny

słusznej. Nie wolno cofać się przed odpowiedzialnością. Wojna to rzecz straszna, ale czasami się nie da...

Odkładając taśmę na miejsce Taverner zastanawiał się, co też ten Yancey właściwie powiedział. Jakie są w gruncie rzeczy jego poglądy na wojnę? Zapęłniły one ze sto kaset; bo Yancey chętnie się wypowiadał na tak poważne tematy, jak wojna, planeta, Bóg, podatki. Ale czy powiedział coś konkretnego?

Tavernera przeszedł zimny dreszcz. Opinie Yanceya w poszczególnych, najczęściej trywialnych sprawach były bardzo jednoznaczne i stanowcze: psy są lepsze od kotów, grejpfrut jest za cierpki bez cukru, należy wstawać wcześniej rano, picie jest szkodliwe. Co zaś do problemów zasadniczej wagi, to poglądy Yanceya sprowadzały się do pustych frazesów. Ludzie, którzy zgadzali się z nim na temat wojny, podatków, Boga i planety, praktycznie nie zgadzali się z niczym. A jednocześnie ze wszystkim.

W sprawach więc najważniejszych nie mieli żadnego zdania. Jedynie wydawało im się, że mają.

Taverner zaczął pośpiesznie przeglądać taśmy dotyczące różnych ważnych dziedzin. Wszystko to samo. W jednym zdaniu Yancey dawał, w drugim odbierał. Efekt końcowy – zgrabne skasowanie tego, co zostało powiedziane, zręczna negacja. Ale widz miał złudzenie wspaniałej uczyty intelektualnej. Było to zdumiewające. Profesjonalna robota: zbyt gładka jak na zwykły przypadek.

John Edward Yancey najbardziej nieszkodliwy, a zarazem najbardziej jałowy z ludzi. Zbyt dobry na to, aby mógł być prawdziwy.

Taverner, spocony, wyszedł z głównego pomieszczenia taśmoteki i przecisnął się ku biurkom w głębi, gdzie zapracowani yancemani trudzili się przy biurkach i stołach montażowych. Dookoła wrzała robota. Otaczały go twarze łagodne, nijakie, niemal znudzone. Ten sam przyjazny, trywialny wyraz prezentował sam Yancey.

Nijakie – i w swej nijakości diaboliczne. A on nie mógł zrobić dosłownie nic. Jeżeli ludzie chcieli słuchać Johna Edwarda Yanceya, jeśli chcieli w nim widzieć swój model, to co mogła na to poradzić policja Niplanu?

Przecież nie popełniano tu żadnego przestępstwa.

Nic dziwnego, że Babsonowi nie przeszkadzali myszkujący po

kątach policjanci. Nic dziwnego, że władze ich wszędzie wpuszczają. Nie było więzień politycznych, pracy przymusowej, obozów koncentracyjnych... Po prostu nie istniała taka potrzeba.

Izby tortur i obozy zagłady są jedynie tam, gdzie zawodzi perswazja. A tu perswazja działała idealnie. Państwo policyjne, terror, pojawia się wtedy, kiedy totalitarny aparat władzy upada. Wcześniejsze państwa totalitarne były niedoskonałe, władza ingerowała nie we wszystkie sfery życia. Ale technika łączności się rozwijała.

Na jego oczach powstawało pierwsze totalitarne państwo nijakie i banalne. Ostatnie stadium zaś – koszarne, ale doskonale logiczne – miało nastąpić wtedy, kiedy wszystkim nowo narodzonym chłopcom będą dawali na imię John Edward.

Dlaczego nie? Przecież oni wszyscy już i tak żyli, działali i myśleli jak John Edward. A dla kobiet była pani Margaret Ellen Yancey. I ona miała swoje poglądy – swoją kuchnię, gust w sposobie ubierania się, swoje rady i przepisy, z których kobiety mogły korzystać.

Były nawet dzieci Yanceyów do naśladowania dla młodzieży. Władze niczego nie przeoczyły.

Babson przechadzał się z kordialnym wyrazem twarzy.

- Jak idzie, panie funkcjonariuszu? - zachichotał, kładąc Tavernerowi dłoń na ramieniu.

- Dobrze - wykrztusił Taverner unikając jego ręki.

- Podoba się panu nasza mała organizacja? - W bełkotliwym głosie Babsona brzmiała autentyczna duma. - Robimy tu kawał dobrej roboty. Na wysokim poziomie artystycznym.

Trzęsąc się z bezsilnej wściekłości Taverner wyskoczył na korytarz. Żeby nie czekać na windę, ruszył w stronę schodów. Musi się wydostać z Budynku Yanceya, uciekać stąd jak najprędzej.

Z mroków korytarza wyłoniła się jakaś postać z twarzą bladą i napiętą.

- Chwileczkę... Czy mógłbym z panem zamienić parę słów?

Taverner odsunął faceta.

- O co panu chodzi?

- Pan jest z Terrańskiej Policji Niplanu? Ja... - Jabłko Adama mężczyzny podskakiwało gwałtownie. - Ja tu pracuję. Nazywam się Sipling. Leon Sipling. Muszę coś zrobić... ja już dłużej tego nie

wytrzymam.

- A co tu można zrobić - odparł Taverner - skoro oni wszyscy chcą być tacy sami jak Yancey...

- Kiedy o to chodzi, że nie ma żadnego Yanceya - przerwał mu Sipling; jego chuda twarz drgała spazmatycznie. - To myśmy go zrobili... wymyśliliśmy go.

Taverner stanął jak wryty.

- Co wyście zrobili?

- Ja się już zdecydowałem. - Głosem drżącym ze zdenerwowania Sipling przeszedł do rzeczy. - Zamierzam coś zrobić. I nawet dokładnie wiem co. - Czepiając się rękawa Tavernera wychrypiał: - Musi mi pan pomóc. Chcę z tym wszystkim skończyć, ale sam sobie nie poradzę.

Siedzieli we dwóch w ładnym, dobrze urządzonej living roomie i popijając patrzyli na dzieci, które baraszkowały na podłodze. Żona Siplinga i Ruth Taverner wycierały w kuchni naczynia.

- Yancey to jest postać syntetyczna - wyjaśnił Sipling - złożona. Taka osoba w rzeczywistości nie istnieje. Oparliśmy się na prototypach zaczerpniętych ze źródeł socjologicznych; sylwetkę Yanceya skomponowaliśmy z elementów typowych osobowości. Jest więc ona wierna w stosunku do życia. Ale pozbawiliśmy ją tego, co uznaliśmy za niepożądane, wzmacniając jednocześnie cechy korzystne. - I w zadumie dodał: - Taki Yancey mógłby istnieć. Jest wiele yancypodobnych ludzi. I na tym właśnie polega problem.

- Czy od samego początku waszym zamysłem było urabianie ludzi na wzór i podobieństwo Yanceya? - zapytał Taverner.

- Nie znam dokładnie zamysłów tych na samej górze. Ja zajmowałem się pisaniem tekstów reklamowych dla producentów płynu do ust. Władze Callisto angażując mnie tylko z grubsza określiły, o co im chodzi. Głównych celów programu mogłem się jedynie domyślać.

- Czy przez władze rozumie pan Radę, która sprawuje tu rządy?

Sipling roześmiał się ostro.

- Mam na myśli syndykaty, do których należy ten księżyc. Tyle że nie wolno nam go nazywać księżycem. To planeta. - Wargi Siplinga zadrgały w wyrazie rozgoryczenia. - Władze mają bardzo poważny program. Zamierzają wchłonąć swoją konkurencję handlową na

Ganimedzie. Jak się uda, to wszystkie planety trzymają w garści.

- Ale przecież nie dobiorą się do Ganimeda bez otwartej wojny - zaprotestował Taverner. - Towarzystwa medeańskie mają za sobą swoją ludność. - I dopiero wtedy zaczęło mu świtać. - Rozumiem - powiedział cicho. - Oni w gruncie rzeczy chcą wojny. Ta wojna im się opłaci.

- Ma pan cholerną rację. Ale żeby rozpocząć wojnę, muszą sobie urobić opinię publiczną. Bo ludzie nic przez wojnę nie zyskują. Wojna zetrze z powierzchni wszystkie pomniejsze płotki i pozostawi władzę w rękach jeszcze węższej grupy niż dotychczas. Żeby więc zyskać poparcie osiemdziesięciu milionów, muszą mieć społeczeństwo obojętne i potulne jak owce. I są na najlepszej drodze. Jak ta kampania z Yanceyem się skończy, ludzie z Callisto zgodzą się na wszystko. Yancey za nich myśli. On im mówi, jak się mają czesać. W co grać. Opowiada kawały, które mężczyźni powtarzają w klubach. Jego żona przyrządza dania, które potem wszyscy jedzą na obiad. Jak cały ten światek długi i szeroki, dzień Yanceya powiela się w milionach. Wszystko, co on robi, w co wierzy. Już od jedenastu lat warunkujemy w ten sposób opinię publiczną. Bardzo ważnym elementem jest tu monotonia niezmienności. Całe pokolenie rośnie w oczekiwaniu gotowych odpowiedzi na wszystko.

- Musi to być wielki przemysł - zauważył Taverner - cały ten program tworzenia i utrzymywania Yanceya.

- Tysiące ludzi zajmuje się choćby samym pisaniem. Pan widział jedynie pierwsze stadium, a przecież to idzie do każdego miasta. Taśmy, filmy, książki, magazyny, plakaty, broszury, sztuki dramatyczne audio i wideo, teksty do gazet, ścieżki dźwiękowe, komiksy dla dzieci, wersje ustne, skomplikowane reklamy... no te wszystkie rzeczy. Nieustający strumień Yanceya. - Biorąc ze stolika pismo wskazał artykuł wstępny „Jak się miewa serce Yanceya”. - Autor zadaje pytanie, co byśmy zrobili bez Yanceya. W przyszłym tygodniu będzie artykuł na temat jego żołądka. - I Sipling dokończył cierpko: - Mamy miliony sposobów. Nie omijamy żadnej okazji. Nazywamy się yancemanami; to nowa forma sztuki.

- A jaki jest wasz, to znaczy całego tego sztabu ludzi, stosunek do Yanceya?

- Jedna wielka bzdura.

- To znaczy, że żaden z was nie robi tego z przekonania?

- Nawet Babson musi się śmiać. A Babson jest na samym szczycie; zaraz po nim idą chłopcy, którzy podpisują czeki. Boże, gdybyśmy kiedykolwiek wierzyli w Yanceya... gdybyśmy uważali, że ta bzdura jest cokolwiek warta... - Na twarzy Siplinga odmalował się wyraz strasznej męki. - Oto dlaczego nie mogę tego dłużej znieść.

- No właśnie, dlaczego? - zapytał Taverner głęboko zaintrygowany. Jego laryngofon rejestrował wszystko i przekazywał do centrali w Waszyngtonie. - Interesuje mnie bardzo, dlaczego pan się wyłamał.

Sipling pochylił się i zawołał na syna:

- Mike, zostaw tę zabawę i chodź no tutaj. - I zwracając się do Tavernera dodał tonem wyjaśnienia: - Mike ma dziewięć lat. Yancey istnieje przez całe jego życie.

Mike przyszedł posłusznie.

- Słucham, tato.

- Jakie masz stopnie w szkole? - zapytał ojciec.

Chłopiec dumnie wypiął pierś; była to miniaturka Leona Siplinga o czystych błękitnych oczach.

- Same czwórki i piątki.

- To bystry dzieciak - rzucił Sipling pod adresem Tavernera. - Jest dobry z arytmetyki, geografii, historii - z tych wszystkich przedmiotów. - I do chłopca: - Zadam ci kilka pytań i chcę, żeby ten pan posłuchał twoich odpowiedzi. Okay?

- Dobrze - odpowiedziało dziecko potulnie.

Z chmurą na szczupłej twarzy Sipling zwrócił się do syna:

- Chciałbym usłyszeć, co myślisz o wojnie. Mówiono wam w szkole o wojnie; znasz wszystkie słynne wojny w historii, prawda?

- Tak, tato. Uczyliśmy się o Rewolucji Amerykańskiej, o Pierwszej i Drugiej Wojnie Ziemskiej, o Pierwszej Wojnie Wodorowej i o wojnie między kolonistami Marsa i Jupitera.

- Do szkół - wyjaśnił Sipling kwaśno - dostarczamy materiały yanceyowskie jako gotowe programy nauczania. Yancey wprowadza dzieci w tajniki historii, wszystko im wyjaśnia. Uczy przyrody. Właściwej postawy, astronomii i dosłownie wszystkiego o całym wszechświecie. Ale nigdy nie myślałem, że mój własny syn... - Głos Siplinga,

nabrzmiały smutkiem, powoli zacichał, by po chwili nabrać życia. – No więc wiesz wszystko o wojnie. Okay, a co o niej sądzisz?

Chłopiec odparł bez namysłu:

– Wojna jest zła. Wojna to najstraszliwsza rzecz na świecie. Prawie wyniszczyła ludzkość.

Wpatrując się w malca intensywnie Sipling zapytał:

– Czy ktoś kazał ci tak mówić?

Chłopiec zawahał się, niepewny.

– Nie, tato.

– Czy naprawdę w to wierzysz?

– Tak, tato. To przecież prawda. Czy wojna nie jest zła?

Sipling skinął głową.

– Wojna jest zła. Ale co powiesz o wojnie sprawiedliwej?

Chłopiec i tym razem odparł bez namysłu: – Takie wojny oczywiście musimy toczyć.

– Dlaczego?

I znów w stanowczej odpowiedzi chłopca nie było wahania: – Nie możemy pozwolić wejść sobie na głowę. To by tylko prowokowało agresję. Nie możemy dopuścić do panowania brutalnej siły. Musimy walczyć o świat... – malec szukał właściwych słów. – O świat, w którym rządzi prawo.

Ze znużeniem, na pół pod nosem, Sipling skomentował:

– Sam pisałem te puste, sprzeczne ze sobą słowa osiem lat temu. – Z wielkim wysiłkiem zbierając siły, podjął: – A więc wojna jest zła. Ale sprawiedliwe wojny należy prowadzić. Powiedzmy, że Callisto znajdzie się w stanie wojny z... weźmy zupełnie przypadkową planetę... na przykład z Ganimedem. – Sipling nie był w stanie ukryć gorzkiej ironii. – Tak, zupełnie przypadkową. A więc prowadzimy wojnę z Ganimedem. Czy byłaby to wojna słuszna? Czy po prostu wojna?

Tym razem chłopiec nie odpowiedział. Zmarszczył gładkie czoło w wyrazie niepewności i wysiłku.

– No co, nie odpowiadasz? – zapytał lodowatym tonem Sipling.

– To znaczy... – jękał się chłopiec – chciałem powiedzieć... – Spojrzał na ojca z nadzieją. – Ale chyba jak będzie trzeba, to ktoś nam powie, prawda?

– Jasne. – Siplinga zatkało. – Jasne, że ktoś nam powie. Może nawet

sam pan Yancey.

Na twarzy malca odmalowała się ulga.

- Tak, tato. Pan Yancey powie. - Odwrócił się. - Czy już nie jestem potrzebny?

Kiedy Mike wrócił do rówieśników, Sipling, nieszczęśliwy, zwrócił się do Tavernera.

- Wie pan, w co oni się bawią? Ta gra nazywa się Hippo-Hoppo. Domyśla się pan, czyj wnuk ją lubi najbardziej? I kto ją wymyślił?

Zapadło milczenie.

- Co pan proponuje? - zapytał Taverner. - Powiedział pan, że można coś zrobić.

Na twarzy Siplinga pojawił się chłodny wyraz, jakiś przebłysk głębokiej przebiegłości.

- Znam ich program... wiem, jak go można uniemożliwić. Ale ktoś musi przystawić władzom broń do skroni. W ciągu tych dziewięciu lat znalazłem klucz do charakteru Yanceya... klucz do nowego typu osobowości, jaką tu wykreowaliśmy, jest bardzo prosty. To element, który czyni człowieka tak uległym, że można z nim zrobić dosłownie wszystko.

- Coś tu jest nie w porządku, ale niech pan mówi - rzekł Taverner cierpliwie, mając nadzieję, że linia do Waszyngtonu jest wolna.

- Wszystkie opinie Yanceya są pozbawione treści. Najważniejsze to ich rozrzedzenie. Każdy element jego ideologii jest maksymalnie rozwodniony: żadnego nasycenia. Prawie osiągnęliśmy całkowity brak poglądów... zauważył to pan z pewnością. Tam gdzie to było możliwe, eliminowaliśmy poglądy kształtując człowieka apolitycznego. Bez własnego punktu widzenia.

- Jasne - zgodził się Taverner. - Ale ze złudzeniem, że go ma.

- Wszystkie elementy osobowości muszą być kontrolowane; zależy nam na pełnej sylwetce. Dlatego musi być konkretny pogląd na każdą konkretną sprawę. W każdej dziedzinie obowiązuje zasada: „Yancey przyjmuje najmniej kłopotliwą ewentualność”. Najpłytszą. Poglądy proste, nie wymagające wysiłku, nie sięgające na tyle głęboko, żeby stymulować jakąkolwiek myśl.

Taverner złapał, o co chodzi.

- Dobre, solidne, całkowicie usypiające. - I pośpiesznie dodał: - Ale

gdyby się trafił jakiś rzeczywiście oryginalny pogląd, taki, który by wymagał pewnego wysiłku, trudny do realizacji...

- Yancey gra w krokieta. Wobec tego każdy się obnosi z młotkiem do krokieta. - Oczy Siplinga błysnęły. - Ale gdyby tak Yancey upodobał sobie... Kriegspiel.

- Co takiego?

- Partie szachów rozgrywane jednocześnie na dwóch szachownicach. Każdy z partnerów ma swoją szachownicę, z kompletem figur. Ale nie widzi szachownicy tego drugiego. Sędzia widzi obie i informuje każdego z graczy, kiedy wzięt pionka albo kiedy stracił, kiedy postawił pionek na zajętych polu albo zrobił ruch niemożliwy, kiedy zaszachował albo został zaszachowany.

- Rozumiem - rzekł Taverner śpiesznie. - Każdy z graczy próbuje wydedukować pozycję tego drugiego. Gra w ciemno. To dopiero wymaga umysłowego wysiłku.

- Prusacy uczyli w ten sposób swoich oficerów strategii wojskowej. To jest coś więcej niż gra, to kosmiczne zapasy. A gdyby tak Yancey zasiadł wieczorem z żoną i wnukiem i rozegrał taki zgrabny sześciogodzinny maratonik? A gdyby tak jego ulubioną lekturą zamiast anachronicznych pełnych strzelaniny westernów były greckie tragedie? A ulubionym utworem muzycznym Fuga Bacha zamiast „Moje rodzinne Kentucky”?

- Zaczynam rozumieć, o co chodzi - powiedział Taverner tak spokojnie, jak tylko potrafił. - Myślę, że będziemy mogli pomóc.

Babson pisnął:

- Ależ to jest nielegalne!

- Absolutnie - potwierdził Taverner. - Dlatego tu jesteśmy. - Gestem dał znak brygadzie tajnej policji Niplanu, żeby zajęła Budynek Yanceya, ignorując pracowników, którzy siedzieli sztywno przy swoich biurkach. Do laryngofonu powiedział: - A jak z grubymi rybami?

- Średnio - doszedł go słaby głos Kellmana, wzmocniony przez system przekąźnikowy między Callisto i Ziemią. - Niektórzy się oczywiście powymykali za granicę do swoich różnych posiadłości. Ale większość nie przypuszczała, że podejmiemy jakieś kroki.

- Jak śmiecie! - skrzeczał Babson, a jego wielka twarz zwiślała

w fałdach białego ciasta. - Co myśmy takiego zrobili? Jakim prawem...

- Uważam - przerwał mu Taverner - że powinniście odpowiadać choćby na gruncie stosunków czysto handlowych. Używaliście nazwiska „Yancey” dla promocji różnych produktów. Taka osoba nie istnieje. To pogwałcenie przepisów dotyczących etycznej strony reklamy.

Usta Babsona zamknęły się z kłapnięciem, a następnie nieznacznie uchylły.

- Nie ma... nie ma takiej osoby? Ale przecież każdy zna Johna Yanceya. On jest... - I dokończył jękając się i gestykulując: - On jest przecież wszędzie.

Nagle w jego tłustej łapie pojawił się wredny mały pistolecik. Babson zaczął nim wymachiwać na oślep, ale Dorser podszedł i spokojnie wytrącił mu go z ręki, tak że broń ślizgiem przeleciała przez podłogę. Babson dostał ataku hysterii. Zdegustowany Dorser zakuł go w kajdanki.

- Zachowuj się jak mężczyzna - polecił. Ale ze strony Babsona nie było żadnego oddźwięku; znajdował się w takim stanie, że nic nie słyszał.

Taverner, zadowolony, minął osłupiałą grupkę wyższych urzędników i pracowników i ruszył w głąb pomieszczeń biurowych. Z krótkim skinieniem głowy podszedł do biurka, przy którym nad swoimi papierami siedział Sipling.

Pierwszy zmieniony obraz już zaczynał migać na monitorze. Dwaj mężczyźni stali obserwując go wspólnie.

- No jak? - spytał Taverner, kiedy obraz się ustalił. - Pan to musi ocenić.

- Myślę, że to wystarczy - odrzekł nerwowo Sipling. - Mam nadzieję, że nie zrobimy zbyt wielkiego zamieszania... Budowaliśmy to jedenaście lat. Chcemy, żeby i demontaż był stopniowy.

- Jak już powstanie pierwsza szczelina, wszystko zacznie się chwiać. - Taverner ruszył w stronę drzwi. - Da pan już sobie radę sam?

Sipling spojrział w stronę Eckmunda, który stał w drugim końcu pokoju, ze wzrokiem utkwionym w zdezorientowanych i zajętych robotą yancemanów.

- Myślę, że tak. Dokąd pan idzie?

- Pójdę sobie obejrzeć projekcję. Chcę widzieć pierwsze reakcje publiczności. - Przy drzwiach Taverner zawahał się. - Będzie to dla pana trudne zadanie - samemu emitować obraz. Bo przez jakiś czas nie może pan liczyć na pomoc.

Sipling wskazał na swoich współpracowników. Wyglądało na to, że podjęli pracę tam, gdzie ją przerwali.

- Na nich można liczyć - uspokoił Tavernera. - Jak długo będą dostawali pełne pobory.

Taverner w zamyśleniu przeszedł przez korytarz do windy. W chwilę później zjeżdżał w dół.

Na najbliższym rogu przed publicznym ekranem zebrała się grupka ludzi oczekując popołudniowego programu z Johnem Edwardem Yanceyem.

Emisja rozpoczęła się w normalny sposób. Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości: kiedy Sipling chciał, potrafił zrobić dobry kawałek; tym razem zrobił praktycznie wszystko.

W koszuli z podwiniętymi rękawami i w poplamionych spodniach, z gracją w ręku i w słomkowym kapeluszu nasuniętym na czoło. Yancey, przykucnięty, uśmiechał się do palącego słońca. Obraz był tak autentyczny, że Taverner wprost nie mógł uwierzyć, że ktoś taki nie istnieje. Ale przecież widział, jak podległe Siplingowi zespoły pracowicie i fachowo budowały go od podstaw.

- Dobry - zagrział jowialnie Yancey. Otarł spoconą rumianą twarz i wyprostował się sztywno. - Do licha - zauważył - ale upał. - Wskazał na rabatkę pierwiosnków. - Właśnie je sadziłem. Cholerna robota.

Na razie wszystko było w porządku. Tłum obserwował postać na ekranie obojętnie, pobierając swoją karmę ideologiczną bez szczególnych oporów. Jak księżyc długi i szeroki w każdym domu, w każdej klasie, biurze i na każdym rogu ukazywał się ten sam obraz. Który miał być powtarzany.

- Tak - rzekł Yancey - jest naprawdę gorąco. Za gorąco dla tych pierwiosnków, one wolą cień. - Szybkie panoramiczne ujęcie pokazało starannie posadzone pod garażem pierwiosnki. - Z drugiej strony - ciągnął swoim gładkim, dobrodusznym, gawędziarskim tonem - moje dalej potrzebują dużo słońca.

Skok kamery ukazał dalej rozbuchane w żarze słonecznym.

Rzucając się na pasiasty leżak Yancey zdjął słomkowy kapelusze i chusteczką wytarł czoło.

- Gdyby więc ktoś mnie zapytał - podjął wesoło - co jest lepsze: cień czy słońce, odpowiedziałbym, że to zależy od tego, czy jest się pierwiosnkiem, czy dalią. - Posłał do kamer swój słynny, szczerzy chłopięcy uśmiech. - Muszę być chyba pierwiosnkiem, bo mam już dzisiaj tego słońca szczerze dość.

Ludzie słuchali cierpliwie. Może niezbyt fortunny początek, ale jego konsekwencje miały być długofalowe. I Yancey przeszedł do nich niezwłocznie.

Jowialny uśmiech znikł. Jego miejsce zajął znajomy wyraz skupienia znamionujący głębokie myśli. Yancey szykował się do przemówienia: miało to być coś bardzo mądrego. I - tym razem - coś, czego jeszcze nie było.

- Zmusza to człowieka - zaczął z namaszczaniem i powoli - do poważnego myślenia. - Automatycznie sięgnął po szklanę dżinu z tonikiem - szklanę, która do tej pory zawierała piwo. Leżące obok niej pismo to już też nie był miesięcznik „Pse opowieści”, tylko „Przegląd psychologiczny”. Zmiana tych szczegółów powoli miała zapadać w podświadomość słuchaczy; obecnie całą ich świadomą uwagę przykuwały słowa Yanceya.

- Pomyślałem sobie - zaczął swoją orację, jakby ta mądrość była czymś świeżym i zupełnie nowym, co mu się właśnie w tej chwili objawiło - że niektórzy mogliby sądzić, iż powiedzmy słońce jest dobre, a cień zły. Ale byłoby to kompletnie głupie. Słońce bowiem jest dobre dla róż i dali, dla moich fuksji zaś zgubne.

Kamera pokazała jego wszechobecne wspaniałe fuksje.

- Być może nawet znacie takich ludzi. Oni po prostu tego nie rozumieją. - I tu, jak to miał w zwyczaju, Yancey sięgnął do folkloru, żeby zilustrować swoją myśl. - Że to, co dla jednego jest pokarmem, dla drugiego jest trucizną. Ja na przykład lubię na śniadanie dwa sadzone jajka żółtkiem do góry, do tego parę duszonych śliwek i grzanę. Margaret woli talerz płatków. Ralf zaś nie jada ani jednego, ani drugiego. On lubi placki. A sąsiad z tej samej ulicy, ten co ma od frontu taki duży trawnik, wybrałby salceson i butelkę krzepkiego piwa.

Taverner drgnął. No cóż, muszę próbować. Ale w dalszym ciągu

słuchacze chłonęli to, co mówił Yancey, słowo w słowo. Pierwsze zwiastuny nowej myśli - że każdy człowiek ma swoją skalę wartości, specyficzny styl bycia, że każdy może wierzyć w co innego, cieszyć się i aprobować różne rzeczy - już się pojawiły.

To musi potrwać, jak powiedział Sipling. Trzeba wymienić ogromną taśmotekę, przełamać ustanawiane w poszczególnych okresach nakazy. Wprowadzić nowy sposób myślenia, poczynając od banalnego porównania z pierwiosnkami. Kiedy dziewięcioletni chłopiec zechce znaleźć odpowiedź na pytanie, czy wojna jest słuszna, czy nie, musi sięgnąć do własnego umysłu. Nie będzie gotowej odpowiedzi podsunętej przez Yanceya, którego nowa sylwetka wraz z nowym przesłaniem - że każdą wojnę jedni nazywają słuszną, a inni niesłuszną - jest już w przygotowaniu.

Było takie oblicze Yanceya, które Taverner bardzo chciał zobaczyć. Ale trzeba było na nie jeszcze długo czekać. Yancey miał zmieniać swoje upodobania w dziedzinie sztuki powoli, ale stale. Pewnego dnia publiczność się dowie, że Yancey już nie przepada za sielankowymi reprodukcjami z kalendarzy ściennych, że teraz woli sztukę holenderskiego mistrza makabry i diabolicznej grozy z piętnastego wieku - Hieronima Boscha.

Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz

Inaczej, niżby się zdawało

(*Not By Its Cover*)

- Nie chcę go widzieć, panno Handy. Ta pozycja jest już w druku. Nawet jeżeli w tekście znajduje się błąd, teraz nie możemy nic na to poradzić - powiedział drażliwie podstarzały, rozzłoszczony dyrektor wydawnictwa „Obelus”.

- Ależ panie Masters - jęknęła panna Handy - to bardzo poważny błąd, proszę pana. A jeżeli on ma rację... Pan Brandice uważa, że cały ten rozdział...

- Czytałem jego list. Rozmawiałem z nim również przez wideofon i wiem, co on uważa. - Masters podszedł do okna swego gabinetu i zaczął wpatrywać się markotnie w wypaloną, porytą kraterami powierzchnię Marsa, co zresztą oglądał na własne oczy przez wiele dziesiątków lat. Pięć tysięcy wydrukowanych i oprawionych egzemplarzy - pomyślał. Z czego połowa w skórze marsjańskiego futrzaka, wytłaczanej i pociągniętej złotem. Najelegantszy i najdroższy surowiec, jakiego można użyć. Straciliśmy już majątek na to wydanie, a teraz jeszcze ta historia.

Na biurku leżał egzemplarz książki Lukrecjusza „O naturze wszechrzeczy”, w dokonanym, stylem podniosłym i wzbudzającym podziw, przekładzie Johna Drydena. Barney Masters ze złością przewracał świeżutkie, kruche i białe kartki. Kto by się spodziewał, że ten starożytny tekst znany będzie na Marsie tak dobrze, aż zachodził w głowę. Człowiek, który czekał poza gabinetem, był tylko jednym z ośmiu, którzy pisali albo dzwonili do „Obelusa” w sprawie spornego fragmentu.

Spornego? Nie było o co się spierać. Ośmiu miejscowych łacinników miało rację. Teraz chodziło po prostu o to, żeby ich spokojnie odprawić i zapomnieć, że kiedykolwiek wczytywali się w wydanie „Obelusa” i że znaleźli ten cholerny fragment.

- W porządku, przyślij go - powiedział Masters do sekretarki, naciskając przycisk stojącego na biurku interkomu. W przeciwnym razie nigdy by nie odszedł. Charakter kazałby mu czekać. Uczeni na ogół są właśnie tacy - mają świętą cierpliwość.

Drzwi otworzyły się i wyłonił się wysoki, siwy mężczyzna w staromodnych okularach w stylu z Terry i z teczką w ręku.

- Dziękuję, panie Masters - powiedział wchodząc. - Pozwoli pan, że wyjaśnię, dlaczego moja organizacja uważa ten właśnie błąd za tak poważny. - Zasiadł za biurkiem i energicznie rozsunął zamek w teczce. - Jesteśmy przecież planetą-kolonią. Wszystkie uznawane przez nas wartości, zwyczaje, sposoby wytwarzania pochodzą do nas z Terry. SPiPF uważa pańskie wydanie tej książki za...

- SPiPF - przerwał Masters. Nigdy o czymś takim nie słyszał, ale mimo to jęknął. To z pewnością jedna z tych zwariowanych drużyn czytających uważnie wszystko, co wydrukowano i co pochodzi z Marsa albo dociera z Terry.

- Straż Przekłamań i Powszechnych Fałszerstw - wyjaśnił Brandice. - Mam ze sobą oryginalne, poprawne terrańskie wydanie „O naturze wszechrzeczy” - przekład Drydena - takie jak to wasze. - Nacisk na słowie „wasze” zabrzmiał pogardliwie. Zupełnie jakby - pomyślał Masters - „Obelus”, drukując swe pozycje, robił coś niesmacznego. - Przyjrzyjmy się wstawkom pochodzącym spoza oryginału. Namawiam pana do przestudiowania najpierw mojego egzemplarza, gdzie fragment ten jest poprawny. - Położył na biurku Mastersa starą, zniszczoną, wydaną na Terra, otwartą książkę. - A potem, proszę pana, tego samego fragmentu z egzemplarza pańskiego własnego wydania. - Obok małej, starej niebieskiej książeczki położył jeden z wytwornych, dużych, oprawnych w skórę futrzaka egzemplarzy, które wypuścił właśnie „Obelus”.

- Pozwoli pan, że wezwę redaktora wydania - powiedział Masters. - Powiedz, proszę, Jackowi Sneadowi, żeby do mnie wstąpił - zwrócił się do panny Handy, naciskając przycisk interkomu.

- Tak, panie Masters.

- Zacytujmy oryginalne wydanie - powiedział Brandice - wierszowany przekład z łaciny. - Odchrząknął i zaczął czytać na głos.

Przez sens żalu i bólu wolni się staniemy

I czucia nie zaznamy, bo nas już nie będzie.

Choć ziemię pochłonełyby morza, a morza niebiosa,

Nie ruszylibyśmy się, lecz miotani byli wszędzie.

- Znam ten fragment - powiedział szorstko rozdrażniony Masters. Tamten tłumaczył jak dziecku.

- Tego czterowiersza brakuje w pańskim wydaniu, a w jego miejsce zjawia się następujący, Bóg raczy wiedzieć, jakiego pochodzenia, sfalszowany czterowiersz. Pan pozwoli. - Wziął okazały, oprawny w skórę futrzaka egzemplarz „Obelusa”, przerzucił go i odnalazł właściwe miejsce. Następnie zaczął czytać.

*Przez sens żalu i bólu wolni się staniemy,
Czego żaden prostak ni dojrzy, ni doceni.
Skorośmy umarli - spójrzmy ponad morza
I o wiecznym szczęściu głośmy więc na Ziemi.*

Brandice, spoglądając na Mastersa, zamknął z trzaskiem oprawną w skórę futrzaka książkę.

- Najbardziej nieznośne jest to, że ten czterowiersz głosi krańcowo odmienne posłanie od tego, jakie zawiera cała książka. Skąd się wziął? Ktoś musiał go napisać. Dryden tego nie zrobił, Lukrecjusz też nie. - Zmierzył wzrokiem Mastersa, jak gdyby uważał, że to on właśnie zrobił osobiście.

Drzwi gabinetu otworzyły się i wszedł Jack Snead, redaktor wydania.

- On ma rację - powiedział z rezygnacją do swego szefa. - Ale to tylko jedna z około trzydziestu zmian w tekście. Przekopałem się przez całą książkę, odkąd zaczęły przychodzić listy. Teraz ruszam do dalszych pozycji z naszej listy katalogowej. W wielu z nich także znalazłem zmiany - dodał chrząkając.

- Byłeś ostatnim redaktorem, który robił korektę czystopisu, zanim tekst poszedł do składu. Czy te błędy były tam wtedy? - spytał Masters.

- Oczywiście, że nie - odparł Snead. - Sam osobiście robiłem korektę szpaltową. W odbitkach szrotkowych również nie było zmian. Pojawiły się one dopiero w ostatecznych, oprawionych już egzemplarzach, jeśli to ma jakieś znaczenie. A ściśle mówiąc, w tych oprawionych na złoto, w skórę futrzaka. Egzemplarze w zwykłych okładkach tekturowych są w porządku.

- Przecież wszystkie pochodzą z tego samego wydania - Masters zmrużył oczy. - Razem wyszły z drukarni. Prawdę mówiąc, nie planowaliśmy pierwotnie ekskluzywnej, kosztownej oprawy. Ustaliliśmy to dopiero w ostatniej chwili i dział sprzedaży zaproponował połowę edycji w skórze futrzaka.

- Chyba będziemy musieli przeprowadzić dokładne badania skóry marsjańskiego futrzaka - stwierdził Jack Snead.

W godzinę później mocno postarzały, poruszający się chwiejnie Masters, w towarzystwie redaktora wydania Jacka Sneada, siedział naprzeciwko Luthera Sapersteina, agenta przedsiębiorstwa Flawless i S-ka, pozyskującego skóry zwierzęce. Stamtąd właśnie „Obelus” otrzymywał skórę futrzaka, w którą oprawiał swoje książki.

- Przede wszystkim - zaczął Masters energicznym, świadczącym o rutynie głosem - co to jest skóra futrzaka?

- W zasadzie - odezwał się Saperstein - w sensie, w jakim zadał pan pytanie, jest to skóra z marsjańskiego futrzaka. Wiem, że to panom niewiele mówi, ale może służyć przynajmniej jako punkt odniesienia, jako stwierdzenie, z którym wszyscy możemy się zgodzić i od którego możemy wyjść, aby stworzyć coś bardziej przekonującego. Tytułem wyjaśnienia niech mi będzie wolno przekazać panom dodatkowe szczegóły na temat samej istoty futrzaka. Jego skóra jest w cenie między innymi dlatego, że jest rzadko spotykana. Skóra futrzaka należy do rzadkości, ponieważ futrzak bardzo rzadko ginie. Mam przez to na myśli, iż uśmiercenie futrzaka - nawet chorego lub starego - jest rzeczą prawie niemożliwą. Nawet jeżeli futrzak zostanie zabity, jego skóra żyje nadal. Ta cecha dodaje wyjątkowej wartości wykonanym z tej skóry przedmiotom ozdobnym albo, jak w naszym przypadku, oprawianym w nią cennym książkom, które mają przetrwać lata.

Masters westchnął i patrzył tępo przez okno, podczas gdy Saperstein dudnił dalej swoje. Siedzący obok Mastersa redaktor wydania robił zwięzłe, tajemnicze notatki. Jego młodzieńcza, pełna energii twarz przybrała posępny wyraz.

- To, co wam dostarczyliśmy, kiedy zwróciliście się do nas - powiedział Saperstein - pamiętajcie, że to wyście do nas przyszli, myśmy was wcale nie szukali - było doskonałą skórą, starannie wybraną z naszych olbrzymich zapasów. Te żyjące skóry lśnią własnym

niezwykłym połyskiem. Nie mają sobie równych ani na Marsie, ani na macierzystej planecie Terra. Jeżeli ulegną rozdarciu lub zadrażnieniu, same się regenerują. Rosną całymi miesiącami, stają się coraz gęściejsze, a okładki waszych tomów coraz bardziej zbytłkowne i coraz bardziej poszukiwane. Od dziś za dziesięć lat wartość książek oprawionych w skórę futrzaka o gęstej sierści...

- Skóra zatem nadal żyje - wtrącił Snead, przerywając Sapersteinowi. - Ciekawe. A ten futrzak jest, jak pan mówi, na tyle sprytny, że zabicie go okazuje się praktycznie niemożliwe. - Rzucił szybkie spojrzenie na Mastersa - każda z trzydziestu kilku zmian wprowadzonych w tekstach naszych książek dotyczy nieśmiertelności. Wydanie przejrzone Lukrecjusza wydaje się pod tym względem typowe. Tekst oryginalny głosi, iż człowiek jest śmiertelny. Jeżeli nawet żyje nadal po śmierci, nie ma to znaczenia, ponieważ nie zachowa w pamięci swojej egzystencji. W to miejsce przychodzi inny, sfalszowany fragment, w którym wyraźnie mówi się o życiu przyszłym wyznaczonym przez doczesne, fragment, który - jak pan mówi - pozostaje w całkowitej sprzeczności z całą filozofią Lukrecjusza. Czy uświadamia sobie pan już, co należy przez to rozumieć? Ta przekłeta filozofia futrzaka zdominowała filozofię pierwotnych autorów. To właśnie to, od początku do końca - Snead nagle przerwał i w milczeniu zaczął z powrotem gryzmolić swoje notatki.

- W jaki sposób skóra zwierzęca, nawet ta wiecznie żywa, może wywierać wpływ na treść książki? - spytał Masters. - Tekst został już wydrukowany, papier pocięty, arkusze sklejone i zszyte - to wbrew rozsądkowi. Jeżeli nawet oprawa, ta przekłeta skóra, naprawdę żyje, trudno mi w to uwierzyć - wlepił wzrok w Sapersteina. - Jeżeli nawet żyje, czym się odżywia?

- Drobnymi cząsteczkami żywności tworzącymi zawiesinę w powietrzu - odpowiedział uprzejmie Saperstein.

- Chodźmy już. To absurdalne - stwierdził Masters, wstając z miejsca.

- Wchłania cząsteczki przez pory - dodał Saperstein dostojnie, niemal z wyrzutem.

- Niektóre z poprawionych tekstów są fascynujące - powiedział zamyślony Jack Snead, studiując swoje notatki i nie wstając w ślad za

swym szefem. - Zmiany są zróżnicowane - wahają się od całkowitego odwrócenia sensu oryginalnego fragmentu, całkowitej odwrotności sensu wyrażonego przez autora (jak w przypadku Lukrecjusza) - do bardzo subtelnych, prawie niewidocznych korekt (jeżeli to właściwe słowo), prowadzących do uzyskania tekstów bardziej zgodnych z doktryną życia wiecznego. Problem polega na tym: czy mamy do czynienia z poglądami tylko jednej określonej formy życia, czy futrzak wie, o czym mówi? Weźmy na przykład poemat Lukrecjusza - jest bardzo wielki, bardzo piękny, bardzo interesujący jako poezja. Ale jako tekst filozoficzny być może jest kiepski. Nie wiem tego. To nie moja sprawa. Ja tylko wydaję książki. Nie piszę ich. Ostatnią rzeczą, jaką mógłby zrobić dobry redaktor, byłoby dopisywanie czegoś na własną rękę w tekście autorskim. A to właśnie robi futrzak, a raczej w jakiś dziwny sposób skóra, która po nim pozostaje - Snead zamilkł.

- Ciekaw jestem, czy dodała coś istotnego - powiedział Saperstein.

- W znaczeniu poetyckim, czy też ma pan na myśli sens filozoficzny? Z poetyckiego lub literackiego, stylistycznego punktu widzenia wstawki są ani lepsze, ani gorsze od oryginału. Udaje jej się na tyle zręcznie podrobić autora, że gdyby ktoś nie znał wcześniej tekstu, nigdy by tego nie spostrzegł. Nigdy by nie rozpoznał, że to mówi skóra - dodał Snead po namyśle.

- Chodziło mi o stronę filozoficzną.

- No cóż, wciąż to samo postanie, wygrywane do znudzenia jak na katarynce. Śmierć nie istnieje. Kładziemy się spać, a potem budzimy do lepszego życia. To, co zrobiła skóra w poemacie „O naturze wszechrzeczy”, jest typowe dla niej. Jeśli to się przeczyta, to tak jakby przeczytało się wszystko.

- Ciekawym eksperymentem byłoby oprawienie egzemplarza Biblii w skórę futrzaka - stwierdził pogrążony w myślach Masters.

- Już to zrobiłem - powiedział Snead.

- No i?

- Oczywiście nie starczyło mi czasu, żeby przeczytać całość. Ale przejrzałem listy św. Pawła do Koryntian. Wprowadziła tylko jedną zmianę. Fragment, zaczynający się od słów: „Słuchajcie, przeto wyjawię wam tajemnicę”, umieściła cały wersalikami. Wersy: „Śmierci, gdzież twe żądło? Grobie, gdzież zwycięstwo?” - powtórzyła dziesięć

razy po kolei, aż dziesięć, wszystko wersalikami. Oczywiście, futrzakowi to odpowiadało – było zgodne z jego własną filozofią, a raczej teologią – Snead ważył każde słowo. – Jest to w zasadzie spór natury teologicznej... między czytelnikami i skórą marsjańskiego zwierzęcia, wyglądającego jak skrzyżowanie wieprza z krową. Niesamowite – powiedział po chwili i znów wrócił do swoich notatek.

- Czy sądzisz, że futrzak jest w posiadaniu jakiejś wiedzy czy też nie? – spytał Masters po uroczystej pauzie. – Jak już mówiłeś, nie musi to być pogląd tylko jednego określonego zwierzęcia, któremu udało się uniknąć śmierci. To może być prawda.

- Przychodzi mi na myśl coś takiego – zaczął Snead. – Futrzak nie nauczył się po prostu unikać śmierci. Ale zrobił to, co sam głosi. Przez fakt, że został zabity, obdarty ze skóry, którą – wciąż żywą – przerobiono na okładki książek, zwyciężył śmierć. Żyje nadal. I wydaje się uważać to życie za lepsze. Nie mamy tu do czynienia z zawziętą, jedynie lokalną formą życia. Stykamy się z organizmem, który zrobił już to, w co my wciąż wątpimy. On na pewno wie. Jest żywym potwierdzeniem własnej doktryny. Fakty mówią same za siebie. Jestem skłonny w to wierzyć.

- Być może to życie bez końca tylko dla niego niekoniecznie dotyczy wszystkich – nie zgodził się Masters. – Futrzak, jak zauważa pan Saperstein, jest wyjątkowy. Skóra żadnej innej istoty żywej ani na Marsie, ani na Lunie, ani na planecie Terra nie trwa wiecznie i nie wchłania mikroskopijnych cząsteczek żywności tworzących zawiesinę w powietrzu. Skoro ta potrafi to zrobić...

- Bardzo niedobrze, że nie możemy jakoś porozumieć się ze skórą futrzaka – powiedział Saperstein. – Próbowaliśmy to zrobić, tu w Flawless, jak tylko po raz pierwszy zaobserwowaliśmy fakt jej pośmiertnego życia. Jednak nigdy nie znaleźliśmy sposobu.

- Za to my w „Obelusie” znaleźliśmy go – zauważył Snead. – Prawdę powiedziawszy, sam próbowałem już eksperymentować. Miałem odbity jednozdaniowy tekst – pojedynczy wiersz: „Futrzak, nie tak jak wszystkie inne istoty żywe, jest nieśmiertelny”.

Następnie opравиłem kartkę w skórę futrzaka i przeczytałem ponownie. Tekst zmienił się. Tutaj – podał Mastersowi cienką, ładnie obłożoną książeczkę. – Czytaj, jak to teraz brzmi.

- „Futrzak, tak jak wszystkie inne istoty żywe, jest nieśmiertelny” - Masters przeczytał na głos. - No tak, wyrzuciła tylko słowo „nie”. To niewielka zmiana, tylko trzy litery - powiedział, oddając Sneadowi próbkę.

- Za to ze względu na sens to bomba - powiedział Snead. - Jesteśmy odżywiani ponownie poza grobem, można by tak powiedzieć. Uświadomijmy to sobie - skóra futrzaka jest z formalnego punktu widzenia martwa, ponieważ martwy jest futrzak, na którym ona rośnie. Stąd cholernie już blisko do dostarczenia niekwestionowanego dowodu na istnienie życia zmysłowego po śmierci.

- Oczywiście jeszcze jedno - zaczął Saperstein niepewnie. - Nie znoszę do tego wracać. Nie wiem, jaki to ma z tym wszystkim związek. Ale marsjański futrzak, pomimo swej niesamowitej, cudownej wręcz zdolności utrzymywania się przy życiu, jest pod względem umysłowym stworzeniem głupim. Terrański opos, na przykład, ma mózg wielkości jednej trzeciej mózgu kota. Mózg futrzaka stanowi zaś jedną piątą mózgu oposa - Saperstein patrzył ponuro.

- No cóż, Biblia głosi, że „ostatni będą pierwszymi” - stwierdził Snead. - Być może skromny futrzak znajduje się właśnie wśród nich, miejmy nadzieję.

- A ty pragniesz życia wiecznego? - spytał Masters, spoglądając na Sneada.

- Oczywiście - odparł Snead. - Każdy tego pragnie.

- Ja nie - zaprzeczył stanowczo Masters. - Już i tak mam dość kłopotów. Ostatnią rzeczą, której chciałbym, jest żyć nadal tak jak oprawa książki czy w jakikolwiek inny sposób. - Jednak pogрузił się w rozmyślaniach. Myślał inaczej. W rzeczywistości zupełnie inaczej.

- Wydaje się, że to by się podobało futrzakowi - zgodził się Saperstein. - Być okładką książki, leżeć sobie wygodnie całymi latami na półce i wchłaniać drobniutkie cząsteczki z powietrza. No i prawdopodobnie medytować. Albo robić cokolwiek innego, co zwykły czynić futrzaki po śmierci.

- Stwarzają teologie - powiedział Snead. - Głoszą kazania. Chyba już nigdy więcej nie będziemy oprawiać książki w skórę futrzaka - zwrócił się do swego szefa.

- Nie w celach handlowych - zgodził się Masters. - Nie na sprzedaż.

Ale... - Nie mógł uwolnić się od przeświadczenia, że tkwi w tym jakiś sens. - Zastanawiam się, czy skóra futrzaka zdolna byłaby przekazać swój wysoki współczynnik żywotności czemuś, co byłoby w nią „zawinięte” - powiedział. - Na przykład zastony okienne... A tapicerka w pojazdach mogłaby wyeliminować ofiary śmiertelne na uczęszczanych szlakach... Albo otuliny hełmów dla oddziałów bojowych... I dla graczy w baseball. - Możliwości wydawały mu się ogromne, ale mgliste. Musieliby to przemyśleć, poświęcając na to sporo czasu.

- W każdym razie - zaczął Saperstein - moje przedsiębiorstwo odmawia wam zwrotu pieniędzy. Informacje o właściwościach skóry futrzaka były powszechnie znane i opublikowane w broszurze, którą wydaliśmy w tym roku. Oświadczamy kategorycznie...

- W porządku, nasza strata - powiedział rozdrażniony Masters i machnął ręką. - Niech i tak będzie.

- Czy w tych ponad trzydziestu wstawionych fragmentach mówi się wyraźnie, że życie po śmierci jest przyjemne? - zwrócił się do Sneada.

- Oczywiście! I „...o wiecznym szczęściu głośmy więc na Ziemi!” To stanowi podsumowanie. Ten wers jest wstawiony do poematu „O naturze wszechrzeczy”. Dobrze tam pasuje.

- Szczęście - Masters, kiwając głową, powtórzył za nim jak echo. - Naturalnie obecnie nie znajdujemy się na Ziemi, lecz na Marsie. Myślę, że to wszystko jedno. Chodzi po prostu o życie, gdziekolwiek się je przeżywa. - Znów się zadumał, tylko jeszcze bardziej poważnie. - Przychodzi mi do głowy - powiedział po namyśle - że mówienie abstrakcyjne o „życiu po śmierci” to tylko jedna strona problemu. Ludzie robią to już od pięćdziesięciu tysięcy lat, a Lukrecjusz był dwa tysiące lat temu. Bardziej interesuje mnie nie wielka, ogólna wizja filozoficzna, lecz konkretny fakt istnienia skóry futrzaka, czyli nieśmiertelność, którą ona ze sobą niesie. Jakie jeszcze książki w to oparłeś? - zwrócił się do Sneada.

- „Age of Reason” Toma Paine’a - odparł redaktor wydania, sprawdzając na swojej liście.

- Z jakim skutkiem?

- Dwieście sześćdziesiąt siedem nie zapisanych stronic. Z wyjątkiem jedyne go słowa „bleh” w samym środku.

- Mów dalej.

- „Britannica”. Ściśle mówiąc, skóra niczego nie zmieniła, za to dodała całe hasła. Na temat duszy, wędrówki dusz, piekła, wiecznego potępienia, grzechu, nieśmiertelności. Całe dwudziestoczerotomowe dzieło uzyskało piętno religijności. Czy mam mówić dalej? - spytał, podnosząc wzrok.

- Oczywiście - powiedział Masters, równocześnie słuchając i rozmyślając.

- „Summa Theologica” św. Tomasza z Akwinu. Tekst oryginalny skóra pozostawiła nietknięty, ale od czasu do czasu wprowadzała wersy biblijne: „słowo zabija, ale duch daje życie”. I tak w kółko.

„Zaginiony horyzont” Jamesa Hiltona. Shangri-La okazuje się wizją życia po śmierci, które...

- W porządku - przerwał Masters. - Mamy już wyobrażenie. Powstaje pytanie, co możemy z tym zrobić? Oczywiście nie powinniśmy oprawiać w skórę książek, a przynajmniej tych, z których treścią ona się nie zgadza. - Masters zaczął jednak dostrzegać jakiś inny sens, o wiele bardziej osobisty. Był on o wiele ważniejszy niż wszystko to, co skóra futrzaka mogła uczynić z książkami, a właściwie z dowolnym przedmiotem nieożywionym.

Wkrótce podszedł do telefonu...

- Wyjątkowo ciekawa - mówił dalej Snead - jest jej reakcja na zbiór artykułów poświęconych psychoanalizie, napisanych przez kilku najwybitniejszych żyjących współcześnie badaczy freudyizmu. Wszystkie artykuły pozostawiła nietknięte, za to na końcu każdego z nich zamieściła to samo hasło - Snead zachichotał. - „Lekarzu, wylecz siebie”. Jest w tym trochę poczucia humoru - dodał.

- Z pewnością - stwierdził Masters, nieprzerwanie myśląc o telefonie w sprawie najwyższej wagi.

Masters, będąc już z powrotem w swoim gabinecie w „Obelusie”, próbował przeprowadzić wstępny eksperyment, aby przekonać się, czy pomysł zadziała. Starannie zawinął ulubione przedmioty ze swej prywatnej kolekcji - żółtą kościaną chińską filiżankę „Royal Albert” wraz ze spodeczkiem - w skórę futrzaka. Następnie z drzeniem serca położył zawiniątko na podłodze i z całą nadwątłą już siłą nastąpił na nie.

Filizanka nie stłukła się. Przynajmniej na to wyglądało.

Rozwinął paczuszkę i dokładnie obejrzał filizankę. Miał rację - zawinięta w żywą skórę futrzaka nie mogła ulec zniszczeniu.

Usiadł zadowolony przy biurku i zamyślił się raz jeszcze.

Ostona ze skóry futrzaka sprawiła, że doczesny, kruchy przedmiot stał się niezniszczalny. Filozofia futrzaka zatem dotycząca zewnętrznego przetrwania sprawdziła się w praktyce dokładnie tak, jak Masters przypuszczał.

Dyrektor podniósł słuchawkę i nakręcił numer swego adwokata.

- Chodzi o moją ostatnią wolę - powiedział, gdy miał go już na linii.

- Wie pan, o tę, którą sporządziłem kilka miesięcy temu. Chcę wprowadzić dodatkowy punkt.

- Słucham, panie Masters - powiedział energicznie adwokat. - Niechże pan mówi!

- Niewielki paragraf - mruknął Masters. - W sprawie mojej trumny. Chcę, aby moi spadkobiercy... obowiązkowo... moja trumna ma być wyściełana wszędzie - wieko, dno i boki - skórą futrzaka. Z Flawless i S-ki. Chcę udać się do mego Stwórcy odziany, jak by to powiedzieć, w skórę futrzaka. To robi lepsze wrażenie. - Śmiał się nonszalancko, ale głos miał śmiertelnie poważny. Jego pełnomocnik zrozumiał.

- Jeżeli pan tak sobie życzy - odparł adwokat.

- Radzę i panu zrobić to samo - powiedział Masters.

- Dlaczego?

- Proszę sprawdzić w uzupełnionym wydaniu domowego informatora medycznego, który mamy zamiar wypuścić w przyszłym miesiącu. I niech pan sprawdzi, czy egzemplarz ma oprawę ze skóry futrzaka. Będzie się różnił od innych. - Masters jeszcze raz pomyślał o swej skórą futrzaka wyściełanej trumnie. Gdzieś w ziemi, głęboko, a w środku on owinięty w żywą, wciąż rosnącą skórą futrzaka.

Ciekawe byłoby zobaczyć siebie stworzonego przez skórą futrzaka, skórą w najlepszym gatunku. Zwłaszcza po upływie kilku stuleci.

Przełożyła Stefania Szczurowska

Mała czarna skrzynka

(*The Little Black Box*)

I

Bogart Crofts z Departamentu Stanu powiedział:

- Panno Hiashi, chcemy wysłać panią na Kubę w celu wygłoszenia paru prelekcji religijnych dla zamieszkałej tam chińskiej ludności. Zaważyło tu pani orientalne pochodzenie. To powinno pomóc.

Jęknąwszy w duchu Joan Hiashi pomyślała, że jej orientalne pochodzenie polega na tym, że urodziła się w Los Angeles i studiowała na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara. Ale formalnie rzecz biorąc, korzystała w czasie studiów ze stypendium dla azjatyckich studentów, co sumiennie zaznaczyła w podaniu o pracę.

- Weźmy takie słowo „caritas” - mówił Crofts. - Pani zdaniem, co ono właściwie oznacza w sensie użytym przez Jerome’a? Miłosierdzie? Nie. Więc co? Życzliwość? Miłość?

- Moja specjalność to buddyzm zen - odparła Joan.

- Ależ każdy wie, co znaczy słowo „caritas” w późnoromańskim użyciu - zaprotestował Crofts z irytacją. - Szacunek, jaki porządni ludzie żywią do siebie nawzajem, ot co. - Uniósł nieco siwe, dostojne brwi. - Czy pani chce podjąć się tej pracy, panno Hiashi? A jeśli tak, to dlaczego?

- Chcę rozpowszechnić ideę buddyzmu zen wśród chińskich komunistów na Kubie - odpowiedziała Joan - ponieważ... - Zawahała się. Prawda wyglądała po prostu tak, że oznaczało to dla niej wysokie zarobki, pierwszą dobrze płatną posadę, jaką udałoby się jej dostać. Z punktu widzenia jej kariery to była okazja. - No cóż... - dokończyła. - Co jest istotą Jedynej Drogi? Nie potrafię na to odpowiedzieć.

- W każdym razie potrafi pani wykorzystać swoją specjalność, aby wymigać się od uczciwej odpowiedzi - skwitował Crofts kwaśno. - I wykręcić kota ogonem. - Wzruszył ramionami. - Niemniej, może to tylko dowodzi, że jest pani odpowiednio wyszkolona i nadaje się do tego zadania. Na Kubie spotka pani wiele całkiem niezłe wykształconych i świątłych osobników, którym na dokładkę niezgorzej się powodzi, nawet według standardów amerykańskich. Mam nadzieję,

że poradzi pani sobie z nimi równie dobrze jak ze mną.

- Dziękuję panu, panie Crofts. - Joan wstała. - Oczekuję więc na wiadomość od pana.

- Pani działalność zrobiła na mnie pewne wrażenie - powiedział Crofts na wpół do siebie. - W końcu to pani jest tą młodą damą, która pierwsza wpadła na pomysł, aby dać do rozwiązania słynne zagadki zen uniwersyteckim komputerom.

- Ja tylko pierwsza wprowadziłam to w życie - poprawiła go Joan. - Ale pomysł pochodził od mojego przyjaciela, Raya Meritana. Szarozielonego harfisty jazzowego.

- Jazz i zen - westchnął Crofts. - No cóż, może nasze państwo będzie miało z pani pożytek na Kubie.

- Muszę wyjechać z Los Angeles, Ray - powiedziała do Raya Meritana. - Nie mogę już wytrzymać tutejszego życia.

Podeszła do okna jego mieszkania i spojrzała na błyszczący w dali tor kolei jednoszynowej. Mknął po nim z błyskawiczną szybkością srebrzysty wagon - czym prędzej odwróciła wzrok. Gdybyśmy tylko potrafili cierpieć, pomyślała. Oto, czego nam brak, prawdziwego doświadczenia w cierpieniu, bo zawsze od wszystkiego możemy uciec. Nawet od tego.

- Przecież wyjeżdżasz - odparł Ray. - Jedziesz na Kubę nawracać bogatych kupców i bankierów na ascetyzm. Oto prawdziwy paradoks zen: jeszcze ci za to zapłacą. - Parsknął śmiechem. - Gdyby wpakować to do komputera, mógłby powstać niezły galimatias. W każdym razie nie będziesz musiała siedzieć co wieczór w Crystal Hall słuchając mojej muzyki, jeśli od tego tak spieszno ci uciec.

- Nie - powiedziała Joan - będę nadal słuchać cię w telewizji. Może nawet posłużę się twoją muzyką podczas wykładów. - Z palisandrowej komody w rogu pokoju wyjęła pistolet kaliber 32, należący niegdyś do drugiej żony Raya Meritana, Edny, która zabiła się nim pewnego deszczowego popołudnia w lutym zeszłego roku. - Mogę go wziąć? - spytała.

- Z przyczyn sentymentalnych? - zapytał Ray. - Dlatego że zrobiła to z twojego powodu?

- Edna nie zrobiła nic z mojego powodu. Lubiła mnie. Nie mam

zamiaru brać odpowiedzialności za samobójstwo twojej żony, mimo iż dowiedziała się o naszej, jak by to powiedzieć, znajomości.

Ray odparł melancholijnie:

- I pomyśleć, że nikt inny tylko ty jesteś tą osobą, która namawia ludzi, aby brali winę na siebie, zamiast zrzucać ją na cały świat. Jak nazwałaś swoją zasadę, kochanie? Ach, prawda - zaśmiał się. - „Zasada anty-paranoi”. Lekarstwo doktor Joan Hiashi na choroby umysłowe: przyjmij winę, weź ją w całości na siebie. - Zmierzył ją wzrokiem i dodał sucho: - Dziwię się, że nie jesteś wyznawczynią Wilbura Mercera.

- Tego błazna - prychnęła Joan.

- To część jego uroku. Chodź, pokażę ci. - Ray włączył odbiornik telewizyjny w drugim rogu pokoju, beznogie czarne pudło w stylu orientalnym ozdobione smokami z dynastii Sung.

- To ciekawe, że wiesz, kiedy jest jego program - zauważyła Joan.

Ray zamruczał wzruszając ramionami:

- Interesuje mnie to. Nowa religia wypierająca zen, która przybyła ze Środkowego Wschodu i podbija teraz Kalifornię. Ty też powinnaś się tym zainteresować, skoro uważasz religię za swoją profesję. Dzięki niej dostałaś pracę. Religia płaci twoje rachunki, moja droga, więc jej nie lekceważ.

Obraz telewizyjny się rozjaśnił i pokazał się Wilbur Mercer.

- Dlaczego on nic nie mówi? - spytała Joan.

- Mercer złożył w tym tygodniu śluby całkowitego milczenia. - Ray zapalił papierosa. - Departament Stanu powinien być wysłać mnie, a nie ciebie. Jesteś wątpliwym ekspertem.

- Przynajmniej nie jestem błaznem - odparła Joan. - Ani wyznawcą błazna.

- Istnieje takie powiedzenie zen - przypomniał jej Ray łagodnie: - „Budda jest kawałkiem papieru toaletowego”. I inne: „Budda często...”

- Cicho bądź! - przerwała ostro. - Chcę obejrzeć Mercera.

- Ach, chcesz go sobie obejrzeć - głos Raya był nabrzmiały ironią. - O to ci chodzi, na miłość boską? Nikt nie ogląda Mercera, na tym właśnie cała rzecz polega. - Wrzuciwszy papierosa do kominka, podszedł do telewizora, przed którym Joan zauważyła metalową

skrzynkę z dwoma uchwytami, podłączoną do odbiornika podwójnym przewodem. Ray wziął w ręce uchwyty i natychmiast jego twarz wykrzywiła się grymasem bólu.

- Co ci jest? - spytała zaniepokojona Joan.

- N...nic. - Trzymał dalej uchwyty. Na ekranie Wilbur Mercer szedł wolno po jałowym, skalistym zboczku opustoszałego wzgórza z wyrazem głębokiego spokoju - czy może nieobecności - na uniesionej w górę twarzy o wyostrzonych rysach mężczyzny w średnim wieku. Z głębokim westchnieniem Ray puścił uchwyty.

- Tym razem mogłem je utrzymać tylko przez czterdzieści pięć sekund. - Zwrócił się do Joan z wyjaśnieniem: - To przekaźnik empatii, moja droga. Nie mogę ci powiedzieć, w jaki sposób go dostałem, prawdę mówiąc sam nie wiem. Oni go przynieśli, ta jakaś organizacja, która je rozprowadza, Spółka Akcyjna Wilcer. Za to mogę ci powiedzieć, że kiedy bierzesz w ręce te uchwyty, nie oglądasz już Wilbura Mercera, ale uczestniczysz w jego przeżyciach. Czujesz dokładnie to, co on czuje.

- Wygląda na to, że to bolesne.

- Tak - odparł spokojnie Ray Meritan. - Ponieważ Wilbur Mercer jest ścigany przez zabójców. Zmierza właśnie do miejsca, gdzie go zabiją.

Joan ze zgrozą odsunęła się od skrzynki.

- Sama zauważyłaś, że tego właśnie nam trzeba - przypomniał Ray. - Nie zapominaj, że jestem całkiem niezłym telepatą. Nie muszę się zbytnio wysilać, żeby odczytać twoje myśli. Gdybyśmy tylko mogli cierpieć, oto co myślałaś nie tak dawno temu. No więc, nadarza ci się okazja, Joan.

To zwyrodnienie!

- Czy pomyślałaś „To zwyrodnienie?”

- Tak!

Ray Meritan rzekł:

- Wilbur Mercer ma już dwadzieścia milionów zwolenników. Na całym świecie. Cierpią razem z nim podczas jego wędrówki do Pueblo w Colorado. Przynajmniej podobno tam właśnie zmierza, aczkolwiek osobiście mam co do tego pewne wątpliwości. Tak czy owak merceryzm jest teraz tym, czym kiedyś był zen; jedziesz na Kubę propagować wśród bogatych chińskich bankierów rodzaj ascetyzmu,

który już jest przestarzały, już się przeżył.

Joan w milczeniu odwróciła się od niego i patrzyła na idącego Mercera.

- Wiesz, że mam rację - ciągnął Ray. - Wychwytyję twoje emocje. Możesz nawet sama nie być ich świadoma, ale gdzieś w głębi tak czujesz.

Na ekranie w Mercera rzucono kamieniem. Trafił go w ramię. Joan zdała sobie sprawę, że wszyscy trzymający teraz przekaźnik empatii poczuli to razem z nim.

Ray kiwnął głową:

- Masz rację.

- A co się stanie, kiedy... kiedy go już naprawdę zabiją?

Wzdrygnęła się.

- Zobaczymy - odparł spokojnie Ray. - Na razie nie wiemy.

II

- Myślę, że się mylisz, Boge - powiedział Sekretarz Stanu Douglas Herrick do Bogarta Crofts. - Dziewczyna może i jest kochanką Meritana, ale to nie znaczy, że cokolwiek wie.

- Poczekamy, co nam powie pan Lee - odparł Crofts zniecierpliwionym tonem. - Kiedy Hiashi wyląduje w Hawanie, będzie już na nią czekał.

- A czy Lee nie może wysondować bezpośrednio Meritana?

- Jeden telepata sondujący drugiego? - Bogart Crofts uśmiechnął się do siebie na ten pomysł. Stworzyłoby to dość nonsensowną sytuację: Lee czytałby w myślach Meritana, który, również będąc telepatą, czytałby w myślach Lee i odkrył, że ten czyta w jego myślach, a Lee z kolei odkryłby, że Meritan to wie, i tak dalej, i tak dalej. Nie kończący się kołowrotek, w wyniku którego Meritan wystrzegałby się najstaranniej wszelkiej myśli o Wilburze Mercerze.

- Najbardziej przekonuje mnie to podobieństwo nazwisk - mówił Herrick. - Meritan, Mercer. Pierwsze trzy litery...

- Ray Meritan nie jest Wilburem Mercerem - przerwał mu Crofts. - Powiem ci, skąd to wiemy. Nagraliśmy w CIA taśmę magnetowidową z programem Mercera, powiększyliśmy ją i zanalizowali. Mercer był pokazany na zwykłym ponurym tle kaktusów, piasku i skał... sam

wiesz.

- Tak - przytaknął Herrick. - Nazywają to Pustynią.

- W powiększeniu ujrzelśmy coś na niebie, co następnie zostało zbadane. To nie Księżyc. To jakiś księżyc, ale mniejszy od ziemskiego. Mercer nie jest na Ziemi. Przypuszczam, że w ogóle nie jest istotą ziemską.

Pochyliwszy się Crofts podniósł małą metalową skrzynkę, ostrożnie omijając oba uchwyty.

- Tego też nie zaprojektowano ani nie wykonano na Ziemi. Cały Ruch Mercerowski jest nie z tej planety i to fakt, z którym musimy się pogodzić.

Herrick rzekł:

- Jeśli Mercer nie jest Ziemianinem, to mógł cierpieć i umierać przedtem na innych planetach.

- O tak - przyznał Crofts. - Mercer, czy jak się tam on lub to coś w rzeczywistości nazywa, może być wysoce wyspecjalizowany w tej dziedzinie. Ale nadal nie znamy odpowiedzi na pytanie, które nas interesuje. - A pytanie to oczywiście brzmiało: „Co dzieje się z ludźmi trzymającymi uchwyty przekaźnika empatii?”

Crofts usadowił się za biurkiem i wlepił wzrok w stojącą przed nim skrzynkę z dwoma zachęcającymi uchwytami. Nigdy ich nie dotknął i nie zamierzał. Ale...

- Kiedy Mercer umrze? - zapytał Herrick.

- Spodziewają się tego pod koniec przyszłego tygodnia.

- I sądzisz, że Lee wydobędzie coś z dziewczyny do tej pory? Jakąś wskazówkę co do jego prawdziwego miejsca pobytu?

- Mam nadzieję - odpowiedział Crofts, nadal siedząc przy przekaźniku empatii, lecz go nie ruszając. To musi być dziwne uczucie, myślał, położyć ręce na dwóch najzwyczajniej wyglądających metalowych uchwytach i naraz przekonać się, że nie jest się już sobą, tylko zupełnie kimś innym, w innym miejscu, kimś mozolnie zmierzającym w górę ponurego zbocza ku pewnej śmierci. Przynajmniej tak mówią. Ale kiedy się o tym słyszy... co to właściwie znaczy? A gdybym tak sam spróbował?

Uczucie przenikliwego bólu... nie, to go przeraziło, powstrzymało. Nie mógł uwierzyć, że ludzie tego świadomie szukają, zamiast unikać.

Wzięcie do rąk uchwytów przekaźnika empatii z pewnością nie oznaczało chęci ucieczki. Nie było to unikanie czegoś, lecz szukanie czegoś. I to nie jedynie bólu – Crofts był dość inteligentny, aby zdawać sobie sprawę, że merceryści nie są zwykłymi masochistami, którzy lubują się w samoudręczeniu. Wiedział, że tym, co intryguje zwolenników Mercera, jest istota i znaczenie bólu.

Oni cierpieli za coś.

Powiedział głośno do swojego przełożonego:

- Wybierają cierpienie, żeby zanegować swoją własną, osobistą egzystencję. To wspólnota, w której wszyscy cierpią i przeżywają wspólnie ciężkie przejścia Mercera. – Jak Ostatnia Wieczera, pomyślał. Oto prawdziwy klucz: wspólnota, współuczestniczenie, które leży u podstaw każdej religii. Albo powinno leżeć. Religia wiąże ludzi w jedną zwartą grupę, która zostawia wszystkich innych na zewnątrz.

- Ale zasadniczo jest to ruch polityczny albo też musi być w ten sposób traktowany – odrzekł Herrick.

- Z naszego punktu widzenia – zgodził się Crofts. – Nie z ich.

Interkom na biurku zabuczał i odezwał się głos sekretarki:

- Przyszedł pan John Lee.

- Niech wejdzie.

W drzwiach ukazał się wysoki, szczupły, młody Chińczyk z uśmiechem na ustach i z wyciągniętą ręką. Miał na sobie staroświecki jednorzędowy garnitur i spiczaste czarne buty. Gdy ściskali sobie dłonie, Lee spytał:

- Nie wyleciała jeszcze do Hawany, prawda?

- Prawda – poświadczył Crofts.

- Czy jest ładna?

- Tak – przyznał Crofts, patrząc z uśmiechem na Herricka. – Ale... trudna. Taka bardziej krnąbrna. Wyemancypowana, jeśli pan mnie rozumie.

- Och, typ sufrażystki – odparł Lee z uśmiechem. – Nie lubię tego rodzaju kobiet. Niezbyt łatwe zadanie, panie Crofts.

- Niech pan pamięta, że ma pan się tylko dać nawrócić. Ma pan po prostu słuchać jej nauk na temat zenu i nauczyć się paru prostych pytań w rodzaju „Czy ten kij to Budda?” oraz przygotować na kilka

niezrozumiałych uderzeń w głowę, co jak rozumiem, należy do praktyk zen i ma ponoć rozjaśniać umysł.

- Albo go zaciemniać - odparł Lee z szerokim uśmiechem. - Jak pan widzi, jestem przygotowany. Rozjaśniać, zaciemniać, w zenie to to samo. - Przybrał poważny wyraz twarzy. - Ja sam, naturalnie jestem komunistą - zaznaczył. - Podjąłem się tego zadania jedynie dlatego, że nasza Partia w Hawanie oficjalnie uznała, iż merceryzm jest rzeczą niebezpieczną i musi zostać zlikwidowany. - Zasepił się. - Trzeba przyznać, że ci merceryści są fanatykami.

- To prawda - zgodził się Crofts. - I należy ich wytępić. - Wskazał na przekaźnik empatii. - Czy pan kiedyś...?

- Tak - powiedział Lee. - To rodzaj kary. Narzuconej sobie niewątpliwie z powodu poczucia winy. Nadmiar wolnego czasu potrafi wywołać taką reakcję u ludzi, jeśli nimi odpowiednio pokierować.

Crofts pomyślał: ten człowiek nic nie rozumie. Jest zwykłym materialistą. Typowym osobnikiem urodzonym w rodzinie komunistycznej i wychowanym w komunistycznym społeczeństwie. Wszystko jest albo czarne, albo białe.

- Myli się pan - powiedział Lee, odczytawszy jego myśli.

Crofts zaczerwienił się i rzekł:

- Przepraszam, zapomniałem. Nie chciałem pana urazić.

- Sądząc po pana myślach - ciągnął Lee - uważa pan, że Wilbur Mercer, jak się sam nazywa, może być istotą pozaziemską. Czy zna pan stanowisko Partii w tej sprawie? Dyskutowaliśmy o tym parę dni temu. Partia jest zdania, że w naszym Układzie Słonecznym nie ma życia na innych planetach, a wiara w istnienie jakichś pozostałości przedstawicieli wyższej rasy to zwykłe zacofanie.

Crofts westchnął.

- Jak można rozstrzygać takie empiryczne zagadnienia przez głosowanie, i to na podstawie czysto politycznych przesłanek, tego nie rozumiem.

W tym miejscu wtrącił się Sekretarz Herrick, uspokajając obu mężczyzn.

- Proszę, nie traćmy czasu na dyskusje o problemach teoretycznych, co do których się nie zgadzamy. Trzymajmy się zasadniczego tematu: Partii Mercerystów i jej gwałtownie rosnącej

popularności na całym świecie.

- Oczywiście, ma pan rację - przyznał Lee.

III

Na lotnisku w Hawanie Joan Hiashi rozejrzała się wokół, podczas gdy inni pasażerowie pospiesznie zdążali z samolotu do wyjścia numer dwadzieścia.

Krewni i przyjaciele jak zwykle wysunęli się ostrożnie wbrew przepisom na brzeg płyty. Zobaczyła wśród nich wysokiego, szczupłego, młodego Chińczyka z uśmiechem powitania na twarzy.

Idąc w jego kierunku, zawołała:

- Pan Lee?

- Tak. - Podeszedł szybko. - Pora na kolację. Nie ma pani ochoty czegoś przekąsić? Wezmę panią do restauracji Hang Far Lo. Mają kaczkę duszoną i zupę z ptasich gniazd, wszystko po kantońsku... bardzo słodkie, ale niezłe raz na jakiś czas.

Wkrótce siedzieli w restauracji, w obitej czerwonej skórą łoży z imitacji tekowego drewna. Wokół nich rozlegały się chińskie i kubańskie głosy, w powietrzu unosił się zapach smażonej wieprzowiny i dymu z cygar.

- Pan jest przewodniczącym Hawańskiego Instytutu Studiów Azjatyckich? - spytała po prostu, żeby się upewnić, że nie zaszła żadna pomyłka.

- Tak. Kubańska Partia Komunistyczna niechętnie na nas patrzy z powodu religii. Ale wielu tutejszych Chińczyków chodzi na nasze wykłady albo uczy się drogą korespondencyjną. I jak pani wie, gościliśmy u siebie kilku znakomitych uczonych z Europy i Azji Południowej. Przy okazji... jest taka przypowieść zen, której nie rozumiem. O mnichu, który przeciął kotka na pół. Studiowałem ją i rozmyślałem nad nią, ale nie widzę, gdzie tu miejsce dla Buddy w okrucieństwie wobec zwierząt. - Dodał szybko: - Nie chcę się z panią kłócić, szukam jedynie wytłumaczenia.

- Ze wszystkich przypowieści zenu ta sprawia najwięcej kłopotu - powiedziała Joan. - Właściwe pytanie, jakie należy tu zadać, brzmi: „Gdzie teraz jest ten kotek?”

- To mi przypomina początek „Bhagavad-Gity” - kiwnął głową Lee. -

Ardżura rzecze:

„Gandiva wypada z mych rąk...

Złowróźbne też widzę znaki!

A pożytku w tej bratobójczej walce nie zdołam dojrzeć żadnego”.

- Właśnie - rzekła Joan. - I oczywiście przypomina pan sobie odpowiedź Kriszny. To najdonioślejsze słowa na temat śmierci i działania w całej prebuddyjskiej religii.

Przyszedł kelner. Był Kubańczykiem, w khaki i berecie.

- Niech pani spróbuje smażone won ton - poradził Lee. - I chow yuk, i naturalnie paszteciki. Macie dziś paszteciki z jajkiem? - zapytał kelnera.

- Oczywiście, senior Lee. - Kelner podłubał w zębach wykałaczką. Lee złożył zamówienie i kelner odszedł.

- Wie pan - powiedziała Joan - kiedy jest się tak długo z telepatą jak ja, człowiek zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, że ktoś intensywnie usiłuje wwiерcić mu się do mózgu. Zawsze wiedziałam, kiedy Ray chciał coś ze mnie wydobyć. Pan jest telepatą. I stara się pan najusilniej czytać teraz w moich myślach.

Lee uśmiechnął się.

- Chciałbym, żeby tak było, panno Hiashi.

- Nie mam nic do ukrycia - powiedziała Joan. - Ale ciekawa jestem, co pana tak we mnie interesuje. Wie pan, że jestem pracowniczką Departamentu Stanu Stanów Zjednoczonych, nie ma w tym żadnej tajemnicy. Czy boi się pan, że przyjechałam na Kubę w charakterze szpiega? Obserwować instalacje wojskowe? Czy coś w tym rodzaju? - Poczula się przygnębiona. - Ten początek nie wróży nic dobrego - dodała. - Nie był pan ze mną szczery.

- Jest pani bardzo atrakcyjną kobietą, panno Hiashi - odrzekł Lee wcale nie zbity z tropu. - Chciałem tylko wybadać... mogę mówić otwarcie...? pani stosunek do seksu.

- Kłamie pan - odparła Joan spokojnie.

Uprzejmy uśmiech zamarł mu na ustach; spojrział na nią zdumiony.

- Zupa z gniazd ptasich, senior. - Kelner wrócił. Postawił na środku stołu gorącą, parującą wazę. - Herbata. - Dostawił czajnik i dwie małe białe filiżaneczki bez uszek. - Seniorita, czy życzy pani sobie pałeczki?

- Nie - odpowiedziała bezmyślnie.

Spoza przepierzenia dobiegł okrzyk bólu. Oboje, Joan i Lee, zerwali się na równe nogi. Lee rozsunął zastonę, kelner stał tam nadal i śmiał się.

Przy stoliku w przeciwległym rogu restauracji siedział starszy Kubańczyk z rękami na uchwytych przekaźnika empatii.

- Tu też - powiedziała Joan.

- Zatruwają ludziom życie - rzekł Lee. - Nie dadzą nawet zjeść w spokoju.

- Świry - rzucił kelner. Potrząsnął głową, wciąż chichocząc.

- Tak... - powiedziała Joan. - Panie Lee, mam zamiar tu zostać, starając się jak najlepiej wykonać swoją pracę, mimo tego co zaszło między nami. Nie wiem, dlaczego specjalnie wysłali mi na spotkanie telepatę, może to typowa dla komunistów paranoiczna obawa przed obcymi, ale w każdym razie mam tu zadanie do wykonania i zamierzam się z niego wywiązać. Może wrócimy więc do kwestii rozpołowionego kotka?

- Przy jedzeniu? - zaprotestował słabym głosem Lee.

- Pan poruszył to zagadnienie - oświadczyła Joan i kontynuowała temat mimo wyrazu głębokiej boleści na twarzy współtowarzysza, grzebiącego łyżką w talerzu z zupą z gniazd ptasich.

W studio telewizyjnej stacji KKHF w Los Angeles Ray Meritan siedział przy harfie czekając na sygnał. Postanowił zagrać na początek „Jak wysoko stoi księżyc”. Ziewnął, patrząc cały czas w okno reżyserki.

Obok niego, przy tablicy, komentator jazzowy Glen Goldstream polerował swoje okulary bez oprawek cienką bawełnianą chusteczką do nosa i mówił:

- Chyba dzisiaj nawiążę do Gustawa Mahlera.

- Kto to, u diabła?

- Wielki dziewiętnastowieczny kompozytor. Bardzo romantyczny. Pisał długie dziwaczne symfonie i pieśni ludowe. Myślę jednak o rytmicznych frazach w „Pijaku na wiosnę” z „Pieśni o ziemi”. Nigdy tego nie słyszałeś?

- Nie - mruknął Meritan niecierpliwie.

- Bardzo szaro-zielone.

Ray Meritan nie czuł się jednak tego wieczoru szczególnie szaro-

zielono. Głowa nadal go bolała od kamienia rzuconego w Wilbura Mercera. Chciał puścić przekaznik empatii, kiedy zobaczył nadlatujący kamień, ale nie zdążył. Kamień uderzył Mercera w prawą skroń, raniąc go do krwi.

- Spotkałem dzisiaj trzech mercerystów - powiedział Glen. - I wszyscy wyglądali okropnie. Co się dziś przydarzyło Mercerowi?

- Skąd ja mam wiedzieć?

- Nosisz się dokładnie jak oni. To głowa, tak? Dobrze cię znam, Ray. Musisz spróbować wszystkiego co nowe i oryginalne; a zresztą, co mnie obchodzi, jesteś czy nie jesteś mercerystą? Myślałem tylko, że może chciałbyś jakiś proszek przeciwbólowy.

Ray Meritan odparł cierpko:

- To zniweczyłoby całą ideę, nie sądzisz? Proszek przeciwbólowy. Hej, panie Mercer, tam na zboczu, może mały zastrzyk morfiny? Nie będzie pan czuł nic a nic. - Zagrał parę taktów na harfie, wyładowując emocje.

- Wchodźcie na wizję - powiedział reżyser zza szyby.

Ich sygnał, melodia „Róg obfitości” popłynęła z taśmy w reżyserce i kamera numer dwa zdejmująca Goldstreama rozbłysła czerwonym światłem. Złożywszy ręce na piersiach, Goldstream powiedział: „Dobry wieczór, panie i panowie. Co to jest jazz?”

To samo pytanie i ja sobie zadaję, pomyślał Meritan. Co to jest jazz? Co to jest życie? Potarł pękające z bólu czoło i przestraszył się, jak zdoła wytrzymać następny tydzień. Wilbur Mercer zbliżał się do końca. Z każdym dniem będzie gorzej...

- Zaraz po krótkiej przerwie - mówił Goldstream - wrócimy do państwa, żeby opowiedzieć więcej o świecie szaro-zielonych kobiet i mężczyzn, tych osobliwych ludzi, i o świecie sztuki jedyne go i niepowtarzalnego Raya Meritana.

Na monitorze naprzeciw ukazała się reklama. Meritan powiedział do Goldstreama:

- Wezmę jednak ten proszek.

Podano mu żółtą, płaską, karbowaną tabletkę.

- Parakodeina - powiedział Goldstream. - Środek wysoce nielegalny, ale skuteczny. Ma właściwości narkotyczne... Dziwię się, że kto jak kto, ale ty go nie zażywasz.

- Kiedyś zażywałem – przyznał Ray popijając tabletkę wodą.

- A teraz przerzuciłeś się na merceryzm.

- Teraz... – spojrzał na Goldstreama; znali się na gruncie zawodowym od lat. – Nie jestem mercerystą, więc daj spokój, Glen. To zwykły przypadek, że rozboleła mnie głowa akurat w dniu, kiedy Mercera rąbnął ostrym kamieniem w skroń jakiś zwyrodniały sadysta, który powinien zamiast niego wspinać się po tym zboczu. – Obrzucił Goldstreama gniewnym spojrzeniem.

- Jak słyszę – powiedział Goldstream – nasz Departament Zdrowia Umysłowego ma zamiar zwrócić się z prośbą do Departamentu Sprawiedliwości o zatrzymanie wszystkich mercerystów.

Nagle odwrócił się do kamery drugiej. Przywołał na twarz lekki uśmiech i powiedział gładko:

- Ruch szaro-zielonych rozpoczął się mniej więcej cztery lata temu, w Pinole, w Kalifornii, w zasłużenie słynnym dziś klubie „Podwójna Dawka”, gdzie w latach tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt trzy, dziewięćdziesiąt cztery grał Ray Meritan. Dzisiaj Ray zagra dla nas jeden ze swoich najbardziej znanych i lubianych przebojów „Dawna miłość do Amy”. – Wskazując na niego szerokim gestem, zapowiedział: – Ray... Meritan!

Plum, plum, zadźwięczała harfa, gdy palce Raya zaczęły przebiegać po jej strunach. Żywy przykład, pomyślał grając. Oto co FBI ze mnie zrobi dla nastolatków, żeby im pokazać, na kogo nie należy wyrosnąć. Najpierw parakodeina, teraz Mercer. Strzeżcie się, dzieciaki!

Poza kamerą Glen Goldstream uniósł w górę kartkę ze słowami: CZY MERCER JEST ISTOTĄ POZAZIEMSKĄ? Pod spodem napisał flamastrem: Tego właśnie chcą się dowiedzieć.

Inwazja z innej planety, oto czego się obawiają, myślał Meritan grając. Strach przed nieznanym, jak u małych dzieci. Oto nasze koła rządzące: małe, przestraszone dzieci, bawiące się w odwieczne gry superpotężnymi zabawkami.

Z reżyserki dobiegała go myśl jednego z pracowników: *Mercer jest ranny*. Natychmiast skierował w tę stronę uwagę, starając się wysondować jak najwięcej. Jego palce refleksyjnie brzdąkały na harfie.

Rząd zabrania używania przekazników empatii.

Pomyślał natychmiast o swoim własnym przekazniku przed

telewizorem w bawialni swojego mieszkania.

Organizacja, która je rozprowadza i sprzedaje, została uznana za nielegalną, a FBI poczyniła już szereg aresztowań w kilku większych miastach. Oczekuje się, że inne kraje postąpią podobnie.

Jak ciężko ranny? zastanawiał się. Umierający?

A co z mercerystami, którzy w tamtej chwili trzymali uchwyty przekaźników empatii? Co się z nimi teraz dzieje? Są pod opieką medyczną?

Czy powinniśmy od razu nadać tę wiadomość? zastanawiał się tamten. *Czy poczekać do reklamy?*

Ray Meritan przestał grać na harfie i powiedział wyraźnie do mikrofonu:

- Wilbur Mercer został ranny. Chociaż wszyscyśmy tego oczekiwali, to wielka tragedia. Mercer jest święty.

Glen Goldstream patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

- Wierzę w Mercera - mówił Ray Meritan i w całych Stanach Zjednoczonych jego telewizyjna publiczność usłyszała to wyznanie wiary. - Wierzę, że jego cierpienie, rany i śmierć mają znaczenie dla każdego z nas.

A więc stało się - podał to do publicznej wiadomości. I nie wymagało to nawet wielkiej odwagi.

- Módlcie się za Wilbura Mercera - powiedział i podjął swą szarozieloną muzykę.

Ty głupcze, myślał Glen Goldstream. Ujawnić się w ten sposób! W ciągu tygodnia znajdziesz się w więzieniu. Twoja kariera będzie skończona!

Plum, plum, grał Ray na harfie, uśmiechając się niewesoło do Glena.

IV

Lee mówił:

- Czy zna pani historię mnicha zen, który bawił się w chowanego z dziećmi? Czy to Basho opowiada? Mnich schował się w szopie, a dzieciom nie przyszło do głowy, żeby tam zajrzeć, więc w końcu o nim zapomniały. Był to bardzo prosty człowiek. Następnego dnia...

- Zgadzam się, że w zenie można dopatrzeć się pewnej głupoty - przyznała Joan. - Sławi prostotę i łatwowierność. A niech pan pamięta,

że „łatwowierny” pierwotnie znaczyło kogoś, kto łatwo daje się nabrać, oszukać. – Pociągnęła łyk herbaty, która okazała się już zimna.

- Wobec tego jest pani prawdziwą wyznawczynią zen – powiedział Lee. – Ponieważ dała się pani nabrać. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął pistolet, który wycelował w Joan. – Jest pani aresztowana.

- Przez rząd Kuby? – zdołała wykrztusić.

- Przez rząd Stanów Zjednoczonych – odparł Lee. – Przeczytałem pani myśli i dowiedziałem się, że pani wie, iż Ray Meritan jest zdecydowanym mercerystą, a i pani sama skłania się ku merceryzmowi.

- Ależ nic podobnego!

- Podświadomie się pani skłania. Jest pani na granicy nawrócenia się. Wyczuwam takie myśli, nawet jeśli pani sama im przeczy. Lecimy z powrotem do Stanów, pani i ja, tam znajdziemy pana Raya Meritana, który zaprowadzi nas do Wilbura Mercera, ot i wszystko.

- I dlatego zostałam wysłana na Kubę?

- Jestem członkiem Komitetu Centralnego Kubańskiej Partii Komunistycznej – odparł Lee. – I jedynym telepatą w tym Komitecie. Przegłosowaliśmy współpracę z Departamentem Stanu Stanów Zjednoczonych w zakresie zwalczania obecnego zagrożenia merceryzmem. Nasz samolot, panno Hiashi, odlatuje do Waszyngtonu za pół godziny, musimy już jechać na lotnisko.

Joan Hiashi rozejrzała się bezradnie po restauracji. Goście przy stolikach, kelnerzy... nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Kiedy mijają ich jakiś kelner z wyładowaną tacą, wstała.

- Ten człowiek chce mnie porwać – powiedziała. – Proszę mi pomóc.

Kelner spojrzał na pana Lee, poznał go, uśmiechnął się do Joan i wzruszył ramionami.

- To pan Lee, bardzo ważna osobistość – powiedział i odszedł ze swoją tacą.

- Ma rację – rzekł Lee.

Joan wybiegła z łoży i przebiegła przez salę.

- Niech mi pan pomoże – zwróciła się do starszego kubańskiego mercerysty, który siedział z przekaźnikiem empatii przy stoliku. – Jestem mercerystką, chcą mnie aresztować.

Mężczyzna podniósł pobrużdżoną twarz, przyjrzał się jej uważnie.

- Proszę mi pomóc - powtórzyła.

- Chwała Mercerowi - odrzekł.

On nie może mi pomóc, uświadomiła sobie. Odwróciła się do pana Lee, który podążył za nią, wciąż trzymając ją na muszce.

- Ten stary nie kiwnie palcem - powiedział. - Nawet nie wstanie od stołu.

- Tak, wiem - poddała się.

Telewizor w rogu nagle przestał nadawać swój całodzienny bełkot, z ekranu zniknęła twarz kobiety i butelka płynu do zmywania i obraz się zaczernił. Później z głośnika popłynął po hiszpańsku komunikat.

- Jest ranny - oznajmił Lee, słuchając. - Ale jeszcze żyje. Jak się pani czuje, panno Hiashi, jako mercerystka? Czy to panią boli? Ach, prawda, trzeba trzymać uchwyty, żeby cierpieć. To musi być akt dobrowolny.

Joan chwyciła przekaźnik empatii starego Kubańczyka, pottrzymała chwilę, a potem sięgnęła po uchwyty. Lee patrzył na nią w zdumieniu, przysunął się, chcąc jej odebrać skrzynkę...

To, co czuła, to nie był ból. Czy tak właśnie ma być? zastanawiała się, patrząc na przyćmione i jakby odległe wnętrza restauracji. Może Wilbur Mercer jest nieprzytomny - tak, z pewnością. Ucieknę ci, powiedziała w myślach do Lee. Nie możesz, albo przynajmniej nie zechcesz, podążyć za mną do świata śmierci Wilbura Mercera, który umiera gdzieś na pustyni okrążony przez nieprzyjaciół. Teraz jestem z nim. Uciekłam od czegoś jeszcze gorszego. Od ciebie. I nigdy już mnie nie dostaniesz.

Zobaczyła wokół siebie wielką pustą przestrzeń. W powietrzu unosił się zapach zeschłej roślinności; była na pustyni, gdzie dawno nie padał deszcz.

Stał przed nią mężczyzna ze smutnym blaskiem w szarych, udręczonych oczach.

- Jestem twoim przyjacielem - powiedział - ale musisz żyć nadal tak, jakbym nie istniał. Czy to rozumiesz? - Rozłożył ręce.

- Nie - odparła. - Nie rozumiem.

- Jak mogę cię uratować - mówił mężczyzna - skoro nie potrafię uratować samego siebie? - Uśmiechnął się: - Nie widzisz tego? Nie ma

ratunku.

- Więc po co to wszystko?

- Żeby ci pokazać - powiedział Wilbur Mercer - że nie jesteś sama. Jestem tu z tobą i zawsze będę. Wracaj i staw im czoło. I powiedz im to.

Puściła uchwyt.

Lee, z przystawionym do niej pistoletem, spytał:

- No i co?

- Jedziemy - powiedziała. - Z powrotem do Stanów Zjednoczonych. Niech mnie pan odda w ręce FBI. To nie ma znaczenia.

- Co pani widziała? - spytał z ciekawością.

- Nie powiem panu.

- Ale i tak się dowiem. Z pani myśli. - Sondował ją teraz, słuchając z głową przechyloną na bok. Kąciki ust mu opadły, nadając twarzy wyraz naburmuszenia.

- Nie pojmuję - rzekł. - Mercer patrzy pani w oczy i mówi, że nic nie może dla pani zrobić; czy to ten człowiek, za którego oddałaby pani życie, pani i inni? Jesteście chorzy.

- W świecie szaleńców ludzie chorzy są zdrowymi.

- Co za nonsens - odparł Lee.

W parę godzin później mówił do Bogarta Croftsa:

- To było bardzo interesujące. Stała się mercerystką dosłownie na moich oczach. Ukryte pragnienie przekształciło się w rzeczywistość... co świadczy, że prawidłowo odczytałem jej myśli.

- Lada chwila powinniśmy mieć Meritana - zwrócił się Crofts do swojego przełożonego, Sekretarza Stanu Herricka. - Wyszedł już ze studia telewizyjnego w Los Angeles, gdzie się dowiedział o ciężkim stanie Mercera. Potem nikt nie wie, co się z nim dalej działo. Do swojego mieszkania nie wrócił. Tamtejsza policja zarekwirowała mu przekaźnik empatii i twierdzą, że się w domu nie pokazał.

- Gdzie jest Joan Hiashi? - spytał Crofts.

- Została zatrzymana w Nowym Jorku - odparł Lee.

- Pod jakim zarzutem?

- Politycznej agitacji szkodliwej dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych.

Uśmiechając się Lee dodał:

- I pomyśleć, że została aresztowana przez komunistę na Kubie. Oto paradoks zen, który jej chyba jednak nie ucieszy.

Bogart Crofts uzmysłowił sobie tymczasem, że wszędzie rekwiruje się teraz wiele przekazników empatii. Wkrótce zaczną je niszczyć. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin większość przekazników empatii w Stanach Zjednoczonych przestanie istnieć, łącznie z tym tutaj.

Skrzynka nadal stała na jego biurku, nietknięta. On sam prosił, żeby ją tu przyniesiono, ale przez cały czas trzymał się od niej z daleka, nie czując nawet pokusy, aby ją wypróbować. Teraz podszedł do niej.

- Co by się stało - zapytał pana Lee - gdybym wziął do rąk te uchwyty? Nie ma tu telewizora. Nie mam pojęcia, co robi w tej chwili Wilbur Mercer, z tego co wiem, pewno już nie żyje.

Lee odparł:

- Jeśli weźmie pan te uchwyty, przystąpi pan do... waham się użyć tego określenia, ale wydaje mi się odpowiednie... do mistycznej wspólnoty. Jak pan wie, będzie pan dzielił cierpienie wraz z Mercerem, gdziekolwiek jest, ale to nie wszystko. Będzie pan także uczestniczył w jego... jak by to powiedzieć? „Widzeniu świata” to nieprecyzyjny termin. Ideologii? Nie.

- Może „stanie transu”? - podsunął Herrick.

- Może to najodpowiedniejsze określenie - przyznał Lee z grymasem niechęci. - Ale nie, też nie. Żadne słowo tu nie pasuje i to właśnie cały problem. Tego nie można opisać, to się musi przeżyć.

- Spróbuję - postanowił Crofts.

- Nie - zaprotestował Lee. - Nie radzę. Zdecydowanie pana przed tym ostrzegam. Widziałem, jaka zmiana zaszła w pannie Hiashi, kiedy to zrobiła. Czy zażył pan także parakodeinę, kiedy była modna w bezideowych, kosmopolitycznych kołach? - spytał z gniewem.

- Zażyłem - odparł Crofts. - Zupełnie na mnie nie działała.

- Co chcesz przez to osiągnąć, Boge? - spytał Herrick.

Bogart Crofts wzruszył ramionami.

- Po prostu nie mogę zrozumieć, jak można coś takiego polubić, chcieć do tego wracać. - I wziął do rąk oba uchwyty przekaznika empatii.

Idąc wolno w deszczu, Ray Meritan powiedział do siebie: Zabrali mój przekaźnik empatii i jeśli wrócę do domu, zabiorą i mnie.

Uratował się dzięki swojemu talentowi telepatycznemu. Kiedy wchodził do budynku, pochwycił myśli czekających na niego w mieszkaniu policjantów.

Było już po północy. Prawdziwy kłopot polega na tym, pomyślał, że jestem zbyt dobrze znany z mojego cholernego programu telewizyjnego. Dokądkolwiek się udam, to mnie rozpoznają.

Przynajmniej na Ziemi.

Gdzie jest Wilbur Mercer? zadał sobie pytanie. W tym Systemie Słonecznym czy gdzieś poza nim pod zupełnie innym słońcem? Może się nigdy nie dowiemy. Lub przynajmniej ja się nie dowiem.

Ale czy miało to jakieś znaczenie? Wilbur Mercer gdzieś istniał i tylko to było ważne. I zawsze można się z nim skontaktować. Były przecież przekaźniki empatii – w każdym razie były do czasu nalotów policji. A Meritan miał wrażenie, że spółka, która je dostarczała i która ukrywała się w cieniu, poradzi sobie z policją. Jeżeli ma co do nich rację...

Przed sobą w mokrej ciemności ujrzał czerwone światła baru. Skręcił i wszedł do środka. Zwrócił się do barmana:

- Czy ma pan może przekaźnik empatii? Zapłacę panu za jego użycie sto dolarów.

Barman, duży, tęgi mężczyzna o włochatych rękach, odburknął:

- Nie mam nic takiego, spływasz pan.

Jeden z mężczyzn obserwujących przy barze tę scenę rzekł:

- Posiadanie ich jest teraz nielegalne.

- Patrzcie, przecież to Ray Meritan – zawołał drugi. – Ten jazzman.

- Gra dla nas szaro-zielony jazz, tak, tak – dodał leniwie trzeci, pociągając z kufła łyk piwa.

Meritan skierował się do wyjścia.

- Czekaj pan! – zawołał za nim barman. – Chwileczkę, chłopie. Idź pod ten adres. – Nagryzmołił coś na pudełku zapalek i podał Meritanowi.

- Ile jestem panu winien? – spytał Meritan.

- Pięć dolców i jesteśmy kwita.

Meritan zapłacił i wyszedł z pudełkiem zapalek w kieszeni. To

najpewniej adres miejscowego posterunku policji, pomyślał, ale jednak spróbuję.

Gdybym tylko mógł jeszcze raz dostać do rąk przekaźnik empatii...

Pod adresem, który dał mu barman, znajdował się stary, zniszczony, drewniany budynek w centrum Los Angeles. Zapukał do drzwi i czekał.

Drzwi się uchyliły. Wyjrzała przez nie tęga kobieta w średnim wieku, w szlafroku i kapciach.

- Nie jestem z policji - powiedział. - Jestem mercerystą. Czy mógłbym skorzystać z pani przekaźnika empatii?

Drzwi otworzyły się szerzej, kobieta przyjrzała mu się bacznie i najwidoczniej uwierzyła, chociaż nic nie powiedziała.

- Przepraszam, że przeszkadzam tak późno - usprawiedliwił się.

- Co się panu stało? - spytała. - Nieszczęśliwie pan wygląda.

- To przez Wilbura Mercera - wyjaśnił. - Jest ranny.

- Proszę wejść - powiedziała kobieta i poprowadziła go szurając nogami do ciemnego, zimnego saloniku z papugą śpiącą w wielkiej, półokrągłej klatce z miedzianego drutu. Na staroświeckiej radioli stał przekaźnik empatii. Meritan poczuł na jego widok bezbrzeżną ulgę.

- Niech pan się nie krępuje - zachęciła go kobieta.

- Dziękuję - powiedział i wziął uchwyty.

W uchu zadźwięczał mu głos: „Posłużymy się dziewczyną. Zaprowadzi nas do Meritana. Miałem rację, że ją zatrudniłem”.

Ray nie rozpoznał głosu. Nie należał do Wilbura Mercera. Mimo to, zdumiony, trzymał mocno uchwyty i słuchał; siedział bez ruchu, z rękami zaciśniętymi po obu stronach skrzynki.

- Siły pozaziemskie zawsze przemawiały do wyobraźni najbardziej łatwowiernych grup społecznych, ale te grupy, co do czego nie mam wątpliwości, są manipulowane przez cyniczną mniejszość na szczycie drabiny społecznej, ludzi takich jak Meritan. Zbijają forszę na tej hecy wokół Wilbura Mercera, napychając sobie własne portfele. - Ciągnął pewny siebie głos.

Ray Meritan poczuł na jego dźwięk strach. Zdał sobie bowiem sprawę, że mówi to ktoś z tamtej strony, wróg. Jakimś cudem nawiązał kontakt empatyczny z nim, a nie z Wilburem Mercerem.

A może Wilbur zrobił to specjalnie, sam to zaaranżował? Słuchając dalej, usłyszał: „...musimy ściągnąć dziewczynę z Nowego Jorku

z powrotem tutaj, gdzie będziemy mogli bliżej ją wybadać”. - Głos dodał: „Jak już mówiłem Herrickowi...”

Herrick, Sekretarz Stanu. A więc to ktoś w Departamencie Stanu myślał o Joan. Może ten urzędnik, który ją zatrudnił. To znaczy, że Joan nie była na Kubie. Była w Nowym Jorku. Co się stało? Z tego, co usłyszał, wynikało, że chcieli ją wykorzystać głównie po to, aby dotrzeć do niego. Puścił uchwyt i głos odpłynął.

- Znalazł go pan? - spytała kobieta.

- T...tak - odparł Meritan z roztargnieniem, starając się zorientować w nieznanym pokoju.

- Jak się czuje? Dobrze?

- Nie... nie wiem jeszcze - powiedział zgodnie z prawdą. Pomyślał: Muszę lecieć do Nowego Jorku. I pomóc jakoś Joan. Wpadła w to przeze mnie; nie mam wyboru. Nawet jeśli mnie złapią, jak mógłbym ją zostawić?

Bogart Crofts powiedział:

- Nie dotarłem do Mercera. - Odszedł od przekaźnika empatii i odwrócił się patrząc na niego ze smutkiem. - Dotarłem do Meritana. Ale nie wiem, gdzie jest. W momencie, kiedy wziąłem te uchwyty do rąk, Meritan wziął je też. Byliśmy połączeni i teraz on wie wszystko to co ja, a ja wiem wszystko to co on, co zresztą niewiele nam daje. - Zdumiony i oszołomiony odwrócił się do Herricka. - On nie wie nic więcej o Wilburze Mercerze niż my; chciał nawiązać z nim kontakt. Z całą pewnością nie jest Mercerem. - Zamilkł.

- Mam wrażenie, że Crofts coś zataił - powiedział Herrick zwracając się do pana Lee. - Niech mi pan powie, czego jeszcze dowiedział się od Meritana?

- Meritan wybiera się do Nowego Jorku, żeby odnaleźć Joan Hiashi - mówił Lee, posłusznie czytając myśli Croftsa. - Przekazał bezwiednie tę wiadomość Croftsowi, kiedy byli zespoleni myślami.

- Przygotujemy się na powitanie pana Meritana - powiedział Sekretarz Herrick z krzywym uśmiechem.

- Czy doświadczyłem czegoś, co wy telepaci przeżywacie na co dzień? - zapytał Crofts.

- Tylko wtedy, gdy jeden z nas połączy się z innym telepatą. To

może być nieprzyjemne, unikamy takich sytuacji, gdyż jeśli zderzą się ze sobą dwie diametralnie różne osobowości, następuje spięcie, co jest psychologicznie szkodliwe. Przypuszczam, że w tym wypadku tak właśnie było.

- Posłuchajcie - odezwał się Crofts. - Jak możemy nadal prowadzić tę sprawę, skoro wiem, że Meritan jest niewinny? Nie wie nic o Mercerze ani organizacji, która rozprowadza te skrzynki, oprócz jej nazwy.

Na chwilę zapadła cisza.

- Ale jest on jedną z tych osobistości, które przystąpiły do mercerystów - zauważył Herrick. Podał Croftsowi dalekopis. - I zrobił to całkiem otwarcie. Jeśli zadasz sobie trud, żeby to przeczytać...

- Wiem, że zadeklarował swoją lojalność w stosunku do Mercera w wieczornym programie telewizyjnym - powiedział Crofts roztrzęsionym głosem.

- Kiedy się ma do czynienia z siłą pozaziemską, pochodzącą z całkiem innego Systemu Słonecznego... - mówił Sekretarz Herrick - trzeba działać ostrożnie. Mimo wszystko spróbujemy zatrzymać Meritana i to zdecydowanie poprzez pannę Hiashi. Zwolnimy ją z aresztu i każemy ją śledzić. Kiedy Meritan nawiąże z nią kontakt...

Lee zwrócił się do Croftsa:

- Niech pan nie mówi tego, co chce pan powiedzieć. To raz na zawsze złamie pańską karierę.

Crofts rzekł:

- Herrick, to, co pan chce zrobić, jest niesłuszne. Meritan jest niewinny tak samo jak Joan Hiashi. Jeśli spróbuje pan go aresztować, składam rezygnację.

- Proszę ją napisać i wręczyć mi - powiedział Sekretarz Herrick z pociemniałą twarzą.

- Cóż za niefortunny zbieg okoliczności - zauważył Lee. - Sądzę, że to kontakt z Meritanem tak szkodliwie na pana wpłynął i wypaczył pańskie spojrzenie na tę sprawę. Niech pan się z tego otrząśnie dla dobra pańskiej kariery i pańskiego kraju, nie mówiąc już o rodzinie.

- To, co robimy, jest niesłuszne - powtórzył Crofts.

Sekretarz Herrick spojrzał na niego ze złością.

- Nic dziwnego, że te przekaźniki empatii zrobiły tyle złego! Właśnie widzę to na własne oczy. Za żadne skarby się teraz nie cofnę.

Chwył przekaźnik empatii, którym posłużył się Crofts. Podniósł go wysoko i rzucił o podłogę. Skrzynka rozpadła się, zamieniając w stos poskręcane żelastwa.

- Nie sądźcie, że to jakiś dziecinny odwet - powiedział Herrick. - Chcę zerwać wszelki kontakt między Meritanem a nami. To nam może tylko zaszkodzić.

- Jeśli go złapiemy - wtrącił Crofts - może nadal wywierać na nas swój wpływ. - Poprawił się: - Czy raczej na mnie.

- Niech się dzieje co chce, nie popuszczę tej sprawy - oświadczył Herrick. - I proszę złożyć swoją rezygnację, panie Crofts, to też zamierzam wykorzystać. - Miał twarz ponurą i zaciętą.

Lee rzekł:

- Panie Sekretarzu, czytając w myślach pana Croftsa widzę, że jest w tej chwili mocno oszołomiony. Stał się niewinną ofiarą pewnej sytuacji, zaaranżowanej być może przez samego Wilbura Mercera, żeby pomieszać nam szyki. Jeśli przyjmie pan rezygnację Croftsa, Mercer osiągnie swój cel.

- Nieważne, czy ją przyjmie czy nie - wtrącił Crofts. - I tak rezygnuję.

Lee z westchnieniem powiedział:

- Przekaznik empatii uczynił z pana mimowolnego telepatę, a tego już było za wiele. - Poklepał Croftsa po ramieniu. - Zdolności telepatyczne i empatia to dwie wersje tego samego. Te skrzynki można by równie dobrze nazwać „przekaznikami telepatii”. Zdumiewające są te istoty pozaziemskie, potrafią zbudować coś, co my umiemy tylko wymyśleć.

- Skoro czyta pan w moich myślach - rzekł Crofts - wie pan, co zamierzam zrobić. Nie mam wątpliwości, że przekaże pan to Sekretarzowi Herrickowi.

Uśmiechając się uprzejmie Lee odparł:

- Pan Sekretarz i ja współpracujemy w imię pokoju na świecie. Obaj mamy swoje instrukcje. - Zwrócił się do Herricka: - Ten człowiek jest tak rozstrojony, że rozważa przejście na drugą stronę. Chce się przyłączyć do mercerystów, zanim wszystkie przekaźniki empatii

zostaną zniszczone. Polubił zajęcie telepaty.

- Jeśli pan to zrobi - zagroził Herrick - aresztuję pana. Przysięgam. Crofts nie odpowiedział.

- Nie zmienił zdania - zameldował Lee usłużnie, skinąwszy głową przed oboma mężczyznami, najwyraźniej ubawiony zaistniałą sytuacją.

Ale w głębi ducha Lee myślał: Genialne, śmiałe posunięcie to bezpośrednie połączenie Croftsa z Meritanem. To coś zwane Wilburem Mercerem z pewnością przewidziało, że Crofts znajdzie się pod silnym wpływem tego czołowego przedstawiciela ruchu. Teraz następnym krokiem Croftsa będzie chęć ponownego kontaktu z przekaźnikiem empatii - jeśli tylko uda mu się jakiś znaleźć - i tym razem Mercer zwróci się do niego osobiście. Zwróci się do swojego nowego ucznia.

Zdobyli nowego wyznawcę, uświadomił sobie Lee. Tę rundę wygrali.

Ale w ostatecznym rozrachunku my musimy wygrać. Bo w końcu zniszczymy wszystkie przekaźniki empatii, a bez nich Wilbur Mercer jest bezradny. Jedynie dzięki nim ten ktoś czy to coś może dotrzeć do ludzi i nimi kierować, jak to było w przypadku nieszczęsnego Croftsa. Bez przekaźników empatii cały ruch będzie unieszkodliwiony.

VI

Przy okienku linii UWA na nowojorskim lotnisku Joan Hiashi powiedziała do urzędniczki w uniformie:

- Proszę bilet do Los Angeles na najbliższy lot, wszystko jedno na raketę czy odrzutowiec, chcę się tam dostać jak najszybciej.

- Pierwsza klasa czy turystyczna?

- Wszystko jedno - powtórzyła Joan niecierpliwie. - Po prostu niech mi pani sprzeda jakikolwiek bilet. - Otworzyła portmonetkę.

Kiedy płaciła za bilet, jej dłoń przykryła czyjaś ręka. Odwróciła się - za nią stał Ray Meritan, na którego twarzy odmalował się wyraz prawdziwej ulgi.

- Co za miejsce, żeby próbować złapać twoje myśli - powiedział. - Chodźmy gdzieś, gdzie jest ciszej. Masz dziesięć minut do odlotu.

Pobiegli przez salę do pustej bramki. Tam przystanęli i Joan powiedziała:

- Posłuchaj Ray, wiem, że chcą w ten sposób zastawić na ciebie pułapkę. Dlatego mnie wypuścili. Ale dokąd mam się udać, jeśli nie do

ciebie?

- Nie przejmuj się tym - uspokoił ją. - I tak prędzej czy później by mnie złapali. Jestem pewien, że już wiedzą, że wyjechałem z Kalifornii i przyleciałem tutaj. - Rozejrzał się. - Jeszcze nie kręcą się koło nas żadni agenci FBI, przynajmniej ja nic takiego nie wyczuwam. - Zapalił papierosa.

- Nie mam żadnego powodu jechać teraz do Los Angeles, skoro ty tu jesteś - powiedziała Joan. - Mogę oddać bilet.

- Czy wiesz, że rekwirują i niszczą wszystkie przekaźniki empatii, jakie uda im się dostać w łapy? - spytał.

- Nie, nie wiedziałam. Wypuścili mnie zaledwie dwie godziny temu. To straszne. To znaczy, że rzeczywiście wzięli się do roboty.

Ray roześmiał się.

- To znaczy, że rzeczywiście się przestraszyli. - Objął ją ramieniem i pocałował. - Powiem ci, co zrobimy. Postaramy się stąd wykraść, pojedziemy gdzieś i zaszyjemy się na pewien czas. Może uda się nam znaleźć jakiś przekaźnik empatii, na który nie trafili. - Ale pomyślał, że to mało prawdopodobne, zapewne zarekwirowali już wszystkie. W końcu nie było ich znowu tak wiele.

- Jak chcesz - powiedziała Joan bezbarwnym głosem.

- Czy kochasz mnie? - spytał. - Czytam w twoich myślach: tak. - I dodał ciszej: - Czytam także w myślach niejakiego Lewisa Scanlana, agenta FBI, który stoi teraz przed okienkiem linii UWA. Jakie nazwisko podałaś?

- Pani George McIsaacs - odparła Joan. - Chyba. - Sprawdziła na bilecie i kopercie. - Tak, zgadza się.

- Ale Scanlan pyta, czy w ciągu ostatnich piętnastu minut nie kupowała tu biletu jakaś Japonka. I kasjerka cię pamięta. Wobec tego... - Wziął ją za ramię. - Lepiej chodźmy stąd.

Przeszli przez pustą bramkę, minęli drzwi z fotokomórką i znaleźli się w hali odbioru bagażu. Wszyscy byli tu zbyt zajęci, żeby zwracać na nich jakąkolwiek uwagę, toteż bez przeszkód przeszli do drzwi wyjściowych i już po chwili znaleźli się na chłodnym, szarym chodniku, przy którym stał długi podwójny sznur taksówek. Joan już zamierzała wziąć jedną z nich, kiedy Ray pociągnął ją za rękę.

- Poczekaj, mam w głowie mętlik. Jeden z taksówkarzy jest z FBI, ale

nie wiem który. – Stał niepewnie, nie wiedząc, co robić.

– Nie uda się nam uciec, prawda? – spytała Joan.

– Będzie to trudne – przyznał. A raczej niemożliwe, pomyślał; masz rację. Wyczuwał targające nią emocje, strach, niepokój o niego, złość, że przez nią go złapali, determinację, żeby nie wracać do więzienia, gorycz z powodu zdrady, jakiej dopuścił się wobec niej Lee, chiński komunista, który ją powitał na Kubie.

– Co za życie – powiedziała, przysuwając się do niego.

A on nadal nie wiedział, którą wziąć taksówkę. Gdy tak stali niepewnie, upływały jedna cenna sekunda po drugiej.

– Posłuchaj – powiedział do Joan – może lepiej będzie, jak się rozdzielimy.

– Nie – sprzeciwiła się, przywierając do niego. – Nie zniosę tego sama. Proszę cię.

Podszedł do nich jakiś zarośnięty handlarz uliczny z tacą zawieszoną sznurkiem na szyi.

– Uszanowanie państwu – zamruczał.

– Nie teraz – powiedziała Joan.

– Oto darmowa próbka płatków śniadaniowych – ciągnął handlarz. – Nic nie kosztuje. Proszę wziąć jedną paczkę, panienko. A pan drugą. – Wyciągnął w ich stronę tacę z małymi, kolorowymi pudełkami.

Ciekawe, pomyślał Ray. Nie mogę nic wychwycić w jego myślach. Przyjrzał się handlarzowi uważniej i dostrzegł – czy też tak mu się wydawało – jakąś dziwną bezcielesność jego postaci. Jakąś niematerialną aurę, która go otaczała. Wziął jedną z paczek płatków.

– To się nazywa „Wesoły posiłek” – mówił handlarz. – Całkiem nowy produkt, który wprowadzają na rynek. W środku jest specjalny kupon, który upoważnia do...

– Okay – przerwał Ray, wkładając pudełko do kieszeni. Chwycił Joan i pociągnął ją wzdłuż rzędu taksówek. Wybrał jedną na chybił trafił i otworzył tylne drzwi.

– Wsiadaj – ponaglił ją.

– Ja też wzięłam próbkę „Wesołego posiłku” – powiedziała z nikłym uśmiechem, kiedy przy niej siadał. Taksówka ruszyła, wyjechała z szeregu i minęła wejście na lotnisko. – Ray, w tym handlarzu było coś dziwnego. Zupełnie jakby w rzeczywistości nie istniał, jakby nie był

niczym więcej niż... zjawą.

Z rzędu taksówek wysunęło się auto i podążyło za nimi. Odwróciwszy się, Ray zobaczył na tylnym siedzeniu dwóch dobrze odżywionych mężczyzn w ciemnych garniturach. Agenci FBI, powiedziało do siebie.

Joan spytała:

- Czy ten handlarz nie przypominał ci kogoś?

- Kogo?

- Trochę jakby Wilbura Mercera. Ale nie przyjrzałam mu się dość dokładnie, żeby...

Ray wyrwał jej pudełko płatków z ręki, oderwał tekturowe wieko. Z suchych płatków wystawał róg kuponu, o którym mówił handlarz; wyciągnął go, podniósł do oczu i przeczytał. Duże, wyraźne litery głosiły:

JAK ZBUDOWAĆ PRZEKAŹNIK EMPATII ZE ZWYKŁYCH DOMOWYCH PRZEDMIOTÓW

- To oni - powiedział do Joan.

Włożył kupon ostrożnie do kieszeni, ale potem zmienił zdanie. Złożył go starannie i wsunął do mankietu spodni, gdzie FBI z pewnością go nie znajdzie.

Ścigająca ich taksówka podjechała bliżej i teraz mógł już pochwycić myśli obu mężczyzn. Byli agentami FBI, nie mylił się. Oparł się mocniej o siedzenie. Nic nie można było zrobić, tylko czekać.

- Czy mogę dostać drugi kupon? - upomniała się Joan.

- Przepraszam. - Wyjął drugie pudełko płatków. Joan otworzyła je, znalazła kupon, a po chwili zwinęła go i schowała w obłamowaniu spódnicy.

- Ciekaw jestem, ilu ich jest, tych rzekomych handlarzy - powiedział Ray w zadumie. - Warto by wiedzieć, ile darmowych próbek „Wesołego posiłku” uda im się rozdać, zanim ich złapią.

Zauważył, że jako pierwsze na liście potrzebnych przedmiotów figurowało zwykłe radio, następny był drucik żarowy z pięcioletniej żarówki. Dalej... - musiałby sprawdzić, ale nie miał czasu. Tamta taksówka już się z nimi zrównała.

Trzeba zostawić to na później. Jeśli nawet władze znajdą kupon w mankencie jego spodni, to oni z pewnością zdołają dostarczyć mu inny. Objął ramieniem Joan.

- Zobaczysz, że wszystko będzie w porządku.

Tamta taksówka już zajęła im drogę i dwaj mężczyźni z FBI groźnie i oficjalnie machali na kierowcę, żeby zatrzymał się przy krawężniku.

- Czy mam stanąć? - spytał nerwowo taksówkarz.

- Oczywiście - odpowiedział Ray. I biorąc głęboki oddech, przygotował się.

Przełożyła Blanka Kuczborska

Nie zrekonstruowane M **(The Unreconstructed M)**

I

Maszyna miała stopę szerokości i dwie stopy długości; wyglądała jak wielkie pudło krakersów. Bezszelestnie, z wielką ostrożnością, wspinała się po ścianie betonowego budynku; opuściła dwa gumowe wałki i właśnie rozpoczynała pierwszą fazę zadania.

Z jej tylnej części wyłonił się płatek błękitnego szkliwa. Maszyna przyciskała szkliwo mocno do szorstkiej powierzchni betonu i przesuwiała się naprzód. Droga wspinaczki doprowadziła ją od pionowego betonu do pionowej stali: dotarła do okna. Maszyna zatrzymała się i wydobyła na zewnątrz mikroskopijny kawałek tkaniny, który, z wielką ostrożnością, wetknęła w zamocowanie stalowej ramy okiennej.

W lodowatej ciemności maszyna była właściwie niewidoczna. Poświata odległej płataniny ruchu ulicznego tylko na moment oświetliła jej wypolerowany korpus i przesunęła się dalej. Maszyna podjęła swoją pracę.

Wyrzuciła z siebie rodzaj plastikowego podium i spopieliała szybę okienną. Wewnątrz mrocznego mieszkania brak było wszelkiej reakcji: nikogo nie było w domu. Maszyna, zmatowiała od cząsteczek szklanego pyłu, wypęzła na stalową ramę okienną i uniosła czujny receptor.

Podczas gdy receptor penetrował otoczenie, maszyna naciskała na stalową ramę okienną z siłą dokładnie dwustu funtów. Rama zgięła się posłusznie. Zadowolona z siebie, maszyna zsunęła się po wewnętrznej stronie ściany na dość gruby dywan. Tutaj rozpoczęła drugą fazę zadania.

Pojedynczy ludzki włos – wraz z cebulką i kawałeczkiem skóry głowy – został umieszczony na drewnianej podłodze przy lampie. Dwa wysuszone ziarenka tytoniu zostały ceremonialnie wyłożone w pobliżu pianina. Maszyna odczekała dziesięć sekund i nagle, po trzasku uruchamianej taśmy magnetycznej, powiedziała: „A niech to...!”

Jej głos był osobliwie ochryply i męski.

Maszyna przemieściła się mozolnie do drzwi szafy, które były

zamknięte na klucz. Wspinając się po drewnianej powierzchni, maszyna dotarła do mechanizmu zamka, wsunęła do środka cienką część swojego korpusu i delikatnie cofnęła zapadki mechanizmu aż do otwarcia zamka. Za rzędem wiszących okryć zamontowany był niezależnie zasilany wideomagnetofon. Maszyna zniszczyła pojemnik taśmy filmowej – co było niezwykle ważne – a następnie, wydostając się z szafy, wyrzuciła z siebie kroplę krwi, która przylgnęła do postrzępionej płataniny wybieraka soczewkowego. Ta kropla krwi była jeszcze ważniejsza.

Podczas gdy maszyna odciskała sztuczny zarys śladu obcasa na śliskiej emulsji pokrywającej dno szafy, z korytarza dał się słyszeć ostry dźwięk. Maszyna przerwała pracę i znieruchomiła. W chwilę później do mieszkania wszedł niewysoki mężczyzna w średnim wieku z płaszczem przewieszonym na jednym ramieniu i teczką dyplomatką w drugiej ręce.

- Bożeż ty mój – powiedział znieruchomiły na widok maszyny. – Czym jesteś?

Maszyna uniosła dyszę znajdującą się w przedniej części korpusu i wystrzeliła rozpryskujący pocisk prosto w na wpół łysą głowę mężczyzny. Pocisk wbił się w czaszkę i eksplodował. Nadal kurczowo ściskając płaszcz i dyplomatkę, z wyrazem oszołomienia na twarzy, mężczyzna runął na dywan. Zbite okulary leżały wykręcone tuż przy uchu. Ciało poruszyło się lekko w ostatniej drgawce i znieruchomiło w zadowolający sposób.

Teraz, gdy już główny cel zadania był osiągnięty, pozostały jeszcze dwie rzeczy do zrobienia. W jednej z wypucowanych popielniczek stojących na gzymsie nad kominkiem maszyna umieściła kawałek wypalanej zapałki i ruszyła do kuchni w poszukiwaniu szklanki wody. Zaczęła wdrapywać się po ścianie zlewu, gdy zaskoczył ją hałas ludzkich głosów.

- To właśnie jest to mieszkanie – głos był wyraźny i bardzo bliski.

- Bądźcie gotowi, nadal powinien tu być – inny głos, także męski jak i poprzedni.

Pchnięte drzwi od korytarza otworzyły się i dwóch osobników w ciężkich płaszczach wpadło do mieszkania. Z ich nadejściem maszyna opadła na podłogę kuchni zapominając o szklance. Coś poszło

źle. Jej prostokątny zarys zafalował i załamał się; ściągnąc się w sterczącą pionowo kostkę, maszyna przybrała kształt zwyczajnego odbiornika telewizyjnego.

Pozostawała w tym kształcie, przybieranym w razie niebezpieczeństwa, gdy jeden z mężczyzn – wysoki, rudy – zajrzał na moment do kuchni.

- Nikogo tu nie ma – stwierdził i ruszył dalej.

- Okno – powiedział jego towarzysz, sapiąc. Do mieszkania weszły jeszcze dwie osoby, cała ekipa. – Nie ma szyby w oknie, rozplynęła się. Tędy dostał się do wewnątrz.

- Ale już się ulotnił. – Rudowłosy ponownie pojawił się przy drzwiach do kuchni; zapalił światło i wszedł do środka z bronią w rękę. – Dziwne... zjawiliśmy się tutaj zaraz po odebraniu sygnału bręczka. – Z niedowierzaniem, dokładnie sprawdził swój zegarek. – Rosenberg nie żyje zaledwie od kilku sekund... jak on mógł tak szybko się stąd wydostać?

Stojąc w wejściu od ulicy Edward Ackers przysłuchiwał się głosowi. Przez ostatnie pół godziny przeszedł w nieznośne, kłujące uszy skamlenie; zamierając niemal na granicy słyszalności, głos uparcie, mechanicznie niósł dalej swoją skargę.

- Jesteś zmęczony – powiedział Ackers. – Idź do domu. Weź gorącą kąpiel.

- Nie – odpowiedział głos, przerywając swoją tyradę. Miejscem, z którego głos dochodził, była wielka, oświetlona kula znajdująca się na ciemnym chodniku, kilka jardów na prawo od miejsca, gdzie stał Ackers. Obracający się neon głosił:

SKOŃCZYĆ Z TYM!

Trzydzieści razy – zdążył policzyć – w ciągu ostatnich kilku minut neon zatrzymywał przechodnia, a człowiek w kulistej budce rozpoczynał swoją orację. Budka była dobrze umiejscowiona; za nią znajdowało się kilka teatrów i restauracji.

Jednak głównym powodem, dla którego budka tam stała, nie był przelewający się wokół niej tłum przechodniów. Tym powodem był

Ackers i biura wznoszące się za nim; tyrada wymierzona była bezpośrednio przeciwko Departamentowi Spraw Wewnętrznych (DSW). Ten nieznośny harmider trwał już tyle miesięcy, że Ackers prawie go już nie zauważał, jak deszczu bębniącego o dach lub odgłosów ruchu ulicznego. Ziewnął, złożył ramiona i czekał.

- Skończyć z tym - skarżył się głos zrzędlawie. - Dalej no, Ackers. Powiedz coś; zrób coś.

- Czekam - powiedział Ackers z samozadowoleniem.

Grupie średniozamożnych obywateli przechodzących koło budki wręczono ulotki, które oni rzucali za siebie. Ackers roześmiał się.

- Nie śmieć się - wymamrotał głos. - Nic w tym nie ma śmiesznego; te ulotki drukujemy za pieniądze.

- Twoje własne? - zainteresował się Ackers.

- Częściowo moje.

Tej nocy Garth był sam.

- Na co czekasz? Co się stało? Widziałem, jak ekipa policyjna startowała z waszego dachu kilka minut temu...

- Może się zdarzyć, że kogoś przymkniemy - powiedział Ackers. - Było morderstwo.

Człowiek w ponurej budce propagandyzisty poruszył się z ożywieniem. - Aha - dał się słyszeć głos Harveya Gartha. Pochylił się do przodu i popatrzyli wprost jeden na drugiego. Ackers, wymuskany, dobrze odżywiony, mający na sobie elegancki płaszcz... Garth, chudzielec, o wiele młodszy, z kościstą, wygłodzoną twarzą składającą się głównie z nosa i z czoła.

- Rozumiesz więc - powiedział mu Ackers. - Ten system jest naprawdę niezbędny. Skończcie z utopią.

- Człowiek zostaje zamordowany; a wy korygujecie brak równowagi moralnej poprzez zabicie zabójcy. - Protestujący głos Gartha wzniosł się słabym spazmem. - Skończyć z tym! Znieść system, który skazuje ludzi na pewne wyginięcie!

- Tu dostaniecie wasze ulotki - parodiował Ackers z poważną miną.
- I wasze hasła. Jedno z dwojga lub jedno i drugie. Co byś zaproponował zamiast tego systemu?

Głos Gartha zabrzmiał dumą przekonania. - Edukację.

Ackers spytał z rozbawieniem: - I to wszystko? Czy sądzisz, że to

położyłoby kres działalności przeciwko społeczeństwu? Przestępcy po prostu nie wiedzą, że można postępować inaczej?

- I, oczywiście, psychoterapię. - Z wysuniętą do przodu twarzą, kościstą i napiętą, Garth patrzył badawczo ze swojej budki, jak pobudzony żółw ze swej skorupy. - Oni są chorzy... dlatego popełniają przestępstwa, zdrowi ludzie tego nie robią. A wy przymykacie na to oczy; wy tworzycie chore społeczeństwo karzącego okrucieństwa. - Pogroził oskarżająco palcem. - Ty jesteś prawdziwym winowajcą, ty i cały DSW. Ty i cały System Banicji.

Migający neon wyświetlał raz po raz SKOŃCZYĆ Z TYM! Mając, oczywiście, na myśli system przymusowego ostracyzmu dla przestępców, mechanizm wyrzucający skazanego człowieka do wybieranych na chybił trafił zapadłych rejonów syderalnego wszechświata, do jakiejś zabitej deskami dziury, gdzie nikomu nie mógłby już wyrządzić krzywdy.

- W każdym razie nie nam - Ackers dokończył myśl na głos.

Garth wytoczył znany argument. - Zgadza się, ale co z lokalnymi mieszkańcami?

Rzeczywiście, sytuacja lokalnych mieszkańców nie była do pozazdroszczenia. W każdym razie ofiara banicji nie szczędziła wysiłku ani czasu usiłując odnaleźć drogę powrotną do Układu Sol. Jeżeli udawało jej się powrócić, zanim została starcem, społeczeństwo przyjmowało ją ponownie. Niezłe wyzwanie... szczególnie dla niektórych kosmopolitów, którzy nigdy nie wychylili nosa poza obręb Wielkiego Nowego Jorku. Prawdopodobnie wielu mimowolnych wygnańców ścinało zboże prymitywnymi sierpami na polach rozsianych w odległych zakątkach wszechświata. Regiony te tworzyły odizolowane enklawy agrarne, których mieszkańcy prowadzili na małą skalę handel wymienny owocami, warzywami i wyrobami rękodzielniczymi.

- Czy wiedziałeś - powiedział Ackers - że w Wieku Monarchów złodziej kieszonkowy był zwykle karany śmiercią przez powieszenie?

- Skończyć z tym - ciągnął Garth monotonicznie, pogrążając się na powrót w swojej budce. Neon obracał się; ulotki krążyły między przechodniami. Ackers z niecierpliwością obserwował ulicę szukając znaku karetki szpitalnej.

Znał Heimiego Rosenburga. Chyba najsympatyczniejszego ze

wszystkich małych facetów, chociaż Heimie był zamieszany w machinacje jednego z rozrastających się syndykatów nielegalnie transportujących osadników na żyzne planety poza Układem. Dwóch największych handlarzy żywym towarem zasiedliło praktycznie cały Układ Syriusza. Czterech na sześciu emigrantów przemycano na statkach oficjalnie zarejestrowanych jako „frachtowce”. Z trudem można było sobie wyobrazić miłego, niewielkiego Heimiego Rosenburga jako agenta handlowego Tirol Enterprises, ale taka była prawda.

Czekając na karetkę, Ackers snuł domysły na temat zamordowania Heimiego. Prawdopodobnie jednego z epizodów nie kończącej się podziemnej wojny pomiędzy Paulem Tirolem i jednym z jego głównych rywali. David Lantano był błyskotliwym i energicznym przeciwnikiem... ale morderstwo mógł popełnić każdy. Wszystko zależało od sposobu, w jaki zostało popełnione; mogło to być odwaleniem kawałka wyrobniczej roboty lub też najczystsza ze sztuk.

- Coś nadjeżdża - głos Gartha dotarł do jego wewnętrznego ucha przez delikatne urządzenie przekąźnikowe aparatury, w którą wyposażona była budka. - Wygląda na zamrażarkę.

Istotnie nadjechała karetka szpitalna. Ackers ruszył naprzód w chwili, kiedy karetka się zatrzymała i jej tylne drzwi opuszczono w dół.

- Jak szybko tam dotarliście - spytał policjanta, który ciężko zeskoczył na chodnik.

- Od razu - odpowiedział policjant - ale zabójcy ani śladu. Nie sądzę, żeby nam się udało uratować Heimiego... trafili go w sam mózdzek, bez pudła. Fachowa robota, żadna tam amatorszczyzna.

Rozczarowany Ackers wspiął się do środka karetki, żeby samemu wszystko sprawdzić.

Malutki i nieruchomy, Heimie Rosenburg leżał na plecach, ręce wyciągnięte po bokach, spojrzenie martwych oczu wbite w dach karetki. Jego twarz zastygła w wyrazie niebywałego zdumienia. Ktoś - pewnie jeden z policjantów - wetknął zgięte okulary w zaciśniętą dłoń. Upadając rozciął sobie policzek. Zniszczona pociskiem część kości czaszki była zakryta wilgotną, plastikową siatką.

- Kto pozostał w mieszkaniu? - pytał teraz Ackers.

- Reszta mojej ekipy - odpowiedział policjant. - I niezależny badacz. Leroy Beam.

- On - powiedział Ackers z niechęcią. - A jak ten się tam znalazł?

- Też odebrał sygnał brzęczka. Przypadkowo przejeżdżał obok ze swoją aparaturą. Biedny Heimie miał strasznie silny wzmacniacz do tego brzęczka... Sam się dziwię, że sygnału nie odebrano tutaj, w kwaterze głównej.

- Podobno Heimie był bardzo niespokojny - powiedział Ackers. - Mieszkanie naszpikowane było aparaturą podsłuchową.

- Zaczynacie zbierać dowody?

- Ekipy właśnie zaczynają przeszukiwać mieszkanie - potwierdził policjant. - Za pół godziny powinniśmy mieć pierwsze wyniki. Zabójca unieszkodliwił podgląd wideo i podsłuch, zamontowane w szafie. Ale - wyszczerzył zęby w uśmiechu - skaleczył się przerywając obwód. Na uzwojeniu jest kropla krwi; wygląda obiecująco.

Leroy Beam - w mieszkaniu Heimiego - przypatrywał się, jak policjanci z DSW rozpoczynali swoje analizy. Pracowali sprawnie i dokładnie, lecz Beam miał wątpliwości.

Pierwsze wrażenie nie ustępowało: był podejrzliwy. Nikt nie mógł wydostać się z mieszkania tak szybko. Heimie umarł, a jego śmierć - zniszczenie systemu nerwowego - uruchomiła automatyczny sygnał. Brzęczek nie był szczególną osłoną dla swojego właściciela, ale jego istnienie zapewniało (lub zwykle zapewniało) wykrycie mordercy. Dlaczego w przypadku Heimiego urządzenie zawiodło?

Chodząc w zamyśleniu po mieszkaniu, Leroy Beam ponownie wszedł do kuchni. Na podłodze przy zlewie znajdował się mały przenośny telewizor: jaskrawa, plastikowa kostka z pokrętłami i przyćmionymi soczewkami.

- A to skąd tutaj? - Beam spytał jednego z policjantów, który właśnie go mijał. - Ten telewizor na podłodze w kuchni zupełnie nie pasuje do otoczenia.

Policjant nie zwrócił na niego uwagi. W bawialni skomplikowana policyjna aparatura sprawdzała różne powierzchnie cal po calu. W ciągu pół godziny od śmierci Heimiego zebrano już kilka poszlak. Pierwsza - kropla krwi na uzwojeniu uszkodzonego podglądu wideo.

Druga - zamazany odcisk obcasa pozostawiony przez mordercę.
Trzecia - kawałeczek wypalanej zapałki w popielniczce. Spodziewano się więcej poszlak; analizy dopiero się rozpoczęły.

Zazwyczaj wystarczyło dziesięć poszlak, żeby sporządzić opis tylko tego jednego właśnie osobnika.

Leroy Beam rozejrzał się ostrożnie dookoła. Nikt z policjantów nie zwracał na niego uwagi, nachylił się więc i podniósł telewizorek; nie było w nim niczego niezwykłego. Wcisnął klawisz włączający i czekał. Żadnej reakcji, żadnego obrazu. Dziwne.

Trzymał telewizorek spodem do góry, żeby go dokładnie obejrzeć od wewnątrz, kiedy Edward Ackers z DSW wszedł do mieszkania. Beam szybko wepchnął telewizorek do kieszeni ciężkiego, obszernego płaszcza.

- Co pan tutaj robi? - spytał Ackers.

- Rozglądam się - odpowiedział Beam, zastanawiając się, czy Ackers zauważył baryłkowane wyrzucenie jego płaszcza. - Też jestem w tej branży.

- Znał pan Heimiego?

- Tylko ze słyszenia - odpowiedział Beam wymijająco. - Słyszałem, że był związany z syndykatem Tirola; coś w rodzaju firmowej przykrywki. Miał biuro przy Piątej Alei.

- Szpanerskie miejsce, wszystko na pokaz jak u całej reszty handlarzy z Piątej Alei. - Ackers przeszedł do bawialni, żeby obserwować zbieranie dowodów.

Trójkątny detektor posuwał się niezgrabnie po dywanie, jakby miał bardzo krótki wzrok. Badał powierzchnię z dokładnością mikroskopu, którego pole widzenia jest maksymalnie ograniczone. Zebrany materiał był bezzwłocznie przekazywany do biur DSW, do zbiorczych banków danych, w których ludność cywilna występowała w postaci serii perforowanych kart, analizowanych i porównywanych krzyżowo bez końca.

Ackers podniósł słuchawkę i zatelefonował do żony.

- Nie będzie mnie w domu - powiedział. - Mam pracę.

Po chwili ciszy Ellen odezwała się. - Tak? - w głosie brzmiała rezerwa. - No cóż, dziękuję za wiadomość.

W rogu pokoju dwóch policjantów z ekipy z zadowoleniem badało

nowe odkrycie, wystarczająco ważne, by stać się poszlaką. - Zatelefonuję jeszcze raz - powiedział pośpiesznie do Ellen - zanim stąd wyjdę. To na razie.

- Do widzenia - sucho odpowiedziała Ellen i udało się jej odłożyć słuchawkę, zanim on to zrobił.

Nowym odkryciem było urządzenie nagrywające dźwięki, wmontowane pod lampę podłogową. Nieprzerwane pasmo taśmy magnetycznej - nadal w ruchu - pobłyskiwało zachęcająco; ścieżka dźwiękowa epizodu morderstwa nagrała się w całości.

- Jest wszystko - policjant zwrócił się wesóło do Ackersa. - Taśma była już uruchomiona, zanim Heimie wszedł do domu.

- Przegraliście ją?

- Kawalek. Jest na nim parę słów wypowiedzianych przez mordercę, powinno wystarczyć.

Ackers połączył się z DSW. - Czy poszlaki w sprawie Rosenburga zostały już wprowadzone do komputera-kartoteki?

- Właśnie wprowadzono pierwszą - odpowiedział technik obsługujący komputer. - Analiza obejmuje stałą kategorię ogólną - około sześciu bilionów nazwisk.

Dziesięć minut później wprowadzono drugą poszlakę. Liczba osób mających zerową grupę krwi, noszących obuwie numer 11 1/2 wynosiła nieco ponad bilion. Trzecia poszlaka wprowadziła element: palący czy niepalący. Ta poszlaka zmniejszyła rozpatrywaną liczbę do trochę poniżej biliona, ale tylko trochę. Większość dorosłych paliła.

- Taśma z nagraniem dźwiękowym szybko zmniejszy tę liczbę - skomentował Leroy Beam, stojący obok Ackersa, z rękoma splecionymi przed sobą, żeby zasłonić wypchaną kieszeń płaszcza. - Powinien pan móc przynajmniej określić wiek.

Analiza taśmy pozwoliła określić przypuszczalny wiek na trzydzieści, czterdzieści lat. Analiza barwy głosu wskazywała na mężczyznę o wadze, przypuszczalnie, dwustu funtów. Nieco później zauważono wygięcie w badanej stalowej ramie okiennej. Zgadzało się ono z wnioskami, których dostarczyła taśma z nagraniem dźwiękowym. Razem było już sześć poszlak włącznie z określeniem płci (mężczyzna). Krąg osób branych pod uwagę zacieśniał się gwałtownie.

- To już długo nie potrwa - powiedział Ackers wesóło. - A jeżeli

potrafił jeden z tych małych kubłów stojących obok budynku, to będziemy mieli również trochę zeszkrobanej farby.

Beam odezwał się: - Będę już szedł. Powodzenia.

- Niech pan zostanie.

- Nie mogę. - Beam ruszył w stronę drzwi korytarza. - To należy do pana, nie do mnie. Muszę się zająć własnymi sprawami. Prowadzę badania naukowe dla nowo powstałego koncernu zajmującego się górnictwem metali kolorowych.

Ackers spoglądał na jego płaszcz.

- Jest pan w ciąży?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedział Beam czerwieniąc się. - Całe życie prowadziłem się bardzo przykładowie. - Niezgrabnie poklepał płaszcz. - Chodzi o to?

Jeden z policjantów stojących przy oknie wydał triumfalny okrzyk. Znalazł dwa kawałeczki tytoniu fajkowego: trzecia poszlaka była uściślona. - Wspaniale - powiedział Ackers, odwrócił się od Beama i zaraz o nim zapomniał.

Beam wyszedł.

Po chwili jechał już przez miasto w stronę własnych laboratoriów, małej, niezależnej jednostki badawczej, którą sam prowadził, bez żadnych dotacji od rządu. Na siedzeniu obok niego leżał telewizorek, nadal cichy i nieruchomy.

Ubrany w fartuch technik oznajmił Beamowi: - Przede wszystkim to ma zasilanie około siedemdziesięciu razy większe od tego, jakie mają przenośne odbiorniki tv. Odkryliśmy promieniowanie Gamma. - Wskazał na zwykły detektor. - Ma pan więc rację, to nie jest odbiornik tv.

Beam delikatnie uniósł jaskrawy plastikowy pakunek ze stołu laboratoryjnego. Minęło pięć godzin i nadal nic o nim nie wiedział. Trzymając mocno za tylną część, z całej siły pociągnął. Tylna część ani drgnęła. Nie była zacięta: nie było żadnych spoin. Tylna część nie była tylną częścią: nic poza tym, że na taką wyglądała.

- A więc, czym to jest? - spytał.

- Jest mnóstwo możliwości - odpowiedział technik wymijająco; wyciągnięto go z zacisza domowego, a teraz była wpół do trzeciej nad ranem. - Może to być coś w rodzaju urządzenia skaningowego. Jakaś

bomba. Jakaś broń. Jakiegokolwiek inne urządzenie.

Beam pracowicie obracał kostkę na wszystkie strony szukając jakiegoś załamania w gładkiej powierzchni. - Całkowicie jednolita, niepodzielna powłoka - wymamrotał.

- Nie ma wątpliwości. Załamania są pozorne - to jest lana substancja. I - dodał technik - jest twarda. Próbowałem odłupać kawałek na próbkę reprezentatywną, ale - zrobił wymowny gest - bez skutku.

- Gwarantujemy, że się nie stłucze, kiedy go upuścisz - powiedział Beam w zamyśleniu. - Nowy, superwytrzymały plastik. - Gwałtownie potrząsnął pakunkiem; do jego uszu dobiegł stłumiony odgłos poruszających się metalowych części. - W środku jest pełno części.

- Otworzymy go - obiecał technik - ale nie tej nocy.

Beam ponownie umieścił kostkę na stole laboratoryjnym. Mając pecha, mógł całymi dniami pocić się nad tą jedną rzeczą - po to tylko, żeby w końcu stwierdzić, iż nie miała ona nic wspólnego z zamordowaniem Heimiego Rosenburga. Z drugiej strony...

- Niech pan wyboruje w tym otwór - polecił. - Będzie można zajrzeć do środka.

Technik zaprotestował: - Próbowałem, wiertło pękło. Posłałem po wiertło z materiału o zwiększonej gęstości. Ta substancja jest sprowadzona z zewnątrz; ktoś ją zwędził z Układu Białego Karła. Powstała pod potwornym ciśnieniem.

Zawracanie głowy - powiedział zirytowany Beam. - Gadasz pan jak ci w reklamach.

Technik wzruszył ramionami.

- Tak czy inaczej, to jest supertwarde. Jest albo elementem naturalnej ewolucji środowiska, albo produktem powstałym w wyniku sztucznej obróbki w jakimś laboratorium. Kto ma fundusze na prowadzenie badań i uzyskanie takiego metalu?

- Któryś z wielkich handlarzy żywym towarem - odparł Beam. - Mogą sobie pozwolić na wszystko. Na dodatek przemieszczają się z układu do układu... mogą mieć dostęp do surowców, specjalnych rud.

- Czy mógłbym iść do domu? - zapytał technik. - Dlaczego to jest aż tak ważne?

- To urządzenie albo zabiło, albo pomogło zabić Heimiego

Rosenburga. Będziemy tu siedzieć, pan i ja, tak długo, aż uda się nam je otworzyć. - Beam usadowił się przy stole i zaczął sprawdzać wykaz czynności zawierający wszystkie dotychczas przeprowadzone próby. - Wcześniej czy później otworzy się samo jak skorupa mięczaka - jeśli pan jeszcze pamięta, co to jest.

Z tyłu odezwał się dzwonek.

- Ktoś jest w poczekalni - powiedział Beam ze zdziwieniem, ale i niepokojem w głosie. - O drugiej trzydzieści? - Wstał i powoli przeszedł przez ciemny korytarz do frontowej części budynku. To pewnie był Ackers. Dało o sobie znać poczucie winy: ktoś musiał odnotować brak telewizorka.

Ale to nie był Ackers.

W zimnej, opustoszałej poczekalni skromnie czekał Paul Tirol. Razem z nim była atrakcyjna, młoda kobieta, której Beam nie znał. Zmarszczki na twarzy Tirola ułożyły się w uśmiech, serdecznym gestem wyciągnął rękę na powitanie. - Witam pana, Beam - powiedział. Uścisnęli sobie dłonie. - Drzwi wejściowe dały znak, że jest pan wewnątrz. Jeszcze pan pracuje?

Zastanawiając się, kim jest kobieta i czego Tirol chce, Beam powiedział ostrożnie: - Próbuję nadrobić czas stracony przez pomyłki wynikające z niechlujstwa. Cała firma podupada.

Tirol zaśmiał się pobłażliwie.

- Żartowniś z pana, jak zawsze. - Głęboko osadzone oczy rzuciły ostre spojrzenie; Tirol był potężnie zbudowanym mężczyzną, starszym od wszystkich, których Beam znał, z posępną, silnie pomarszczoną twarzą. - Znajdzie pan czas na kilka nowych kontraktów? Sądzę, że mógłbym panu podrzucić coś do roboty... jeżeli jest pan otwarty na propozycje.

- Zawsze słucham propozycji - odparł Beam zasłaniając Tirolowi widok na właściwe pomieszczenie laboratorium. Było to, zresztą, niepotrzebne, gdyż zasuwane drzwi zamknęły się same. Tirol był szefem Heimiego... niewątpliwie był przekonany o swoim prawie do wszelkiej informacji o morderstwie. Kto je popełnił? Kiedy? Jak? Dlaczego? To jednak nie tłumaczyło powodu, dla którego był tu a j.

- Potworna sprawa - powiedział Tirol bez osłonek. Nawet nie

próbował przedstawić kobiety, która usiadła na kanapie, żeby zapalić papierosa. Szczupła, z mahoniowymi włosami, miała na sobie niebieski płaszcz, a wokół głowy zawiązaną chustkę.

- Rzeczywiście - zgodził się Beam. - Potworna.

- Jak mi wiadomo, był pan tam.

Powód wizyty zaczynał być bardziej zrozumiały.

- Owszem - przyznał Beam. - Pokazałem się tam na krótko.

- Ale sam pan tego nie widział?

- Nie - przyznał Beam - nikt tego nie widział. Departament Spraw Wewnętrznych zbiera materiał dowodowy. Do rana komputer powinien dokonać ostatecznej identyfikacji mordercy.

Widać było, że Tirol rozluźnił się. - Cieszę się. Nie zniósłbym tego, gdyby ten bezwzględny przestępca uciekł. Zesłanie to zbyt łagodna kara dla niego: należy mu się gaz.

- Barbarzyństwo - wymamrotał Beam z poważną miną. - Czasy komory gazowej. Średniowiecze.

Badawczy wzrok Tirola powędrował poza nim. - Pracuje pan nad... - Skończyło się owijanie w bawełnę. - Niech pan słucha, Leroy. Tej nocy został zabity Heimie Rosenburg - Panie świeć nad jego duszą - i tej samej nocy zastaję pana w laboratorium o tej porze. Może pan być ze mną szczerzy; pan ma coś bezpośrednio związanego z jego śmiercią, nieprawdaż?

- W tej sprawie powinien pan zwrócić się do Ackersa.

Tirol zachichotał. - Mogę rzucić okiem?

- Z pewnością nie, jeszcze nie jestem na pańskiej liście płac.

Nerwowy, nienaturalny głos Tirola zaskrzeczał: - Chcę to mieć.

Zaskoczony Beam powiedział: - Co pan chce mieć?

W groteskowym podrygu Tirol rzucił się do przodu, odepchnął Beama na bok i wyciągnął ręce, żeby znaleźć drzwi. Drzwi rozsunęły się przed nim. Tirol hałaśliwie ruszył przez ciemny korytarz odnajdując na wycucie drogę do laboratoriów badawczych.

- Dokąd to! - wrzasnął rozwścieczony Beam. Rzucił się w pogoń za starym człowiekiem, dotarł do wewnętrznych drzwi - był gotów użyć siły w razie potrzeby. Trząsał się cały, trochę ze zdumienia, trochę z nieklamanej złości. - Co to znaczy, do diabła? - wykrztusił bez tchu. - Nie jestem pańską własnością!

Drzwi, o które się opierał, rozsunęły się w tajemniczy sposób. Głupio wyglądający z rozpostartymi rękoma, omal nie przewrócił się na plecy wpadając do wewnątrz laboratorium. Natknął się na technika, który stał jak porażony nagłym atakiem paraliżu. Po podłodze laboratorium sunęło coś małego i metalicznego. Wyglądało jak wielkie pudło krakersów i zmierzało w kierunku Tirola. Przedmiot ten – metalowy i błyszczący – podskoczył i wpadł w ramiona Tirola. Stary człowiek obrócił się i ciężko stąpając podążył korytarzem w stronę poczekalni.

- Co to było? – zapytał technik, odzyskując mowę.

Nie zwracając na niego uwagi Beam pośpieszył za Tirolelem. - On to ma! – wrzeszczał na próżno.

- To – wyjąkał technik – to był odbiornik tv, który biegł.

II

Komputery-kartoteki w Departamencie Spraw Wewnętrznych pracowały na pełnych obrotach.

Proces tworzenia coraz bardziej ograniczonej kategorii wyboru był żmudny i czasochłonny. Większość personelu poszła już do domu spać; o trzeciej nad ranem korytarze i biura świeciły pustkami. Tu i tam pełzały w ciemnościach mechaniczne sprzątaczkę. Jedyne oznaki życia dobiegały z pomieszczenia personelu obsługującego komputer-kartotekę. Edward Ackers siedział cierpliwie oczekując na wyniki, na napływający materiał dowodowy i na jego przetworzenie przez urządzenia elektroniczne.

Po jego prawej stronie kilku policjantów z Departamentu zabijało czas grając w loteryjkę, ze stoickim spokojem oczekując wystąpienia na akcję. Linie łączności z mieszkaniem Heimiego Rosenburga były w bezustannym ruchu, o czym świadczyły dobiegające z nich dźwięki. W dole, na chodniku wzdłuż ulicy, Harvey Garth nadal tkwił w swojej budce propagandy; błyskając neonem, który krzyczał SKOŃCZYĆ Z TYM! i mamrocząc swoją prawdę do uszu przechodniów. Ulica była teraz zupełnie wyludniona, ale Garth mamrotał dalej. Był niestrudzony; nigdy nie dawał za wygraną.

- Psychopata – powiedział Ackers z niechęcią. Nawet tu gdzie siedział, sześć pięter nad ulicą, do jego uszu docierał cienki, ganiący głos.

- Wsadźmy go - zaproponował jeden z grających policjantów. Gra miała zawite reguły i wymagała przebiegłości. Była jedną z odmian ćwiczenia o nazwie Centauran III. - Możemy mu cofnąć licencję sprzedawcy ulicznego.

Kiedy nie było nic lepszego do roboty, Ackers sporządzał i udoskonalał akt oskarżenia Gartha, coś w rodzaju amatorskiej analizy aberracji umysłowych tego człowieka. Lubił bawić się w psychoanalityka; taka zabawa dawała mu poczucie władzy.

Garth, Harvey

Widoczny syndrom przymusu. Przybrał postawę ideologicznego anarchisty będącego w opozycji do systemu prawnego i społecznego. Brak racjonalnych wypowiedzi, ogranicza się do powtarzania kluczowych słów i fraz. Jego ideé fix to znieść system banicji. Sprawa, której się poświęcił, dominuje nad całym życiem. Niepoprawny fanatyk, prawdopodobnie typu maniakalnego, ponieważ...

Ackers pozostawił zdanie nie dokończone, ponieważ tak naprawdę to nie wiedział, jak zdefiniować typ maniakalny. Tak czy inaczej jego analiza była świetna i pewnego dnia spocznie w oficjalnej przegródce, zamiast tylko błędzić w jego myślach. A wtedy przyjdzie czas na to, żeby ten drażniący go głos wyciągnął wnioski.

- Wielkie zamieszanie - ciągnął Garth monotonnym głosem. - System banicji drży w posadach... nadszedł moment kryzysu. - Jakiego kryzysu? - Ackers zadał to pytanie na głos. W dole na chodniku Garth odpowiedział. - Wszystkie wasze maszyny szumią w ruchu. Panuje wielkie podniecenie. Czyjaś głowa spadnie, zanim słońce wstanie. - Głos oddalał się i słowa były niewyraźne: - Intryga i morderstwo. Trupy... policja w rozsypce, w ukryciu czai się piękna kobieta.

Ackers dodał klauzulę wzmacniającą do swojej analizy.

... Zdolności Gartha są wypaczone przez jego nieodparte poczucie misji do spełnienia. Po wynalezieniu pomysłowego urządzenia w dziedzinie łączności nie widzi dla niego innego zastosowania jak tylko do celów propagandowych, podczas gdy urządzenie Gartha,

oparte na sprzężeniu głos - ucho, może być wykorzystane dla dobra Całej Ludzkości.

To go zadowoliło. Ackers wstał i podszedł do operatora obsługującego komputer-kartotekę. - Jak leci? - spytał.

- Sytuacja jest następująca - powiedział operator. Na podbródku widać było szary zarost nie golonego zarostu, oczy miał zamglone ze zmęczenia. - Krok po kroku zbliżamy się do finalnego obrazu.

Zajmując ponownie swoje miejsce, Ackers chciałby znowu znaleźć się w czasach wszechmocnych odcisków palców. Ale już od miesiąca nie spotkał się z odciskiem palca. Istniało tysiąc sposobów usuwania i zmieniania odcisków palców. Obecnie żaden pojedynczy dowód nie nadawał się do precyzyjnej identyfikacji. Ostateczny obraz był wynikiem otrzymanym dzięki zestawieniu ze sobą kilku poszlak.

- 1) próbka krwi (grupa 0) 6,139,481,601
- 2) numer buta ($II^{1/2}$) 1,268,303,431
- 3) pałacy 791,992,386
- 3a) pałacy (fajka) 52,274,853
- 4) płeć (mężczyzna) 26,449,094
- 5) wiek (30-40 lat) 9,221,397
- 6) waga (200 lbs) 488,290
- 7) materiał ubrania 17,459
- 8) kolor włosów 866
- 9) posiadanie broni, która była w użyciu 40

Te dane tworzyły żywy obraz. Ackers widział go zupełnie wyraźnie. Widział go jak żywego tuż przed swoim biurkiem. Dość młody mężczyzna, trochę przyciężko zbudowany, mężczyzna, który palił fajkę i miał na sobie bardzo drogi, tweedowy garnitur. Osobnik stworzony przez dziewięć elementów materiału dowodowego; dziesiątego nie było na liście, ponieważ nie znaleziono nic więcej, co mogłoby kwalifikować się jako taki właśnie materiał.

Zgodnie z przedstawionym mu raportem mieszkanie zostało gruntownie przeszukane. Obecnie ekipa zabierała stamtąd całą aparaturę użytą do detekcji.

- Jeszcze jeden element powinien załatwić całą sprawę - powiedział Ackers zwracając raport operatorowi komputera. Zastanawiał się, czy

uda im się go zdobyć, a jeżeli tak, to jak długo trzeba będzie na to czekać.

Dla zabicia czasu zatelefonował do żony, ale zamiast głosu Ellen usłyszał obwód automatycznej odpowiedzi. – Słucham pana – odezwał się obwód. – Pani Ackers już się położyła spać. Może pan zostawić trzydziestosekundową wiadomość, którą będzie mogła przeczytać rano po transkrybowaniu z nagrania. Dziękuję panu.

Ackers naurągał mechanizmowi w bezsilnej wściekłości i odwiesił słuchawkę. Zastanawiał się nad tym, czy Ellen rzeczywiście położyła się spać; a może, jak się to już zdarzało, wymknęła się z domu. Z drugiej strony, była prawie trzecia rano i każdy przy zdrowych zmysłach już spał; tylko on i Garth tkwili na swoich małych stanowiskach spełniając niezwykle ważne obowiązki.

Co Garth miał na myśli używając sformułowania „piękna kobieta”?

– Panie Ackers – powiedział operator – właśnie nadają do nas dziesiąty element materiału dowodowego.

Pełen nadziei Ackers podniósł wzrok na komputer-kartotekę. Oczywiście nie mógł nic zobaczyć, ponieważ właściwy mechanizm zajmował kilka podziemnych poziomów budynku, a w tym pomieszczeniu znajdowały się tylko receptory wejścia i szczeliny, przez które komputer wyrzucał odpowiedź. Jednak właśnie spoglądanie na tę maszynię było samo w sobie pokrzepiające. W tym momencie bank danych przyjmował dziesiąty element materiału dowodowego. Za chwilę będzie wiedział, ilu obywateli można było zakwalifikować do tych dziesięciu kategorii... będzie wiedział, czy wybrana grupa jest wystarczająco mała, żeby ją przebrać sztuka po sztuce.

– Proszę bardzo – powiedział operator podsuwając mu raport.

TYP UŻYWANEGO POJAZDU (KOLOR) 7

– Na boga – powiedział Ackers miękko. – To już dostatecznie mało. Siedem osób – możemy zabrać się do roboty.

– Chce pan, żeby wystukać te siedem kart?

– Wystukaj – powiedział Ackers.

W chwilę potem ze szczeliny wyjścia wypadło na tackę siedem schludnych, białych kartoników. Operator podał je Ackersowi, który

szybko je przerzuczał. Następnym krokiem analizy był osobisty motyw i odległość: elementy, które trzeba było samemu wydostać od podejrzanych.

Sześć z siedmiu nazwisk umieszczonych na kartach nic mu nie mówiło. Dwie osoby mieszkały na Wenus, jedna w Układzie Centaura, jedna była gdzieś na Syriuszu, jedna w szpitalu, jedna mieszkała w Związku Radzieckim. Jednak siódma osoba mieszkała w zasięgu kilku mil, na przedmieściach Nowego Jorku.

LANTANO, DAVID

To stawiało kropkę nad „i”. Klapka w mózgu Ackersa wskoczyła na właściwe miejsce, wyobrażenie zakrzepło w realny kształt. Na wpół spodziewał się, a nawet modlił o to, żeby komputer wyrzucił właśnie kartę z nazwiskiem Lantano.

- To jest wasz klient - powiedział drżącym głosem do zajętych grą policjantów. - Lepiej zbierzcie tak dużą ekipę, jak się da, z tym nie pójdzie łatwo. - Momentalnie dodał. - Może najlepiej będzie, jak pojedę z wami.

Beam dotarł do poczekalni swojego laboratorium w chwili, gdy wiekowa postać Paula Tirola wydostała się przez drzwi wejściowe i pojawiła po drugiej stronie na ciemnym chodniku. Młoda kobieta, idąca szybkimi, drobnymi krokami przed nim, wsiadła do zaparkowanego samochodu i zapaliła; gdy pojawił się Tirol, podjechała, zabrała go szybko do samochodu i natychmiast ruszyła dalej.

Ciężko dysząc, Beam stał bezsilnie na opustoszałym chodniku dochodząc do siebie. Bez tego, co miało uchodzić za telewizorek, został z pustymi rękami. Bez żadnego wyraźnego celu zaczął biec ulicą. Obcasy odbijały się głośnym echem w zimnej ciszy. Ani śladu po nich; ani śladu po czymkolwiek.

- Niech mnie diabli - powiedział z uczuciem niemal nabożnego podziwu i lęku. Urządzenie - jakiś niezwykle skomplikowany robot - z pewnością należało do Paula Tirola; jak tylko rozpoznało jego obecność, z radością rzuciło się w jego stronę. Szukając... schronienia?

Zabiło Heimiego i należało do Tirola. Więc Tirol posłużył się zupełnie

nową, pośrednią metodą, żeby zabić swojego pracownika, człowieka, który w biurze przy Piątej Alei był przykrywką dla interesów Tirola. Z grubsza biorąc, tak wysoce zorganizowany robot mógł kosztować około stu tysięcy dolarów.

Mnóstwo pieniędzy, biorąc pod uwagę fakt, że morderstwo było przestępstwem najłatwiejszym do popełnienia. Czemu nie wynajął jakiegoś włóczęgi z łomem?

Beam zawrócił powoli w stronę laboratorium. Nagle najwidoczniej zmienił zdanie i ruszył w kierunku dzielnicy, gdzie robiło się interesy. Gdy nadjechała wolna taksówka, machnął na nią i wgramolił się do środka.

- Dokąd, kolego? - spytał głos płynący z przekaźnika. Miejskie taksówki były zdalnie sterowane z jednej centrali.

Podał nazwę wybranego baru. Opierając się wygodnie o siedzenie zaczął się zastanawiać. Każdy mógł dokonać morderstwa; kosztowna, skomplikowana maszyna nie była do tego potrzebna.

Maszyna została zbudowana, żeby zrobić coś innego. Zamordowanie Heimiego Rosenburga było dziełem przypadku.

Na tle nocnego nieba wznosiła się ogromna rezydencja zbudowana z kamienia. Ackers oglądał ją uważnie z daleka. Wszystkie światła były wygaszone; drzwi i okna pozamykane na głucho. Przed domem rozciągał się akr trawnika. David Lantano był, prawdopodobnie, ostatnią osobą na Ziemi, do której należał akr samej, czystej trawy; nabycie całej planety w jakimś innym układzie było mniej kosztowne.

- Idziemy - wydał komendę Ackers; pełen odrazy dla takiego bogactwa rozmyślnie podeptał klomb z różami posuwając się w stronę szerokich stopni prowadzących na ganek. Za nim ciągnął rząd policjantów z brygady specjalnej.

- Na Boga - huknął Lantano, którego wyciągnięto z łóżka. Dość młody, otyły mężczyzna o łagodnym wyglądzie, miał na sobie obszerny, jedwabny szlafrok. Ze swoim wyglądem bardziej pasował na dyrektora letnich kolonii dla chłopców; jego miękka twarz o luźnych fałdach miała wyraz niezmiennie dobrego nastroju.

- Czy coś się stało, panie oficerze?

Ackers nie znoślił, kiedy zwracano się do niego per panie oficerze.

- Jest pan aresztowany - oświadczył.

- Ja - zawtórował Lantano cienkim głosem. - Ejże, panie oficerze, takimi sprawami zajmują się moi prawnicy. - Ziewnął potężnie. - Może trochę kawy? - Wyglądał niezbyt mądrze, kiedy zaczął krzątać się po pokoju znajdującym się w przedniej części domu, nastawiając dzbanek z kawą.

Całe lata minęły, odkąd Ackers, chcąc zaimponować komuś, kupił sobie filizankę kawy. Urządzenia przemysłowe i domy mieszkalne pokrywały grunt Ziemi tak gęsto, że nie pozostawało już miejsca na uprawy, a kawa nie chciała się „przyjąć” w żadnym innym układzie. Lantano, prawdopodobnie, uprawiał swoją na jakiejś nielegalnej plantacji w Ameryce Południowej - ci, którzy ją zbierali, najpewniej byli przekonani, że wywieziono ich do jakiejś odległej od Ziemi kolonii.

- Nie, dziękuję - powiedział Ackers. - Proszę iść ze mną.

Nadal oszołomiony, Lantano opadł w miękki fotel patrząc na Ackersa z niepokojem. - Pan mówi poważnie? - Emocje stopniowo zniknęły z jego twarzy; wydawało się, że znowu zasypia. - Kto? - wymamrotał jakby z daleka.

- Heimie Rosenburg.

- Chyba pan żartuje. - Lantano apatycznie pokręcił głową. - Zawsze chciałem go mieć w swoim towarzystwie. Heimie jest naprawdę pełen uroku. Był, chciałem powiedzieć.

Ackers czuł się nieswojo w tym przestronnym, kapiącym od przepychu domu. Kawa zagotowała się i jej zapach drażnił jego nozdrza. A to co - wielkie nieba - na stole stał kosz z morelami.

- Brzoskwinie - poprawił Lantano, który zauważył jego wzrok utkwiony w koszyku. - Proszę się poczęstować.

- Gdzie pan je dostał?

Lantano wzruszył ramionami. - Syntetyczna kopuła. Hydroponika. Nie pamiętam gdzie... Nie mam głowy do technicznych rzeczy.

- Pan wie, jaka jest grzywna za posiadanie naturalnych owoców?

- Proszę posłuchać - Lantano zaczął mówić z przejęciem ściskając pulchne dłonie razem. - Pan mi poda szczegóły tej sprawy, a ja udowodnię panu, że nie miałem z tym nic wspólnego. No więc, panie oficerze.

- Nazywam się Ackers - powiedział Ackers.

- W porządku, panie Ackers. Wydawało mi się, że pana poznałem, ale nie byłem pewien; nie chciałem wyjść na durnia. Kiedy zabito Heimiego?

Ackers niechętnie przekazał mu stosowną informację. Przez chwilę Lantano milczał. Następnie przeciągając słowa powiedział poważnie: - Lepiej niech pan popatrzy na te siedem kart jeszcze raz. Jeden z tych facetów wcale nie jest w Układzie Syriusza... jest z powrotem na Ziemi.

Ackers kalkulował szansę udanego zesłania na banicję kogoś tak ważnego jak David Lantano. Jego organizacja - Interplan Export - sięgała swoimi mackami w każdy zakątek galaktyki; ekipy poszukiwawcze rozbiegłyby się na wszystkie strony jak pszczoły. Z drugiej strony nikt nie zapuszczał się dobrowolnie na odległość zesłania. Skazany na banicję był czasowo zjonizowany i w postaci naładowanych cząsteczek energii wypromieniowany na zewnątrz z prędkością światła. Była to eksperymentalna technika, która zawiodła; działała tylko w jedną stronę.

- Niech pan pomyśli - powiedział Lantano z namysłem. - Gdybym miał zamiar zabić Heimiego, czy zrobiłbym to sam?

Brak panu logiki, Ackers. Wynająłbym kogoś. - Wycelował w Ackersa mięsisty palec. - Sądzi pan, że ryzykowałbym własne życie? Wiem, że nikt wam się nie wymknie... zazwyczaj zdobywacie wystarczająco dużo dowodów.

- Mamy dziesięć przeciwko panu - powiedział Ackers z ożywieniem.

- A więc zamierzacie mnie zesać?

- Jeżeli jest pan winny, czeka pana zesłanie jak każdego, kto na tę karę zasłużył. Pański szczególny prestiż nic tu nie pomoże.

Poirytowany Ackers oznajmił: - Oczywiście, będzie pan zwolniony. Będzie pan miał mnóstwo czasu, żeby udowodnić swoją niewinność; może pan zakwestionować każdy z dziesięciu dowodów po kolei.

Zaczął kontynuować wyjaśnienia dotyczące ogólnego trybu procedury sądowej stosowanej w dwudziestym pierwszym wieku, ale coś sprawiło, że nagle przerwał. David Lantano zaczął zapadać się w podłogę wraz z fotelem. Czy było to tylko złudzenie? Ackers zamrugał oczami, mocno je potarł i znowu patrzył uważnie. Jednocześnie jeden z policjantów krzyknął ostrzegawczo ze

zdumieniem; Lantano powoli ich opuszczał.

- Wracać! - zażądał Ackers; skoczył naprzód i chwycił za fotel. Jeden z jego ludzi błyskawicznie wyłączył zasilanie budynku; fotel przestał się zapadać i stanął wydając przytłumiony dźwięk. Znad podłogi wystawała tylko głowa Lantano. Cała reszta zanurzona była w zamaskowanym szybie ucieczkowym.

- Jakie to tanie, bezprzydatne - zaczął Ackers.

- Wiem - przyznał Lantano nie robiąc najmniejszego ruchu, żeby się wydostać na górę. Wydawał się zrezygnowany; myślami znowu był gdzieś w chmurach. - Mam nadzieję, że uda się nam to wszystko wyjaśnić. To oczywiste, że ktoś mnie wrabia. Tirol znalazł kogoś podobnego do mnie i posłał go, żeby zamordował Heimiego.

Ackers z ekipą pomogli mu się wydostać z zapadniętego fotela. Nie stawiał żadnego oporu; tak głęboko był pogrążony w myślach.

Leroy Beam wysiadł z taksówki na wprost baru. Na prawo, w następnym budynku znajdował się Departament Spraw Wewnętrznych... a na chodniku - budka Harveya Gartha w kształcie nieprzezroczystej kuli.

Beam wszedł do baru, znalazł stolik w głębi i usiadł. Już teraz dolatywał go odległy pomruk Gartha, snującego na głos własne refleksje, który jeszcze nie zdawał sobie sprawy z jego obecności.

- Skończyć z tym - mówił Garth. - Skończyć z nimi wszystkimi. Banda oszustów i złodziei. - Jadowita gadanina bez związku płynęła z budki Gartha.

- Co się dzieje? - spytał Beam. - Jest coś nowego?

Monolog ustał, gdy Garth skoncentrował swoją uwagę na Beamie..

- Jest pan tam, w barze?

- Chcę się czegoś dowiedzieć o śmierci Heimiego.

- Tak - odezwał się Garth. - Nie żyje; kartoteka pracuje, wyrzuca kartę po karcie.

- Kiedy wychodziłem z mieszkania Heimiego - powiedział Beam - mieli już sześć dowodów. - Wcisnął guzik automatycznego barmana i wrzucił żeton.

- Musiało to być dużo wcześniej - stwierdził Garth - mają więcej.

- Ile?

- W sumie dziesięć.

Dziesięć. Tyle zwykle wystarczało. Każdy z nich pozostawił robot na swojej drodze od betonowej ściany budynku do martwego ciała Heimiego Rosenburga.

- Mieli szczęście - powiedział filozoficznie. - Ackersowi to dużo pomoże.

- Ponieważ pan mi płaci - odezwał się Garth - powiem panu resztę. Już pojechali kogoś aresztować; Ackers był z ekipą.

Robot zdał pomyślnie swój egzamin. Przynajmniej do pewnego stopnia. Jednego był pewien: oryginalny plan zakładał, że urządzenie powinno opuścić mieszkanie. Tirol nie wiedział o brzęczku alarmowym Heimiego, który był na tyle rozsądny, żeby go zainstalować na wypadek śmiertelnego zagrożenia, nic nikomu o tym nie mówiąc.

Gdyby brzęczek nie sprowadził ludzi do mieszkania, robot wy dostałby się z powrotem na zewnątrz i wróciłby do Tirola. Ten, z kolei, na pewno wysadziłby go w powietrze. Nie pozostałoby nic, co wskazywałoby na to, że maszyna jest w stanie pozostawić tyle syntetycznych poszlak: grupa krwi, tkanina, tytoń fajkowy, włosy... i całą resztę, wszystkie fałszywe.

- Kogo aresztują? - spytał Beam.

- Davida Lantano.

Beam skrzywił się.

- Oczywiście. O to właśnie w tym wszystkim chodzi; wrabiają go!

Garth pozostał obojętny; był wynajętym pracownikiem, działającym przy zespole niezależnych badaczy, którego zadaniem było uzyskiwanie i przekazywanie informacji z Departamentu Spraw Wewnętrznych. Polityka zupełnie go nie interesowała; to jego skończyć z tym! Nie było niczym więcej jak sprytnym kamuflażem.

- Wiem, że dowody są sfabrykowane - powiedział Beam. - Lantano także wie o tym. Ale żaden z nas nie potrafi tego dowieść... chyba że Lantano ma absolutnie niepodważalne alibi.

- Skończyć z tym - zamruczał Garth, powracając do rutynowego zajęcia. Kilku przechodniów, późno wracających do domów mijało jego budkę. Starał się zamaskować rozmowę z Beamem. Rozmowa z wybraną osobą była niesłyszalna dla innych, ale lepiej było nie ryzykować. Zdarzało się, że następowało sprzężenie zwrotne sygnału

tuż przy samej budce.

Zgarbiony nad swoim drinkiem Leroy Beam rozważał rozmaite posunięcia, które mógł wykonać. Mógł zawiadomić organizację Lantano, która była względnie nienaruszona... ale rezultatem tego byłaby epicka wojna domowa. Zresztą, prawdę mówiąc było mu wszystko jedno, czy Lantano był wrabiany, czy nie. Wcześniej czy później jeden wielki handlarz żywym towarem musiał wchłonąć drugiego; kartel jest naturalną konkluzją wielkiego interesu. Pozbywszy się Lantano, Tirol gładko połknąłby jego organizację; jak zawsze wszyscy pracowaliby dla niego.

Z drugiej strony, pewnego pięknego dnia może pojawić się urządzenie - może już do połowy skonstruowane w piwnicy Tirola - które pozostawi za sobą sznur poszlak prowadzących do osoby nazywającej się Leroy Beam. Kiedy już jakiś pomysł chwyci, to nie widać końca w jego zastosowaniu.

- I pomyśleć, że miałem tę cholerną rzecz - powiedział bezowocnie.

- Waliłem w nią przez pięć godzin. Wtedy wyglądała jak telewizorek, ale to nadal było urządzenie, które zabiło Heimiego.

- Jest pan pewien, że zginęło?

- Nie tylko je zabrali, przestało istnieć. Chyba że rozbiła samochód odwożąc Tirola do domu.

- Rozbiła? - spytał Garth.

- Ta kobieta. - Beam zamyślił się. - Ona je widziała. Lub wiedziała o istnieniu tego urządzenia; była z Tirole. - Niestety nie miał zielonego pojęcia, kim ta kobieta mogła być.

- Jak wyglądała? - spytał Garth.

- Wysoka, mahoniowe włosy. Bardzo nerwowe usta.

- Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że pracowała z nim otwarcie. Musiało im bardzo zależeć na tym urządzeniu. - Garth dodał: - Nie rozpoznał jej pan? Sądzę, że nie było powodu, żeby miał pan to zrobić; nie pchała się przed oczy.

- Kim ona jest?

- To Ellen Ackers.

Beam roześmiał się ostro. - I to ona wozi Paula Tirola samochodem?

- No cóż, tak, wozi Tirola samochodem. Można to i tak ująć.

- Jak długo to trwa?

- Myślałem, że pan o tym wie. Jej małżeństwo z Ackerssem rozpadło się rok temu. Nie pozwolił jej odejść; nie zgodził się na rozwód. Boi się opinii publicznej. To bardzo ważne dla niego, żeby zachować twarz, wyglądać na godnego szacunku.

- Wie o Paulu Tirołu i o niej?

- Oczywiście, że nie. Wie, że jest emocjonalnie zaangażowana, ale mu na tym nie zależy... tak długo jak nikt o tym nie wie. Przed wszystkim myśli o swojej karierze.

- Gdyby Ackers się dowiedział - mruzczał Beam. - Gdyby zauważył powiązanie między swoją żoną i Tirołem... miałby w nosie oficjalny materiał dowodowy. Chciałby przymknąć Tiroła. Do diabła z dowodami; te mógł zawsze zebrać później. - Beam odsunął od siebie szklanę; i tak była już pusta. - Gdzie jest Ackers?

- Już mówiłem. Jest w domu Lantano, aresztuje go.

- Wróci tutaj? Nie do swojego domu?

- Pewnie, że tutaj. - Garth milczał przez chwilę. - Widzę dwie furgonetki z Departamentu podjeżdżające na wjazd do garażu. Pewnie grupa operacyjna wraca z tej akcji.

Beam czekał w napięciu. - Czy Ackers jest z nimi?

- Tak, jest tam. Skończyć z tym! - Głos Gartha wzniósł się do poziomu oszałamiającej tuby. - Skończyć z systemem banicji! Wykorzenić oszustów i piratów!

Beam ześlizgnął się ze stołka i wyszedł z baru.

Z tylnej części mieszkania Edwarda Ackersa widać było przyćmione światło: pewnie paliło się w kuchni. Drzwi wejściowe były zamknięte na klucz. Stojąc w holu pokrytym dywanem, Beam zręcznie zabrał się do zamka. Jego mechanizm reagował na określone układy nerwowe: właścicieli mieszkania i ograniczonego kręgu ich przyjaciół. Na niego nie reagował zupełnie.

Beam przyklęknął, włączył kieszonkowy oscylator i zaczął emisję fali sinusoidalnej. Stopniowo zwiększał częstotliwość. Kiedy częstotliwość osiągnęła 150 tysięcy herców, zamek szczękniętą z poczuciem winy, to mu wystarczyło. Wyłączył oscylator i zaczął grzebać między swoimi uniwersalnymi układami, dopóki nie znalazł cylindra szafkowego. Po

wsunięciu w głowicę oscylatora cylinder wyemitował syntetyczny układ nerwowy tak podobny do oryginału, że mechanizm zamka zareagował.

Drzwi były otwarte. Beam wszedł do środka.

W półmroku bawialnia wydawała się skromna i gustowna. Ellen Ackers знаła się na prowadzeniu domu. Beam nasłuchiwał. Czy w ogóle była w domu? Jeżeli była, to gdzie? Była jeszcze na nogach, czy już spała?

Zajrzał ostrożnie do sypialni. Łóżko stało puste.

Jeżeli nie było jej tutaj, była u Tirola. Nie miał zamiaru jechać za nią; nie chciał więcej ryzykować.

Sprawdził jadalnię. Nikogo. Kuchnia również była pusta. W następnym pokoju po jednej stronie stał zbytkowy barek, a po drugiej kanapa na całą długość ściany. Rzucony niedbale na kanapie leżał damski płaszcz, torebka, rękawiczki. Znał te rzeczy. Miała je na sobie Ellen Ackers. A więc po wyjściu z laboratorium przyjechała tutaj.

Pozostała mu jeszcze łazienka. Poruszył klamką; drzwi były zamknięte na klucz od środka. Nie dochodził stamtąd żaden dźwięk, ale ktoś był po drugiej stronie drzwi. Czuł jej obecność.

- Ellen - powiedział przez drzwi. - Pani Ellen Ackers, czy to pani?

Żadnej odpowiedzi. Wyczuwał, że ona stara się nie zrobić najmniejszego hałasu: zawiesista, grobowa cisza.

Podczas gdy klęczał przekładając coś w kieszeni pełnej magnetycznych „wytrychów”, rozpryskujący pocisk przebił drzwi na wysokości jego głowy i z głośnym plaśnięciem rozpląszczył się na ścianie za nim.

Jednocześnie drzwi otwały się szeroko; stała w nich Ellen Ackers z twarzą wykrzywioną przerażeniem. Mała, koścista dłoń zaciskała się na jednym ze służbowych pistoletów męża. Stała bliżej niż o stopę od niego. Wciąż klęcząc, Beam schwycił ją mocno za nadgarstek; strzeliła ponad jego głowę i obydwój zaczęli ciężko dyszeć z wysiłku.

- Dajmy temu spokój - wykrztusił Beam w końcu. Dysza wylotowa broni niemal muskała czubek jego głowy. Żeby go zabić, musiałaby z powrotem przyciągnąć broń do siebie. Nie pozwalał jej na to; ścisnął jej nadgarstek tak długo, aż w końcu, niechętnie, wypuściła broń z ręki. Upadła z trzaskiem na podłogę. Beam podniósł się sztywno z kolan.

- Pan siedział - wyszeptała przerażonym, oskarżającym głosem.

- Klęczałem i próbowałem otworzyć zamek. Cieszę się, że celowała pani w mój mózg. - Podniósł broń i udało mu się włożyć ją do kieszeni płaszcza; ręce mu się trzęsły.

Ellen Ackers patrzyła mu prosto w twarz; oczy miała ogromne i ciemne, twarz pokrywała trupia bladość. Skóra też była martwa, zupełnie wysuszona, jakby sztuczna, dokładnie przesypana talkiem. Była na granicy hysterii; głęboki, stłumiony spazm wstrząsnął jej ciałem i w końcu umiejscowił się w gardle. Usiłowała coś powiedzieć, ale z krtani wydobył się tylko chrapliwy dźwięk.

- Ojej, proszę pani - powiedział Beam z zakłopotaniem. - Chodźmy do kuchni i usiądźmy.

Gapiała się na niego, jakby powiedział coś niesłychanego albo nieprzyzwoitego, albo cudownego; nie był pewien, które z przypuszczeń było trafne.

- No, już dobrze. - Spróbował wziąć ją za ramię, ale wyrwała mu się jak szalona. Miała na sobie zielony kostium o prostym kroju i wyglądała w nim naprawdę ładnie; była może trochę zbyt szczupła i napięta, ale wciąż pociągająca. Nosiła kolczyki z importowanymi kamieniami, które wydawały się poruszać bez przerwy... poza tym jej strój był bardzo skromny.

- Pan był tym mężczyzną w laboratorium - udało się jej wykrztusić łamiącym się, zduszonym głosem.

- Nazywam się Leroy Beam. Niezależny badacz. - Niezgrabnie poprowadził ją do kuchni i posadził przy stole. Splotła ręce przed sobą i utkwiała w nich wzrok; koścista bladość jej twarzy zdawała się raczej wzmacniać, niż zanikać. Poczł się nieswojo.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał.

Skinęła potakująco głową.

- Może filiżankę kawy? - Otworzył szafkę i rozglądał się za butelką namiastki kawy uprawianej na Wenus. W czasie kiedy szukał kawy, Ellen Ackers powiedziała z ogromnym napięciem:

- Lepiej będzie, jak pan tam wejdzie. Do łazienki. Nie sądzę, żeby nie żył, ale mogłoby się tak zdarzyć.

Beam rzucił się do łazienki. Za plastikową zastoną prysznicową widać było ciemny kształt. Zgięty w pół, w wannie leżał Paul Tirol w pełnym ubraniu. Nie był martwy, ale mocne uderzenie za lewym

uchem rozcięto skórę na głowie, z której powoli ściekała stróżka krwi. Beam zbadał puls, wsłuchał się w oddech, a potem wyprostował się.

W drzwiach do łazienki zjawiała się Ellen Ackers, wciąż blada z przerażenia. – Nie żyje? Zabiłam go?

– Nic mu nie będzie.

Widać było, że odetchnęła z ulgą. – Dzięki Bogu. To stało się tak szybko – wysiadł z samochodu przede mną, żeby zabrać M do siebie, i wtedy to zrobiłam. Uderzyłam tak lekko, jak tylko mogłam. Był tak zajęty M... że zapomniał o mnie. – Słowa toczyły się z jej ust: szybkie, urywane zdania, akcentowane sztywnym drżeniem rąk. – Zataszczyłam go z powrotem do samochodu i przywiozłam tutaj; nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

– Co pani z tego wszystkiego przyjdzie?

Jej mięśnie drgały w histerycznych spazmach.

– Wszystko było zaplanowane – miałam wszystko obmyślane. Jak tylko udało mi się dostać to w swoje ręce, miałam zamiar...

Przestała mówić.

– Szantażować Tirola? – spytał zafascynowany.

Uśmiechnęła się blado. – Nie, nie Paula. To właśnie Paul podsunął mi ten pomysł... to był pierwszy pomysł, który przyszedł mu do głowy, kiedy jego naukowcy pokazali mu tę rzecz. Nazywał ją nie zrekonstruowane M. M oznacza maszynę. Nazywając ją tak, chciał powiedzieć, że nie można jej wychować, moralnie udoskonalić.

Nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał, Beam powiedział: – Miała pani zamiar szantażować męża.

Ellen Ackers skinęła potakująco głową. – Po to, żeby mi pozwolił odejść.

Nagle Beam poczuł dla niej nieklamany szacunek. – Mój Boże – ten brzęczek. Heimie go nie zainstalował: to zrobiła pani. Żeby urządzenie wpadło w pułapkę w jego mieszkaniu.

– Tak – przyznała mu rację. – Sama miałam je stamtąd zabrać. Ale Paulowi przyszły do głowy inne pomysły; on też chciał to mieć.

– Więc co się pogmatwało? Pani to ma, nieprawdaż?

Nic nie mówiąc wskazała na szafkę z bielizną. – Schowałam tam, kiedy usłyszałam, że pan nadchodzi.

Beam otworzył szafkę. Na schludnie poskładanych ręcznikach

grzecznie spoczywał dobrze mu znany telewizorek.

- Znowu zmienił postać - powiedziała Ellen, monotonnym, zupełnie zrezygnowanym głosem. - Jak tylko uderzyłam Paula, nastąpiła zmiana. Przez pół godziny usiłowałam pobudzić go do ruchu. Ani drgnął. Już na zawsze pozostanie taki jak teraz.

III

Beam podszedł do telefonu i zadzwonił po lekarza. Leżący w łazience Tirol jęknął i słabo poruszył ramionami. Zaczynał odzyskiwać przytomność.

- Czy to było niezbędne? - dopytywała się Ellen Ackers. - Ten lekarz - musiał pan po niego telefonować?

Beam nie zwracał na nią uwagi. Nachylił się, podniósł telewizorek i trzymał go w rękach; czuł, jak jego ciężar przesuwają się w górę ramion, obejmuje je, jak uczucie wolno narastającego, ciężkiego jak ołów zmęczenia. Ostateczny przeciwnik, pomyślał; zbyt głupi, żeby zostać pokonany. To było gorsze niż zwierzę. To była skała, lita i gęsta, bez żadnych przymiotów. Z wyjątkiem, pomyślał, przymiotu determinacji. To było zdeterminowane - trwać i przetrwać; skała mająca wolę. Czuł się tak, jakby trzymał w rękach wszechświat; położył nie zrekonstruowane M z powrotem na miejsce.

Z tyłu dobiegł go głos Ellen.

- Doprowadza pana do szaleństwa.

Jej głos odzyskał barwę. Zapaliła papierosa srebrną zapalniczką i wepchnęła rękę do kieszeni ubrania.

- Rzeczywiście - powiedział.

- Nic pan nie może zrobić, prawda? Już wcześniej usiłował pan to otworzyć. Paula wykurują i wróci do siebie, a Lantano będzie zesłany. - Głęboko wciągnęła powietrze, aż przeszedł ją dreszcz. - Departament Spraw Wewnętrznych zaś będzie działał jak zawsze.

- Tak - powiedział. Wciąż klęcząc obserwował M. To, co o nim już wiedział, powstrzymywało go od wszelkich dalszych wysiłków; przyglądał mu się beznamiętnie. Nawet nie trudził się, żeby go dotknąć.

W łazience Paul Tirol próbował wygramolić się z wanny. Osunął się z powrotem, zaklął, jęknął i od nowa rozpoczął pracowitą wspinaczkę.

- Ellen? - jego głos drżał, niewyraźny i zniekształcony dźwięk, jakby suche druty tarły jeden o drugi.

- Leż spokojnie - powiedziała przez zaciśnięte zęby; stała nieruchomo zaciągając się gwałtownie papierosem.

- Pomóż mi, Ellen - wymamrotał Tirol. - Coś mi się stało... nie pamiętam co. Coś mnie uderzyło.

- Przypomni sobie - powiedziała Ellen.

Beam powiedział: - Mogę zabrać tę rzecz do Ackersa taką, jaka jest. Pani może mu powiedzieć, do czego to służy - co zrobiło. To powinno wystarczyć, żeby zostawił Lantano w spokoju.

Ale on też w to nie wierzył. Ackers musiałby przyznać się do błędu, podstawowego błędu, a jeżeli nie miał racji aresztując Lantano - był skończony. A razem z nim, w pewnym sensie, skończony był cały system identyfikacji. Można go było wykiwać i w rzeczy samej został wykiwany. Ackers nie był elastyczny i nie odstąpi od raz obranej linii postępowania, i niech diabli wezmą Lantano. Niech diabli porwą abstrakcyjną sprawiedliwość. Lepiej zachować ciągłość kulturową i sterować społeczeństwo po raz obranym, równym kursie.

- Sprzęt Tirola - powiedział Beam. - Czy pani wie, gdzie on jest?

Gwałtownie wzruszyła ramionami. - Jaki sprzęt?

- Ta rzecz - wskazał palcem na M - została gdzieś zrobiona.

- Nie tutaj. Tirol jej nie zrobił.

- W porządku - powiedział ze zrozumieniem. Zostało im około sześciu minut, zanim lekarz i pojazd pogotowia medycznego wylądują na dachu budynku. - Więc kto naprawdę to zrobił?

- Stop był wynaleziony i wyprodukowany na Bellatrix. - Mówiła chaotycznie, słowa jej się rwały. - Łupina... tworzy rodzaj skóry na zewnątrz, bańkę, która jest wsysana i wysysana ze zbiornika. Jego łupiną jest kształt telewizorka. Wsysa ją do środka i staje się M gotowym do działania.

- Kto to wyprodukował?

- Syndykat obrabiarek na Bellatrix... finansowany przez organizację Tirola. Są produkowane do pilnowania, jak psy łańcuchowe. Duże plantacje na planetach poza układem używają ich do patrolowania i łapania kłusowników.

Beam powiedział: - Więc oryginalnie nie są nastawiane na

pojedynczą osobę.

- Nie.

- No to kto nastawił to M tylko na Heimiego? Z pewnością nie syndykat obrabiarek.

- Zrobiono to tutaj.

Wyprostował się i podniósł telewizorek.

- Chodźmy. Proszę mnie zaprowadzić tam, gdzie Tirol dokonał zmiany.

Przez chwilę kobieta nie odpowiadała. Chwycił ją za ramię i pociągnął w stronę drzwi. Dyszała ciężko i wpatrywała się w niego bez słowa.

- Idziemy - powiedział, wypychając ją do holu. W trakcie zamykania drzwi uderzył o nie telewizorkiem; trzymał go jednak mocno i podążał za Ellen Ackers.

Miasteczko było niechlujne i podupadłe, kilka sklepów, stacja benzynowa, bary i tancbudy. Było oddalone o dwie godziny lotu od Wielkiego Nowego Jorku i nazywało się Olum.

- Niech pan skręci w prawo - powiedziała Ellen apatycznie. Oparła się na obramowaniu okna pojazdu i patrzyła na światła neonów.

Przelatywali nad magazynami i opustoszałymi ulicami. Świateł było mało. Na skrzyżowaniu Ellen skinęła potakująco głową; wylądował pojazdem na dachu.

Pod nimi znajdował się sklep z drewnianą ramą popstrzoną przez muchy. W oknie stał podparty napis, z którego łuszczyła się farba: WARSZTAT ŚLUSARSKI BRACI FULTON. Obok szyldu leżały klamki, zamki, klucze, piły i nakręcane budziki. Gdzieś w głębi sklepu migotało żółte światło zostawiane na noc.

- Tędy - powiedziała Ellen. Wysiadła z pojazdu i zeszła powoli na dół po chwiejących się, drewnianych schodach. Beam położył telewizorek na podłodze pojazdu, zamknął drzwiczki na klucz i podążył za kobietą. Trzymając się poręczy, zszedł na ganek za domem; stały tam puste puszkami obok stosu przesiąkniętych wilgocią gazet przewiązanych sznurkiem. Ellen otwierała drzwi kluczem; trochę na wycucie, dotykając ścian, weszła do środka.

Znalazł się najpierw w zagraconym, przesiąkniętym stęchlizną składziku. Otaczały go stosy rzuconych bezładnie rur, zwojów drutu,

arkuszy metalu; wyglądało to na skład żelastwa. Dalej był wąski korytarz, na którego końcu znajdowało się wejście do warsztatu. Ellen sięgnęła ręką ponad głowę starając się namacać sznurek przymocowany do wyłącznika światła. Trzasnął wyłącznik i zapaliło się światło. Po prawej stronie stał długi, zagracony stół warsztatowy z ręczną szlifierką, imadłem i piłą otwornicą; przy stole stały dwa drewniane stołki, a na podłodze ktoś pozostawił na wpół złożony mechanizm nie troszcząc się o porządek leżących części. Warsztat był jak stara, zakurzona graciarnia. Na ścianie wisiał poprzecierany, niebieski płaszcz; ubranie robocze tego, kto pracował przy warsztacie.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała Ellen z goryczą. - Paul kazał to przywieźć właśnie tutaj. Cała ta rudera należy do organizacji Tirola.

Beam podszedł do stołu.

- Żeby dokonać zmiany - powiedział - Tirol musiał mieć płytkę z wzorem układu nerwowego Heimiego. - Zanurzył rękę w stosie szklanych słoików: na stół posypały się śrubki i podkładki.

- Wzór był w zamku drzwi Heimiego - wyjaśniła Ellen. - Dał zamek do analizy, po której wzór został skopiowany z ułożenia wychyłów zamka.

- I ktoś otworzył M?

- Jest taki stary mechanik - powiedziała Ellen. - Mały, zasuszony starowina; prowadzi ten warsztat. Nazywa się Patrick Fulton. To on zainstalował odchylenie na Heimiego w systemie M.

- Odchylenie - powiedział Beam, potakując głową.

- Odchylenie przeciwko zabijaniu ludzi. Heimie był wyjątkiem, w odniesieniu do innych ludzi M przybierało swoją obronną formę. Gdzieś tam w głuszy wyglądają inaczej, nie jak telewizorki. Roześmiała się niespodziewanie, niemal histerycznym śmiechem. Rzeczywiście, telewizorek przyczajony gdzieś w lesie musiałby wyglądać dziwacznie. Pewnie tam mają formę kamienia lub kija.

- Kamienia - powiedział Beam. Mógł sobie to wyobrazić. M przyczajone, porośnięte mchem, czekające miesiącami, latami, wystawione na niszczące działanie warunków zewnętrznych, zmurszałe. Nagle odbiera obecność istoty ludzkiej, przestaje być kamieniem i w mgnieniu oka zmienia się w pudło na stopę szerokie i dwie stopy długie. Pudło, które rusza naprzód.

Czegoś mu jeszcze brakowało w tej łamigłówce.

- Fałszerstwo - powiedział. - Podrzucenie kawałeczków farby, włosów, tytoniu. Skąd to się wzięło?

Łamiącym się głosem Ellen powiedziała: - Właściciel ziemski zamordował kłusownika, co było sprzeczne z literą prawa; był winien. Wtedy M podrzuciło poszlaki. Ślady pazurów. Krew zwierzęcia, jego sierść.

- Boże - powiedział z odrazą. - Zabity przez zwierzę.

- Przez niedźwiedzia, dzikiego kota; wersja zmieniała się zależnie od okoliczności. Naturalna śmierć spowodowana przez drapieżnika grasującego w danym rejonie. - Dużym palcem u nogi dotknęła tekturowego kartonu pod stołem warsztatowym. - To jest tutaj, przynajmniej było. Płytką z wzorem systemu nerwowego, nadajnik, części wyjęte z M, schematy.

Karton służył do przewozu zestawów energetycznych. W środku było szczelnie owinięte pudełko, zabezpieczone przed wilgocią i insektami. Beam zdał metalową folię i przekonał się, że znalazł to, czego potrzebował. Ostrożnie wyjął zawartość pudełka i rozłożył na stole między wiertłami i lutownicami.

- Tam jest wszystko - powiedziała Ellen bez śladu emocji.

- Być może zupełnie panią z tego wyłączę. Mogę zabrać to, co tu jest, i telewizorek do Ackersa i spróbować wytłumaczyć wszystko bez pani świadectwa.

- Może pan - powiedziała apatycznie.

- Co pani zamierza zrobić?

- No cóż - odpowiedziała. - Nie mogę wrócić do Paula, więc niewiele pozostaje mi do zrobienia.

- Ten pomysł z szantażem był błędem - stwierdził.

- Niech panu będzie - powiedziała z roziskrzonymi oczami.

- Jeżeli zwolni Lantano - powiedział Beam - poproszę, żeby się podał do dymisji. Wtedy, zapewne, da pani rozwód, ponieważ, tak czy inaczej, nie będzie to już miało dla niego żadnego znaczenia.

- Ja - zaczęła mówić i nagle urwała w pół słowa. Jej twarz zaczęła się kurczyć, jak gdyby kolor i ciało zanikały do wewnątrz. Podniosła rękę, zrobiła półobrót, w otwartych ustach zamarło nie dokończone zdanie.

Beam sięgnął ręką nad głowę i szybkim uderzeniem w wyłącznik

zgasił światło. Warsztat pogrążył się w ciemności. On też to usłyszał, usłyszał to w tej samej chwili co Ellen Ackers. Chwiejny ganek z tyłu domu zaskrzypiał, powolne, ciężkie kroki minęły składzik i kierowały się w stronę holu.

Ciężki mężczyzna, pomyślał. Wolno poruszający się mężczyzna, senny, stąpający krok za krokiem z przymkniętymi oczami, pod garniturem wielkie obwisłe cielsko. Pod bardzo drogim, tweedowym garniturem, pomyślał. W ciemności majaczyła sylwetka mężczyzny; Beam nie widział jej, ale wyczuwał jej obecność, kiedy mężczyzna się zatrzymał, wypełniając sobą całe wejście. Deski zaskrzypiały pod jego ciężarem. Zastanawiał się w oszołomieniu, czy Ackers już wiedział, czy odwołał już swój rozkaz. A może mężczyzna sam się wydostał i działał przez własną organizację?

Mężczyzna znowu ruszył naprzód. Odezwał się głęboki, chrapliwy głos. - Uhhh - powiedział Lantano. - Niech to diabli.

Ellen zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Beam wciąż nie zdawał sobie sprawy z tego, co to było; usiłował namacać wyłącznik i zastanawiał się jak głupi, dlaczego nie mógł zapalić światła. Zorientował się, że musiał rozbić żarówkę. Zapalił zapałkę. Zgasła, więc sięgnął po zapalniczkę Ellen Ackers. Miała ją w torebce; upłynęła długa jak wieczność sekunda, zanim ją wydobył.

Nie zrekonstruowane M zbliżało się do nich powoli z wysuniętym ramieniem receptora. Znowu się zatrzymało i obróciło w lewo tak, żeby stać przodem do stołu warsztatowego. Teraz nie wyglądało jak telewizorek; wróciło znowu do kształtu pudła.

- Płytką - wyszeptała Ellen Ackers. - Zareagowało na wzór układu nerwowego na płytce.

M zostało pobudzone przez wzór układu nerwowego Heimiego Rosenburga, który zawierała płytka. Beam, jednak, nadal wyczuwał obecność Davida Lantano. Wielki mężczyzna nadal był w tym pomieszczeniu; maszyna wytworzyła poczucie ociężałości, bliskości ciężaru i niezgrabności; dzięki wrażeniu, które wywoływała w umyśle Beama, Lantano istniał tuż obok. Bez ruchu obserwował, jak maszyna wyjęła kawałeczek tkaniny i wcisnęła go w stos leżącej siatki. Maszyna rozkładała również inne elementy materiału dowodowego - krew, tytoń i włosy, ale były zbyt małe, żeby mógł je dostrzec. Maszyna wycisnęła

śląd obcasa na zakurzonej podłodze i wysunęła dyszę z przedniej części korpusu.

Ellen Ackers uciekła zasłaniając oczy ramieniem. Ale maszyna wcale się nią nie interesowała; obracając się w stronę stołu, uniosła się i wystrzeliła. Rozpryskujący pocisk, wystrzelony z dyszy, przeleciał przez całe pomieszczenie i trafił w stos żelastwa zwalonego na stole. Pocisk rozerwał się: pomieszczenie zasypał grad rozerwanych na cząsteczki kawałków drutu i gwoździ.

Heimie jest trupem, pomyślał Beam i patrzył dalej. Maszyna szukała płytki, starając się zlokalizować i zniszczyć źródło emisji syntetycznego układu nerwowego. Obróciła się dookoła, zniżyła dyszę niepewnie i ponownie wystrzeliła. Ściana za stołem warsztatowym rozprysnęła się i zapadła.

Trzymając w ręku zapalniczkę, Beam ruszył w stronę M. Ramię receptora zachwiało się w jego kierunku i maszyna cofnęła się. Jej linie zafalowały, załamały się i powoli utworzyły nowy kształt. Przez chwilę urządzenie zmagало się z sobą; jakby niechętnie pojawił się znowu przenośny telewizorek. Z maszyny wydobyło się piskliwe skamlenie, lament udręki. Działy na nią sprzeczne bodźce; maszyna nie potrafiła podjąć decyzji.

Maszyna zapadała na nerwicę sytuacyjną; ambiwalentność reakcji niszczyła ją samą. W pewnym sensie jej udręka miała ludzki wymiar, ale nie potrafił jej żałować. Była mechanicznym urządzeniem, które mogło atakować i, jednocześnie, przybierać postać myśląco obronną; nie było to załamanie nerwowe żywego mózgu, ale systemu przekaźników i rurek. Urządzenie, które właśnie w żywy mózg wystrzeliło swój pocisk. Heimie Rosenberg był martwy, nie było innych „egzemplarzy”, jak również nie można ich było zmontować więcej. Podszedł do maszyny i stopą szturchnął ją z tyłu.

Maszyna odskoczyła i potoczyła się dalej. – Uhhh, niech to diabli! – powiedziała. Tocząc się rozsypywała kawałeczki tytoniu; gubiąc po drodze odpryski błękitnej emalii i krople krwi zniknęła w korytarzu. Beam słyszał, jak się poruszała, obijając się o ściany jak ślepy, zniszczony organizm. W chwilę później poszedł za nią.

W korytarzu maszyna powoli zataczała koła: wokół siebie wznosiła ścianę z drobnych kawałków tkaniny, włosów, wypalonych zapalek

i tytoniu, wszystko to połączone krwią jak cementem.

- Uhhh, niech to diabli - powiedziała maszyna swoim niskim, męskim głosem. Pracowała dalej, kiedy Beam wracał do drugiego pokoju.

- Gdzie jest telefon? - zwrócił się do Ellen Ackers.

Patrzyła na niego nieobecny wzrokiem.

- Nie robi pani krzywdy - powiedział. Czuł się otępiały i wykończony ze zmęczenia. - Działa w cyklu zamkniętym. Będzie to robić aż do wyczerpania.

- Zwariowała - przeszedł ją dreszcz.

- Nie - powiedział. - To regresja. Usiłuje się schować.

Z korytarza dobiegł głos maszyny: - Uhhh. Niech to diabli. - Beam znalazł aparat i zatelefonował do Edwarda Ackersa.

Dla Paula Tirola zesłanie oznaczało najpierw nieprzerwane pasmo ciemności, a następnie długą, doprowadzającą do wściekłości przerwę, w czasie której pusta materia krążyła bezładnie wokół niego, układając się to w jeden, to w drugi wzór.

Czas, który upłynął od chwili, kiedy Ellen Ackers uderzyła go, do chwili ogłoszenia wyroku zesłania był dla jego umysłu zamazany i nieuchwytny. Jak cienie, które go teraz otaczały, nie dawał się uchwycić.

Wydawało mu się, że ocknął się w mieszkaniu Ackersa. Tak, rzeczywiście tam; w mieszkaniu był również Leroy Beam. Coś w rodzaju transcendentnego Leroya Beama, który kręcił się po mieszkaniu układając wszystkich w konfiguracje, jakie mu przyszły do głowy. Zjawił się lekarz, a potem Edward Ackers, żeby stawić czoło swojej żonie i zaistniałej sytuacji.

Zabandażowany, wchodząc do Departamentu Spraw Wewnętrznych zauważył wychodzącego stamtąd mężczyznę. Ociężałą, bulwiastą sylwetkę Davida Lantano wracającego do swojej luksusowej rezydencji z kamienia i swojego akra trawnika.

Na jego widok Tirol poczuł ukłucie strachu. Lantano nawet go nie zauważył, tak był pogrążony we własnych myślach. Wgramolił się do samochodu i odjechał.

- Masz tu tysiąc dolarów - Edward Ackers mówił ze znużeniem

w głosie podczas ostatniej fazy. Zniekształcona twarz Ackersa wyłoniła się ponownie wśród cieni opływających Tirola; obraz człowieka, który ostatni raz występował oficjalnie. Ackers także był skończony, ale w inny sposób. - Prawo daje ci tysiąc dolarów na zaspokojenie najpilniejszych potrzeb, razem z kieszonkowym słownikiem reprezentatywnych dialektów używanych poza naszym układem.

Jonizacja sama w sobie była bezbolesna. Nic z tego nie pamiętał; pozostało tylko puste miejsce, ciemniejsze niż zamazane obrazy po obu stronach.

- Nienawidzisz mnie - oświadczył oskarżającym głosem. Były to jego ostatnie słowa wypowiedziane do Ackersa. - Zniszczyłem cię. Ale... to nie byłeś ty. - Wszystko mu się pomieszało. - Lantano. Manipulowany i nie. W jaki sposób? Ty...

Ale Lantano nie miał z tym nic wspólnego. Lantano powlókł się do domu jak zupełnie obojętny widz. Niech diabli porwą Lantano. Do diabła z Ackerssem i Leroyem Beamem i - pomyślał z niechęcią - niech piekło pochłonie Ellen Ackers.

- To była frajda - paplał Tirol, podczas gdy jego ciało ostatecznie przybrało fizyczną postać. - Świetnie się bawiliśmy, prawda, Ellen?

W następnej chwili runął na niego ryczący, gorący strumień światła słonecznego. Ogłupiały, siedział przechylony w przód, bezsilny i bierny. Wokoło nie było nic prócz żółtego, parzącego słonecznego światła. Nic prócz wirującego gorąca, które go oślepiało, zmuszało do posłuszeństwa.

Leżał wyciągnięty na środku żółtej, gliniastej drogi. Na prawo było pole wyschniętego zboża prażącego się w upale południa. Dwa podejrzanie wyglądające ptaszyska bezszelestnie przesunęły się nad jego głową. Na horyzoncie rysowała się linia tępo zakończonych wzgórz; poszarpane łąki i wierzchołki przypominały zwały kurzu. U ich podstawy widać było nieznaczne wypiętrzenie budynków wzniesionych ludzką ręką.

Przynajmniej miał nadzieję, że ludzką.

Kiedy podnosił się chwiejnie na nogi, do uszu dobiegł nikły dźwięk. Brudną, rozpaloną od gorąca drogą nadjeżdżał jakiś samochód. Obawiając się najgorszego, Tirol ostrożnie ruszył mu naprzeciw.

Kierowca był człowiekiem; chudym jak śmierć wyrostkiem o wzorzystej, czarnej skórze z włosami barwy zielska. Miał na sobie poplamioną płócienną koszulę i kombinezon roboczy. Zgięty, nie zapalony papieros wisiał przylepiony do dolnej wargi. Samochód miał silnik spalinowy i musiał chyba wyjechać wprost z dwudziestego wieku; poobtłukiwane i powyginane nadwozie zaklekotało głośno, kiedy kierowca zatrzymał się i obrzucił Tirola krytycznym spojrzeniem. Z radia samochodu płynął strumień muzyki tanecznej.

- Poborca podatkowy? - spytał kierowca.

- Żaden tam poborca - odparł Tirol wiedząc o wręcz fanatycznej wrogości do poborców podatkowych. Nie mógł się przyznać do tego, że jest przestępcą zesłanym na wygnanie z Ziemi; takie wyznanie było zaproszeniem do zmasakrowania delikwenta - zazwyczaj w jakiś wymyślny sposób. - Jestem inspektorem z Departamentu Zdrowia.

Kierowca pokiwał głową z zadowoleniem.

- Ostatnio roi się tu od żarłocznych chrząszczy. Macie już jakiś środek do opylania? Plon po plonie mi przepada.

Pełen wdzięczności, Tirol wdrapał się do samochodu. - Nie spodziewałem się takiego upału - zamruczał.

- Ma pan dziwny akcent - zauważył wyrostek uruchamiając silnik - Skąd pan pochodzi?

- Wada wymowy - wykręcił się Tirol. - Za ile będziemy w mieście?

- Gdzieś za godzinę - odpowiedział wyrostek. Samochód toczył się leniwie naprzód.

Tirol bał się spytać o nazwę planety, ponieważ to by go zdradziło. Zżerała go ciekawość. Mogli go zesać na odległość dwóch lub dwóch milionów układów gwiazdnych; od Ziemi mógł go dzielić miesiąc lub siedemdziesiąt lat. Oczywiście musiał wrócić; nie miał najmniejszego zamiaru zostać robotnikiem rolnym na jakiejś zapadłej, skolonizowanej planecie.

- Nieźle wałą - powiedział wyrostek pokazując, że chodzi mu o hałaśliwy jazz płynący z radia w samochodzie. - To Calamine Freddy i jego grupa. Zna pan tę melodię?

- Nie - wymamrotał Tirol. Od słońca, upału i suchego jak wiór powietrza rozboleła go głowa. Prosił Boga o to, żeby się dowiedzieć, dokąd go zesłali.

Miasteczko było przygnębiająco małe. Wałące się domy stały przy przeraźliwie brudnych ulicach. Tu i tam wałęsały się kurczaki wydziobujące pożywienie wśród śmieci. Pod jednym z ganków spał niebieskawy stwór podobny do psa. Przepełniony i nieszczęśliwy, Paul Tirol wszedł do budynku stacji autobusu i znalazł rozkład jazdy. Przed oczami migwały mu nic nie znaczące nazwy miast. Nazwa planety była, oczywiście, pominięta.

- Ile kosztuje bilet do najbliższego portu? - spytał indolentnie wyglądającego kasjera.

Kasjer zastanowił się.

- Zależy, o jaki port panu chodzi. Dokąd się pan wybiera?

- W stronę Środka - powiedział Tirol. „Środek” był terminem, który w układach zewnętrznych oznaczał Grupę Sol.

Apatyczny kasjer pokręcił przecząco głową.

- W pobliżu nie ma portu dla lotów międzyukładowych.

Tirol był zbity z tropu. Najwidoczniej nie znajdował się na planecie, która była osią tego szczególnego układu.

- No cóż - powiedział - w takim razie do najbliższego portu międzyplanetarnego.

Kasjer zajrzał do grubego spisu.

- O którą planetę układu panu chodzi?

- Którakolwiek ma port międzyukładowy - powiedział Tirol cierpliwie. Stamtąd będzie mógł odlecieć dalej.

- To będzie Wenus.

Oszołomiony Tirol powiedział: - A więc ten układ - przerwał zmartwiony, gdyż coś mu się przypomniało. W wielu układach zewnętrznych, szczególnie w tych położonych najdalej, istniał małomiasteczkowy zwyczaj nazywania poszczególnych planet układu nazwami dziewięciu oryginalnych planet Grupy Sol. Ta, na której się znajdował, prawdopodobnie nazywała się „Mars” albo „Jupiter”, albo „Ziemia” w zależności od swojej pozycji w grupie. - Świetnie - dokończył Tirol. - Bilet w jedną stronę do Wenus.

Wenus lub to, co uchodziło za Wenus, było wielkości asteroidu. Błada chmura metalicznej mgły wisiała nad powierzchnią planety zasłaniając słońce. Oprócz wydobywania surowców i ich przetapiania

nic się tu nie działo. Kilka walących się szop otaczało teren przemysłowy. Wiatr wiał bez przerwy, unosząc śmieci i odpadki.

Ale był tutaj port międzyukładowy, który łączył planetę z sąsiednią gwiazdą i resztą wszechświata. Właśnie gigantyczny pojazd frachtowiec ładował rudę.

Tirol wszedł do pomieszczenia, w którym sprzedawano bilety. Wykładając całą niemal resztę z pozostałych mu pieniędzy, powiedział:
- Bilet w jedną stronę na statek lecący tak daleko w kierunku Środka, jak to możliwe.

Kasjer obliczył należność. - Zależy panu na konkretnej klasie?

- Nie - odpowiedział wycierając czoło.

- A na szybkości lotu?

- Nie.

Kasjer oznajmił: - Ten statek zawiezie pana aż do Układu Betelgeuse.

- Wystarczy - powiedział Tirol zastanawiając się, co zrobi, kiedy już tam dotrze. Z tamtego układu mógł przynajmniej skontaktować się ze swoją organizacją: ten rejon był już oznaczony na mapach wszechświata. Ale teraz był już prawie bez grosza. Mimo upału poczuł lodowate ukłucie strachu.

Główna planeta Układu Betelgeuse nazywała się Plantagenet III. Była to tętniąca życiem stacja węzłowa dla statków pasażerskich przewożących osadników do słabo rozwiniętych planet kolonii. Gdy tylko statek wylądował, Tirol pospieszył przez lądowisko na postój taksówek.

- Proszę mnie zawieźć do Tirol Enterprises - poinstruował kierowcę taksówki, modląc się w duchu, żeby była tu filia jego organizacji. Musiała być, choć może działała pod innym szyldem dla bezpieczeństwa interesów. Już dawno pogubił się w szczegółach własnego, rozrastającego się imperium.

- Tirol Enterprises - taksówkarz powtórzył z namysłem. - Nie, proszę pana, nie ma tu takiej firmy.

Zupełnie oszołomiony Tirol powiedział: - Kto tutaj handluje żywym towarem?

Taksówkarz przyjrzał mu się. Był to mały, zasuszony człowieczek

w okularach; przyglądał mu się wzrokiem żółwia, beznamiętnie.

- No cóż - powiedział - słyszałem, że można się dostać poza układ bez papierów. Jest taka firma przewozowa... jak ona się nazywa. - Zastanawiał się przez chwilę. Trzęsąc się cały, Tirol wręczył mu ostatni banknot.

- Niezawodny Eksport-Import - powiedział taksówkarz.

Była to jedna z przykrywek Lantano. Pełen przerażenia Tirol zapytał:

- I to wszystko?

Taksówkarz skinął potakująco głową.

Zupełnie oszołomiony Tirol odszedł od taksówki. Zabudowania lądowiska wirowały wokół niego; usadowił się na ławce, żeby złapać oddech. Serce waliło mu jak młotem. Próbował oddychać, ale zakrzusił się. Siniak na głowie, w miejscu gdzie uderzyła go Ellen Ackers, zaczął pulsować boleśnie. To była prawda, którą powoli zaczynał rozumieć i wierzyć w nią. Nigdy już nie wróci na Ziemię; resztę życia spędzi w tym wiejskim świecie, odcięty od swojej organizacji, od wszystkiego, co mozolnie budował przez wszystkie lata.

Kiedy tak siedział, oddychając z trudnością, uświadomił sobie, że ta reszta życia wcale nie miała być taka długa.

Pomyślał o Heimim Rosenburgu.

- Zdradziłeś - powiedział i wstrząsnął nim kaszel. - Zdradziłeś mnie. Słyszysz? Przez ciebie jestem tutaj. To twoja wina. Nigdy nie powinienem być cię zatrudniać.

Pomyślał o Ellen Ackers.

- Ty też - kaszląc, z trudem łąpał powietrze. Siedząc na ławce na przemian kasłał i łąpał ciężko powietrze myśląc o ludziach, którzy go zdradzili. Były ich setki.

Bawialnia w domu Davida Lantano umeblowana była z wyjątkowym smakiem. Na półkach z kutego żelaza, biegnących wzdłuż ścian, spoczywały bezcenne naczynia Blue Willow z końca dziewiętnastego wieku. David Lantano jadł obiad przy zabytkowym stole z żółtego plastyku i chromu. Wybór jedzenia zdumiał Beama bardziej niż sam dom.

Lantano był w dobrym humorze i jadł, aż mu się uszy trzęsły. Pod brodą miał Inianą serwetkę. Spadło na nią kilka kropel kawy, którą

sączył, kiedy mu się odbiło. Krótki okres odosobnienia skończył się; jadł więc, żeby sobie powetować tę udrękę.

Najpierw z własnych źródeł, a teraz od Beama dowiedział się, że Tirol został pomyślnie zesłany poza punkt możliwego powrotu. Tirol więc nie miał nigdy wrócić i za to Lantano był wdzięczny. Chciał być hojny dla Beama; chciałby, żeby ten coś zjadł.

- Miło tu u pana - zauważył Beam.

- Pan też mógłby mieć coś takiego - powiedział Lantano. Na ścianie, w ramach, pod szkłem wypełnionym helem, wisiało pierwsze wydanie wiersza Ogdena Nasha, kolekcjonerski rarytas, który powinien być w muzeum. Jego widok budził w Beamie mieszane uczucie tęsknoty i awersji.

- Tak - powiedział Beam. - Mógłbym to mieć. - To, pomyślał, lub Ellen Ackers, lub posadę w Departamencie Spraw Wewnętrznych, lub być może to wszystko naraz. Edward Ackers przeszedł na emeryturę i dał żonie rozwód. Lantano wyszedł z opresji. Tirol był zesłany. Zastanawiał się, czego naprawdę pragnął.

- Mógłby pan daleko zajść - powiedział Lantano sennie.

- Tak daleko jak Paul Tirol?

Lantano zachichotał i ziewnął.

- Ciekaw jestem, czy zostawił jakąś rodzinę - powiedział Beam. - Jakieś dzieci. - Myślał o Heimim.

Lantano sięgnął przez stół do misy z owocami. Wybrał brzoskwinę i starannie wytarł ją o rękaw swojej powłóczystej szaty.

- Proszę spróbować brzoskwinę - powiedział.

- Nie, dziękuję - odparł poirytowany Beam.

Lantano przyglądał się brzoskwini, ale nie zjadł jej. Brzoskwinia była zrobiona z wosku; owoce w misie były imitacją. Nie był tak bogaty, jak udawał i wiele przedmiotów w bawialni było podrobione. Poczestowanie gościa owocem za każdym razem było skalkulowanym ryzykiem. Kładąc brzoskwinę z powrotem na misę rozparł się wygodnie w fotelu i sięgnął po kawę.

Jeżeli Beam nie miał żadnych planów, to przynajmniej on je miał; teraz, kiedy nie było Tirola, plany te miały wszelkie szansę powodzenia. Czuł się spokojny. Pewnego dnia, myślał, a ten dzień nie był zbyt odległy, owoce na misie będą prawdziwe.

Przełożył Andrzej Porowski

Wojna z Fnoolami

(The War with The Fnools)

- Cholera jasna - zaklął kapitan Edgar Lightfoot z CIA. - Fnoolowie wrócili, majorze. Zajęli Provo, w stanie Utah.

Major Hauk jęknął i zażądał od sekretarki, aby przyniosła materiały na temat Fnoolów z tajnego archiwum. - Jaką postać przybierają tym razem? - zapytał.

- Postać miniaturowych pośredników sprzedaży nieruchomości - odparł Lightfoot.

Ostatnim razem, przypomniał sobie major, pojawili się jako pracownicy stacji benzynowych. Na tym polegała cecha charakterystyczna Fnoolów - gdy jeden z nich przybierał jakąś postać, wszyscy inni bez wyjątku upodabniali się do niego. Oczywiście agenci CIA mieli ułatwione zadanie. Ale z tego powodu Fnoolowie wychodzili na idiotów, a major Hauk nie lubił mieć idioty za przeciwnika; głupota udzielała się drugiej stronie i mogła nawet sięgnąć jego sztabu.

- Myślisz, że będą pertraktować? - zapytał Hauk, w zasadzie przewidując odpowiedź. - Moglibyśmy poświęcić Provo, gdyby zgodzili się ograniczyć do tego terenu. Moglibyśmy nawet dodać te dzielnice Salt Lake City, które mają chodniki z potwornej czerwonej cegły.

- Fnoolowie nigdy nie idą na kompromis, majorze - przypomniał Lightfoot. - Ich celem jest podbicie Układu Słonecznego. Na zawsze.

- Oto materiały na temat Fnoolów - powiedziała panna Smith pochylając się nad ramieniem majora Hauka. Wolną ręką zacisnęła dekolt bluzki gestem wskazującym albo na zaawansowaną gruźlicę, albo na przesadną skromność. Pewne fakty świadczyły o tym, iż chodziło o to drugie.

- Panno Smith - poskarżył się major Hauk - oto Fnoolowie usiłują podbić Układ Słoneczny, a mnie dokumenty przynosi kobieta mająca ponad sto centymetrów w biuście. Czy to nie powód, żeby oszaleć? - Odwrócił starannie wzrok, pomny na żonę i dwoje dzieci. - Niech pani nosi coś innego w pracy, obciśnie się gorsetem czy co. W końcu bądźmy rozsądni, tu się pracuje, tu się walczy.

- Dobrze, majorze - odparła panna Smith. - Ale proszę pamiętać:

zostałam wybrana losowo spośród personelu CIA. Nie napraszałam się o to, by zostać pańską sekretarką.

Przy stojącym obok majorze Lightfootcie major Hauk wyjął z teczki dokumenty składające się na dossier Fnoolów.

W Smithsonian Institute znajdował się eksponat przedstawiający Fnoola naturalnej wysokości około pół metra, wypchany i ustawiony w wielkiej gablocie zawierającej ponadto fragment „naturalnego środowiska”. Dzieci szkolne już od wielu lat podziwiały Fnoola ukazanego z pistoletem wymierzonym w grupę ziemskich niewiniątek. Naciskając guzik dzieci powodowały ucieczkę Ziemiaków (nie wypchanych, ale imitacji), po czym Fnool wykańczał ich za pomocą wymyślnego laserowca na energię słoneczną... i eksponat powracał do poprzedniego stanu, gotów na nowo do akcji.

Major Hauk widział eksponat i poczuł się nieswojo. Wiele już razy oświadczał, że Fnoolowie to nie żarty. Jednak było w nich coś takiego... no, po prostu to idiotyczna forma życia. Oto cały sens tej sprawy. W cokolwiek by się przemienili, zawsze zachowywali wzrost karzełek: Fnool wyglądał jak zabawka rozdawana za darmo w celach reklamowych, razem z balonikami i bukietami kwiatów. Niewątpliwie, myślał major Hauk, była to cecha ułatwiająca im przetrwanie: rozbrajała ich przeciwników. Albo ich nazwa. Po prostu nie można ich było brać poważnie, nawet w tej chwili, gdy nawiedzili Provo w stanie Utah w postaci roju miniaturowych agentów sprzedaży nieruchomości.

- Złapcie Fnoola w jego obecnej postaci - poinstruował major. - Przeprowadźcie go do mnie, a ja spróbuję pertraktacji. Tym razem chyba się poddam. Walczę z nimi już od dwudziestu lat i mam dosyć.

- Jeśli postawimy choć jednego twarzą w twarz z panem - ostrzegł Lightfoot - może mu się powieść imitacja pana i to już będzie koniec. Trzeba będzie zlikwidować was obu, aby mieć pewność.

Hauk zachmurzył się. - Na wszelki wypadek ustalmy teraz hasło. Będzie to słowo... „przetrawić”. Użyję go w zdaniu, na przykład: „Muszę dokładnie przetrawić te dane”. Fnool nie będzie tego wiedział... mam rację?

- Tak jest, majorze. - Kapitan Lightfoot westchnął i zaraz opuścił dowództwo CIA spiesząc do helikoptera, który miał go zawieźć do Provo, w stanie Utah.

Miał jednak złe przeczucia.

Gdy helikopter kapitana wylądował na skraju wąwozu Provo u granic miasta, natychmiast zbliżył się do niego człowieczek o wzroście sześćdziesięciu centymetrów, ubrany w szary garnitur, z walizką w ręku.

- Dzień dobry panu - zapiszczał Fnool. - Czy zechce pan zobaczyć niektóre wybrane parcele z wspaniałym widokiem na okolicę? Można je także podzielić...

- Właż do śmigłowca - powiedział Lightfoot mierząc ze służbowej broni kaliber 45.

- Słuchaj, przyjacielu - powiedział Fnool radośnie - widać, że pan się nigdy dobrze nie zastanowił nad znaczeniem faktu lądowania przedstawicieli naszej rasy na waszej planecie. Chodźmy do mojego biura i pogadajmy. - Fnool skinął ręką ku pobliskiemu budynkowi, w którym przez otwarte drzwi widać było biurko i krzesła. Nad wejściem wisiał napis:

BIURO POŚREDNICTWA SPRZEDAŻY NIERUCHOMOŚCI „RANNY PTASZEK”

- Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje - obwieścił Fnool. - A zwycięzców się nie sądzi, kapitanie. Wedle praw natury, jeśli uda się nam zająć waszą planetę i podbić was, siły ewolucji i biologii staną po naszej stronie. - Na jego twarzy pojawił się radosny uśmiech.

- W Waszyngtonie jest major z CIA - powiedział Lightfoot - który tak łatwo się nie da.

- Major Hauk pokonał nas dwukrotnie - przyznał Fnool. - Darzymy go szacunkiem. Ale on jest głosem wołającym na puszczy, przynajmniej w tym kraju. Dobrze pan wie, kapitanie, że przeciętny Amerykanin, który ogląda ten słynny eksponat w Smithsonian Institute, uśmiecha się jedynie pobłaźliwie. Nie ma po prostu poczucia zagrożenia.

Tymczasem dwóch innych Fnoolów, również pod postacią agentów sprzedaży nieruchomości ubranych w szare garnitury i z walizkami w rękach, zbliżyło się do helikoptera. - Popatrz - odezwał się jeden z nich - Charley schwytał Ziemianina.

- Nie - sprzeciwił się drugi, to Ziemianin złapał jego.

- Włazić do śmigłowca, cała trójka - zażądał Lightfoot wymachując pistoletem.

- Robi pan błąd - powiedział pierwszy Fnool potrząsając głową. - Ale jest pan jeszcze młody, z czasem pan zmądrzeje. - Nagle odwrócił się na pięcie i wrzasnął: - Śmierć Ziemianom!

Szarpnął walizeczkę do góry i ładunek czystej energii świsnął obok prawego ucha Lightfoota. Kapitan przyklęknął błyskawicznie i nacisnął spust; Fnool, który już stał w drzwiach śmigłowca, upadł na twarz i leżał obok walizeczki. Dwaj pozostali patrzyli, jak Lightfoot ostrożnie odsuwa ją nogą.

- Młody - powiedział jeden z nich - ale ma szybki refleks. Wiedzieliś, jak strzelił z kolana?

- Ziemianie to nie żarty - zgodził się drugi. - Mamy jeszcze pod górkę po drodze do naszego zwycięstwa.

- Jak już tu pan jest - ten pierwszy zwrócił się do Lightfoota - może da się pan jednak namówić na kupno jakiegoś kawałka ziemi? Podwiozę pana na miejsce i można od razu obejrzeć. Uzbrojenie terenu za niewielką dodatkową opłatą.

- Włazić do śmigłowca - powtórzył Lightfoot mierząc w nich pewną ręką z pistoletu.

W Berlinie Oberleutnant zachodnioniemieckiego urzędu bezpieczeństwa SHD (Sicherheitdienst) podszedł do swego dowódcy, zasalutował w sposób skądinąd zwany rzymskim i powiedział:

- *General, die Fnoolen sind wieder zurück. Was sollen wir jetzt tun?*

- Fnoolowie wrócili? - jęknął przerażony Hochflieger. - Już? Dopiero trzy lata temu wykryliśmy ich siatkę i zniszczyliśmy ją. - Skoczywszy na równe nogi zaczął przechadzać się z rękami założonymi do tyłu po ciasnym pomieszczeniu swego tymczasowego gabinetu w podziemiach budynku Bundesratu. - Tym razem w jakiej postaci? Wiceministrów finansów, jak poprzednio?

- Nie, panie generale - odparł Oberleutnant. - Tym razem są inspektorami obsługi z zakładów Volkswagena. Brązowy kombinezon, tablica z danymi technicznymi, grube szkła, w średnim wieku. Czepiają się wszystkiego. I, jak poprzednio, *nur* sześćdziesiąt centymetrów wzrostu.

- Czego nie znoszę u Fnoolów - powiedział generał - to bezlitosnego stosowania nauki w służbie zniszczenia, a szczególnie broni bakteriologicznej. Prawie nas pokonali tym wirusem ukrytym w kleju na odwrocie kolorowych okolicznościowych znaczków pocztowych.

- Desperacka broń - zgodził się jego podwładny - ale raczej zbyt fantastyczna, by mogła przynieść zwycięstwo. Tym razem pewnie postawią na siłę rażenia w połączeniu z absolutną synchronizacją działań.

- Ma się rozumieć - zgodził się Hochflieger. - Jednakże musimy przeciwdziałać i pokonać ich. Zawiadomcie Terpol. - Terpol była to ogólnoswiatowa organizacja kontrwywiadu z kwaterą główną na Księżycu. - Gdzie dokładnie ich wykryto?

- Jak dotąd tylko w Schweinfurcie.

- Może trzeba zrównać z ziemią całą okolicę?

- To pokażą się gdzie indziej.

- Prawda - zamyślił się Hochflieger. - Należy więc doprowadzić operację *Hundefutter* do pomyślnego zakończenia. - Operacja *Hundefutter* polegała na wyhodowaniu odmiany ludzi o wzroście sześćdziesięciu centymetrów, którzy potrafili przyjmować dowolne postacie. W ten sposób mogli przeniknąć do siatki Fnoolów i rozsadzić ją od wewnątrz. Operacja *Hundefutter*, finansowana przez Fundację Kruppa, została przygotowana na taką właśnie ewentualność jak obecnie.

- Uruchomię oddział *Kommando Einsatzgruppe II* - powiedział podwładny. - Można już ich zrzucić w postaci anty-Fnooli na tyły obszaru zajętego przez wroga w okolicy Schweinfurtu. Do zachodu słońca sytuacja powinna już być opanowana.

- *Grüss Gott* - powiedział Hochflieger kiwając głową. - Proszę więc przygotować rozkazy dla *Kommando*, a potem będziemy śledzić tok operacji *Hundefutter*.

Zdawał sobie sprawę, że jeśli operacja się nie powiedzie, potrzebne będą bardziej zdecydowane środki.

Los naszej rasy jest stawką w tej grze, powiedział do siebie.

Następne cztery tysiące lat cywilizacji zależą od sprawnego działania funkcjonariusza SHD. Może nawet jego.

Myśląc o tym przechadzał się po pokoju.

W Warszawie miejscowy szef Ludowej Agencji Ochrony Procesów Demokratycznych przeczytał kilkanaście razy zakodowaną depeszę siedząc przy biurku, pijąc herbatę i jedząc późne śniadanie składające się z bułeczek maślanych przełożonych szynką Krakus. Tym razem pod postacią szachistów, pomyślał Sergiusz Nikow. I każdy z tych szachistów otwiera pionkiem hetmańskim - bardzo słabe otwarcie, szczególnie w porównaniu z otwarciem pionem królewskim, nawet w grze białymi. Ale...

Mimo to sytuacja jest potencjalnie niebezpieczna.

Na kartce papieru z nagłówkiem napisał polecenie: „Izolować grupę szachistów otwierających pionem hetmańskim”. Skierujemy ich do Zespołów Zalesiania, postanowił. Fnoolowie są mali, ale z sadzonkami sobie poradzą... w każdym razie musimy ich jakoś wykorzystać. Siew; mogą przecież siać słoneczniki w naszym programie pozyskiwania tłuszczów roślinnych z obszarów potundrowych.

Rok ciężkich robót, pomyślał, i następnym razem dobrze się zastanowią, nim zechce się im podboju Ziemi.

Z drugiej strony może by zawrzeć układ? Jako alternatywę wobec Zespołów Zalesiania można by ich wcielić do służby wojskowej w specjalnej brygadzie i użyć w Chile do walk w górach. Ponieważ mają tylko po sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, da się wielu wepchnąć do jednej łodzi podwodnej i tak przetransportować. Ale czy można ufać Fnoolom?

Najbardziej u nich nie znosił - a zapoznał się z nimi dobrze przy okazji poprzednich najazdów na Ziemię - ich przewrotności. Ostatnim razem przyjęli postać tancerzy ludowych - i potańczyli sobie z Ziemianami. W Leningradzie zmasakrowali całą widownię; pozabijali na miejscu wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci za pomocą broni o przemyślniej konstrukcji, solidnie wykonanej, a zamaskowanej jako ludowe instrumenty muzyczne z grupy pięciostrunowych.

To się już nie mogło powtórzyć; wszystkie narody demokratyczne były już teraz czujne - utworzono specjalne brygady młodzieżowe w celu nadzorowania bezpieczeństwa. Jednak jakiś nowy trik, na przykład ta postać szachistów, mógł się powieść szczególnie w małych miasteczkach na wschodzie, gdzie ciągle jeszcze witano szachistów

entuzjastycznie.

Ze skrytki w biurku Sergiusz Nikow wyjął telefon łączności specjalnej bez tarczy; uniósł słuchawkę i powiedział do mikrofonu: - Fnoolowie pojawili się na północnym Kaukazie. Przygotować solidne wsparcie pancerne i gdy zechcą rozszerzyć natarcie, otoczyć ich, wymacać ośrodek dowodzenia i dzielić na coraz mniejsze grupki, z którymi załatwimy się po kolei.

- Tak jest, pułkowniku Nikow.

Sergiusz Nikow odłożył słuchawkę i wrócił do spóźnionego śniadania.

Gdy kapitan Lightfoot pilotował śmigłowiec w drodze powrotnej do Waszyngtonu, jeden z Fnooli postanowił porozmawiać.

- Jak to się dzieje - zapytał, że obojętnie w jakiej postaci się pojawiaemy, zawsze potraficie nas wykryć? Przybywaliśmy już jako pracownicy stacji benzynowych, inspektorów obsługi Volkswagena, arcymistrzów szachowych, artystów ludowych nawet z instrumentami, niższych urzędników rządowych, a teraz pośredników sprzedaży nieruchomości...

- Chodzi o wasze wymiary - odparł Lightfoot.

- To pojecie jest dla nas niezrozumiałe.

- Macie tylko dwie stopy wzrostu!

Fnoolowie naradzali się przez chwilę, po czym przemówił drugi z nich.

- Jednak wymiary są względne. Reprezentujemy wszystkie cechy Ziemi wcielone w nasze tymczasowe formy i wedle praw logiki...

- Chodź - powiedział Lightfoot. - Stań obok mnie. - Fnool podszedł ostrożnie, w dalszym ciągu trzymając walizeczkę. - Sięgasz mi akurat do kolana - pokazał kapitan. - Ja mam sześć stóp wzrostu, a ty masz dokładnie jedną trzecią tego. Wśród Ziemi widać was jak na dłoni.

- Czy to jakieś przysłowie ludowe? - zapytał Fnool. - Lepiej je zapiszę. - Z kieszeni wyciągnął maleńki długopis wielkości zapałki. - „Jak na dłoni”. Mam nadzieję, że gdy was pokonamy, zachowamy niektóre wasze obyczaje w muzeum.

- Ja też mam nadzieję - powiedział Lightfoot zapalając papierosa.

- Zastanawiam się, czy możemy w jakiś sposób urosnąć - zamyślił

się drugi Fnool. - Czy to jakiś sekret waszej rasy? - Popatrzył na zapalony papieros zwisający niedbałe z ust kapitana. - Czy w ten sposób osiągacie swój nadnaturalny wzrost? Przez zapalenie tego słupka sprasowanych włókien roślinnych i wdychanie dymu?

- Tak - odrzekł Lightfoot wręczając papierosa sześćdziesięciocentymetrowemu Fnoolowi. To nasz sekret. Palenie papierosów powoduje wzrost. Wszystkie nasze dzieci, a w szczególności nastolatki, palą. Wszyscy młodzi.

- Spróbuję tego - powiedział Fnool do swego towarzysza. Umieściwszy papierosa w ustach zaciągnął się głęboko.

Lightfoot zamrugał oczami, ponieważ w tym momencie Fnool miał już cztery stopy wzrostu! Podobnie jego towarzysz; obaj Fnoolowie zwiększyli swój wzrost dwukrotnie. Papieros w niewiarygodny sposób dodał całe dwie stopy do wzrostu Fnooli.

- Dziękuję bardzo - powiedział obecnie już czterostopowy agent sprzedaży nieruchomości do Lightfoota, znacznie bardziej wyrazistym głosem niż poprzednio. - Robimy duże postępy, nieprawdaż?

- Oddaj papierosa - powiedział nerwowo Lightfoot.

W swoim gabinecie w budynku CIA major Julius Hauk nacisnął guzik na biurku i natychmiast panna Smith otworzyła drzwi i weszła do pokoju trzymając blok do notatek.

- Panno Smith - odezwał się major - kapitana Lightfoota nie ma, mogę więc pani powiedzieć, że tym razem Fnoolowie wygrają. Jako oficer odpowiedzialny za walkę z nimi mam zamiar się poddać i zejść do schronu przewidzianego na sytuacje beznadziejne - takie jak ta.

- Przykro mi to słyszeć - odparła panna Smith mrugając długimi rzęsami. - Miło było pracować dla pana.

- Pani to też dotyczy - wyjaśnił Hauk. - Wszyscy Ziemianie są pokonani; nasza klęska jest na skalę planetarną. - Otworzywszy szufladę biurka wyciągnął otwartą jeszcze piersiówkę whisky, którą otrzymał na urodziny. - Najpierw skończę tę butelkę - poinformował pannę Smith. - Czy pani się do mnie przyłączy?

- Nie, dziękuję panu - odrzekła panna Smith. - Niestety, nie piję, przynajmniej za dnia.

Major Hauk napił się trochę z zakrętki od manierki, a potem, chyba

by się upewnić, że whisky jest do samego dna, pociągnął z butelki. W końcu odstawił ją. - Trudno uwierzyć - powiedział - że postawią nas pod ścianę stwory nie większe od domowych kotów, ale taka jest prawda. - Ukłonił się pannie Smith kurtuazyjnie. - Teraz oddalam się do mojego podziemnego schronu betonowego, gdzie mam zamiar się schronić przed zagładą cywilizacji, takiej, jaką znamy.

- Ma pan szczęście, majorze - powiedziała panna Smith, a w jej głosie brzmiała niepewność. - Ale czy pan... tak po prostu zostawi mnie tu na pastwę Fnooli? To znaczy... - Jej ostro zakończone piersi zafalowały pod bluzką. - To nie bardzo uczciwe.

- Nie ma się pani czego obawiać z ich strony, panno Smith - odparł major Hauk. - W końcu dwie stopy wzrostu... - Pokazał ręką. - Nawet młoda histeryczka nie mogłaby sądzić... - Zaśmiał się. - No, co też pani...

- Ale to straszne uczucie - zwierzyła się panna Smith - gdy się jest porzuconą w obliczu czegoś, o czym wiadomo, że jest wrogiem z całkiem innej planety.

- Wie pani co - zamyślił się major Hauk - postaram się złamać parę surowych przepisów CIA i wezmę panią ze sobą do schronu.

Panna Smith odłożyła ołówek i blok do notatek, po czym podbiegła do majora. - Och, panie majorze - szepnęła dysząc - nie wiem, jak mam panu dziękować.

- Po prostu niech pani idzie - powiedział major Hauk, zostawiając nie dokończoną whisky w pośpiechu spowodowanym zaistniałą sytuacją.

Panna Smith uwiesiła się na nim, gdy dość niepewnie szedł korytarzem ku windzie.

- Cholera z tą whisky - wymamrotał. - Panno Smith, Vivian, dobrze, że pani tego nie ruszała. Zważywszy na reakcję kory mózgowej w obliczu zagrożenia ze strony Fnooli, szkocka whisky nie stanowi tego balsamu, którym jest zazwyczaj.

- Tutaj - powiedziała sekretarka podtrzymując go ramieniem, gdy czekali na windę. - Niech się pan trzyma mocno, majorze. To długo nie potrwa.

- Ma pani rację w każdym sensie tej wypowiedzi, kochanie - zgodził się major Hauk.

Winda w końcu nadjechała. Była typu samoobsługowego.

- Pan jest dla mnie bardzo dobry - odezwała się panna Smith, gdy major nacisnął odpowiedni guzik i kabina zaczęła opadać.

- No, może to nieco przedłuży nam życie - zgodził się major. - Oczywiście, tak głęboko pod ziemią... przeciętna temperatura jest znacznie wyższa niż na powierzchni. Jak w głębokich kopalniach, sięga pięćdziesięciu stopni.

- Ale przynajmniej zostaniemy przy życiu - podkreśliła panna Smith.

Major Hauk zdjął bluzę i krawat. - Niech się pani przygotuje na gorąco i wilgoć - powiedział do niej. - Niech pani zdejmie żakiet.

- Tak - odparła panna Smith, pozwalając, by major, jak na dżentelmena przystało, pomógł jej zdjąć żakiet.

Winda dotarła do schronu. Na szczęście nikt jeszcze przed nimi tu nie przybył; mieli schron tylko dla siebie.

- Tu rzeczywiście jest duszno - powiedziała panna Smith, gdy major Hauk włączył jedyną żółtawą żarówkę. - Ojej. - Potknęła się o coś w mroku. - Zupełnie nic nie widzę. - Znowu się o coś potknęła; tym razem nieomal upadła. - Może byśmy zapalili więcej światła?

- Żeby ściągnąć Fnooli? - Major Hauk macał rękami w ciemnościach, aż w końcu znalazł swą sekretarkę na jednej ze stojących w schronie prycz: panna Smith badała jeden ze swych pantofelków.

- Zdaje się, że złamałam obcas - stwierdziła.

- Przynajmniej uszła pani z życiem - odparł major Hauk. - Przynajmniej tyle. - Zaczął pomagać jej w zdejmowaniu drugiego buta, teraz już oczywiście bezwartościowego.

- Jak długo tu będziemy? - spytała panna Smith.

- Dopóki Fnoolowie są na wierzchu - poinformował ją major. - Niech pani lepiej zmieni ubranie na antyradiacyjne, na wypadek, gdyby tym małym pozaziemskim parszywcom zachciało się zbombardować Biały Dom. Proszę dać mi swoją bluzkę i spódnicę - tu gdzieś powinny być kombinezony.

- Jest pan naprawdę bardzo dobry dla mnie - szepnęła panna Smith wręczając mu bluzkę i spódnicę. - Sama bym się pogubiła.

- Po zastanowieniu - powiedział major Hauk - pójdę jednak po tę whisky; będziemy tu dłużej, niż się spodziewałem, i przyda się nam coś

takiego na uspokojenie nerwów zszarpanych samotnością. Pani niech tu zostanie. - Po omacku odnalazł drogę do windy.

- Niech pan szybko wraca - zawołała za nim panna Smith z troską w głosie. - Bez pana jestem tu taka bezbronna i obnażona, a co gorsza, nie mogę znaleźć żadnego stroju radiacyjnego, o którym pan mówił.

- Zaraz wracam - obiecał major.

Na lądowisku po przeciwnej stronie od gmachu CIA kapitan Lightfoot osadził śmigłowiec z dwoma schwytanymi Fnoolami na pokładzie. - Jazda - poinstruował ich, wciskając im między żebra łufę służbowej czterdziestki piątki.

- To dlatego, że jest od nas większy i silniejszy - poskarżył się jeden z Fnooli drugiemu. - Gdybyśmy byli tego samego wzrostu, nie odważyłby się tak nas traktować. Teraz jednak rozumiemy - w końcu - naturę wyższości Ziemi.

- Tak - zgodził się z nim drugi. - Dwudziestoletnia zagadka została rozwiązana.

- Cztery stopy to w dalszym ciągu podejrzany wzrost - odparł Lightfoot, ale umysł pracował mu intensywnie. Jeśli urosli o dwie stopy w jednej chwili, tylko przez zapalenie papierosa, co może im przeszkodzić w dodaniu sobie jeszcze dwóch następnych? Wtedy będą mieli po metr osiemdziesiąt i niczym się nie będą różnić od nas.

I to wszystko moja wina, pomyślał, cały nieszczęśliwy.

Major Hauk mnie zniszczy, jeśli nie fizycznie to przynajmniej służbowo.

Jednakże działał dalej, najlepiej jak potrafił; wymagała tego sławna tradycja CIA. - Zabieram was prosto do majora Hauka - powiedział do obu Fnooli. - Już on będzie wiedział, co z wami zrobić.

Kiedy znaleźli się w gabinecie majora, nikogo w nim nie było.

- To dziwne - stwierdził kapitan Lightfoot.

- Może major Hauk udał się na z góry upatrzone pozycje - zauważył jeden z Fnooli. - Czy ta wysoka butelka o barwie bursztynu coś oznacza?

- Jest to wysoka butelka o barwie bursztynu, w której prawdopodobnie znajduje się szkocka whisky - odrzekł Lightfoot przyglądając się uważnie. - I nie oznacza niczego. Jednakże... - zdjął

nakrętkę – lepiej się upewnić. Z butelkami nigdy nic nie wiadomo.

Po przeprowadzeniu próby stwierdził, że obaj Fnoolowie patrzą nań w napięciu.

- To piją Ziemianie – wyjaśnił. – Wam by zaszkodziło.

- Możliwe – odparł jeden z Fnooli – ale w czasie gdy pan pił, mnie się trafił pański pistolet służbowy. Rączki do góry.

Lightfoot podniósł ręce z ociąganiem.

- I daj pan tę butelkę – powiedział Fnool. – Sami spróbujemy; nikt nam nie będzie mówił, czego nie wolno pić. Skarby kultury ziemskiej leżą przed nami.

- Ten napój was wykończy – Lightfoot szukał rozpaczliwie jakiegoś wyjścia.

- Jasne, tak samo jak ta rurka ze zwiędłą masą roślinną – pogardliwie odparł drugi Fnool.

Lightfoot patrzył tylko, jak obaj Fnoolowie na zmianę wytrąbili whisky do ostatniej kropli.

I oczywiście mieli już po sześć stóp. Lightfoot wiedział, że na całym świecie wszyscy pozostali Fnoolowie osiągnęli ten sam wzrost. Przez niego najazd na Ziemię tym razem się powiedzie. On zniszczył Ziemię.

- Na zdrowie – powiedział pierwszy Fnool.

- Chluśniem, bo uśniem – dodał drugi. – No to cyk. – Przyjrzeni się Lightfootowi. – Pan się skurczył – powiedział jeden.

- Nie, Len – odrzekł drugi. – To myśmy się powiększyli do jego rozmiarów.

- Więc teraz jesteśmy równi – zauważył Len. – W końcu się nam powiodło. Tajemnicza broń Ziemian – ich rozmiary – została unieszkodliwiona.

- Rzucić broń – odezwał się nagle głos za nimi. I za plecami dwóch całkowicie pijanych Fnooli pojawił się major Hauk.

- Niech ja skonam – wymamrotał pierwszy Fnool. – Patrz, Len, to ten facet, który nam tyle razy dołożył.

- I jest mały – powiedział Len. – Mały, jak my. Teraz wszyscy jesteśmy mali. To znaczy, wszyscy jesteśmy duzi... cholera jasna, na jedno wychodzi. W każdym razie jesteśmy równi. – Rzucił się w kierunku Hauka.

Major wystrzelił i Fnool imieniem Len upadł. Był niewątpliwie martwy. Pozostał jeszcze tylko jeden z pojmanyh Fnooli.

- Edgar, oni urosli - powiedział blady major Hauk. - Dlaczego?

- To moja wina - przyznał się Lightfoot. - Najpierw z powodu papierosa, potem przez whisky - pańską whisky, majorze, którą żona panu dała na ostatnie urodziny. Przyznaję, że to, iż mają taki sam wzrost jak my, nie pozwala ich od nas odróżnić... ale niech się pan zastanowi. Gdyby urosli jeszcze o dwie stopy?

- Rozumiem pana doskonale - odparł major Hauk po namyśle. - Przy wzroście ośmiu stóp Fnoolowie będą tak samo rzucać się w oczy jak wtedy, gdy...

Pojmany Fnool rzucił się do ucieczki.

Major Hauk strzelił, mierząc w nogi, ale było za późno; Fnool był już na korytarzu i gnał ku windzie.

- Łapać go! - wrzasnął major.

Fnool dobiegł do windy i bez wahania nacisnął guzik; pomogła mu w tym jakaś niezemska, fnoolowska intuicja.

- Ucieknie - zawarczał Lightfoot.

Nadjechała winda i Fnool wpadł do środka. - On jedzie do schronu - major Hauk zawył, zdumiony.

- Wspaniale - orzekł ponuro Lightfoot. - Złapiemy go bez kłopotu.

- Tak, ale... zaczął major Hauk i urwał. - Ma pan rację, Lightfoot, musimy go złapać. Jak wyjdzie na ulicę - będzie jak każdy inny facet w szarym garniturze z walizeczką.

- Co zrobić, żeby jeszcze urósł? - zastanawiał się Lightfoot, gdy wraz z majorem zbiegali po schodach. - Zaczął to papieros, potem alkohol... jedno i drugie nie znane dotąd Fnoolom. Co jeszcze mogłoby spowodować ich wzrost do nadnaturalnej wysokości ośmiu stóp? - Wysilał umysł, gdy zbiegali coraz niżej, aż w końcu zamajaczyły przed nimi betonowo-stalowe drzwi do schronu. Fnool był już w środku.

- To jest... no, słyhać stamtąd pannę Smith - przyznał się major Hauk. - Ona, to jest my, hm... próbowaliśmy się schronić tu na dole, przed najazdem.

Napartaży na drzwi Lightfoot otworzył je szeroko. Panna Smith natychmiast zerwała się z łóżka, podbiegła do nich i w chwilę później przywarła do obu, już bezpieczna od Fnoola.

- Dzięki Bogu - wykrztusiła. - Nie poznałam, kto to wszedł, dopóki...
- Majorze - powiedział kapitan Lightfoot - zdaje się, że znaleźliśmy.
- Kapitanie, proszę zebrać rzeczy panny Smith - powiedział szybko major Hauk. - Ja zajmę się Fnoolem. Już nie ma sprawy.
Ośmiostopowy Fnool zbliżył się powoli z uniesionymi w górę rękami.

Przełożył Wiktor Bukato

Ostatni Pan i Władca

(The Last of The Masters)

Świadomość narastała w nim. Wracał niechętnie; te stulecia, nieznośne zmęczenie, kładły się na nim ciężarem. Wznoszenie było bolesne. Zaskrzeczałby, gdyby miał czym. Zaczynał, w każdym razie, odczuwać zadowolenie.

Osiem tysięcy razy wracał powoli w ten sam sposób, ze stale rosnącą trudnością. Któregoś dnia nie da rady. Któregoś dnia czarna plama pozostanie. Ale nie dziś. Nadal żył; radosny triumf zdominował ból i niechęć.

- Dzień dobry - powiedział przyjemny głos. - Co za piękny dzień mamy, prawda. Odsunę zastony i będzie pan mógł wyjrzeć.

Widział i słyszał. Lecz nie mógł się poruszać. Leżał spokojnie i pozwalał ogarniać się wszelkim wrażeniom z wnętrza pokoju. Dywany, tapeta, stoły, lampy, obrazy. Biurko i widekran. Pobłyskujące żółte światło słoneczne napływające zza okna. Błękitne niebo. Odległe wzgórza. Pola, budynki, drogi, fabryki. Robotnicy i maszyny.

Peter Green pracowicie wszystko porządkował, a twarz wieńczył mu uśmiech.

- Mnóstwo pracy dzisiaj. Mnóstwo ludzi chce się z panem zobaczyć. Rachunki do podpisania. Decyzje do podjęcia. Dziś jest sobota. Ludzie przyjadą z odległych sektorów. Mam nadzieję, że ekipa naprawcza zrobiła dobrą robotę. - I dodał szybko: - Naturalnie, że zrobiła. Rozmawiałem z Fowlerem, kiedy tu szedłem. Wszystko jest pięknie wyreperowane.

Miły tenor młodzieńca mieszał się z jasnym słońcem. Dźwięki i obrazy, ale nic poza tym. Nic nie czuł. Spróbował poruszyć ramieniem, lecz na próżno.

- Niech się pan nie przejmuj - powiedział Green, wyczuwając jego przerażenie. - Wkrótce tu będą z całą resztą. Wszystko z panem będzie dobrze. Musi być. Jak moglibyśmy bez pana przetrwać? - Odprężył się. Bóg jedyny wiedział, że zdarzało się to dość często przedtem. Złość tępo w nim wezbrała. Dlaczego nie potrafili się skoordynować? Zebrać wszystko za jednym razem, a nie tak po kawałku. Będzie musiał

zmienić im rozkład. Żeby się lepiej zorganizowali.

Za jasnym oknem podjechał niski, szeroki pojazd i stanął. Umundurowani ludzie wysypali się licznie, zabrali pełne naręcza sprzętu i pospieszyli w kierunku głównego wejścia do budynku.

- Właśnie idą - zawołał Green z ulgą. - Małe spóźnienie, co?

- Znowu korek uliczny - parsknął Fowler od wejścia. - Znowu coś jest nie w porządku z systemem sygnalizacji. Dobrze było by, gdybyście zmienili prawo drogowe. Ruch miejski przemieszał się z zewnętrznym. Ze wszystkich kierunków przestoje.

Wokół niego było teraz ruchliwie. Ujrzał nad sobą niewyraźne kontury postaci Fowlera i McLeana, twarze jak dwa ogromne księżyce. Zaniepokojone spojrzenia profesjonalistów. Przewrócili go na bok. Stłumione rozmowy. Pospieszne szepty. Szczęk narzędzi.

- Tutaj - mruknął Fowler. - A teraz tu. Nie, to później. Uważaj. A teraz przepuść tędy.

Praca trwała w napiętej ciszy. Zdawał sobie sprawę z ich bliskości. Od czasu do czasu mgliste ich zarysy odcinały mu światło. Przekręcany był na różne strony, rzucany jak worek mąki. - Okay - powiedział Fowler. - Sklej taśmą.

Długa cisza. Spoglądał tępo na ścianę, na lekko spłowiałą niebiesko-różową tapetę. Stary wzór pokazywał kobietę w krynolinie, z małą parasolką na zgrabnym ramieniu. Biała bluzka z falbankami, małe szpice pantofelków. Zdziwiająco czyściutki szczeniaczek u jej boku.

Potem przewrócono go z powrotem, twarzą ku górze. Pięć postaci pojękiwało i wysilało się nad nim. Palce biegały, mięśnie napinały się pod koszulami. W końcu wyprostowali się i wycofali. Fowler wytarł pot z twarzy. Wszyscy byli spięci, oczy przymglone zmęczeniem.

- No, jazda - zgrzytliwie rzucił Fowler. - Włączaj.

Szok trzasnął go. Łapał powietrze. Ciało napięło się w łuk, a potem powoli osiadło.

Jego ciało. Teraz już czuł. Eksperymentalnie poruszył ramionami. Dotknął swej twarzy, barku, ściany. Ściana była realna i twarda. Nagle świat stał się znowu trójwymiarowy.

Na twarzy Fowlera widać było ulgę. - Dzięki... Bogu. - Przygiął się ze zmęczenia. - Jak się czujesz?

Po pewnej chwili odpowiedział: - W porządku.

Fowler odesłał resztę ekipy. Green zaczął znowu ścierać kurze w odległym kącie. Fowler usiadł na krawędzi łóżka i zapalił fajkę. – Teraz mnie posłuchaj – powiedział. – Mam złe wiadomości. Powiem ci tak, jak zawsze chcesz, prosto z mostu.

– O co chodzi? – zapytał natarczywie. Przyjrzał się palcom. Już wiedział.

Fowler miał podkrążone oczy. Nie ogolił się. Twarz o kwadratowej szczęce była ściągnięta i mizerna. – Całą noc byliśmy na nogach. Pracując nad twoim systemem motorycznym. Jakoś prowizorycznie skleciliśmy, ale to długo nie wytrzyma. Nie więcej niż kilka miesięcy. To narasta. Podstawowe zespoły nie mogą być wymienione. Kiedy się zużywają, to już po nich. Możemy wspawać przekaźniki i wlutować okablowanie, ale nie możemy naprawić tych pięciu cewek synaptycznych. Było tylko kilku ludzi, którzy potrafili je robić, ale nie żyją już od dwustu lat. Jeśli cewki przepalą się...

– Czy występuje w nich jakaś degeneracja? – przerwał.

– Jeszcze nie. Na razie tylko w napędzie. Ramiona, w szczególności. To, co się dzieje z twoimi nogami, wkrótce stanie się z twoimi ramionami i ostatecznie z całym twoim systemem motorycznym. Do końca roku zostaniesz sparaliżowany. Będziesz w stanie widzieć, słyszeć i myśleć. I nadawać. Ale na tym koniec. – Dodał: – Przykro mi, Bors. Robimy wszystko, co możemy.

– W porządku – rzekł Bors. – Nie wasza wina. Dziękuję za to, że powiedziałeś mi wprost. Ja... zgadłem.

– Gotów jesteś do wyjazdu? Dzisiaj jest cała masa ludzi z różnymi problemami. Czekają, dopóki nie przyjedziesz.

– Ruszajmy. – Z wysiłkiem skoncentrował uwagę na szczegółach zajęć w tym dniu. – Chcę przyspieszyć program badawczy w metalach ciężkich. Opóźnia się, jak zwykle. Może będę musiał wycofać część personelu z pracy z tym związanej i skierować ich do generatorów. Wkrótce spadnie poziom wody. Chcę rozpocząć przesył mocy na liniach, póki jeszcze jest moc do przesyłania. Kiedy tylko odwracam uwagę, wszystko wali się na łeb.

Fowler dał znak Greenowi, który podszedł szybko. Obaj nachylili się nad Borsesem i, stękając, podźwignęli go do góry, po czym zanieśli do drzwi i wzdłuż korytarza aż na zewnątrz.

Położyli go w tym niskim, metalowym pojeździe, nowej małej ciężarówce naprawczej. Jej wypolerowana powierzchnia zaskakująco kontrastowała z jego powyszczerbianą, skorodowaną, pociętą, poplamioną i wyżartą skorupą. Tępo wyglądająca, pokryta patyną maszyna z archaicznej stali i plastiku, która wydawała z siebie słabiutkie, przerdzewiałe brzęczenie, gdy obaj ludzie wskoczyli na przednie siedzenie i z rykiem silnika wyjechali na główną szosę.

Edward Tolby pocił się, podciągał plecak wyżej na ramionach, przechylał się do przodu szarpiąc ciężar, zaciskał pas z pistoletem i klął.

- Tato - powiedziała Sylwia z naganą. - Przestań.

Tolby splunął z pasją w trawę na poboczu. Ramieniem otoczył swą smukłą córkę. - Przepraszam, Sylwuniu. To nie do ciebie. To przez ten pieski upał.

Była połowa poranka i słońce wysyłało drżące słabe promienie na drogę pokrytą kurzem. Tumany pyłu unosiły się i kłębiły wokół całej trójki, która mozolnie posuwała się do przodu. Ogarniało ich śmiertelne zmęczenie. Masywna twarz Tolby'ego była zaczerwieniona i ponura. Z ust zwisał mu nie zapalony papieros. Duże, potężnie zbudowane ciało pochylało się z niechęcią. Płócienna koszula córki przylepiała się do ramion i piersi. Na plecach występowały ciemne księżycowate placki potu. Mięśnie jej ud drgały ze zmęczenia pod dżinsami.

Robert Penn szedł trochę z tyłu za dwójką Tolbych, ręce miał głęboko w kieszeniach, wzrok skierowany przed siebie na drogę. W głowie odczuwał pustkę; był na poły uśpiony po podwójnej dawce heksobarbituratu, jaką łyknął w ostatnim obozie Ligi. No i ten usypiający upał. Po obu stronach drogi ciągnące się pola i pastwiska pełne trawy i chwastów, tu i ówdzie pojedyncze drzewa. Zwalona zagroda. Starożytne porznięte pozostałości schronu atomowego sprzed dwu stuleci. W jakiejś chwili parę utyłanych owiec.

- Owce - odezwał się Penn. - Zbyt nisko wyżerają trawę. Nie odrośnie.

- Znalazł się rolnik, co? - powiedział Tolby do córki.

- Tata - ucięła Sylwia. - Przestań być wredny.

- To ten upał. Ta cholerna gorączka - Tolby zaklął znowu, głośno i z

poczuciem bezsensu.

- To niewarte zachodu. Za dziesięć różowych wróciłbym i powiedział im, że te informacje są gównem warte.

- Może i są, skoro o tym mowa - powiedział Penn łagodnie.

- Dobrze, dobrze, to wracaj - rzekł Tolby mrukliwie. - Wracaj i powiedz im, że to kupa nonsensu. Może ci medal przypną. Może dostaniesz awans o jeden stopień wyżej.

Penn roześmiał się.

- Zamknijcie się oboje. Przed nami jakaś miejscina.

Masywne ciało Tolby'ego wyprostowało się ochoczo. - Gdzie? - Ręką przysłonił oczy. - Na Boga, on ma rację. Jakaś wioska. I to nie fatamorgana. Widzicie, prawda? - Wrócił mu dobry humor i już zacierał swoje grube łapy. - No, jak tam, Penn. Parę piwek, parę razy w kości z tutejszymi wieśniakami, a może nawet na noc zostaniemy. - W przewidywaniu tego wszystkiego oblizał swe tłuste wargi. - Niektóre z wsiowych dziewczuch, no, wiesz, tych co to zawsze blisko gorzałosklepów...

- Wiem, o których mówisz - wtrącił Penn. - Te, co to zawsze przemęczone z braku zajęcia. Co to chcą do dużych ośrodków. Żeby im jakiś facet zawsze kupował różne mechanograty i woził po różnych miejscach.

W pobliżu drogi jakiś farmer obserwował ich ze zdziwieniem. Zatrzymał konia i stał pochylony nad swoim prymitywnym pługiem, w kapeluszu zsuniętym na tył głowy.

- Jak się to miejsce nazywa? - krzyknął Tolby.

Przez chwilę farmer milczał. Był to stary i chudy mężczyzna o wyniszczonej cerze. - Ta miejscowość? - powtórzył.

- No tak, ta przed nami.

- To ładna miejscowość. - Farmer wlepił oczy w całą trójkę. - Aście już tu kiedy byli?

- Nie, proszę pana - odrzekł Tolby. - Nigdy.

- Co, wysiadło wam?

- Nie, jesteśmy pieszo.

- A ile to drogi zrobili?

- Będzie ze sto pięćdziesiąt mil.

Farmer przyglądał się ich ciężkim plecacom. Ich podkutym butom

marszowym. Zakurzonej odzieży i wymęczonym, oblanym potem twarzom. Dżinsom i płóciennym koszulom. Laskom pielgrzymim z żelazytu.

- To kawał drogi - powiedział. - Jak daleko jeszcze?

- Jak nam się spodoba - odpowiedział Tolby. - Jest tam się gdzie zatrzymać? Hotel? Zajazd?

- To miasto - powiedział farmer - to Fairfax. Jest tu tartak, jeden z najlepszych na świecie. Kilka zakładów ceramicznych. Jedno takie miejsce, gdzie można sobie na maszynie ześciubolić jakieś odzienie. I rusznikarnia, gdzie robią najlepszy śrut po tej stronie Gór Skalistych. No i piekarnia. Jest też stary lekarz i adwokat. I parę osób, co to mają książki do uczenia dzieciaków. Przyjechali tu z gruźlicą. Taką jedną starą stodołę przerobili na szkołę.

- A jak duże jest to miasto? - zapytał Penn.

- Kupa luda. Nowe się rodzą gęsto. Starzy umierają. Dzieciaki umierają. W zeszłym roku mieliśmy gorączkę. Chyba ze setka dzieciaków zmarła. Lekarz powiedział, że to przez studnię. Tośmy zamknęli studnię. Ale dzieciaki i tak umierały. Lekarz powiedział, że to od mleka. Tośmy połowę krów wygnali. Ale nie moje. Stałem tam ze strzelbą i walnąłem do pierwszego, który przyszedł moje krowy przegnać. Dzieciaki przestały zdychać, jak jesień przyszała, myślę, że to było z upału.

- Pewnie, że jest gorąco - zgodził się Tolby.

- Tak, tak, tu bywa gorąco. Trudno o wodę. - Po starej twarzy przemknął mu cwano-sprytny wyraz. - A może byśta się napili? Ta młoda dama wygląda na mocno zmęczoną. Mam butelki z wodą pod chałupą. W błocie. Dobra, zimna. - Zawahał się. - Po jednym różowym od szklanki.

Tolby roześmiał się. - Nie, dzięki.

- Dwie szklanki za różowego - powiedział farmer.

- To nas nie interesuje - rzekł Penn. Puknął w manierkę i cała trójka ruszyła w drogę. - Do zobaczenia.

Twarz farmera stężała. - Cholerne cudzoziemskie nasienie! - powiedział pod nosem. Ze złością zabrał się znowu do orki.

Miasto było milczące w spiekocie. Muchy bzykały i siadały na zadach otępiałym, przywiązany do słupków koniom. Tu i ówdzie stało

parę zaparkowanych samochodów. Ludzie poruszali się apatycznie po chodnikach ulicznych. Starzy mężczyźni o chudych ciałach drzemali na gankach. Psy i kury spały w cieniu pod domami. Domy były małe, drewniane, z podziobanych i łuszczących się desek, pochylone i niezgrabne – i stare. Spaczone i popękane od wieku i upału. Wszędzie zalegał kurz. Grubą pokrywą wysuszonego pyłu, na spękanych domach, ludziach o tępych twarzach i zwierzętach.

Dwóch wysokich i szczupłych mężczyzn wyszło do nich z otwartych drzwi. – Kto wy? Czego chcecie?

Zatrzymali się i wyjęli dowody tożsamości. Mężczyźni starannie obejrzeni karty zatopione w plastiku. Fotografie, odciski palców, wszystkie dane. Wreszcie im oddali.

– AL – rzekł jeden z nich. – Naprawdę jesteście z Ligi Anarchistów?

– Tak jest – powiedział Tolby.

– Nawet ta dziewczyna? – Mężczyźni patrzyli na Sylwię pożądliwie. – Coś wam powiemy. Dajcie nam dziewczynę na trochę, darujemy wam podatek od każdej osoby, wiecie, pogłównne.

– Nie rób sobie żartów – zaburczał Tolby. – Od kiedy to Liga płaci pogłównne albo jakiegokolwiek podatki. – Przepchnął się obok tych dwóch z niecierpliwością. – Gdzie jest sklep z wodą? Umieram!

Dwupiętrowy budynek stał po ich lewej stronie. Mężczyźni porozkładani na ganku obserwowali ich nieobecny wzrokiem. Penn ruszył do przodu i dwoje Tolbych za nim. Wyblakły, złuszczony napis na froncie brzmiał: PIWO, WINO Z BECZKI.

– To tu – powiedział Penn. Poprowadził Sylwię pokrzywionymi schodami do środka, mijając mężczyzn. Za nimi wszedł Tolby, odpinając z zadowoleniem plecak po drodze.

Lokal był chłodny i ciemny. Paru mężczyzn i kilka kobiet stało przy barze, reszta siedziała przy stolikach. Kilku młodych ludzi grało w rzucankę w tylnej części sali. Mechaniczny muzykacz zgrzytał i komponował w rogu sali; była to nędzna maszyna na wpół zrujnowana i tylko częściowo działająca. Za barem jakiś prymitywny obrazomat tworzył i kasował rozmazane fantasmagorie: widoki morza, szczytów górskich, dolin pokrytych śniegiem, wielkich pofałdowanych wzgórz, nagiej kobiety, pojawiającej się ulotnie, a potem rozmywającej się w jedną olbrzymią pierś. Niezbyt widzialny ciąg niepewnych obrazów,

których nikt nie zauważał i nie przyglądał się im. Sam bar był niewiarygodnie starą płytą przezroczystego plastiku, poplamioną, obtłuczoną i pożółkłą ze starości. Jego powłoka z jednego końca rozleciała się; w miejscu tym podpierały ją cegły. Mikser do drinków i koktajli rozpadł się. Podawano jedynie piwo i wino. Żaden z żyjących ludzi nie wiedział, jak sporządzić najprostszy drink.

Tolby podszedł do baru. - Piwo - powiedział. - Trzy piwa. - Penn i Sylwia zasiedli przy stoliku, zdejmując plecaki, podczas gdy barman podawał Tolby'emu trzy kufle ciężkiego, ciemnego piwa. Pokazał swą kartę i zaniósł kufle do stolika.

Młodzi ludzie na końcu sali przestali grać. Obserwowali całą trójkę popijającą piwo i rozsznurowującą ciężkie buty. Po chwili jeden z nich powoli zbliżył się.

- Słuchajcie - powiedział. - Jesteście z Ligi, tak?

- Tak jest - sennie wymamrotał Tolby.

Wszyscy w barze patrzyli i słuchali. Młody człowiek usiadł naprzeciwko całej trójki, jego towarzysze stłoczyli się w podnieceniu dookoła, obsiadając ich ze wszystkich stron. Młodociani z miasteczka. Znudzeni, niespokojni, rozgoryczeni. Oczy ich zanotowały laski wędrownicze z żelazytu, pistolety, ciężkie, podkute metalem buty. Słychać było szmer szeptów. Mieli po około osiemnaście lat. Opaleni, kowbojowaci.

- Jak można się do niej dostać - bez pardonowo zapytał jeden z nich.

- Do Ligi? - Tolby przechylił się do tyłu w krześle, znalazł zapałkę i zapalił papierosa. Rozpiął pas, głośno beknął i rozsiadł się z zadowoleniem. - Poprzez egzamin.

- A co trzeba wiedzieć?

Tolby wzruszył ramionami. - Prawie wszystko. - Beknął ponownie i z namysłem podrapał się po piersi, między dwoma guzikami. Był świadom obecności pierścienia ludzi ze wszystkich stron. Jakiś drobny staruszek z brodą i w okularach w rogowej oprawie. Przy innym stoliku wielki jak beka facet w czerwonej koszuli i spodniach w niebieskie prążki, z ogromnym wystającym brzuchem.

Młodzi, farmerzy. Jakiś Murzyn w brudnej białej koszuli i spodniach, z książką pod pachą. Jakaś blondyna z kanciastą szczęką, włosami w siatce, czerwonymi paznokciami, na wysokich obcasach, w obcistej

żółtej sukience. Siedziała z jakimś siwowłosym biznesmenem w ciemnobrązowym garniturze. Jakiś wysoki młody człowiek trzymający się za rękę z młodą, czarnowłosą dziewczyną. Miała wielkie oczy, miękką białą bluzkę i spódniczkę, małe pantofelki, kopnięte pod stół. Przebierała pod stołem nagimi, opalonymi nogami, szczuplutkie ciało było pochylone do przodu z zainteresowaniem.

- Musicie wiedzieć - powiedział Tolby - jak Liga powstała. Musicie dowiedzieć się, jak wtedy obalaliśmy rządy. Obalaliśmy i niszczyliśmy. Spaliliśmy wszystkie budynki i wszystkie dokumenty. Miliardy mikrofilmów i papierów. Ogromne ogniska, które płonęły tygodniami. I całe roje żyjatek, które wysypywały się, gdy rujnowaliśmy budynki.

- Zabiliście je? - wyszeptał drżącymi wargami grubas.

- Puściliśmy. Były nieszkodliwe. Uciekały i chowały się. Pod kamieniami. - Tolby zaśmiał się. - Małe takie, rozbiegane. Insekty. Potem zebraliśmy wewnątrz budynków wszystkie dokumenty i zapiski oraz wyposażenie do ich sporządzania. Boże, spaliliśmy wszyściuteńko.

- I roboty też? - zapytał młodzieniec.

- Tak, rozwaliliśmy wszystkie rządowe roboty. Nie było ich wiele. Były używane jedynie na wysokich szczeblach. Kiedy trzeba było integrować liczne fakty.

Młody człowiek wybałuszył oczy. - Widzieliście je? Byliście tam wtedy, gdy rozwalali roboty?

Penn zaśmiał się. - Tolby ma na myśli Ligę. To było dwieście lat temu.

Młody człowiek skrzywił się w nerwowym uśmiechu. - Tak. Opowiedz nam o tych marszach.

Tolby osuszył kufel i odepchnął go od siebie. - Skończyło mi się piwo.

Kufel został szybko napełniony ponownie. Wymamrotał podziękowania i ciągnął dalej głosem głębokim i trochę rozmazanym, przytępionym zmęczeniem. - Marsze. Mówią, że to naprawdę była duża rzecz. Na całym świecie ludzie powstawali, porzucali wszystko, co robili.

- To się zaczęło w Niemczech Wschodnich - odezwała się blondyna o kanciastej szczęce. - Te rozruchy.

- Potem rozszerzyło się na Polskę - nieśmiało dorzucił Murzyn. - Mój

dziadek opowiadał mi, jak wszyscy wysiadali przed telewizorem i słuchali. Jego dziadek zwykł mu opowiadać. To się rozprzestrzeniło na Czechosłowację, potem na Austrię i Rumunię, i Bułgarię. A potem Francja. I Włochy.

- Francja była pierwsza! - Staruszek z brodą i w okularach w rogowej oprawie wykrzyknął gwałtownie. - Byli bez rządu calutki miesiąc. Ludzie zobaczyli, że można żyć bez rządu!

- Zaczęło się od marszów - czarnowłosa dziewczyna wprowadziła poprawkę. - Wtedy po raz pierwszy zaczęli burzyć budynki rządowe. W Niemczech Wschodnich i w Polsce. Wielkie watahy nie zorganizowanych robotników.

- Rosja i Ameryka były na końcu - powiedział Tolby. - Gdy ruszył marsz na Waszyngton, to było nas około dwudziestu milionów. Wtedy byliśmy potężni! Nie mogli nas zatrzymać, kiedy wreszcie ruszyliśmy.

- Dużo ludzi zastrzelili - powiedziała blondyna z twardą szczęką.

- To jasne. Ale ludzie wciąż nadchodzili. I krzyczeli do żołnierzy: - „Hej, Bill! Nie strzelaj! Hej, Jack! To ja, Joe! Nie strzelaj - jesteśmy przyjaciółmi! Nie zabijajcie nas, chodźcie z nami!” No i, na Boga, po jakimś czasie to zrobili. Nie mogli wciąż strzelać do własnych ludzi. W końcu porzucili broń i wynieśli się.

- I wtedy znaleźliście to miejsce - powiedziała bez tchu mała czarnowłosa dziewczyna.

- Tak. Znaleźliśmy to miejsce. Sześć takich miejsc. Trzy w Ameryce. Jedno w Brytanii. Dwa w Rosji. Zabrało nam dziesięć lat, żeby znaleźć to ostatnie miejsce i zadbać, żeby naprawdę było to ostatnie.

- A co potem? - zapytał młody człowiek, któremu oczy wychodziły z orbit.

- Potem rozwaliliśmy każdą z nich. - Tolby uniósł się, masywny mężczyzna, w dłoni kufel piwa, ciężka twarz mocno poczerwieniała. - Każdą cholerną bombę atomową w całym świecie.

Zapanowała niezręczna cisza.

- Tak - wybąkał młodzieniec. - No, toście załatwili tych ludzi wojny.

- Już ich więcej nie będzie - powiedział gruby jak beczka człowiek. - Zniknęli na zawsze.

Tolby przebierał palcami po swojej żelaztowej lasce. - Może tak. A może i nie. Mogło się jeszcze paru z nich uchować.

- Co masz na myśli? - dopytywał się beczkowaty.

Tolby podniósł twarde spojrzenie szarych oczu. - Pora, żebyście ludzie przestali z nas kpić. Dobrze, do cholery, wiecie, co mam na myśli. Słyszeliśmy pogłoski. Gdzieś tu, w pobliżu, jest ich cała kupa. Ukrywają się.

Najpierw zszokowane niedowierzanie, a potem złość przechodząca z szumu w ryk. - To kłamstwo! - wrzasnął gruby.

- Czyżby?

Malutki staruszek z brodą i w okularach podskoczył. - Nikogo tu nie ma, co by miał coś wspólnego z rządami. Tu są sami dobrzy ludzie!

- Lepiej uważaj, co mówisz - powiedział miękko do Tolby'ego jeden z młodocianych. - Tutaj naród nie lubi, gdy się go obraża.

Tolby podniósł się niepewnie na nogi, ściskając mocno laskę żelazytową. Obok podniósł się Penn i obaj stali razem. - Jeśli ktoś z was coś wie - powiedział Tolby - to lepiej mówcie. Ale już.

- Nikt nic nie wie - rzekła blondyna o twardych rysach. - Rozmawiacie z uczciwymi ludźmi.

- No właśnie - powiedział Murzyn, potakując głową. - Nikt tu niczego złego nie robi.

- Wyście nas zbawili - powiedziała czarnowłosa dziewczyna. - Gdybyście tych rządów nie obalili, to wszyscy zginęlibyśmy podczas wojny. Dlaczego mielibyśmy coś przed wami ukrywać?

- To prawda - beczkowaty facet zaczął narzekająco. - Nie bylibyśmy żywi, gdyby nie Liga. Czy sądzicie, że zrobilibyśmy coś wbrew Lidze?

- No - powiedziała Sylwia do ojca. - Chodźmy. - Wstała i rzuciła Pennowi jego plecak.

Tolby mamrotał coś wojowniczo, wreszcie wziął swój plecak i podniósł go na barki. W pomieszczeniu panowała śmiertelna cisza. Wszyscy stali jak zamrożeni, gdy cała trójka pozbierała swoje rzeczy i ruszyła w kierunku drzwi.

Mała ciemnowłosa dziewczyna zatrzymała ich. - Następne miasto jest o trzydzieści mil stąd - powiedziała. - Droga jest zablokowana. Skały zamknęły ją wiele lat temu. - A może byście u nas przenocowali. Mamy u siebie dużo miejsca. Możecie odpocząć i ruszyć dalej z samego rana.

- Nie chcemy się narzucać - mruknęła Sylwia.

Tolby i Penn popatrzyli na siebie, potem na dziewczynę. - Jeśli jesteś pewna, że starczy miejsca...

Beczka podszedł do nich. - Słuchajcie, mam tu dziesięć złotych. Chcę je wam oddać dla Ligi. W zeszłym roku sprzedałem swoją farmę. Więcej tych papierków mi nie trzeba; mieszkam z bratem i jego rodziną. - Wysunął rękę z kwitkami w kierunku Tolby'ego. - Macie, weźcie.

Tolby odsunął wyciągniętą rękę. - Zatrzymaj je.

- Tędy - powiedział wysoki młody mężczyzna, kiedy schodzili hałaśliwie po uginających się schodach, prosto w nagłą zasłonę kurzu i spiekoty. - Mamy samochód. Tędy. Taki stary wóz na benzynę. Mój tata go przerobił i teraz jeździ na oleju.

- Powinieneś być wziąć te kwitki - odezwał się Penn do Tolby'ego, gdy wsiedli do staroświeckiego, porozbijanego samochodu. Muchy bzykały wokół nich. Mogli z ledwością oddychać; samochód był jak piec. Sylwia wachlowała się jakimś zwiniętym papierem. Czarnowłosa dziewczyna rozpięła bluzkę.

- Na co nam pieniądze - zaśmiał się dobrodusznie Tolby. - Za nic w życiu nie płaciłem. I ty też nie.

Samochód kichnął i wolno wyjechał na drogę. Zaczął nabierać szybkości. Motor strzelał i ryczał. Wkrótce poruszał się zadziwiająco szybko.

- Przyjrzałeś się im - powiedziała Sylwia przekrzykując hałas. - Oni oddaliby nam wszystko, co mają. Myśmy im uratowali życie. - Pomachała ręką w stronę pól, farmerów i ich prymitywnych sprzętów, zwiędłych zbiorów, przygiętych do ziemi chałup. - Wszyscy byliby nieżywi, gdyby nie Liga. - Zabiła muchę z pasją. - Oni od nas zależą.

Czarnowłosa dziewczyna odwróciła się w ich stronę, gdy samochód pędził po rozsypującej się drodze. Na opalonej skórze wystąpiły strużki potu. Jej na wpół przykryte piersi drżały od ruchu samochodu. - Jestem Laura Davis. Mamy z Petem starą wiejską chatę, którą dał nam jego ojciec, kiedyśmy się pobrali.

- Możecie się rozgościć na całym parterze - powiedział Pete. - Nie ma elektryczności, ale jest duży kominek. W nocy bywa zimno. W ciągu dnia jest gorąco, ale gdy słońce zajdzie, robi się strasznie zimno.

- Damy sobie radę - mruknął Penn. - Z powodu wibracji samochodu

zaczęło mu się robić niedobrze.

- Tak - powiedziała dziewczyna z błyskiem w czarnych oczach. Jej karminowe usta zacisnęły się. Pochyliła się specjalnie w stronę Penna, twarz jej dziwnie jaśniała. - Tak, zajmiemy się wami, zajmiemy.

W tym momencie samochód wyleciał z szosy. Sylwia rozdzierająco krzyknęła. Tolby rzucił się w dół, z głową pomiędzy nogami, zwinięty w kulę. Nagła zaslona zielonej barwy wybuchła wokół Penna. A potem przyprawiająca o mdłości pustka, gdy samochód spadał. Uderzył z ryczącym hałasem, który wytłumił wszystko inne. Jakiś tytaniczny kataklizm furii, która uniosła Penna i rozrzuciła jego szczątki we wszystkich kierunkach.

- Posadźcie mnie - rozkazał Bors - na chwilę na platformie, zanim wejdę do środka.

Załoga opuściła go na betonową powierzchnię i umocowała na miejscu magnetyczne chwytaki. Mężczyźni, kobiety spieszyli szerokimi schodami do góry, ludzie wchodzili i wychodzili z potężnego budynku, w którym były główne biura Borsy. Widok tych schodów sprawiał mu przyjemność. Lubił przystawać tutaj i rozglądać się po swoim świecie. Po cywilizacji, którą sam z pietyzmem zbudował. Każdy element starannie odtwarzany, skrupulatnie, z nieskończoną troską, przez lata.

Nie było to ogromne. Ze wszystkich stron otoczone górami. Dolina była płaską misą osłoniętą ciemnofioletowymi wzgórzami. Na zewnątrz, poza wzgórzami, zaczynał się zwykły świat. Wysuszone na wiór pola. Porozwalane, dotknięte nędzą miasta. Rozsypujące się szosy. Pozostałości budynków, rozpadające się domy i pomieszczenia farmerskie. Zrujnowane samochody i maszyny. Pokryci kurzem ludzie, apatycznie łąjący po terenie, w ręcznie szytej odzieży, obdartych szmatach i łachmanach. Widział ten zewnętrzny świat. Wiedział, jaki on był. W górach, twarze bez wyrazu, choroba, zwiędłe zbiory, prymitywne pługi i kończące się staroświeckie narzędzia. Tutaj, wewnątrz pierścienia wzgórz, Bors skonstruował wierną i szczegółową reprodukcję społeczeństwa sprzed dwóch stuleci. Świat, jaki był za dawnych dni. Czasu rządów. Czasu, który został powalony przez Ligę Anarchistów.

W jego pięciu cewkach synaptycznych były plany, wiedza,

informacja, gotowe schematy całego świata. W ciągu tych dwóch stuleci starannie zrekonstruował ten świat, stworzył to miniaturowe społeczeństwo, które błyszczało i tętniło życiem, we wszystkich jego przejawach. Drogi, budynki, przemysły martwego świata, wszystko to stanowiące fragment przeszłości, zbudowane jego własnymi rękami, jego własnymi metalowymi palcami i mózgiem.

- Fowler - odezwał się Bors.

Fowler podszedł. Wyglądał nieszczęśliwie. Miał zaczerwienione i podpuchnięte oczy. - O co chodzi? Chcesz wejść do środka?

Ponad głową przetoczył się z grzotem poranny patrol. Sznur czarnych punkcików na tle słonecznego, bezchmurnego nieba. Bors patrzył z satysfakcją.

- Imponujący widok.

- Punktualnie co do sekundy - Fowler zgodził się, spoglądając na swój ręczny zegarek. Po prawej stronie kolumna ciężkich czołgów posuwała się wężykiem wzdłuż szosy pomiędzy zielonymi polami. Lufy ich dział połyskiwały. Za nimi maszerowała kolumna piechoty, ich twarze schowane za maskami przeciwbakteryjnymi.

- Myślę sobie, że może to niemądre ufać dalej Greenowi.

- Dlaczego, do diabła, tak mówisz?

- Co dziesięć dni jestem unieruchamiany. Tak, aby twój zespół mógł zobaczyć, jakie naprawy są potrzebne. - Bors kręcił się niespokojnie. - Przez dwanaście godzin jestem kompletnie bezsilny. Green zajmuje się mną. Dogląda, aby nic się nie stało. Ale...

- Ale co?

- Przychodzi mi do głowy, że może byłoby bezpieczniej w jakimś oddziale żołnierzy. To zbyt duża pokusa dla jednego samotnego człowieka.

Fowler zawył. - Nie rozumiem tego. A co ja? Nadzoruję twoje badania. Mógłbym parę kabelków poprzetaczać. Puścić duży ładunek przez twoje cewki synaptyczne. Rozsadzić je.

Bors zawirował gwałtownie, potem uspokoił się. - To prawda. Mógłbyś to zrobić. - Po chwili spytał: - A co byś z tego miał? Wiesz, że jestem jedyny, który może to wszystko trzymać razem. Jestem jedyny, który wie, jak prowadzić planowe społeczeństwo, nie jakiś rozpasany chaos! Gdyby nie ja, to wszystko by się rozpadło i miałbyś kurz, ruiny

i chwasty. Cały zewnętrzny świat przygnałby przejąć wszystko.

- Oczywiście. No to po co martwić się Greenem?

Z hukiem przejeżdżały ciężarówki pełne robotników. Mnóstwo ludzi w niebieskozielonych kombinezonach, rękawy podwinięte, naręcza narzędzi. Jakiś zespół górniczy udający się w góry.

- Zanieście mnie do środka - nagle odezwał się Bors. Fowler wezwał McLeana. Podnieśli Bors i przeszli z nim obok mas ludzi, do budynku, wzdłuż korytarza aż do jego biura. Wyżsi urzędnicy i technicy ustępowali z drogi z szacunkiem, gdy wielki, poszczerbiony i skorodowany zbiornik był przenoszony obok nich.

- W porządku - powiedział niecierpliwie Bors. - To wszystko. Możecie odejść.

Fowler i McLean opuścili pełne przepychu biuro, z jego wspaniałymi dywanami, meblami, draperiami i rzędami książek. Bors pochylał się już nad swym biurkiem, sortując sterty sprawozdań i papierów.

Fowler pokiwał głową, gdy przechodzili wzdłuż hallu.

- On już długo nie pociągnie!

- System napędu? Nie możemy wzmocnić tego...?

- Nie o to mi chodzi. On się rozpada psychicznie. Już nie wytrzymuje napięcia.

- Nikt z nas nie wytrzymuje - bąknął McLean.

- Kierowanie tym wszystkim to dla niego za dużo. Świadomość, że to wszystko zależy od niego. Świadomość, że gdy tylko odwróci się lub trochę sobie odpuści, to wszystko zacznie pękać w szwach. To cholerna robota tak próbować wyłączyć realny świat. Utrzymać swój model wszechświata w działaniu.

- Już całkiem długo to robi - rzekł McLean.

Fowler zamyślił się na głos. - Prędzej czy później będziemy zmuszeni stanąć wobec tej sytuacji. - Z przygnębieniem przesunął palcami po ostrzu dużego śrubokręta. - On się zużywa. Prędzej czy później ktoś będzie musiał wkroczyć. Wraz z jego postępującym rozkładem... - Wepchnął śrubokręt z powrotem za pas, razem z obcęgi i młotkiem oraz lutownicą. - Jeden skrzyżowany drucik.

- Co ty mówisz?

Fowler zaśmiał się. - Ja to wszystko przy nim robię. Wystarczy skrzyżować jeden drucik i... bęc. No, ale co potem? Oto wielkie

pytanie.

- Może - powiedział łagodnie McLean - ty i ja, wyszlibyśmy z tego zwariowanego wyścigu szczurów. Ty i ja, i cała nasza reszta. I żylibyśmy jak ludzie.

- Gonitwa szczurów - Fowler zamamrotał. - Szczury w labiryncie. Wyczyniające sztuczki. Wykonujące nudne zajęcia wymyślane przez kogoś innego.

McLean przechwycił spojrzenie Fowlera. - Przez kogoś z innego gatunku.

Tolby walczył niepewnie. Cisza. Jakieś ciche kapanie w pobliżu. Jakaś belka przygniatała go. Ze wszystkich stron otoczony był częściami wraka samochodu.

Głowę miał w dole. Samochód był na boku. Zleciał z szosy do parowu, wklinał się między dwa duże drzewa. Pogięty i rozbabrany metal dokoła, wsporniki i inne części. I ciała.

Z całej siły pchał do góry. Belka ustąpiła i udało mu się przyjąć pozycję siedzącą. Konar drzewa przebił przednią szybę. Czarnowłosa dziewczyna, wciąż odwrócona w kierunku tylnego siedzenia, była tym konarem przebita. Gałąź przeszła przez jej kręgosłup, wyszła od strony piersi i wbiła się w siedzenie wozu; dziewczyna obejmowała ją dłońmi, głowa jej zwisała, usta były na wpół otwarte. Mężczyzna obok niej też nie żył. Był bez rąk; przednia szyba rozsypała się wokół niego. Leżał niby sterta wśród pozostałości po tablicy kontrolnej i własnych, połyskujących krwawo wnętrzności.

Penn nie żył. Szyja złamała mu się jak przegniły kij od szczotki. Tolby przepchnął jego zwłoki na bok i przyjrzał się córce. Sylwia ani drgnęła. Przyłożył ucho do jej koszuli i nadśluchiwał. Żyła. Serce jej słabiutko biło. Biust jej unosił się i opadał pod jego uchem.

Owinął chustkę wokół krwawiącej rany na jej ramieniu. Była okropnie pokaleczona i podrapana; jedna noga podwójnie złożona, najwyraźniej złamanie. Ubiór miała podarty, włosy sklezione krwią. Ale żyła. Wypchnął pogięte drzwi i wygramolił się. Uderzył w niego ognisty jęzor popołudniowego słońca. Tolby zaczął uwalniać jej bezwładne ciało z samochodu, obok pogiętej ramy drzwiowej. Dźwięk.

Tolby spojrzał do góry, zeszywniały. Coś się zbliżało. Brzęcząc

insekt gwałtownie tracący wysokość. Puścił Sylwię, przykucnął, rozejrzał się wokół, potem chwiejnie wszedł w parów. Ślizgał się, padał i toczył między zielonymi pędami i poszarpanymi szarymi fragmentami skał. Ściskając w ręku broń, leżał w wilgotnym cieniu łapiąc oddech i zerkał do góry.

Insekt wylądował. Mały statek powietrzny, napędzany silnikiem odrzutowym. Widok ten oszołomił go. Słyszał o odrzutowcach, widział ich zdjęcia. Brał udział w instruktażu i wykładach z indoktrynacji historycznej na kursach w obozach Ligi. Ale zobaczyć odrzutowiec!

Ze środka wysypali się ludzie. Umundurowani ludzie, którzy zeszli z drogi i ruszyli w dół po stoku jaru, idąc ostrożnie w stronę rozbitego samochodu. Mieli ciężkie karabiny. Wyglądali groźnie. Z dużą wprawą wyrwali drzwi samochodu i wcisnęli się do środka.

- Jeden uciekł - doleciał go jakiś głos.

- Musi być niedaleko.

- Patrzcie, ta jedna żyje! Ta kobieta. Zaczęła wyczołgiwać się. Reszta nie żyje.

Wściekłe przekleństwa. - Cholerna Laura! Powinna była wyskoczyć! Głupia, fanatyczna wariatka!

- Może nie miała czasu. O rany, to przebiło ją całą. - Przerazenie i zszokowane rozczarowanie. - Chyba nie damy rady jej z tego zdjąć.

- Zostawcie ją. - Oficer kierujący akcją ruchem ręki nakazał opuszczenie samochodu. - Zostawić wszystkich.

- A co z tą ranną?

Lider zawahał się. - Zabić - powiedział wreszcie. Pochwyił karabin i podniósł kolbę. - Pozostali rozsypać się w tyralierę i próbować go złapać! On prawdopodobnie...

Tolby wystrzelił i ciało lidera przełamało się na pół. Dolna część osuwała się powoli; górna rozsypała się w spopielonych fragmentach. Tolby wykonał zwrot i zaczął posuwać się po małym kręgu, ciągle strzelając. Trafił jeszcze dwóch, zanim reszta wycofała się w panice do odrzutowego owada, zatraskując drzwi. Początkowo miał za sobą element zaskoczenia. Teraz to minęło. Mieli nad nim przewagę. Jego los był przesądzony. Insekt właśnie unosił się. Mogą z łatwością dostrzec go z góry. Ale ocalił Sylwię. To było coś.

Potykając się ruszył wzdłuż wyschniętego łożyska rzeczki. Biegł bez

celu; nie miał teraz gdzie się udać. Nie znał tej okolicy i był pieszo. Poślizgnąwszy się na kamieniu upadł do przodu całym ciałem. Ból i kłębiąca się ciemność uderzyły weń, gdy usiłował chybotliwie unieść się na kolana. Zgubił pistolet gdzieś w krzakach. Pluł krwią i powyłamywanymi zębami. Spojrzał z niepokojem na rozgorzałe popołudniowe niebo.

Insekt odlatywał. Brzęcząc, przemieszczał się w stronę odległych wzgórz. Robił się coraz mniejszy, jak czarna kula, potem jak ślad po muszce, aż zniknął.

Tolby odczekał chwilę. Potem wytaszczył się po zboczu rozpadliny do rozbitego samochodu. Polecieli po pomoc. Wróć. Teraz była jego jedyna szansa. Gdyby tak mógł wydobyć Sylwii i gdzieś ją po drodze schować. Może w jakiejś zagrodzie. Wrócić do miasta.

Dotarł do samochodu i stanął jak wryty. Trzy ciała pozostały, dwa na przednim siedzeniu, Penn z tyłu. Ale Sylwii nie było.

Zabrali ją ze sobą. Tam skąd przybyli. Powlekli ją do tego odrzutowego owada, ścieżka krwi ciągnęła się od samochodu po zboczu jaru do szosy.

Gwałtownym ruchem zebrał się w sobie. Wdrapał się do samochodu i uwolnił pistolet Penna z jego pasa. Laska żelazytowa Sylwii leżała na siedzeniu; zabrał ją również. Potem ruszył drogą, bez pośpiechu, ostrożnie.

Ironiczna myśl ciągle przychodziła mu do głowy. Znalazł to, czego szukali. Ludzi w mundurach. Byli zorganizowani, podlegali jakiejś centralnej władzy. W nowo zbudowanym odrzutowcu.

Za wzgórzami był jakiś rząd.

- Proszę pana - powiedział Green. - Nerwowym ruchem wygładził swe jasne włosy. Na jego twarzy malowało się napięcie.

Technicy, eksperci i tłumy zwykłych ludzi były wszędzie. Oficerowie zajęci byli obowiązkami dnia powszedniego. Green przepchnął się przez tłum do biurka, przy którym siedział Bors, podparty dwiema magnetycznymi ramami.

- Proszę pana - rzekł Green. - Coś się stało.

Bors podniósł wzrok. Odsunął od siebie notatnik z metalowej folii i położył rysik. Komórki oczu trzaskały i migotały; głęboko wewnątrz

jego wyniszczonego korpusu zarzęziły tryby silnika.

- O co chodzi?

Green podszedł blisko. Coś było w jego twarzy, wyraz, którego Bors nigdy przedtem nie widział. Spojrzenie strachu i niewzruszonej determinacji. Usztywniona fanatyczna postać, ciało stwardniałe na skałę. - Proszę pana, nasi zwiadowcy weszli w kontakt z drużyną Ligi idącą na północ. Napotkali ich poza Fairfax. Wypadek miał miejsce bezpośrednio za pierwszym punktem zablokowania drogi.

Bors nic nie mówił. Ze wszystkich stron oficjele, eksperci, farmerzy, robotnicy, menedżerowie przemysłu, żołnierze, ludzie wszelkiego autoramentu brzęczeli i coś mówili niecierpliwie przepychając się do przodu i usiłując dotrzeć do biurka Bors. Obarczeni problemami do rozwiązania, sytuacjami do wyjaśnienia. Nie cierpiące zwłoki sprawy codzienne. Drogi, fabryki, kontrola zachorowań. Naprawy. Budowa. Produkcja. Projektowanie. Planowanie. Pilne problemy do odpowiedniego rozważenia i potraktowania przez Bors. Problemy, które nie mogły czekać.

- Czy drużyna Ligi została zniszczona? - zapytał Bors.

- Jeden został zabity. Jedna ranna i sprowadzona tutaj. - Green zawahał się. - Jeden uciekł.

Przez dłuższy czas Bors milczał. Dokoła niego ludzie coś mamrotali i hałasowali, przechodząc z miejsca na miejsce; ignorował ich. Aż nagle przyciągnął do siebie widskaner i otworzył z trzaskiem obwód. - Jeden uciekł? Nie podoba mi się to.

- Zastrzelił trzech członków naszej jednostki zwiadowców. Włącznie z liderem. Inni przestraszyli się. Pochwycili zranioną dziewczynę i wrócili tutaj.

Masywna głowa Bors uniosła się. - Popełnili błąd. Powinni byli zlokalizować tego, który uciekł.

- To po raz pierwszy taka sytuacja...

- Wiem - powiedział Bors. - Ale był to błąd. Lepiej było ich wcale nie ruszać, niż zabrać dwoje, a trzeciemu pozwolić uciec. - Obrócił się do widskanera. - Ogłosić pogotowie wyjątkowe. Zamknąć fabryki. Uzbroidź załogi i wszystkich zdolnych do noszenia broni rolników płci męskiej. Zamknąć drogi. Przemieścić kobiety i dzieci do podpowierzchniowych schronów. Sprowadzić ciężkie działa i zaopatrzenie. Zawiesić wszelką

produkcję niewojskową i – zastanowił się. – Aresztować każdego niepewnego. Z arkusza C. Rozstrzelać ich. – Wyłączył skaner.

- Co będzie? – zapytał Green wstrząśnięty.

- To, na co przygotowaliśmy się. Totalna wojna.

- My mamy broń! – Green zawołał w podnieceniu. – Za godzinę będzie dziesięć tysięcy ludzi gotowych do walki. Mamy odrzutowe statki powietrzne. Ciężką artylerię. Bomby. Kapsułki bakterii. A co to jest ta Liga? Dużo ludzi z plecakami na grzbiecie.

- Tak – powiedział Bors. – Dużo ludzi z plecakami na grzbiecie.

- Jak oni mogą cokolwiek zrobić? Jak potrafi kupa anarchistów coś organizować? Nie mają struktury ani kontroli, ani centralnej władzy.

- Mają cały świat. Miliard ludzi.

- To jednostki! Klub, nie objęty prawem. Udział ochotniczy. A my mamy zdyscyplinowaną organizację. Każdy aspekt naszego życia gospodarczego operuje z maksymalną wydajnością. – My – pan – trzymamy wszystko pod kontrolą. Jedyne, co pan musi zrobić, to wydać rozkaz. Puścić całą maszynę w ruch.

Bors z wolna pokiwał głową. – To prawda, że anarchiści nie potrafią koordynować. Liga nie potrafi organizować się w wydajną i sprawną strukturę. To paradoks. Rząd w wykonaniu anarchistów... faktycznie to antyrząd. Zamiast rządzić światem, włączają się po świecie dla upewnienia się, że nikt inny tego nie robi.

- To jak pies ogrodnika.

- Tak jak mówisz, oni rzeczywiście są ochotniczym klubem nie zorganizowanych indywidualności. Bez prawa ani centralnych władz. Nie utrzymują społeczeństwa – nie potrafią rządzić. Jedyne, co umieją, to przeszkadzać każdemu, kto próbuje. Wichrzyciele. Ale...

- Ale co?

- Tak samo było przedtem. Dwa wieki temu. Byli nie zorganizowani, nie uzbrojeni. Ogromne tłumy bez dyscypliny i autorytetu. A jednak obalili wszystkie rządy. Na całym świecie.

- My mamy kompletną armię. Wszystkie drogi są zaminowane. Ciężkie działa. Bomby. Kapsułki. Każdy z nas jest żołnierzem. Jesteśmy obozem pod bronią!

Bors głęboko zamyślił się. – Mówisz, że jedno z nich jest tutaj? Jeden z agentów Ligi?

- Młoda kobieta.

Bors dał znak ekipie naprawczej oczekującej w pobliżu. - Zabierzcie mnie do niej. Chcę z nią porozmawiać w czasie, który pozostał.

Sylwia obserwowała w milczeniu, jak umundurowani ludzie z wysiłkiem i stękaniami weszli do pokoju. Zatoczyli się w stronę łóżka, zestawili dwa krzesła i ostrożnie położyli na nich masywny ciężar.

Szybko rozstawili ochronne wsporniki, połączyli oba krzesła, włączyli magnetyczne chwytaki i niepewnie wycofali się.

- W porządku - powiedział robot. - Możecie iść.

Ludzie wyszli. Bors obrócił się w stronę kobiety na łóżku.

- Maszyna - wyszeptała Sylwia z twarzą pobladłą. - Jesteś maszyną!

Sylwia z trudnością zmieniła pozycję na łóżku. Była słaba. Jedna noga w usztywniającym opatrunku z przezroczystego plastiku. Twarz miała obandażowaną, a prawe ramię bolało i pulsowało. Za oknem słońce późnego popołudnia przeświecało przez zasłony. Kwiaty kwitły. Trawa. Żywopłoty. A za żywopłotem budynki i fabryki.

Przez ostatnią godzinę niebo wypełniały odrzutowce. Ogromne ich roje gnające z przejściem po niebie w kierunku odległych wzgórz. Szosą sunęły wozy ciągnące działa i ciężki sprzęt wojskowy. Ludzie maszerowali w szyku zwartym, rzędy żołnierzy ubranych na szaro, broń i hełmy, i maski przeciwbakteryjne. Nie kończące się szeregi postaci, identyczni w swoich mundurach, wypuszczani spod tej samej matrycy.

- Dużo ich jest - powiedział Bors, wskazując na maszerujących ludzi.

- Tak. - Sylwia spojrzała na żołnierzy przechodzących spieszenie koło okna. Młodociani z wyrazem zatroskania na gładkich buziach. Hełmy dyndające u pasa. Długie karabiny. Manierki. Liczniki. Ochronne tarcze radiacyjne. Maski przeciwbakteryjne nałożone niewygodnie na szyję, gotowe do właściwego założenia. Byli wystraszeni. Niewiele starsi niż dzieciaki. Za nimi szli inni. Z rykiem przejechała ciężarówka ożywiając scenę. Żołnierze dołączyli do innych.

- Będą walczyć - powiedział Bors. - Bronić swych domów i fabryk.

- Całe to wyposażenie. Produkuje to, prawda?

- Tak jest. Nasza organizacja przemysłowa jest perfekcyjna. Jesteśmy totalnie produktywni. Nasze społeczeństwo działa racjonalnie.

Naukowo. Jesteśmy przygotowani na tę wyjątkową okoliczność.

Nagle Sylwia zdała sobie sprawę, co to była za wyjątkowa okoliczność. - Liga! Jeden z naszych musiał uciec. - Podciągnęła się nieco. - Który z nich? Penn czy mój ojciec?

- Nie wiem - wymamrotał robot obojętnie.

Sylwię zdławiło obrzydzenie i przerażenie. - Mój Boże - powiedziała łagodnie. - Ty nas nie rozumiesz. Wszystkim tym kierujesz, a niezdolny jesteś do empatii. Jesteś tylko mechanicznym komputerem. Jednym ze starych rządowych robotów integrujących.

- To prawda. Mam dwieście lat.

Zatrwożyła się. - I cały ten czas jesteś przy życiu. Myśleliśmy, że zniszczyliśmy was wszystkich!

- Mnie to nie dosięgło. Byłem uszkodzony. Nie na swoim miejscu. Wywożono mnie ciężarówką z Waszyngtonu. Zobaczyłem te tłumy i uciekłem.

- Dwieście lat temu. Legendarne czasy. Ty naprawdę oglądałeś wydarzenia, o których nam opowiadają. Te dawne dni. Wielkie marsze. Dzień, w którym upadły rządy.

- Tak, widziałem to wszystko. Grupa nasza sformowała się w Wirginii. Eksperci, wyżsi urzędnicy, wykwalifikowani robotnicy. Później przybyliśmy tutaj. To miejsce było dostatecznie odległe, z dala od utartych szlaków.

- Słyszeliśmy pogłoski. Jakaś część... Nadal utrzymująca się. Ale nie wiedzieliśmy gdzie i jak.

- Mnie się udało - rzekł Bors. - Uciekłem szczęśliwym trafem. Wszyscy inni zostali zniszczeni. Długo trwało, zanim to wszystko, co widzisz, udało się zorganizować. Piętnaście mil stąd jest pierścień wzgórz. Ta dolina to misa - góry ze wszystkich stron. Porobiliśmy zapory drogowe w postaci naturalnych zwałów skał. Nikt tu nie przyjeżdża. Nawet w Fairfax, trzydzieści mil stąd, nie wiedzą nic.

- Ta dziewczyna. Laura.

- Czujka. Utrzymujemy drużyny czujek we wszystkich zamieszkałych regionach w promieniu stu mil. Gdy tylko weszliście do Fairfax, zostało nam to przekazane. Wysłano jednostkę napowietrzną. Aby uniknąć pytań, zaaranżowaliśmy waszą śmierć we wraku samochodu. Ale jeden z was uciekł.

Sylwia potrząsnęła głową, zdezorientowana. - Jak? - zapytała natarczywie. - Jak się udaje wam trzymać? Czy ludzie nie buntują się? - Z wysiłkiem przyjęła pozycję siedzącą. - Oni muszą wiedzieć, co się dzieje wszędzie indziej. Jak ich kontrolujecie? Wychodzą teraz, w mundurach. Ale - czy będą walczyć? Czy możecie na nich liczyć?

- Ufają mi - z rozmysłem odpowiedział Bors. - Przywiozłem ze sobą rozległą wiedzę. Informację i techniki utracone dla reszty świata. Czy odrzutowce i widskanery i kable przesyłowe robione są jeszcze gdziekolwiek na świecie? Ja kryję w sobie całą tę wiedzę. Ja mam jednostki pamięci, cewki synaptyczne. To dzięki mnie mają co mają. Rzeczy, które ty znasz jako mgliste wspomnienia, wyblakłe legendy.

- A co będzie, gdy umrzesz?

- Nie umrę! Jestem wieczny!

- Marniejesz. Musisz być noszony. I twoje prawe ramię. Ledwo nim poruszasz! - Głos Sylwii był ostry, bezlitosny. - Twój cały tank jest poszczerbiony i pordzewiały.

Coś w robocie zafurczało, przez chwilę wydawał się niezdolny do mówienia. - Pozostaje moja wiedza - wyrzucił wreszcie. - Zawsze będę w stanie komunikować. Fowler przygotował system nadawania. Nawet gdy mówię... Przerwał. - Nawet wtedy. Wszystko jest pod kontrolą. Przewidziałem każdy aspekt sytuacji. Utrzymuję ten system od dwóch stuleci. Musi nadal działać!

Sylwia gwałtownie ruszyła do akcji. Stało się to w ułamku sekundy. Jej opatrunkowy buciór na nodze zahaczył o krzesła, na których spoczywał robot. Pchnęła gwałtownie nogą i rękami, krzesła zachwiały się, zachybotwały...

- Fowler! - zaskrzeczał robot.

Sylwia pchała z całej siły. Oślepiająca udręka bólu w nodze, zagryzła wargi i popchnęła barkiem wyniszczoną skorupę robota. Pomachał ramionami, dziko zafurczał, a potem oba krzesła wolno załamały się. Robot zsunął się z nich spokojnie na plecy, wciąż bezsilnie machając ramionami.

Sylwia zwlokła się z łóżka. Usiłowała dotrzeć do okna, złamana noga zwisała bezużytecznie, zbędny ciężar w przezroczystej plastikowej obudowie. Robot leżał jak jakiś nieporadny żuk, ramiona w ruchu, oko soczewki cykające, całe pordzewiałe urządzenie, furczące ze strachu

i wściekłości.

- Fowler! - zapiszczał znowu. - Na pomoc!

Sylwia dotarła do okna. Pociągnęła za zamki, były szczelnie zamknięte. Porwała ze stołu lampę i rzuciła w szybę. Szkło rozprysło się wokół niej, deszcz zabójczych kawałków. Zrobiła krok do przodu - i wtedy ekipa naprawcza zaczęła wypełniać pokój.

Fowler zachłysnął się na widok robota leżącego na plecach. Dziwny wyraz przebiegł mu po twarzy. - Spójrzcie na niego!

- Ratunku! - Wył robot. - Pomocy!

Jeden z mężczyzn złapał Sylwię wpół i zawlókł z powrotem na łóżko. Kopała i gryzła, wbiła paznokcie w jego policzek. Rzucił ją na łóżko, twarzą do dołu, i wyciągnął pistolet. - Zostań tu - wysyczał. Inni pochyłili się nad robotem, ustawiając go w pozycji pionowej.

- Co się stało? - spytał Fowler. Podszedł do łóżka z grymasem na twarzy. - Upadł?

Oczy Sylwii jarzyły się nienawiścią i rozpaczą. - Ja go pchnęłam. Już prawie tam byłam. - Pierś jej falowała. - Okno. Ale moja noga...

- Zabierzcie mnie do mojej siedziby! - krzyczał Bors.

Ekipa pozbierała i zaniosiła go korytarzem do prywatnego biura. Kilka chwil później siedział roztrzęsiony przy biurku. Cały jego mechanizm wściekle kołatał, wszędzie leżały papiery i dokumenty.

Z trudem opanował panikę i próbował podjąć pracę. Musiał działać. Jego widekran pełen był ruchu. Cały system był rozkręcony.

Pustym wzrokiem obserwował, jak jakiś dowodzący wysyłał w niebo chmurę czarnych punkcików, odrzutowych bombowców, które poderwały się jak muchy i szybko oddaliły.

System musi być. Powtarzał to wciąż. Musiał go uratować. Należało zorganizować ludzi i spowodować, żeby oni go uratowali. A jeśli ludzie nie będą walczyli, czyżby wszystko było wtedy przesądzone?

Ogarnęła go furia i desperacja. System sam przez się nie mógł się utrzymać; nie był jakimś samoistnym elementem, który można by oddzielić od żyjących w nim ludzi. W rzeczywistości to właśnie o ludzi chodziło. Obie strony były identyczne; gdy ludzie walczyli o zachowanie systemu, to walczyli tylko o zachowanie samych siebie.

Istnieli tylko tak długo, jak długo istniał system.

Dostrzegł maszerującą kolumnę żołnierzy o wyblakłych twarzach,

posuwającą się w kierunku wzgórz. Jego starożytne cewki synaptyczne promieniowały i drgały niepewnie, aż wreszcie wpadły w normalny rytm. Miał za sobą dwa wieki życia. Zaczął istnieć dawno temu, w innym świecie. Ten świat go stworzył i dzięki niemu ten świat nadal żył. W miniaturze ten świat istniał, dopóki on istniał. Jego model wszechświata, jego odtworzenie. Jego racjonalny, kontrolowany świat, w którym każdy aspekt był w pełni zorganizowany, w pełni analizowany i integrowany.

Utrzymywał racjonalny, postępowy świat przy życiu. Ożywioną oazę produktywności na pokrytej kurzem i wysuszonej do cna planecie rozkładu i ciszy.

Bors rozłożył papiery i zabrał się do pracy nad najbardziej palącym problemem. Przejścia z gospodarki pokojowej do pełnej mobilizacji wojskowej. Totalne wojskowe zorganizowanie każdego, mężczyzny, kobiety, dziecka, kawałka wyposażenia i każdej dyny energii, pod jego kierownictwem.

Edward Tolby wynurzył się ostrożnie. Ubranie miał podarte w strzępy. Zgubił plecak pełzając wśród kolczastych jeżyn i dzikiego wina. Twarz i ręce krwawiły. Był kompletnie wyczerpany.

Poniżej leżała dolina. Ogromna misa. Pola, domy, szosy. Fabryki, Urządzenia. Ludzie.

Obserwował tych ludzi od trzech godzin. Nie kończące się strumienie ludzkie przelewały się z doliny między wzgórzami, wzdłuż dróg i ścieżek. Na piechotę, ciężarówkami, samochodami, w czołgach i pancernych transporterach broni. Nad głową, w małych szybkich odrzutowych myśliwcach i ociążonych bombowcach. Błyszczące statki powietrzne, które zajęły pozycje ponad oddziałami, i gotowały się do bitwy.

Bitwy w wielkim stylu. Mającej już dwieście lat wojny na pełną skalę, która miała jakoby przestać istnieć. Ale oto tu właśnie była jakaś wizja z przeszłości. Widział i oglądał to na starych taśmach i płytach używanych na kursach wprowadzających w obozach. Armia duchów przywrócona do życia, aby walczyć ponownie. Ogromna rzesza uzbrojonych ludzi przygotowywanych do walki na śmierć i życie. Tolby zszedł ostrożnie. U podnóża kamienistego zbocza jakiś żołnierz

zatrzymał swój motocykl i ustawiał antenę oraz nadajnik. Tolby okrążył go, przysiadł, podchodząc doń w sposób mistrzowski. Jasnowłose młodzieniec grzebał nerwowo w drutach, kablach i przekaźnikach, oblizując niepewnie wargi, spozierając w górę i łapiąc za karabin przy każdym dźwięku.

Tolby wziął głęboki oddech. Młody człowiek odwrócił się do niego tyłem; przeglądał jakiś obwód zasilania. Teraz albo nigdy. Tolby zrobił jeden duży krok, wyszedł, podniósł pistolet i oddał strzał. Kupka sprzętu i karabin żołnierza zniknęły.

- Tylko bez hałasu - powiedział Tolby. Rozejrzał się ukradkiem dookoła. Nikt nie widział; główna linia przebiegała pół mili na prawo od niego. Słońce zachodziło. Wielkie cienie opadały na wzgórza. Zielone i brązowe dotąd pola nasączały się fioletem. - Ręce za głowę i na kolana!

Młody człowiek przewrócił się jak przestraszona kupka nędzy. - Co masz zamiar zrobić? - Zobaczył żelazytową laskę i kolor odpłynął mu z twarzy. - Jesteś agentem Ligi!

- Zamknij się - rozkazał Tolby. - Najpierw przedstaw wasz system odpowiedzialności. Kto jest twoim zwierzchnikiem?

Młodzieniec wyjąkał, co wiedział. Tolby słuchał z uwagą. Był zadowolony. Zwykła monolityczna struktura. Dokładnie to, czego chciał.

- A na samym szczycie - wtrącił. - Na samym szczycie tej piramidy kto ma ostateczną odpowiedzialność?

- Bors.

- Bors! - zawył Tolby. - To nie brzmi jak imię. Brzmi jak... - Przerwał, kiwnął głową. - Powinniśmy byli odgadnąć! Stary rządowy robot. Nadal funkcjonujący.

Młody człowiek dostrzegł swoją szansę. Podskoczył i pognął jak oszalały.

Tolby strzelił mu powyżej lewego ucha. Młodzieniec padł na twarz. Tolby pospieszył do niego i szybko ściągnął zeń ciemnoszary mundur. Naturalnie był na niego za mały. Ale motocykl był w sam raz. Widział je na taśmach, chciał mieć taki od dziecka. Mały szybki motocykl, którym można się było wozić wszędzie. Teraz go miał.

W pół godziny później pędził z rykiem silnika wzdłuż gładkiej

szerokiej szosy do środka doliny i do budynków wznoszących się na tle ciemnego nieba. Reflektory wcinały się w czerń, nadal przechylał się z jednej strony na drugą, ale w praktyce złapał dryg. Zwiększył szybkość; droga przelatowała, mijał drzewa i pola, stogi siana, unieruchomiony sprzęt rolniczy. Cały ruch szedł w odwrotnym kierunku, oddziały spieszyły na front.

Front. Lemingi wpadające do oceanu, aby utonąć. Tysiąc, dziesięć tysięcy. Żołnierze uzbrojeni i czujni. Obładowani bronią i bombami, miotaczami ognia i kapsułkami bakterii.

Ale był jeden szkopuł. Żadna armia nie stała im naprzeciw. Popelniono błąd. Trzeba było dwóch stron do prowadzenia wojny, a tylko jedna została przywrócona do życia.

O milę za zgrupowaniem budynków zjechał z drogi i starannie ukrył motocykl w stogu siana. Przez chwilę myślał, żeby zostawić swą żelazytową laskę. Ale wzruszył ramionami i pochwycił ją razem z pistoletem. Zawsze nosił swą laskę, był to symbol Ligi. Reprezentowała ona chodzących pieszo anarchistów, którzy patrolowali cały świat na nogach, światowa agencja ochrony. Przeskoczył ciemność w kierunku zarysu budynków przed nim. Było tu mniej ludzi. Nie widział kobiet i dzieci. Przed nim rozciągnięty był drut pod napięciem. Wojsko, uzbrojone po zęby, przykucało za nim. Po całej drodze przesuwano się światło reflektora, tam i z powrotem. Za reflektorem piętrzyły się anteny radarowe, a za nimi jakaś brzydka kwadratowa bryła betonu. Wielkie biura, w których mieściła się siedziba rządu.

Przez chwilę obserwował reflektor. Wreszcie ustalił rytm jego ruchów. W blasku tym twarze żołnierzy rysowały się wyraziście, blade i skupione. Młodzież. Nigdy nie walczyli. To ich pierwsza akcja. Byli przerażeni. Kiedy światło minęło go, powstał i ruszył w kierunku drutu. Natychmiast usłyszał trzask odbezpieczanego karabinu. Dwóch strażników podniosło i niezręcznie skrzyżowało przed nim bagnety.

- Pokaż papiery! - zażądał jeden z nich. Młodzi porucznicy. Chłopcy, nerwowi chłopcy o bezkrwistych wargach. Bawiący się w żołnierzyków. Czując litość i pogardę Tolby zaśmiał się złośliwie i ruszył naprzód.

- Zejdźcie mi z drogi!

Jeden z nich z niepokojem błysnął kieszonkową latarką. - Stać! Jakie jest hasło na tej zmianie warty? - Zablockował Tolby'emu drogę

bagnetem, który ścisnął w drżących dłoniach.

Tolby sięgnął do kieszeni po pistolet i zastrzelił obu strażników, zanim zaczęło powracać światło reflektora. Bagnety upadły z hałasem, a on dał nura do przodu. Krzyki i postacie podniosły się zewsząd. Przejęte, przerażone krzyki. Beładna bieganina. Noc rozjarzyła się, gdy puścił się biegiem, przykucnął, skręcił za rogiem magazynu dostaw, wbiegł po schodach i dostał się do masywnego budynku przed nim.

Musiał działać szybko. Ścisnąjąc żelazytową laskę zanurzył się w ponury korytarz. Jego kroki rozbrzmiewały echem. Jacyś ludzie wpadali za nim do budynku. Wokół grzmiały eksplozje. Po jednej z nich cały fragment sufitu zamienił się w popiół i runął tuż za jego plecami.

Dotarł na schody i wspiął się pospiesznie. Doszedł do następnego piętra i chwycił za jedną z klamek. Coś zamigotało za nim. Zrobił pół obrotu, szybko unosząc pistolet. Ogłuszający cios postąpił go na podłogę. Runął na ścianę wypuszczając z ręki pistolet. Jakiś kształt z karabinem w dłoni pochylił się nad nim.

- Kto ty jesteś? Co tu robisz?

Nie żołnierz. Jakiś mężczyzna z nie golonym zarostem, w poplamionej koszuli i pogniecionych spodniach. Oczy nabrzmiałe i czerwone. Wokół bioder pas z narzędziami, młotek, obcęgi, śrubokręt i lutownica.

Tolby podniósł się z bólem: - Gdybyś nie miał tej strzelby... Fowler odsunął się ostrożnie. - Kto ty jesteś? Na to piętro żołnierzom frontowym nie wolno wchodzić. Wiesz o tym. - Potem dostrzegł żelazytową laskę. - Boże - odezwał się miękko. - Ty jesteś tym, którego nie dopadli. - Zaśmiał się niepewnie. - Jesteś tym, który uciekł.

Palce Tolby'ego zacisnęły się na lasce, ale Fowler zareagował natychmiast. Lufa karabinu z szarpnięciem podskoczyła, na jednej linii z twarzą Tolby'ego.

- Uważaj - ostrzegł Fowler. Lekko się obrócił; żołnierze wbiegali po schodach w pośpiechu, buty bębniły, wrzaski odbijały się echem. Przez chwilę wahał się, potem machnął karabinem w stronę schodów w przodzie.

- Do góry. Ruszaj!

Tolby zamrugał. - Co...

- Do góry! - Lufa karabinu wbiła się w Tolby'ego. - Szybciej! - Zdezorientowany, Tolby ruszył szybko schodami do góry, Fowler tuż za nim. Na trzecim piętrze Fowler silnie pchnął go przez drzwi. Lufa karabinu wbijała mu się w grzbiet. Znalazł się w korytarzu pełnym drzwi. Nie kończące się biura.

- Idź dalej - warknął Fowler. - Wzdłuż hallu. Szybciej! - Tolby spieszył się, w głowie mu wirowało. - Co, do jasnej cholery, chcesz...

- Ja bym tego nigdy nie mógł zrobić - wysapał mu do ucha Fowler. - Nawet za milion lat. Ale to musi być zrobione.

Tolby zatrzymał się. - O co chodzi?

Stali naprzeciw siebie wyzywająco, twarze wykrzywione grymasem, oczy rozpalone. - On jest tam - uciął Fowler, wskazując karabinem drzwi. - Masz jedną szansę. Skorzystaj z niej.

Przez ułamek sekundy Tolby wahał się. Potem zdecydował. - Okay, skorzystam.

Fowler podążył za nim. - Uważaj, patrz, gdzie idziesz. Jest tam cała seria punktów kontrolnych. Cały czas idź prosto, do samego końca. Tak daleko, jak tylko będziesz mógł. I, na litość boską, szybko!

Głos jego zanikał, gdy Tolby nabierał szybkości. Dotarł do drzwi i otworzył je gwałtownie. Żołnierzy i urzędników przybywało. Rzucił się na nich; rozsypali się na wszystkie strony. Przedzierał się dalej, a oni podnosząc się głupawo szukali swych pistoletów. Przez kolejne drzwi do wewnętrznego biura obok biurka, przy którym siedziała przestraszona, zdezorientowana dziewczyna. A potem w trzecie drzwi, do alkowy.

Jakiś młody człowiek o wściekłej twarzy poderwał się i zaczął panicznie szukać swego pistoletu. Tolby był bez broni, uwięziony w alkwie. Jakieś postacie już napierały na drzwi za nim. Ścisnął żelazytową laskę i cofnął się, gdy fanatyk o blond włosach zaczął strzelać na oślep. Grot energii wybuchł o pół metra od niego; owionął go jęzor ognia.

- Ty parszywy anarchisto! - zawrzeszczał Green. Z wykrzywioną twarzą strzelał raz po raz. - Ty morderczy szpiegu anarchistyczny!

Tolby cisnął żelazytową laską. Włożył w to całą swą siłę; laska przeskoczyła w powietrzu gwizdzącym łukiem, prosto w kierunku głowy młodego człowieka. Green dostrzegł, jak nadlatywała i zrobił unik.

Sprawny i szybki, odskoczył, z uśmiechem pozbawionym humoru. Laska uderzyła w ścianę i potoczyła się z hałasem na podłogę.

- Twoja laska wędrownicza! - wysapał Green i wystrzelił. Grot chybił go celowo. Green bawił się nim. Pochylony Tolby nerwowo szukał laski. Podniósł ją. Green obserwował, z zeszywniałą twarzą i połyskującymi oczami.

- Rzuć jeszcze raz! - warknął.

Tolby skoczył. Wziął młodzieńca przez zaskoczenie. Green potknął się do tyłu, chrząknął i nagle zaczął walczyć z maniacką furją.

Tolby był cięższy. Ale wyczerpany. Godzinami czołgał się, przebijał przez góry, maszerował bez końca. Był u kresu sił. Wrak samochodu, całe dni wędrówki. Green był w znakomitej formie. Jego krzepkie, sprawne ciało odwinęło się. Ręce przesunęły się góry, palce wbiły mocno w krtań Tolby'ego, a ten kopnął go w krocze. Green zachwiał się, skurczył w konwulsji, zgiął z bólu.

- W porządku - wysapał Green z ohydny grymasem na pociemniałej twarzy. Ręka wyszukała pistolet. Lufa poszła do góry.

Nagle połowa głowy Greena zniknęła. Z otwartych rąk wypadł na podłogę pistolet. Jego ciało jeszcze przez chwilę stało, potem powoli osiadło, jak nie wypełniony człowiekiem garnitur.

Tolby dostrzegł wysuwającą się z za niego lufę karabinu... i tego mężczyznę obwieszoną pasem z narzędziami. Człowiek ten machał do niego przynaglajaco. - Pospiesz się!

Tolby pognął przez hall wyłożony dywanem, pomiędzy dwiema dużymi migoczącymi żółtymi lampami. Tłum oficjeli i żołnierzy wypadł za nim, potykając się, krzycząc i strzelając na oślep. Gwałtownie otworzył grube dębowe odrzwia i stanął jak wryty.

Był w luksusowej komnacie. Draperie, bogata i ozdobna tapeta. Regały z książkami, lampy. Rzut oka na elegancje przeszłości. Bogactwo dawnych dni. Grube dywany. Przyjemne ciepło. Ekran widsystemu. Na drugim końcu pokoju olbrzymie mahoniowe biurko.

Przy biurku siedziała jakaś postać. Pracowała nad stosami papierów, sprawozdań, kopiastych porcji materiałów. Postać ostro kontrastowała z przebogatym umeblowaniem. Był to duży, powyszczerbiany, metalowy kadłub, powyginany, zielonkawy, połatany i poreperowany. Starodawna maszyna.

- Czy to ty, Fowler? - spytał robot.

Tolby podszedł bliżej, ściskając żelazytową laskę.

Robot obrócił się ze złością. - Kto to? Weź Greena i zanieście mnie do schronu. Jeden z posterunków blokujących drogi doniósł o jakimś agencie Ligi... - Robot przerwał. Jego zimne, mechaniczne okosoczewki świdrowały stojącego przed nim człowieka. Coś w nim stuknęło i brzęczało w niepewnym zadziwieniu. - Nie znam cię.

Dostrzegł żelazytową laskę.

- Agent Ligi - powiedział robot. - Jesteś tym, który przedostał się. - Zrozumiał, co się stało. - Ten trzeci. Przyszedłeś tutaj. Nie zawróciłeś. - Jego metalowe palce błądziły niezręcznie po przedmiotach na biurku, potem w szufladzie. Znalazł pistolet i uniósł go niewprawnie.

Tolby wytrącił mu pistolet, który potoczył się z hałasem na podłogę.

- Uciekaj! - krzyknął do robota. - Ruszaj!

Ten pozostał na miejscu. Laska Tolby'ego opadła w dół. Kruchy, złożony zespół mózgowy robota rozprysł się. Cewki, okablowanie, płyn przekaźnikowy obsypały i oblały mu ramiona i dłonie. Robotem wstrząsnął dreszcz. Cała jego maszyna rozkołatała się. Wstał do połowy z krzesła, potem zatoczył się i upadł. Całą długością rąbnął o podłogę, różne części i trybiki potoczyły się we wszystkich kierunkach.

- Mój Boże! - powiedział Tolby, nagle dostrzegając to po raz pierwszy. Trzęsąc się lekko, w pochyleniu patrzył na resztki robota. - To był kaleka.

Ludzie otaczali go ze wszystkich stron. - On zabił Borsę! - Zaszokowane, osłupiałe twarze. - Borsę nie żyje!

Fowler podszedł wolno. - No, to go załatwiłeś. Teraz już nic nie zostało. - Tolby stał trzymając w rękach żelazytową laskę. - Cholernie żałosne biedactwo - powiedział miękko. - Całkowicie bezbronny. Siedział sobie tutaj, a ja przyszedłem i go zabiłem. Nie miał żadnych szans.

W budynku zrobił się dom wariatów. Żołnierze i różni urzędnicy ganiaли jak szaleni, przygnębieni boleśnie, histeryczni. Wpadali na siebie, gromadzili się w grupach, wrzeszczeli i wydawali różne bezsensowne rozkazy.

Tolby przepchnął się jakoś, nikt nie zwracał na niego uwagi. Fowler

zbierał resztki robota. Składał potłuczone kawałki. Tolby zatrzymał się obok niego. Trochę jak Humpty-Dumpty, jak takie wielkie jajo, strącone z płotu, którego nigdy już nie da się złożyć do kupy.

- Gdzie jest ta kobieta? - zapytał Fowlera. - Ta agentka Ligi, którą tu sprowadzili.

Fowler powoli się wyprostował. - Zaprowadzę cię. - Powiódł Tolby'ego przez zapchany rozpędzonym tłumem korytarz w szpitalnym skrzydle budynku.

Sylwia podniosła się wojowniczo, gdy obaj mężczyźni weszli do pokoju. - Co się dzieje? - Rozpoznała ojca. - Tata! Dzięki Bogu. To ty się wydostałeś.

Tolby zatrzaskał drzwi odcinając chaotyczne hałasy z korytarza.

- Jak się czujesz? Jak noga?

- Coraz lepiej. Co się stało?

- Dostałem go. Robota. Nie żyje.

Przez chwilę cała trójka milczała. Na zewnątrz, w salach i korytarzach ludzie gorączkowo biegali tam i z powrotem. Wiadomość już się rozeszła. Oddziały zbierały się w ciasnych grupach przed budynkiem. Zagubieni ludzie. Oddalający się od swoich placówek. Niepewni. Bez celu.

- No i po wszystkim - powiedział Fowler.

Tolby przytaknął ruchem głowy. - Wiem.

- Zmęczą się tym siedzeniem w okopach - powiedział Fowler. - Powoli będą wracać. Gdy tylko dotrą do nich wieści, zdezerterują porzucając sprzęt.

- To dobrze - mruknął Tolby. - Im szybciej, tym lepiej. - Dotknął strzelby Fowlera. - Ty też, mam nadzieję...

Sylwia zawahała się. - Czy sądzisz...

- Co mam sądzić?

- Że zrobiliśmy błąd?

Tolby skrzywił się w zmęczonym uśmiechu. - Akurat cholernie dobra pora, żeby teraz o tym myśleć.

- Robił to, co uważał za słuszne. Zbudowali domy i fabryki. Cały ten teren... Produkuje wiele towarów. Patrzyłam na to przez okno. Dało mi do myślenia. Tyle zrobili. Bardzo dużo zrobili.

- Robili dużo broni - powiedział Tolby.

- My też mamy broń. Zabijamy i niszczymy. Mamy same minusy i żadnych plusów.

- My nie mamy wojny - odpowiedział cicho Tolby. - Po to, aby bronić tej fikuśnej organizacji, jest tam, wśród tych wzgórz, dziesięć tysięcy żołnierzy. Czekają, żeby się bić. Czekają, żeby zrzucić te swoje bomby i kapsułki z bakteriami, żeby to całe miejsce funkcjonowało. Ale już dłużej nie będą. Niedługo zrezygnują i powolutku wrócą.

- Cały ten system rozpadnie się bardzo szybko - powiedział Fowler.

- On już nad tym nie panował. Dłużej już nie mógł zatrzymać zegara.

- Jakkolwiek było, stało się - powiedziała pod nosem Sylwia. - Zrobiliśmy swoją robotę. - Lekko uśmiechnęła się. - Bors zrobił swoje, a my swoje. Ale czas był z nami, a przeciw niemu.

- To prawda - zgodził się Tolby. - Zrobiliśmy swoje. I nigdy tego nie będziemy żałować.

Fowler nie mówił nic. Stał z rękami w kieszeniach, milcząco patrząc przez okno. Palcami czegoś dotykał. Trzech ocalałych synaptycznych cewek. Nie naruszonych elementów pamięci z martwego robota, wziętych ukradkiem z rozrzuconych pozostałości po nim.

- Na wszelki wypadek - powiedział do siebie. - Na wszelki wypadek, gdyby czasy się zmieniły.

Przełożył Michał Ronikier

Sonda przyszłości

(*Meddler*)

Weszli do wielkiego pomieszczenia. W drugim końcu technicy pochylali się nad ogromną oświetloną tablicą śledząc skomplikowany układ świateł, który zmieniał się szybko, w niezliczonych kombinacjach. Na długich stołach pracowały maszyny – komputery obsługiwane przez ludzi i przez roboty. Ściany, dosłownie co do centymetra kwadratowego, pokryte były wykresami. Hasten rozglądał się oszołomiony.

Wood roześmiał się.

- Chodź no tutaj, to ci pokażę coś naprawdę ciekawego. Poznajesz to, prawda? - Wskazał pokaźnych rozmiarów maszynę otoczoną przez milczących mężczyzn i kobiety w białych fartuchach.

- Poznają - powiedział wolno Hasten. - To coś w rodzaju naszej sondy, tylko dwadzieścia razy większe. Co sondujecie? I kiedy? - Przejechał palcami po zewnętrznej płycie sondy, a następnie przykucnął zaglądając jej w paszczę. Otwór był zamknięty; sonda pracowała. - Gdybyśmy mieli choć blade pojęcie, że coś takiego istnieje, toby badania historyczne...

- Teraz już macie. - Stojący obok Wood pochylił się. - Posłuchaj, Hasten, jesteś pierwszym człowiekiem spoza Departamentu, który został wpuszczony do tego pomieszczenia. Widziałeś strażników. Nikt nie upoważniony nie ma prawa tutaj wejść; straż ma polecenie zabić każdego, kto by próbował dostać się tu nielegalnie.

- Żeby ukryć coś takiego? Maszynę? Strzelalibyście do...

Stali naprzeciwko siebie, twarz Wooda była surowa.

- Wasza sonda sięga starożytności. Rzym. Grecja. Kurz i stare księgi. - Wood dotknął ogromnej maszyny. - Ta jest inna. Strzeżemy jej z narażeniem własnego życia i życia innych - wiesz dlaczego?

Hasten gapił się na maszynę.

- Ta sonda jest nastawiona nie na starożytność, tylko na przyszłość.

- Wood spojrzał Hastenowi prosto w oczy. - Rozumiesz? Przyszłość.

- Sondujecie przyszłość? Ależ tego nie wolno robić! To jest zabronione przez prawo, wiesz o tym przecież. - Hasten cofnął się. -

Gdyby Rada Naczelna o tym wiedziała, rozwaliliby ten budynek. Zdajesz sobie sprawę, jakie jest zagrożenie. Sam Berkowsky je przedstawił w swojej oryginalnej pracy.

Hasten przechadzał się ze złością.

- Zupełnie nie rozumiem, jak możecie się posługiwać sondą skierowaną w przyszłość. Czerpiąc materiał z przyszłości automatycznie wprowadzacie do teraźniejszości nowe czynniki; przyszłość się zmienia - a tym samym zapoczątkowujecie nie kończące się przesunięcia. Im bardziej się w tę przyszłość zagłębiacie, tym więcej wnosicie nowych elementów. Stwarzacie niestabilne warunki dla przyszłych wieków. Dlatego to prawo zostało ustanowione.

Wood skinął głową.

- Wiem.

- A mimo to w dalszym ciągu tę przyszłość drążycie? - Hasten wskazał na maszynę i na techników. - Na miłość boską, dajcie spokój! Zaprzestańcie tych praktyk, zanim wprowadzicie jakiś groźny czynnik, którego już się nie da usunąć. Dlaczego bez przerwy...

Wood załamał się nagle.

- Wiesz, co ci powiem, Hasten, przestań nas pouczać. Za późno na pouczanie; to się już stało. Ten groźny czynnik został wprowadzony podczas naszych pierwszych eksperymentów. Myśleliśmy, że nad tym wszystkim panujemy... - Spojrzał na Hastena. - I właśnie dlatego cię tu sprowadziliśmy. Siadaj, proszę, i słuchaj.

Siedzieli naprzeciwko siebie i patrzyli sobie w oczy poprzez szerokość biurka. Wood splótł ręce.

- Nie będę owijał w bawełnę. Jesteś uważany za eksperta, największego eksperta w sprawach badań historycznych. Wiesz o działaniu Sondy Czasowej więcej niż ktokolwiek z żyjących; dlatego pokazaliśmy ci naszą pracę, naszą nielegalną pracę.

- A już wpadliście w tarapaty?

- I to jeszcze jakie. Każda próba ingerowania w przyszłość tylko te kłopoty pogłębia. Jeżeli szybko czegoś nie zrobimy, zapiszemy się w historii jako jedna z najbardziej zbrodniczych organizacji na świecie.

- Zacznij od samego początku - poprosił Hasten.

- Projekt został zatwierdzony przez Radę Nauk Politycznych; chcieli

poznać skutki niektórych swoich decyzji. Początkowo sprzeciwiliśmy się powołując się na Berkowsky'ego, ale sama idea działa jak narkotyk. Ugięliśmy się i sonda została zbudowana - oczywiście potajemnie. Pierwszej próby dokonaliśmy jakiś rok temu. Żeby się zabezpieczyć przed czynnikiem Berkowsky'ego, spróbowaliśmy pewnego wybiegu - otóż nic nie wzięliśmy z przyszłości. Ta sonda jest tak zbudowana, że nic nie zabiera, żadnego przedmiotu - po prostu fotografuje z dużej wysokości. Do nas przychodzi film. My go powiększamy i staramy się odtworzyć warunki w formie trójwymiarowego obrazu.

Początkowo wyniki były bardzo dobre. Ustały wojny, miasta zaczęły się rozwijać, wyglądały coraz lepiej. Powiększenia scen ulicznych pokazują ludzi zadowolonych, przynajmniej pozornie. No, może poruszali się trochę wolniej.

Wobec tego wyskoczyliśmy o pięćdziesiąt lat naprzód. Jeszcze lepiej: miasta jakby się zmniejszyły. Ludzie nie byli tak uzależnieni od maszyn. Więcej trawy, parków. Ogólne warunki te same - pokój, szczęście, sporo wolnego czasu. Bez zbędnej nerwowości, pośpiechu.

Dalej więc sondowaliśmy przyszłość. Oczywiście stosując metodę oglądu nie wprost nie mogliśmy być niczego na sto procent pewni, ale wszystko wyglądało bardzo dobrze. Przekazaliśmy nasze informacje Radzie, która planowała dalej. I wtedy to się stało.

- Ale co dokładnie? - Hasten nachylił się, zaintrygowany.

- Postanowiliśmy jeszcze raz zapuścić się w okres, który już wcześniej fotografowaliśmy - jakieś sto lat w przód. Wysłaliśmy sondę, która wróciła z pełną taśmą. Po wywołaniu zaczęliśmy ją oglądać. - Wood przerwał.

- No i?

- I to już nie było to samo. Było to coś zupełnie innego. Wszystko się zmieniło. Wojna - wszędzie wojna i zniszczenie. - Wood wzdygnął się. - Ogarnęło nas przerażenie; ponownie wysłaliśmy sondę, żeby się upewnić.

- No i co tym razem?

Wood zacisnął pięści. - Znowu zmiana, i to na gorsze! - Ruiny, ogromne ruiny. I grzebiący w nich ludzie. Wszędzie zniszczenie i śmierć. Pogorzelisko. Koniec wojny, ostatnia faza.

- Rozumiem - powiedział Hasten kiwając głową.

- Ale to jeszcze nie jest najgorsze! Przekazaliśmy tę wiadomość Radzie. Zaprzestała wszelkiej działalności i odbyła dwutygodniową konferencję; w jej wyniku cofnęła wszelkie zarządzenia i odwołała plany oparte na naszych raportach. Upłynął miesiąc, zanim znowu się z nami skontaktowali. Członkowie Rady zażądali, żebyśmy raz jeszcze zapuścili sondę w ten sam okres. Odmówiliśmy, ale oni nalegali. Nic gorszego już być nie może - argumentowali.

No więc znów wystaliśmy sondę i znów obejrzelismy film. Możesz mi wierzyć, Hasten, są rzeczy gorsze niż wojna. Nie uwierzyłbyś w to, co widzieliśmy. Całkowity brak życia ludzkiego; ani jednej ludzkiej istoty.

- Wszystko zniszczone?

- Nie. Żadnego zniszczenia, miasta wielkie i okazałe, drogi, budynki, jeziora, pola. Ale nigdzie nie ma ludzkiego życia; miasta puste, funkcjonują mechanicznie - maszyny, przewody nietknięte. Tyle że bez ludzi.

- Ale co się stało?

- Zaczęliśmy badać przyszłość skokami, po pięćdziesiąt lat. I nic. W każdym przedziale czasu to samo. Miasta, drogi, budynki, owszem, ale żadnego życia. Ludzie wymarli. Zaraza, promieniowanie czy co? - nie mamy pojęcia. Ale coś musiało zabić tych ludzi. Tylko skąd się to coś wzięło? Nie wiemy. Początkowo tego nie było. W każdym razie nasze pierwsze sondy nic nie ujawniły.

To my jesteśmy odpowiedzialni za ten czynnik śmierci. Myśmy go sprowadzili naszym ingerowaniem w przyszłość. Nie było go, kiedy zaczynaliśmy; to nasza wina, Hasten. - Wood patrzył na niego z twarzą podobną do białej maski. - To myśmy ten element wprowadzili i teraz musimy dojść, co to jest, żeby go zlikwidować.

- Jak zamierzacie to zrobić?

- Zbudowaliśmy wehikuł czasu, zdolny przenieść w przyszłość jednego obserwatora. Wyślemy człowieka, żeby zbadał sprawę. Fotografie to mało; musimy wiedzieć więcej! Kiedy się to pojawiło? W jaki sposób? Jakie były pierwsze objawy? Co to w ogóle jest? A jak już będziemy wiedzieli, to może zdołamy ten czynnik wyeliminować, wytropić go i usunąć. Ktoś musi się udać w przyszłość i ustalić, o co chodzi. To jedyna metoda.

Wood wstał i Hasten też się podniósł.

- Tym kimś jesteś ty - powiedział Wood. - Jako osoba najbardziej kompetentna. Wehikuł czasu stoi na zewnątrz, na placu, starannie strzeżony. - Wood dał sygnał. Do biurka podeszło dwóch żołnierzy.

- Sir?

- Pójdziecie z nami - polecił. - My idziemy na plac, a wy pilnujcie, żeby nikt za nami nie poszedł. - I zwrócił się do Hastena. - Gotów?

Hasten zawahał się.

- Zaczekaj chwilę. Muszę się zapoznać z waszą pracą. Zobaczyć, co zostało zrobione. Zbadać sam pojazd. Ja nie mogę...

Dwaj żołnierze zbliżyli się do nich, wymownie patrząc na Wooda. Wood położył Hastenowi rękę na ramieniu.

- Przykro mi - powiedział - ale nie mamy ani chwili do stracenia; chodź, idziemy.

Dokoła niego kłębiła się ciemność, to napływając ku niemu, to się cofając. Siedział na stołku przed klawiaturą i ocierał pot z czoła. Był w drodze - na dobre czy na złe. Wood wyłożył mu pokrótce zasady działania pojazdu. Instruktaż trwał dosłownie parę chwil, a potem ustawiono mu stery i metalowe drzwi się za nim zatrzasnęły.

Hasten rozejrzał się dokoła. W kuli było zimno; powietrze rzadkie i chłodne. Czas jakiś obserwował ruchy zegarów, ale zimno zaczęło mu się dawać we znaki. Poszedł do szafki ze sprzętem. Kurtka, cieplejsza kurtka i broń laserowa. Wziął ją do ręki i przyglądał jej się przez chwilę. I narzędzia. Wszelkiego rodzaju narzędzia i sprzęt. Odkładał właśnie broń, kiedy głucho dudnienie pod jego stopami nagle ustało. Przez jedną straszliwą sekundę Hasten jakby unosił się, dryfując bez celu, po czym to wrażenie ustąpiło.

Przez okno zajrzało słońce kładąc się jasną plamą na podłodze. Zgasił światło i podszedł do okna. Wood nastawił stery na sto lat naprzód. Hasten przemógł się i wyjrzał.

Łąka, kwiaty i trawa, jak okiem sięgnąć. Błękitne niebo i żeglujące po nim obłoki. W dali, w cieniu drzewa, stadko pasących się zwierząt. Hasten podszedł do drzwi, otworzył je, wysiadł. Uderzyło go ciepło słoneczne i od razu poczuł się lepiej. Teraz zobaczył, że te zwierzęta to krowy. Przez dłuższy czas stał w drzwiach trzymając się pod boki. Czy ta zaraza miała charakter bakteryjny? I czy przenosiła się przez

powietrze? O ile to w ogóle była zaraza. Sięgnął ręką i namacał hełm ochronny. Lepiej się z nim nie rozstawać.

Wrócił po broń, a następnie sprawdził zamek, żeby się upewnić, że w czasie jego nieobecności drzwi pojazdu będą dobrze zamknięte. I dopiero wtedy wyszedł na łąkę starannie zamknąwszy za sobą drzwi, rozejrzał się dokoła i ruszył szybko w stronę długiego pasma wzgórz odległego o jakieś pół mili. Idąc sprawdził kompas elektroniczny na przegubie dłoni, który zaprowadziłby go z powrotem do pojazdu czasu, gdyby sam nie mógł trafić.

Podszedł do stadka krów, które podniosły się i oddaliły, ale Hasten dostrzegł w nich coś, co go przejęło chłodem: miały małe i pomarszczone wymiona. Nie były to więc krowy domowe.

Na szczycie wzgórza przystanął i podniósł do oczu lornetkę. Aż po horyzont ciągnęły się pola, całe mile suchych, zielonych, niczym nie urozmaiconych pól, niby fale oceanu. I nic więcej? Obrócił się ogarniając wzrokiem widnokrąg.

Nagle zastygł i nastawił lornetkę. Hen, daleko w lewo, ledwie dostrzegalne, wznosiły się strzeliste wieże miasta. Hasten opuścił lornetkę i dźwignął swoje ciężkie buciory, a następnie zaczął wielkimi krokami schodzić z drugiej strony wzgórza; miał przed sobą daleką drogę.

Uszedł nie więcej niż pół mili, kiedy zobaczył motyle. Zerwały się nagle na kilka kroków przed nim, tańcząc i trzepocząc w słońcu skrzydłami. Zatrzymał się, żeby odpocząć i przyrzeć się motylom. Były różnokolorowe - czerwono-niebieskie, nakrapiane żółto i zielono. Największe motyle, jakie w życiu widział. Może uciekły z jakiegoś zoo i rozmnożyły się na wolności po zniknięciu człowieka? Motyle wznosiły się coraz wyżej i wyżej. Nie zwracając na niego najmniejszej uwagi poszybowały ku odległym wieżom miasta; jeszcze chwila i znikły mu z oczu.

Hasten znów ruszył przed siebie. Trudno było sobie wyobrazić śmierć człowieka w takich okolicznościach - z motylami i trawą, i krowami w cieniu. Jakież to spokojny i rozkoszny świat - bez rasy ludzkiej!

Nagle spośród trawy poderwał się z trzepotem ostatni motyl

trafiając go niemal w twarz. Hasten odruchowo machnął ręką, żeby go przegonić. Motyl zderzył się z jego dłonią. Hasten zaczął się śmiać...

Zrobiło mu się słabo z bólu; padł na kolana jęcząc i wymiotując. A potem runął, zgięty w kabłąk, ryjąc twarzą w ziemi. Rwała go cała ręka, dosłownie zwijał się z bólu; czując zawrót głowy, zamknął oczy.

Kiedy w końcu przewrócił się na plecy, motyla już nie było; nie czekał.

Przez jakiś czas Hasten leżał w trawie, następnie usiadł powoli i wreszcie z trudem dźwignął się na nogi. Zdjął koszulę i obejrzał nadgarstek i dłoń. Była czarna, twarda i już zaczynała puchnąć. Popatrzył na rękę, a potem na odległe miasto. To tam pofrunęły motyle...

Wrócił do pojazdu.

Dotarł do kuli zaraz potem, jak słońce zaczęło zapadać w wieczorną ciemność. Drzwi rozsunęły się za jego dotknięciem i Hasten wszedł do środka. Posmarował dłoń i ramię maścią z podręcznej apteczki, po czym usiadł na stołku w głębokiej zadumie spoglądając na swoją rękę. Małe ukłucie, w gruncie rzeczy przypadkowe. Motyl nawet go nie zauważył. A jeżeli cała chmara...

Począł, aż słońce zaszło całkowicie i na zewnątrz zrobiło się zupełnie ciemno. W nocy wszystkie pszczoły i motyle znikają, a przynajmniej te, które znał. Będzie musiał zaryzykować. W ramieniu dalej czuł tępy ból i nieustanne pulsowanie. Maść nie pomogła; mąciło mu się w głowie, a w ustach czuł gorączkę.

Zanim wysiadł, otworzył szafkę i wszystko z niej wyjął. Sprawdził pistolet laserowy, ale go odłożył. Po chwili znalazł to, czego szukał. Palnik acetylenowy i latarkę. Pozostałe rzeczy schował z powrotem i wstał. Teraz był gotów - jeśli to można tak nazwać. W każdym razie gotów, na ile to było możliwe.

Wszedł w mrok świecąc sobie latarką. Szedł szybko. Noc była ciemna i samotna; nad sobą widział zaledwie kilka gwiazd, a promień jego latarki był jedynym światłem pochodzącym od człowieka. Wdrapał się na wzgórze i zszedł z drugiej strony. W dali majaczył lasek, a potem już tylko gładka równina, wśród której z pomocą latarki odnajdywał właściwy kierunek.

Do miasta dotarł bardzo zmęczony. Miał za sobą kawał drogi i był zdyszany. Przed nim ogromne widmowe sylwetki wznosiły się w niebo i ginęły w ciemności. Miasto nie było duże, ale dziwne w formie – bardziej pionowe i strzeliste, niż Hasten przywykł widywać.

Wszedł przez bramę. Między płytami chodnika rosta trawa. Zatrzymał się patrząc pod nogi. Wszędzie trawa i chwasty, a na rogach ulic, koło budynków, kości, małe kupki kości i kurz. Ruszył przed siebie świecąc po ścianach wysmukłych budynków. Jego kroki odbijały się głuchym echem. I nigdzie żadnego światła, poza jego latarką.

Domów było coraz mniej i wkrótce Hasten znalazł się na rozległym placu, porośniętym krzewami i pnączami. W drugim jego końcu wznosił się budynek okazalszy od innych. Hasten ruszył w jego stronę przez pusty, bezludny plac świecąc latarką na boki. Po zapadniętym stopniu wszedł na wyasfaltowany rynek i stanął jak wryty. Na prawo wznosił się następny budynek i ten przyciągnął jego uwagę. Serce waliło mu jak młotem. Nad wejściem latarka Hastena wydobyła z mroku wyrzeźbione wpisane w łuk słowo:

BIBLIOTHECA

O to mu właśnie chodziło, o bibliotekę. Wszedł po stopniach kierując się do ciemnego wejścia po uginających się pod nim deskach. W pewnym momencie zatrzymał się przed ciężkimi drewnianymi drzwiami o metalowych uchwytach. Kiedy ujął te uchwyty, drzwi zwały się w jego stronę i zjeżdżając po stopniach runęły w ciemność. Buchnął duszący odór zgnilizny i kurzu.

Hasten wszedł do środka. Kiedy przemierzał milczące korytarze, pajęczyny czepiały się jego hełmu. Zajrzał do pierwszego lepszego pomieszczenia. Tu znów kurz i szare szczątki kości. A wzdłuż ścian niskie stoły i półki. Podszedł do półek i wziął kilka książek. Rozpadły mu się w rękach obsypując go deszczem płatków zbutwiałego papieru i nici. Czyżby rzeczywiście od jego czasu minął tylko wiek?

Hasten usiadł przy stole i otworzył jedną z książek w lepszym stanie. Słowa nie należały do żadnego ze znanych mu języków; był to

jakiś język romański, na ile mógł to ocenić, sztuczny. Przewracał kartkę za kartką. W końcu wybrał na chybił trafił stertę książek i ruszył do drzwi. Nagle serce skoczyło mu do gardła. Kiedy podchodził do ściany, trzęsły mu się ręce: gazety.

Brał ostrożnie pod światło kruche, szeleszczące kartki. Oczywiście język ten sam. Czarną tłustą czcionką wydrukowane nagłówki. Udało mu się zwinąć kilka gazet, które dołączył do wybranych książek. Po czym wrócił tą samą drogą, którą przyszedł.

Kiedy znalazł się na stopniach, uderzyło go chłodne, świeże powietrze, które zakręciło mu w nosie. Rozejrzał się po mglistych zarysach otaczających plac budynków, a następnie ruszył przed siebie ostrożnie wyszukując drogę. Dotarł do bram miasta i w chwilę później był już na zewnątrz znów na tej samej płaskiej równinie i w drodze powrotnej do pojazdu.

Wlókł się bez końca ze zwieszoną głową. Wreszcie, zmordowany, na chwiejnych nogach, przystanął, z trudem łapiąc oddech. Położył na ziemi swój ładunek i rozejrzał się dokoła. Daleko, na horyzoncie, pojawiła się długa, szara smuga. Świt. Wstawało słońce.

Owiał go zimny wiatr. W szarym świetle poranka drzewa i wzgórza rysowały się twardą, zdecydowaną kreską. Hasten spojrzał w stronę miasta. Posępne, smukłe, sterczały w górę kolumny opuszczonych budynków. Przez chwilę patrzył zafascynowany, jak kładą się na nich pierwsze kolory dnia. A potem kolor zbladł i między nim a miastem zawisła ruchoma mgła. Nagle Hasten porwał z ziemi swój bagaż i zdjęty strachem szybko ruszył przed siebie.

Z miasta strzelił w niebo i zawisł w górze czarny punkt.

Po jakimś czasie, dość długim, Hasten spojrzał w tamtą stronę. Plama tkwiła tam nadal, tyle że się powiększyła. I nie była już czarna; w jasnym świetle dnia mieniła się wszystkimi kolorami tęczy.

Hasten przyśpieszył. Zszedł zboczem jednego wzgórza i wspiął się na następne. Na chwilę przystanął, żeby włączyć kompas elektroniczny. Tykał głośno – a więc kula była niedaleko. Hasten pomachał ręką i tykanie zaczęło się to wznosić, to opadać. W prawo. Wycierając spocone ręce szedł dalej.

W kilka minut później spojrzał ze szczytu wzgórza; lśniąca metalowa

kula spoczywała spokojnie na trawie ociekając chłodną nocną rosą. Wehikuł czasu; ślizgając się Hasten puścił się ku niemu biegiem.

Przyciskał właśnie ramieniem włącznik drzwi, kiedy na szczycie wzgórza pojawiła się pierwsza chmura motyli i zaczęła cicho sunąć w jego stronę.

Hasten zatrzasnął drzwi, zwałił swój ciężar i zaczął gimnastykować zdrętwiałe ramiona. W ręce czuł piekący ból. Ale nie było na to czasu – wyjrzał przez okno. Motyle roily się teraz wokół kuli tańcząc, śmigając i połyskując kolorowo. Powoli zaczęły siadać na metalowym kadłubie, nawet na oknie. Nagle widok przesłoniły mu połyskliwe miękkie ciała, trzepoczące milionem skrzydeł. Hasten nasłuchiwał. Słyszał je – stłumione echa dochodzące ze wszystkich stron. Wewnątrz kuli zapanowały ciemności, motyle bowiem całkowicie przesłoniły okno. Hasten zapalił światło.

Czas mijał. Nie wiedząc, co robić, zaczął przeglądać gazety. Wracać? Posuwać się do przodu? Może skoczyć o jakieś pięćdziesiąt lat? Motyle były niebezpieczne, ale przecież to nie o to chodziło, nie to był ten czynnik śmierci, którego poszukiwał. Spojrzał na swoją rękę. Skóra była czarna i napięta, a obszar martwicy wyraźnie się powiększał. Odczuł lekki niepokój; robiło się coraz gorzej, nie coraz lepiej.

Dochodzący zewsząd odgłos skrobania zaczął mu działać na nerwy. Hasten odłożył książki i zaczął się przechadzać tam i z powrotem. Jak mogły insekty, nawet tak duże jak te, zniszczyć rodzaj ludzki? Przecież ludzie daliby sobie z nimi radę. Są w końcu proszki, trucizny, aerozole.

Małeńki odłamek metalu – dosłownie drobinka – spadł Hastenowi na rękaw. Strzepnął go. I następna drobinka, a potem małe kawałki metalu. Hasten podskoczył, zadzierając głowę do góry.

Nad nim tworzyło się koło; na prawo od niego drugie i trzecie. Wszędzie, w suficie i ścianach kuli, powstawały koliste otwory, pobiegł do klawiatury i przycisnął przełącznik bezpieczeństwa. Deska ożyła. Następnie zajął się tablicą rozdzielczą, pracując gorączkowo, pośpiesznie. Odłamki metalu spadały już teraz deszczem na podłogę. Czuć je było wyraźnie środkiem żrącym. Kwas? W każdym razie jakiś produkt naturalnego wydzielania. Duży kawałek metalu wylądował na podłodze. Hasten się obrócił.

Do kuli wdarły się motyle - trzepocząc się i tańcząc zaczęły go otaczać. Kawałek metalu, który spadł na podłogę, był równiutko wyciętym kółkiem. Ale Hasten nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Złapał palnik acetylenowy i zapalił. Płomień strzelił z sykiem. Kiedy motyle się zbliżyły, Hasten nacisnął spust i splunął ogniem. Powietrze ożyło płonącymi szczątkami, które obsypały go deszczem; kulę wypełnił intensywny odór.

Hasten zamknął ostatnie wyłączniki. Światelka sygnalizatora zamigotały, podłoga pod jego stopami zadrżała. Pchnął główną dźwignię. Napierały wciąż nowe motyle, wpadając na siebie i walcząc o dostęp do kuli. Na podłogę spadło kolejne kółko metalu, wpuszczając do środka dalsze chmary owadów. Hasten, skulony, miotając ogniem próbował się cofać. Motyle napływały w coraz większych ilościach.

Nagle zaległa cisza, tak nieoczekiwana, że Hasten zamrugnął. Nieustanne, natarczywe skrobanie ustało. Był sam, jeśli nie liczyć chmury popiołu i śmieci wypełniających wnętrze kuli. Usiadł dygocząc na całym ciele. Bezpieczny już, wracał do swojego własnego czasu i nie ulegało wątpliwości, że znalazł przyczynę zagłady, której poszukiwał. Była tu, w kupce popiołów na podłodze, w metalowych kółkach zgrabnie wyciętych w karoserii pojazdu. Żrąca wydzielina? Uśmiechnął się ponuro.

Ostatni widok tych motyli, pęczniejącego obłoku, powiedział mu wszystko, co chciał wiedzieć. Pierwsze motyle, które przedostały się do pojazdu, były wyposażone w narzędzia, maleńkie ostre narzędzia. Same sobie powycinały i wywierciły otwory - przyfrunęły z własnym sprzętem.

Hasten usiadł czekając, aż pojazd skończy swoją podróż.

Strażnicy podbiegli, by mu pomóc wysiąść. Wygramolił się z trudem, wsparty na ich ramionach.

- Dzięki - mruknął.

Pośpieszył do niego Wood.

- No jak, Hasten, wszystko w porządku?

Hasten skinął głową.

- Tak. Z wyjątkiem mojej ręki.

- Chodź, wejdźmy do środka. - Weszli do wielkiego pomieszczenia. -

Siadaj. – Wood niecierpliwie machnął ręką i żołnierz przyniósł krzesło. –
Podaj gorącą kawę.

Przyniesiono kawę i Hasten sączył ją powoli. Wreszcie odsunął
filizankę i opadł na oparcie.

– Możesz nam teraz powiedzieć? – spytał Wood.

– Mogę.

– To proszę. – Wood usiadł naprzeciwko niego. Rozległ się szum
magnetofonu, a w miarę jak Hasten mówił, kamera brała jego twarz. –
No, śmiało, co tam znalazłeś?

Kiedy skończył, zaległa cisza. Nikt ze straży ani z techników się nie
odezwał. Wood wstał dygocąc na całym ciele.

– Boże, czyli że załatwiły ich jakieś żywe organizmy
o właściwościach trujących. Podejrzywałem coś takiego. Ale motyle?
I to obdarzone inteligencją. Planujące swoje ataki. Prawdopodobnie
bardzo gwałtownie się rozmnażały i błyskawicznie przystosowywały.

– Może książki i gazety coś wyjaśnią.

– Ale skąd one się wzięły? Czyżby to była mutacja którejś
z istniejących form? A może to przybysze z innej planety? Albo efekt
podróży kosmicznych. Musimy to jakoś wyjaśnić.

– One atakowały tylko ludzi – powiedział Hasten. Krowy zostawiały
w spokoju. Tylko ludzkie istoty.

– Może zdołamy je jakoś unieszkodliwić. – Wood włączył wideofon. –
Zwołamy nadzwyczajną sesję Rady. Przekażemy im twoją relację
i uwagi. Wdrożymy specjalny program, utworzymy ośrodki na całej
planecie. Teraz, kiedy już wiemy, co to jest, mamy szansę powodzenia.
Dzięki tobie, Hasten, może nam się uda je w porę powstrzymać!

Pojawił się dyżurny operator i Wood dał mu numer Rady. Hasten
patrzył tępo. Wreszcie podniósł się i zaczął spacerować po pokoju.
Ramię pulsowało mu niemiłosiernie. Wreszcie wyszedł na zewnątrz.
Kilku żołnierzy z zaciekawieniem oglądało pojazd. Hasten obserwował
ich z całkowitą obojętnością, a w głowie miał pustkę.

– Co to jest? – spytał jeden z nich.

– To? – Hasten oprzytomniał, wolno podchodząc do żołnierza. – To
wehikuł czasu.

– Nie, mnie chodzi o to. – Żołnierz wskazał coś palcem. – Tego nie
było, kiedy pojazd startował.

Hastenowi zamarło serce. Zbliżył się wytrzeszczając oczy. Początkowo nie widział nic na metalowej powłoce, poza śladami korozji. Ale po chwili przejął go zimny dreszcz.

Na kadłubie pojazdu siedziało coś małego, brunatnego i kosmatego. Dotknął tego ręką. Pochewka, sztywna, mała brunatna pochewka. Sucha – sucha i pusta. Nic w niej nie było i jeden koniec miała otwarty. Podniósł wzrok. Całą kulę pokrywały małe brunatne pochewki – niektóre jeszcze pełne, ale większość już pusta.

Kokony.

Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz

Gra nielosowa

(A Game of Unchance)

Tocząc pięćdziesięciogalonową beczkę z wodą z kanału na swą plantację ziemniaków, Bob Turk usłyszał nagle ryk silników; spojrzął w kierunku zamglonego jak zwykle wczesnym popołudniem marsjańskiego nieba i dostrzegł wielki, błękitny statek międzyplanetarny.

W przyptywie radosnego podniecenia pozdrowił go machnięciem ręki. A potem przeczytał słowa namalowane na burcie statku i jego radość zmąciła troska. Ponieważ ten owalny kadłub, obniżający się teraz, by wylądować na rufie, był statkiem - lunaparkiem, przybywającym w ten rejon czwartej planety w celach zarobkowych.

Napis na burcie głosił:

PRZEDSIĘBIORSTWO ROZRYWKOWE „SPADAJĄCA GWIAZDA”

PRZEDSTAWIA

FENOMENY NATURY, MAGICZNE SZTUKI,

PRZERAŻAJĄCE AKROBACJE ORAZ KOBIETY!

Ostatni wyraz namalowany był większymi literami.

- Chyba powinienem poinformować o tym Radę Osady - pomyślał Turk. Zostawił beczkę z wodą i pobiegł truchtem w kierunku centrum handlowego, dysząc ciężko, gdyż jego płuca z wysiłkiem wchłaniały rozrzedzone powietrze tego nienaturalnego, skolonizowanego świata. Kiedy lunapark zawitał ostatnio w te strony, mieszkańcy zostali obrabowani z przeważającej części swych zbiorów - które obsługa kramów przyjęła jako zapłatę w naturze - i na pociechę pozostał im zaledwie stos bezużytecznych gipsowych figurek. To nie mogło się powtórzyć. A jednak...

Czuł w sobie silną pokusę, potrzebę rozerwania się. Wszyscy odczuwali to samo; wszyscy mieszkańcy osady tęsknili za niezwykłością. A właściciele lunaparku oczywiście o tym wiedzieli i na tym właśnie żerowali. - Gdyby udało nam się zachować zdrowy rozsądek - myślał Turk. - Zapłacić w naturze nadwyżkami żywności

i włókna do produkcji tkanin, a nie tym, czego potrzebujemy... nie zachowywać się jak gromada dzieci. Ale życie w skolonizowanym świecie było monotonne. Wożenie wody, zwalczanie robactwa, naprawa płotów, nieustanne majstrowanie przy maszynach rolniczych, czyli półsamoczynnych robotach, które zapewniały im byt... to im nie wystarczało; nie było w tym... kultury. Ani niezwykłości.

- Hej! - zawołał Turk, gdy dobiegł do działki Vince'a Guesta. Jej właściciel siedział okrakiem na swym jednocylindrowym pługu z kluczem francuskim w ręku. - Słyszałeś ten hałas? Mamy gości! Znowu przyjechało wesole miasteczko, takie jak w zeszłym roku pamiętasz?

- Pamiętam - mruknął Vince, nie podnosząc wzroku. - Zabrali mi cały zbiór dyń. Niech diabli wezmą wszystkie objazdowe wesole miasteczka. - Jego twarz przybrała posępny wyraz.

- To jakaś inna trupa - wyjaśnił Turk, zatrzymując się. - Nigdy dotąd ich nie widziałem; mają błękitny statek i wygląda na to, że wszędzie już byli. Wiesz, co mamy zamiar zrobić? Pamiętasz nasz plan?

- Wielki mi plan - powiedział Vince, przykręcając szczęki klucza francuskiego.

- Talent to talent - z zapałem gadał Turk, starając się przekonać nie tylko Vince'a, ale i siebie samego, stłumić dręczący go niepokój. - Zgadzam się, że Fred jest przygłupem, ale jego talent jest prawdziwy - sprawdziliśmy go milion razy i sam nie mogę zrozumieć, dlaczego nie wykorzystaliśmy go przeciwko tym właścicielom lunaparku, którzy byli tu w zeszłym roku. Ale teraz jesteśmy zorganizowani. Przygotowani.

- Wiesz, co robi ten głupi dzieciak? - spytał Vince, podnosząc głowę. - Przyłączy się do tej trupy; wyjedzie z nimi i będzie wykorzystywał swój talent dla ich korzyści. Nie możemy mu zaufać.

- Ja mu ufam - oznajmił Turk i pospieszył w kierunku zakurzonych, wyszczerbionych, szarych budynków osady. Widział już krzątającego się w swym sklepie przewodniczącego Rady, Hoaglanda Rae; Hoagland zajmował się wynajmem używanego sprzętu i wszyscy mieszkańcy osady byli od niego zależni. Bez wymyślnych urządzeń Hoaglanda ani jedna owca nie byłaby ostrzyżona, ani jedno jagnię nie miałoby obciętego ogona. Nic więc dziwnego, że właśnie on stał się ich politycznym i ekonomicznym przywódcą.

Hoagland wyszedł ze sklepu na utwardzony piasek, osłonił oczy dłonią, przetarł mokre czoło złożoną chusteczką do nosa i przywitał się z Bobem Turkiem.

- Tym razem inna trupa? - spytał cicho.

- Zgadza się - odparł Turk, czując przyspieszone bicie serca. - I możemy ich załatwić. Hoag! Jeśli dobrze to rozegramy, to znaczy jeśli Fred...

- Będą podejrzliwi - powiedział z namysłem Hoag. - Inne osady z pewnością używały swoich Psi, żeby ich ograć. Może mają jednego z tych - jak oni się nazywają - tych antyparapsychologów. Fred należy do grupy p-k, więc jeśli mają jakiegoś anty p-k... - Z rezygnacją machnął ręką.

- Pójdę i powiem rodzicom Freda, żeby odebrali go ze szkoły - oznajmił Turk, walcząc z zadyszką. - To naturalne, że zaraz zbiegną się dzieci; zamknijmy szkoły na dzisiejsze popołudnie, żeby Fred zgubił się w tłoku, wiesz, o co mi chodzi? On nie wygląda dziwnie, przynajmniej dla mnie. - Zachichotał ze sztucznym ożywieniem.

- To prawda - z godnością przyznał Hoagland. - Chłopak Costnerów wydaje się zupełnie normalny. No dobrze, spróbujemy; zostało to zresztą przegłosowane, więc nie mamy wyboru. Idź i uderz w dzwon wzywający do gromadzenia nadwyżek, żeby ci chłopcy z lunaparku zobaczyli, że mamy do zaoferowania dobre produkty. - Chcę, żeby zgromadzono tu na stosach wszystkie jabłka, orzechy włoskie, głowy kapusty i dynie. - Pokazał palcem wybrane przez siebie miejsce. - I chcę mieć w ręku najdalej za godzinę dokładny spis, z trzema kopiami. - Hoagland wyciągnął cygaro i przytknął do niego zapalniczkę. - No, bierz się do roboty.

Bob Turk wziął się do roboty.

Idąc z synem przez południowe pastwisko, wśród stada owiec z czarnymi pyskami, przeżuwających twardą, suchą trawę, Tony Costner spytał: - Czy myślisz, że dasz sobie radę, Fred? Jeśli nie, powiedz mi. Nie musisz tego robić.

Fred Costner, wyteżając wzrok, dostrzegał już mgliste zarysy wesołego miasteczka, wznoszonego przed uniesionym dziobem statku

międzyplanetarnego. Kramy, migoczące wielkie transparenty i tańczące na wietrze metalowe serpentyny... słyszał też dźwięki muzyki z taśm, a może prawdziwych organów parowych?

- Jasne - mruknął. - Poradzę sobie z nimi. Ćwiczyłem codziennie, odkąd pan Rae mi o tym powiedział. - Chcąc tego dowieść, poderwał w górę wysiłkiem woli leżący przed nimi głaz; kamień zatoczył w powietrzu łuk i pomknął z wielką szybkością w ich stronę, a potem nagle opadł z powrotem na brunatną, wyschniętą trawę. Owce zaczęły mu się tępo przyglądać, a Fred wybuchnął śmiechem.

Wśród ustawionych budek zgromadził się już spory tłum mieszkańców osady, wśród których było też trochę dzieci; Fred zerknął na obłożone stoisko z watą cukrową, poczuł zapach prażonej kukurydzy i dostrzegł z zachwytem duży pęk wypełnionych helem balonów, z którymi spacerował pomalowany na jaskrawe kolory karzeł w kostiumie włóczędzy.

- Posłuchaj, Fred - powiedział spokojnie jego ojciec. - Musisz znaleźć taką grę, w której stawką są naprawdę cenne nagrody.

- Wiem o tym - odparł i zaczął przyglądać się kramom. - Nie potrzeba nam lalek w hawajskich spódniczkach - powiedział sam do siebie. - Ani bombonierek z cukierkami ze słonej wody.

Gdzieś na terenie lunaparku można było zdobyć naprawdę cenny łup. Może w straganie, w którym trzeba było trafić w zawieszony na tablicy banknoty, może przy magicznym kole, może przy stole do gry w bingo; tak czy owak zdobycz leżała w zasięgu ręki. Podświadomie wyczuwał jej obecność, czuł jej zapach. I przyspieszył kroku.

- Hmm... może zostawię cię samego, Freddy - odezwał się jego ojciec słabym, zduszonym głosem. Tony dostrzegł jedną z estrad, na których występowały młode kobiety, i ruszył w jej kierunku, nie mogąc oderwać oczu od tego widowiska. Jedna z dziewczyn była już - ale w tym momencie Fred Costner odwrócił się, słysząc warkot ciężarówki i zaraz zapomniał o rozebranej dziewczynie z okazałym biustem stojącej na podwyższeniu. Ciężarówka wiozła wyhodowane w osadzie warzywa i owoce, które miały być wymienione na bilety lunaparku.

Chłopiec podszedł do ciężarówki, zastanawiając się, ile produktów postanowił tym razem wyasygnować Hoagland Rae po okropnej klęsce, jaką ponieśli poprzednio. Wydawało się, że jest ich sporo i Fred poczuł

się dumny; najwyraźniej mieszkańcy osady mieli pełne zaufanie do jego zdolności.

I nagle poczuł charakterystyczny zapach Psi.

Emanował on ze straganu znajdującego się na prawo od niego, więc od razu ruszył w tamtą stronę. Temu właśnie straganowi postanowili właściciele lunaparku zapewnić ochronę – tej jednej grze, w której nie mogli sobie pozwolić na przegraną. Przekonał się, że w tym właśnie stoisku jeden z fenomenów natury służył za cel: był to bezgłowiec, pierwszy jakiego Fred w życiu widział, toteż zatrzymał się, sparaliżowany z wrażenia.

Bezgłowiec w ogóle nie miał głowy i wszystkie jego organa czuciowe – oczy, nos i uszy – przeniosły się jeszcze przed jego urodzeniem w inne regiony ciała. Na przykład otwarte usta znajdowały się w centralnym punkcie klatki piersiowej, z każdego ramienia błyszczało jedno oko; bezgłowiec był zdeformowany, ale nie upośledzony i Fred spojrzał na niego z szacunkiem. Bezgłowiec widział, czuł zapachy i słyszał równie dobrze jak każdy. Ale na czym polegała jego rola w tej grze?

Bezgłowiec siedział w koszu, zawieszonym nad stojącą w głębi straganu wanną pełną wody. Za jego plecami Fred Costner dostrzegł cel, a potem zauważył znajdujący się w zasięgu jego ręki stos piłek baseballowych i zrozumiał, na czym polega gra. Kiedy trafiło się w cel, bezgłowiec wpadał do wanny z wodą. I właśnie po to, by temu zapobiec, właściciele lunaparku postanowili posłużyć się siłami swego Psi; jego zapach był teraz wprost przytłaczający. Nie potrafił jednak powiedzieć, kto wydawał ten zapach: bezgłowiec, kobieta obsługująca stragan, czy jakaś niewidoczna dotychczas osoba trzecia.

Obsługująca stragan szczupła młoda dziewczyna w spodniach, swetrze i tenisówkach wyciągnęła jedną z piłek w kierunku Freda.

- Czy jesteś gotowy do gry, kapitanie? – spytała, uśmiechając się do niego drwiąco, jakby wydawało jej się zupełnie niemożliwe, że może zagrać i wygrać.

- Zastanawiam się – powiedział Fred. Przyglądał się uważnie nagrodom.

Bezgłowiec zachichotał ustami znajdującymi się w centralnym

punkcie klatki piersiowej. – Zastanawia się! Wątpię w to! – powiedział szyderczo. Zachichotał ponownie i Fred poczuł, że się czerwieni.

– Czy w to właśnie chcesz grać? – spytał podchodząc bliżej jego ojciec. Teraz pojawił się również Hoagland Rae; dwaj mężczyźni stanęli po obu stronach chłopca i wszyscy trzej przyglądali się nagrodom. – Co to jest – pomyślał Fred – lalki?

Tak przynajmniej wydawało się na pierwszy rzut oka; na półce ustawionej na lewo od dziewczyny obsługującej stoisko leżały rzędami małe figurki, chyba płci męskiej. Nie mógł w żaden sposób zgłębić przyczyn, dla których właściciele lunaparku postanowili je chronić; musiały być całkowicie bezwartościowe. Podszedł bliżej, starając się zobaczyć...

– Ale nawet jeśli wygramy, Fred, co będziemy z tego mieli? – wyszeptał niepewnie Hoagland Rae, odciągając go na stronę. – Nic, co mogłoby się nam przydać, tylko te plastikowe figurki. Nie uda nam się ich nawet wymienić na towary z innymi osadami.

Wydawał się rozczarowany; kąciki jego ust opadły w dół, nadając twarzy wyraz zniechęcenia.

– Mam wrażenie, że nie są tym, czym się wydają – powiedział Fred. – Ale nie mam pojęcia, czym są. Tak czy owak niech mi pan pozwoli spróbować, panie Rae; wiem, że to właśnie ten stragan.

Wiedział też, że właściciele wesołego miasteczka również są tego zdania.

– Zdaję się na ciebie – powiedział sceptycznie Hoagland Rae. Wymienił spojrzenia z ojcem Freda, a potem zachęcająco poklepał chłopca po plecach. – Chodźmy. Zrób, co możesz, chłopcze.

Całą grupą, do której przyłączył się teraz Bob Turk, wrócili do straganu, w którym siedział bezgłowiec, połykując umieszczonymi na ramionach oczami.

– Zdecydowaliście się, panowie? – spytała z kamienną twarzą dziewczyna, podrzucając piłkę i łapiąc ją w powietrzu.

– Masz – Hoagland wręczył Fredowi kopertę, w której znajdowały się bilety lunaparku, uzyskane w drodze wymiany za płody rolne osady. To było wszystko, co za nie dostali.

– Spróbuję – powiedział Fred do szczupłej dziewczyny, wręczając jej bilet.

Dziewczyna uśmiechnęła się, pokazując drobne, ostre zęby.

- Wrzuć mnie do wody! - wrzasnął bezgłowiec. - Skąp mnie i wygraj cenną nagrodę!

I znów zachichotał z zachwytem.

Wieczorem tegoż dnia Hoagland Rae siedział w warsztacie na zapleczu swego sklepu i za pomocą trzymanej w prawym oku lupy oglądał jedną z figurek, które syn Tony'ego Costnera wygrał tego popołudnia w lunaparku Przedsiębiorstwa Rozrywkowego „Spadająca Gwiazda”.

Pod przeciwległą ścianą warsztatu leżało rzędem piętnaście takich samych figurek.

Hoagland oderwał małymi szczypczykami tylną ściankę lalki i dostrzegł w jej wnętrzu zawity splot przewodów.

- Chłopak miał rację - powiedział do Boba Turka, który stał za nim, paląc w nerwowym podnieceniu papierosa wypełnionego sztucznym tytoniem. - To nie lalka, to jakieś skomplikowane urządzenie. Może to być własność Narodów Zjednoczonych, którą ci ludzie ukradli. Może to nawet być mikrorobot. No wiesz, jeden z tych precyzyjnych aparatów, których rząd używa do tysiąca różnych celów - od szpiegowania do operacji rekonstrukcyjnych, jakie robią weteranom wojennym.

Ostrożnie otworzył przednią ściankę figurki. Tu również dostrzegł przewody i jakieś miniaturowe podzespoły, które nawet pod lupą trudno było zidentyfikować. Nie zamierzał zresztą podejmować takiej próby; w końcu jego umiejętności ograniczały się do napraw napędzanych silnikami żniwiarek i innych tego typu maszyn. To przekraczało jego możliwości. Znów zaczął się zastanawiać, w jaki sposób osada mogłaby wykorzystać te mikroroboty. Odsprzedać je z powrotem Narodom Zjednoczonym? A tymczasem właściciele lunaparku zwinęli swe stragany i odlecieli. Nie można było dowiedzieć się od nich; co to za urządzenia.

- Może on chodzi i mówi - niepewnie powiedział Turk. Hoagland zaczął szukać na obudowie figurki jakiegoś wyłącznika, ale nie znalazł go. - Może reaguje na ludzki głos - pomyślał. - Zaczynaj chodzić! - rozkazał. Figurka trwała w bezruchu.

- Wydaje mi się, że mamy tu coś ciekawego - powiedział do Turka.

- Ale... - Wykonał znaczący gest. - To trochę potrwa; musimy być cierpliwi.

- Może gdyby zawieźć jedną z tych figurek do miasta M - pomyślał - gdzie można znaleźć prawdziwych fachowców; inżynierów, elektroników, wszelkiego rodzaju mechaników... ale chciał to zrobić sam; nie ufał mieszkańcom jedyne wielkiego miasta tej skolonizowanej planety.

- Ci faceci z lunaparku byli naprawdę wściekli, że wygrywamy raz za razem - zachichotał Bob Turk. - Fred mi mówił, że przez cały czas zmuszali do wysiłku swego własnego Psi i byli kompletnie zaskoczeni, że...

- Cicho - powiedział Hoagland. Znalazł system zasilania figurki w energię - teraz trzeba było tylko odszukać właściwy obwód, by wszystko się wyjaśniło. Zamykając obwód mógł uruchomić mechanizm; było to - a raczej wydawało się - zupełnie proste.

Niebawem znalazł przerywnik obwodu. Mikroskopijny wyłącznik, ukryty w klamercie paska lalki... Hoagland z triumfem przekręcił wyłącznik cienkimi jak igły kleszczami, postawił lalkę na swym warsztacie i czekał na rezultat.

Figurka poruszyła się. Sięgnęła do zwisającej u jej boku torby, przypominającej ładownicę, wyjęła z niej maleńką tubę i skierowała jej wylot w stronę Hoaglanda.

- Poczekaj - powiedział słabym głosem Hoagland. Stojący za jego plecami Turk zabezczał jak owca, pospiesznie się wycofując. Coś wybuchło mu prosto w twarz, światło, które odrzuciło go do tyłu; zamknął oczy i krzyknął z przerażenia. - Atakują nas! - zawołał, ale głos nie wydobył się z jego gardła; nic nie usłyszał. Wołał bezsilnie w nie kończącej się ciemności. Błagalnym gestem wyciągnął przed siebie po omacku rękę...

Pochyliła się nad nim dyżurna pielęgniarka osady, przyciskając do jego nosa butelkę z amoniakiem. Stękając z wysiłku zdołał unieść głowę, otworzyć oczy. Leżał w swoim warsztacie, otoczony wianuszkiem dorosłych mieszkańców osady, wśród których czołowe miejsce zajmował Bob Turk; wszyscy mieli poszarzałe z przerażenia twarze.

- Te lalki, czy cokolwiek to jest - zdołał wyszeptać Hoagland -

zaatakowały nas; zachowajcie ostrożność. – Przewrócił się na bok, by spojrzeć na rząd lalek, które tak starannie poukładał pod przeciwległą ścianą. – Uruchomiłem nieopatrznie jedną z nich – wymamrotał. – Zamknąłem obwód; popełniłem błąd, ale teraz już wiemy...

Nagle zamrugał oczami.

Lalki zniknęły.

– Poszedłem po pannę Beason – tłumaczył się Bob Truk – a kiedy wróciłem, już ich tu nie było. Przepraszam. – Wydawał się skruszony, jakby to była jego wina. – Ale ty byłeś nieprzytomny, bałem się, że nie żyjesz.

– W porządku – powiedział Hoagland, dźwigając się na nogi; bolała go głowa i czuł mdłości. – Postąpiłeś słusznie. Może lepiej zawołać tu tego chłopaka Costnerów, spytać go, co o tym sądzi. No cóż – dodał – zostaliśmy nabrani. Drugi rok z rzędu. Tyle, że tym razem jest gorzej.

Tym razem – pomyślał – wygraliśmy. Byliśmy w lepszej sytuacji rok temu, kiedy po prostu przegraliśmy.

Miał przeczucie, że prawdziwe kłopoty dopiero się zaczną.

W cztery dni później Tony Costner, wykopując motyką chwasty na swej plantacji dyń, zauważył, że coś porusza się pod powierzchnią ziemi. Przerwał pracę i bezszelestnie sięgnął po widły. – To marsjański suseł – pomyślał – podgryzający korzenie roślin. Zaraz go dostanę. – Podniósł widły i gdy ziemia poruszyła się po raz drugi, wbił w nią gwałtownie zęby wideł, przebijając sypką, piaszczystą glebę.

Spod powierzchni ziemi doszedł go pisk bólu i przerażenia. Chwycił za łopatę i odgarnął warstwę piachu. Odsłonił w ten sposób tunel, w którym – jak przewidział na podstawie długoletniego doświadczenia – leżał drgający w przedśmiertelnych konwulsjach marsjański suseł; kłębek futra, w którym lśniły tylko zamglone w agonii oczy i wysunięte zęby.

Dobił go kierując się litością. A potem pochylił się by go obejrzeć. Dostrzegł bowiem coś, co zwróciło jego uwagę: błysk metalu.

Suseł miał na sobie obrozę.

Była ona oczywiście wykonana z jakiegoś sztucznego tworzywa i luźno opinała grubą szyję zwierzęcia. Wystawały z niej niemal niewidoczne, cienkie jak włos druty, które znikwały pod skórą

pokrywającą głowę susła, u nasady jego czaszki.

- O Boże - mruknął Tony Costner; podniósł zabitego susła i stał bezradnie, z przerażeniem zastanawiając się co zrobić. Od razu skojarzył to odkrycie z lalkami wygranymi w lunaparku i z ich ucieczką; to było ich dzieło, to one - jak mówił Hoagland - atakowały osadę.

Zastanawiał się, co zrobiłby ten susł, gdyby nie został przez niego zabity.

W jakiś czas później siedział obok Hoaglanda Rae w jego warsztacie. Rae ostrożnie zdemontował obrożę i zajrzał do jej wnętrza.

- Przekaznik radiowy - oznajmił i hałaśliwie wypuścił powietrze, jakby wróciła mu astma, na którą cierpiał w dzieciństwie. - Krótki zasięg, może pół mili. Susł był nim zdalnie sterowany, może nawet nadawał z powrotem sygnały informujące, gdzie się znajduje i co robi. Te elektrody podłączone do mózgu oddziaływały zapewne na obszary przyjemności i bólu... w ten sposób można było skłonić go do określonego zachowania. - Zerknął na Tony'ego Costnera. - No co, chciałbyś nosić na sobie taką obrożę?

- Nie chciałbym - odpowiedział Tony czując, że wstrząsa nim dreszcz. Zapragnął nagle wrócić na planetę Terra, mimo że panował tam taki tłok; odczuł tęsknotę za napierającym ludzkim tłumem, za zapachami i odgłosami, jakie wydawały wielkie tabuny mężczyzn i kobiet chodzące po twardych, jasno oświetlonych krawężnikach. I jakby po wpływie olśnienia zdał sobie sprawę, że nigdy nie lubił życia na Marsie. - Człowiek czuje się tu o wiele zbyt samotny - pomyślał. - Popełniłem błąd. To moja żona; ona mnie namówiła do przyjazdu.

Ale teraz było już za późno, by się nad tym zastanawiać.

- Myślę - powiedział Hoagland ze śmiertelną powagą - że powinniśmy zawiadomić żandarmerię ONZ. - Ciężkim krokiem podszedł do wiszącego na ścianie telefonu, zakręcił korbką, a potem wykręcił numer, pod który należało dzwonić w nagłych wypadkach. Odwrócił się do Tony'ego i powiedział tonem na wpół gniewnym, a na wpół przepraszającym: - Nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności za tę sytuację, Costner; to zbyt trudna sprawa.

- To również moja wina - przyznał Tony. - Zobaczyłem tę dziewczynę, która zdjęła właśnie górną część swego stroju, i...

- Regionalna komenda sił bezpieczeństwa ONZ - przemówił telefon na tyle głośno, że usłyszał go również Tony Costner.

- Mamy kłopoty - oznajmił Hoagland. A potem opowiedział o statku Przedsiębiorstwa Rozrywkowego „Spadająca Gwiazda” i zrelacjonował przebieg wydarzeń. Mówiąc do telefonu wycierał chustką do nosa ociekające potem czoło; wyglądał jak stary, zmęczony człowiek, któremu bardzo potrzebny jest wypoczynek.

W godzinę później na środku jedynej ulicy osady wylądowała żandarmeria ONZ. Z pojazdu wysiadł umundurowany oficer w średnim wieku, z teczką w ręku; rozejrzał się i dostrzegł w żółtawym świetle późnego popołudnia grupę mieszkańców oraz stojącego na jej czele Hoaglanda Rae.

- Czy generał Mozart? - spytał Hoagland, niepewnie wyciągając rękę.

- Zgadza się - odparł masywnie zbudowany oficer ONZ, wymieniając z nim krótki uścisk dłoni. - Czy może mi pan pokazać ten mechanizm? - Wydawało się, że patrzy z lekką pogardą na przybrudzonych mieszkańców osady. Hoagland wyraźnie to odczuł, a jego poczucie klęski i przygnębienia jeszcze się pogłębiły.

- Oczywiście, panie generale - odparł Hoagland, po czym poprowadził go przez sklep na zaplecze, do warsztatu.

Generał Mozart obejrzał dokładnie martwego marsjańskiego susła, przyjrzał się obroży, elektrodom i powiedział: - Być może, panie Rae, wygraliście nagrody rzeczowe, których oni wcale nie chcieli oddać. Ich ostatecznym, to znaczy prawdziwym miejscem przeznaczenia nie była zapewne ta osada. - Ponownie ujawnił źle ukrywane lekceważenie; ktoś chciałby zawracać sobie głowę tą miejscowością? - Sądzę, choć to tylko domysł, że tym miejscem przeznaczenia mogłaby być Ziemia i rejony liczniej zaludnione. Ale ponieważ wykorzystaliście przy tej grze polegającej na rzucaniu piłką parapsychologiczne zdolności waszego... - Przerwał nagle i zerknął na zegarek. - Myślę, że spryskamy wszystkie okoliczne pola arsenowodorem; pan i pańscy ludzie będziecie musieli opuścić cały region, w istocie jeszcze dziś wieczorem. My zapewnimy transport. Czy mogę skorzystać z pańskiego telefonu? Ja zamówię transport, a pan zbierze wszystkich swoich ludzi.

Uśmiechnął się zdawkowo do Hoaglanda i podszedł do telefonu, żeby połączyć się ze swą kwaterą w mieście M.

- A co z inwentarzem? - spytał Rae. - Nie możemy go poświęcić. - Zastanawiał się, w jaki sposób załadują po ciemku swe owce, psy i bydło do transportowców ONZ. - Co za piekielne zamieszanie - pomyślał tępo.

- Oczywiście inwentarz również - powiedział generał Mozart tak oschłym tonem, jakby uważał Hoaglanda za idiotę.

Trzeci spośród byczków wpędzonych na pokład transportowca ONZ miał na szyi obrozę; żandarm pełniący służbę przy klapie wjazdu zauważył ją, zastrzelił na miejscu byczka i wezwał Hoaglanda polecając mu usunąć martwą sztukę.

Hoagland Rae przykucnął przy martwym byczku, by obejrzeć obrozę i przewody. Podobnie jak w przypadku susła obroza połączona była delikatnymi drucikami z mózgiem zwierzęcia. Hoagland doszedł do wniosku, że ktokolwiek zainstalował ten przekaźnik, musiał się znajdować nie dalej niż o milę od osady.

- Ale co to zwierzę miało robić? - zastanawiał się zdejmując obrozę. - Przekłuć któregoś z nas rogami? A może podsłuchiwać? - To zdawało się bardziej prawdopodobne; ukryty w obroży przekaźnik wydawał wyraźnie słyszalny pomruk, widocznie był na stałe włączony i chwycił wszystkie wydawane w pobliżu odgłosy. - A więc wiedzą już, że sprowadziliśmy wojsko - pomyślał Hoagland. - I że znaleźliśmy już dwa spośród tych urządzeń.

Miał głębokie przeczucie, że oznacza to konieczność porzucenia osady. Ten obszar stanie się wkrótce polem walki między siłami ONZ a... nie znanym przeciwnikiem. Przedsiębiorstwo Rozrywkowe „Spadająca Gwiazda”. Zastanawiał się, skąd pochodzą właściciele tego lunaparku. Najwyraźniej spoza Systemu Słonecznego.

- Proszę się nie martwić - powiedział przyklękając obok niego na chwilę jakiś ubrany na czarno oficer tajnej policji ONZ. - W ten sposób zdradzili swoje zamiary - nigdy dotąd nie byliśmy w stanie dowieść, że te lunaparki mają wrogie zamiary. Dzięki wam nie dotarli do planety Terra. Przyślemy wam posiłki, nie poddawajcie się. - Uśmiechnął się do Hoaglanda i odszedł pospiesznie w ciemność, w kierunku

zaparkowanego tam czołgu sił ONZ.

Tak – pomyślał Hoagland. – Wyświadczyliśmy władzom przysługę. A oni wynagrodzą nas za to, zwalając się nam masowo na głowę.

Odczuwał przekonanie, że osada nigdy już nie będzie taka sama jak dawniej, bez względu na to, co zrobią władze. Choćby z tego powodu, że jej mieszkańcy nie umieli sami uporać się ze swoim problemem i musieli zwrócić się o pomoc do obcych. Do możliwych tego świata.

Podszedł Tony Costner, by pomóc mu usunąć martwego byczka; razem odciągnęli z wysiłkiem ciepłe jeszcze ciało na bok, z trudem łapiąc oddech.

- Czuję się odpowiedzialny – powiedział Tony, gdy pozbyli się już ciężaru.

- Niestuszenie – Hoagland przecząco potrząsnął głową. – I powiedz swemu chłopcu, żeby też nie czuł się winny.

- Nie widziałem Freda, odkąd pojawił się ten pierwszy – oznajmił przygnębionym głosem Tony. – Zniknął gdzieś, był strasznie wzburzony. Pewnie znajdą go ci żandarmi z ONZ – obstawili cały teren i każą wszystkim zebrać się w centrum. – Mówił tępym głosem, jakby nie mógł do końca pojąć tego, co się wokół niego dzieje. – Jeden z żandarmów powiedział mi, że rano możemy tu wrócić. Arsenowodór załatwi do tej pory całą sprawę. Czy myślisz, że zetknęli się z czymś takim już wcześniej? Nic nie mówią, ale wydają się doskonale zorganizowani. I tacy pewni, że postępują słusznie.

- Bóg raczy wiedzieć – odparł Hoagland. Zapalił prawdziwe, wyprodukowane na Ziemi cygaro marki Optimo i wciągnął dym w posępnym milczeniu, obserwując stado owiec z czarnymi pyskami, które zaganiano właśnie do transportowca. – Kto by się domyślił, że legendarna, klasyczna inwazja na Ziemię przybierze właśnie taką formę – spytał sam siebie. – Że zacznie się tutaj, w naszej nędznej osadzie, za pomocą kilkunastu małych, wypełnionych drutami figurek, które z takim trudem wygraliśmy od Przedsiębiorstwa Rozrywkowego „Spadająca Gwiazda”? Generał Mozart twierdzi, że najeźdźcy nie chcieli ich wcale oddać. Ironia losu.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że zamierzają nas poświęcić – spytał cicho Bob Turk, podchodząc bliżej i stając obok niego. – To oczywiste. Arsenowodór zabije wszystkie susły i szczury, ale nie zabije

mikrorobotów, bo one przecież nie oddychają. Siły specjalne ONZ będą musiały operować w tym regionie jeszcze przez wiele tygodni, może miesięcy. Ten atak gazowy to dopiero początek. - Odwrócił się do Tony'ego Costnera i spojrzał na niego z wyrzutem. - Gdyby twój chłopak...

- Przestań - powiedział ostrym tonem Hoagland. - To wystarczy. Gdybym ja nie rozebrał tej pierwszej... nie zamknął obwodu... mnie też możesz obwiniać, Turk; szczerze mówiąc chętnie podam się do dymisji. Możecie kierować osadą beze mnie.

- Uwaga! - zagrzmiął głośno przedstawiciel ONZ przez ręczną tubę wyposażoną w zasilany bateriami wzmacniacz. - Wszystkie osoby znajdujące się w zasięgu mojego głosu mają przygotować się do wejścia na pokład! O godzinie 14.00 zostanie na tym terenie rozpylony trujący gaz! Powtarzam... - Wylot głośnika zwracał się w różnych kierunkach, a powtarzany komunikat odbijał się echem wśród wieczornych ciemności.

Fred Costner brnął potykając się przez nie znany mu, pełen nierówności teren, jęcząc z rozpacz i zmęczenia; nie zwracał uwagi na otoczenie i nie patrzył, dokąd idzie. Chciał tylko odejść jak najdalej. Zniszczył osadę i wszyscy, poczynając od Hoaglanda Rae, dobrze o tym wiedzieli. Z jego powodu...

Daleko za nim zagrzmiął płynący z głośnika komunikat: - Wszystkie osoby znajdujące się w zasięgu mojego głosu mają przygotować się do wejścia na pokład! O godzinie 14.00 zostanie na tym terenie rozpylony trujący gaz! Powtarzam, wszystkie osoby znajdujące się w zasięgu mojego głosu... - Nadawano ten komunikat bez końca. Fred nadal brnął przed siebie, pragnąc znaleźć się poza zasięgiem hałaśliwego głośnika, pospiesznie oddalając się od niego.

W ciemnościach unosił się zapach pajaków i wyschniętych chwastów; czuł wokół siebie pustkowia. Był już poza ostatnim obwodem uprawy ziemi; opuścił pola należące do osady i brnął przez nie zaorane tereny, na których nie było płotów ani nawet słupków mierniczych. Można się było jednak domyślać, że również ten teren zostanie skażony; statki ONZ będą latały nad nim w tę i z powrotem, rozpylając arsenowodór, później zaś wkroczą do akcji żołnierze oddziałów specjalnych, wyposażeni w maski gazowe, miotacze ognia

i czujniki wykrywające metal, by wytepić piętnaście mikrorobotów, które szukały schronienia pod ziemią w kryjówkach szczurów i robactwa. – I tam jest ich miejsce – powiedział sam do siebie Fred. – I pomyśleć, że to ja chciałem je zdobyć dla osady, myślałem, że skoro właściciele lunaparku chcą je zatrzymać, muszą mieć jakąś wartość.

Zastanawiał się mgliście, czy mógłby w jakiś sposób naprawić to, co zrobił. Znaleźć tę piętnastkę mikrorobotów, no i tego uaktywnionego, który omal nie zabił Hoaglanda Rae? A potem... myśl ta wydała mu się tak absurdalna, że mimowolnie wybuchnął śmiechem. Nawet gdyby znalazł ich kryjówkę – zakładając, że wszystkie schroniły się w tym samym miejscu – to przecież nie wiedziałyby, jak je zniszczyć. A one były uzbrojone. Hoagland Rae cudem uszedł z życiem, a miał przeciw sobie tylko jednego, samotnego mikrorobota..

Przed nim zabłysnęło jakieś światło.

W ciemnościach nie widział kształtów, które poruszały się na krawędzi tego światła; stanął i czekał, próbując zorientować się w sytuacji. Słyszał stłumione głosy kobiet i mężczyzn, najwyraźniej chodzących w tę i z powrotem. I szum pracującego silnika. Uświadomił sobie, że ONZ nie wysyłałaby kobiet. Nie byli to więc przedstawiciele władz.

Nagle zdał sobie sprawę, że nie widzi części nieba, na którym błyszcząły gwiazdy i jasna nocna poświata, gdyż zasłania je jakiś wielki nieruchomy obiekt.

Zastanawiając się nad jego kształtem doszedł do wniosku, że może to być oparty na rufie i gotowy do odlotu statek międzyplanetarny.

Usiadł na ziemi, drżąc z chłodu typowego dla marsjańskich nocy i wytężając wzrok, by przekonać się, po co biegają w tę i z powrotem gorączkowo czymś zajęte niewyraźne postacie. Czyżby ten lunapark wrócił? Czyżby był to znowu pojazd Przedsiębiorstwa Rozrywkowego „Spadająca Gwiazda”? Przyszła mu do głowy przerażająca wizja: oto teraz, w środku nocy, na tym nagim obszarze leżącym pomiędzy osadami, ustawiane są stragany, flagi, namioty i estrady, kramy z gramy losowymi i platformy, na których pokazywano kobiety i fenomeny natury. Tworzy się zawieszoną w próżni replikę wesołego lunaparku, której nikt nie zobaczy ani nie odwiedzi. Tylko on sam –

przypadkowym zrządzeniem losu. Jego zaś obraz ten napawał odrazą – dość już miał lunaparku, obsługujących go ludzi i... wszystkiego innego.

Coś przebiegło po jego stopie.

Wykorzystując swe zdolności psychokinetyczne zatrzymał niewidoczny obiekt na miejscu i zmusił go do cofnięcia się, a potem sięgnął nagle obu rękami i wydobył z mroku wijący się twardy przedmiot. Podniósł go wyżej i ujrzał z przerażeniem jednego z mikrorobotów; odruchowo chwycił go mocniej, udaremniając jego próby wyrwania się. – Mikrorobot biegł w kierunku zaparkowanego statku – pomyślał Fred. – A więc statek zabiera je z powrotem. Żeby nie znalazły ich siły ONZ. Właściciele lunaparku umożliwiają im ucieczkę, żeby zrealizować swoje plany.

– Proszę cię, połóż go na ziemi. On chce odejść – przemówił do niego z najbliższej odległości jakiś delikatny kobiecy głos.

Podskoczywszy z wrażenia upuścił mikrorobotą, który natychmiast z szelestem skrył się wśród chwastów i zniknął. Przed nim stała uśmiechając się łagodnie szczupła dziewczyna ze straganu, nadal w dżinsach i swetrze; w rękę trzymała latarkę i w odbitym kręgu światła widział jej ostre rysy, słabo zarysowaną szczękę i wyraziste, jasne oczy.

– Cześć – powiedział jękając się; potem wstał z ziemi i wyczekująco spojrzał na dziewczynę. Była nieco wyższa niż on i czuł przed nią lęk. Ale nie dochodził od niej zapach Psi, więc uświadomił sobie, że to nie ona stawiała opór jego zdolnościom podczas gry, jaką toczył na jej straganie. Miał więc nad nią pewną przewagę, a w dodatku ona być może o tym nie wiedziała.

– Lepiej się stąd zabieraj – oświadczyła. – Czy nie słyszałeś głośnika? Będą rozpylać w tym rejonie gaz.

– Słyszałem – odparł.

Dziewczyna przyjrzała mu się uważnie.

– To ty jesteś tym wielkim wygranym, prawda, synku? Mistrzem w grach zręcznościowych. Wykąpałeś antygłowca szesnaście razy z rzędu. – Zaśmiała się pogodnie. – Simon był wściekły; zaziębił się przez to i ma pretensje do ciebie. Więc mam nadzieję, że na niego nie wpadniesz.

– Nie mów do mnie synku – powiedział Fred, którego lęk zaczynał

opuszczać.

- Douglas, nasz p-k, mówi, że jesteś silny. Pokonałeś go za każdym razem; gratuluję. No cóż, czy jesteś zadowolony z wygranej? - Raz jeszcze zaśmiała się bezgłośnie, a jej małe ostre zęby zaśniły w półmroku. - Czy uważacie, że otrzymaliście równowartość swoich produktów?

- Wasz p-k jest do niczego. Nie miałem z nim żadnych trudności, choć jestem w gruncie rzeczy niedoświadczony. Powinniście zatrudnić kogoś lepszego.

- A może ciebie? Czy chcesz się do nas przyłączyć? Czy mam to rozumieć jako twoją ofertę, chłopaczku?

- Nie - odpowiedział, czując lęk i odrazę.

- W ścianie warsztatu waszego pana Rae siedział szczur - powiedziała dziewczyna. - Miał włączony przekaźnik, więc natychmiast dowiedzieliśmy się o waszym telefonie do ONZ. I mieliśmy mnóstwo czasu, by odzyskać - zawahała się przez chwilę - nasz towar. Gdyby nam na tym zależało. Nikt nie chciał zrobić wam krzywdy; to nie nasza wina, że ten nadgorliwiec Rae wetknął swój śrubokręt w obwód kontrolny jednego z mikrorobotów, prawda?

- Przedwcześnie uruchomił cykl. Ten robot i tak w końcu by się uaktywnił. - Musiał w to wierzyć, wiedział, że osada ma za sobą prawo. - I nic wam nie przyjdzie z tego, że pozbieracie te wasze mikroroboty, bo ONZ wie o nich i...

- Pozbieracie? - Dziewczyna zatrzęsała się ze śmiechu. - Nie zbieramy wcale tych szesnastu mikrorobotów, które wy biedacy wygraliście. Realizujemy nasz plan, bo zmusiliście nas do tego. Wyładujemy ze statku całą resztę. - Zwróciła w kierunku pojazdu światło latarki i Fred ujrzał przez ułamek sekundy tłum wylewających się ze statku mikrorobotów, które rozpełzały się po okolicy szukając schronienia, jak chmara uczulonych na światło insektów.

Zamknął oczy i jęknął głucho.

- Czy nadal jesteś pewien - spytała kuszącym głosem dziewczyna - że nie chcesz jechać z nami? To zapewni ci przyszłość, synu. W przeciwnym razie - rozłożyła ręce. - Kto wie? Kto może zgadnąć, co stanie się z waszą małą osadą i z waszymi biednymi, małymi ludźmi?

- Nie - powiedział. - Mimo wszystko nie jadę.

Kiedy otworzył oczy, dziewczyny nie było już przy nim. Stała obok bezgłowca imieniem Simon, przyglądając się trzymanej przez niego tabliczce z zaciskiem na papiery.

- Zastąpiłem tu generała Mozarta - mówił wysoki, szczupły generał tajnej policji ONZ w czarnym mundurze - który niestety nie ma kwalifikacji niezbędnych do zwalczania wewnętrznych ruchów wywrotowych; zajmuje się wyłącznie sprawami związanymi z wojskiem. - Nie wyciągnął ręki, by powitać Hoaglanda Rae. Zamiast tego zaczął nerwowo chodzić po warsztacie, marszcząc z namysłem brwi. - Żałuję, że nie zostałem tu wezwany ubiegłego wieczora. Mógłbym wam na przykład od razu wyjaśnić pewną sprawę... której generał Mozart nie był w stanie pojąć. - Zatrzymał się i spojrzał na Hoaglanda badawczo. - Rozumie pan chyba, że nie przechytrzyliście wcale tych ludzi z lunaparku. Oni chcieli przegrać te szesnaście mikrorobotów.

Hoagland Rae w milczeniu kiwnął głową; nie było nic do powiedzenia. Teraz wydawało się to oczywiste, jak słusznie powiedział generał sił specjalnych.

- Pojawiając się tutaj poprzednio - ciągnął generał Wolff - to znaczy w ubiegłych latach, ci ludzie od lunaparku chcieli was ograć, ograć kolejno wszystkie osady. Wiedzieli, że tym razem zaplanujecie wszystko tak, żeby koniecznie wygrać. A więc tym razem przywieźli swoje mikroroboty. I swojego słabego Psi, który miał stoczyć pozorną „batalię” o supremację.

- Chcę wiedzieć tylko jedno - powiedział Hoagland. - Czy otrzymamy ochronę. - Wzgórza i równiny otaczające osadę, jak doniósł Fred, roiły się od mikrorobotów; niebezpiecznie było wychodzić z budynków nawet w centrum miasteczka.

- Zrobimy, co będzie w naszej mocy. - Generał Wolff znów zaczął chodzić po magazynie. - Ale, rzecz jasna, nie możemy skoncentrować naszej uwagi na was ani na żadnej innej osadzie czy wiosce nawiedzanej przez tę plagę. Musimy myśleć o sytuacji globalnej. Ten statek odwiedził w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin czterdzieści osiedli. Jakim cudem mogli przemieszczać się tak szybko... Przerwał na chwilę. - Przygotowali dokładnie każdy krok. A wy myśleliście, że wystrychnęliście ich na dudka. - Spojrzał groźnie na

Hoaglanda Rae. – Tak samo myślała każda z odwiedzonych przez nich osad, wygrywając swoją porcję mikrorobotów.

- Sądzę – powiedział po chwili Hoagland, unikając wzroku generała – że spotkała nas kara za oszustwo.

- Spotkała was kara za to, że usiłowaliście przechytrzyć przeciwników z innego systemu – stwierdził oschłym tonem generał Wolff. – Lepiej będzie, jeśli spojrzycie na to w ten sposób. A następnym razem, kiedy pojawi się jakiś pojazd nie pochodzący z Terra – nie próbujcie wymyślać mistrzowskiej strategii, żeby ich pokonać – wezwijcie nas.

- Okay, rozumiem. – Hoagland Rae potakująco kiwnął głową. Nie odczuwał złości, tylko tępy ból; zasłużył – wszyscy zasłużyli – na te słowa nagany. Jeśli będą mieli szczęście, na tym reprimenda się skończy. Nie był to zresztą w tej chwili najpoważniejszy problem osady.

- Ale czego oni chcą? – spytał generała Wolffa. – Czy pragną skolonizować te obszary? A może to ekonomiczny...

- Niech pan nie próbuje – przerwał mu Wolff.

- J-jak to?

- Nie zrozumie pan tego ani teraz, ani kiedykolwiek. My wiemy, o co im chodzi – i oni wiedzą, o co im chodzi. Czy to ma jakieś znaczenie, czy wy będziecie to wiedzieć? Wy macie starać się na nowo podjąć uprawę roli. A jeśli nie będziecie w stanie tego zrobić, musicie zwinąć wszystko i wrócić na Ziemię.

- Rozumiem – powiedział Hoagland, czując własną niemoc.

- Wasze dzieci będą o tym mogły przeczytać w podręcznikach historii – ciągnął Wolff. – To wam powinno wystarczyć.

- W porządku – powiedział Hoagland Rae przygnębionym tonem. Usiadł bez przekonania przy swym warsztacie, wziął do ręki śrubokręt i zaczął majstrować przy uszkodzonej wieżycze sterowniczej samoczynnego traktora.

- Niech pan spojrzy – zawołał generał Wolff, wskazując coś palcem.

W kącie warsztatu stał skulony, niemal niewidoczny na tle pokrytej kurzem ściany mikrorobot i przyglądał im się z uwagą.

- Jezu! – zawył Hoagland, szukając po omacku na blacie warsztatu starego rewolweru kaliber 32, który poprzednio wyjął z ukrycia i załadował.

Mikrorobot zniknął, zanim jeszcze namacał palcami kolbę rewolweru. Generał Wolff nawet się nie poruszył; w istocie wydawał się nawet rozbawiony. Stał z założonymi rękami, patrząc, jak Hoagland obraca w dłoniach antyczną broń.

- Pracujemy nad centralnym systemem - powiedział - który unieruchomi je wszystkie równocześnie, przerywając dopływ energii z ich podręcznych zasilaczy. Niszczenie ich kolejno byłoby oczywiście absurdem; w ogóle nie rozważaliśmy takiej możliwości. Jednakże... - Przerwał i pogrążył się w myślach, marszcząc czoło. - Istnieje powód do przypuszczeń, że oni, ci przybysze z innej przestrzeni, uprzedzili naszą akcję i zróżnicowali systemy zasilania w taki sposób, że... - Z filozoficznym spokojem wzruszył ramionami. - No cóż, może wymyślimy coś innego. W swoim czasie.

- Mam nadzieję - oświadczył Hoagland. I próbował zabrać się na nowo do naprawiania uszkodzonej wieżyczki traktora.

- W gruncie rzeczy porzuciliśmy nadzieję, że uda nam się utrzymać na Marsie - powiedział generał, jakby do siebie.

Hoagland powoli odłożył śrubokręt i spojrzał na dowódcę tajnej policji.

- Zamierzamy skoncentrować nasze wysiłki na planecie Terra - ciągnął generał, z rozmysłem drapiąc się po nosie.

- A zatem - powiedział Hoagland po chwili milczenia - chce pan powiedzieć, że w gruncie rzeczy nie ma tu dla nas perspektyw?

Generał nie odpowiedział. Nie było to konieczne.

Pochyliwszy się nad zielonkawą, spienioną powierzchnią kanału, nad którym brzęczały gzy i małe czarne chrząszcze, Bob Turk dostrzegł kątem oka jakiś uciekający panicznie drobny obiekt. Odwrócił się pośpiesznie, sięgnął po swą laserową laskę, uniósł ją, wystrzelił, i zniszczył - cóż za szczęśliwy dzień! - jedynie stos zardzewiałych, porzuconych beczek po paliwie. Mikrorobot zdążył czmychnąć.

Drżącą dłonią wetknął laskę z powrotem za pasek i znów pochylił się nad pełną robactwa wodą. Mikroroboty jak zwykle działały tu minionej nocy; widziała je jego żona, słyszała ich szczerze chrobotanie. - Co, do diabła, tu robiły? - z niechęcią pomyślał Turk, głęboko wciągnął nosem powietrze.

Wydawało mu się, że zwykły odór stojącej wody nieznacznie się zmienił.

- Cholera - powiedział głośno i wstał, czując się bezradny. Mikroroboty wpuściły do wody jakiś środek zanieczyszczający - to nie ulegało wątpliwości. Teraz trzeba ją będzie poddać dokładnej analizie chemicznej, która zajmie kilka dni. W jaki sposób ma utrzymywać przez ten czas przy życiu swoje ziemniaki? Dobre pytanie.

W bezsilnej wściekłości chwycił za swą laserową laskę, marząc o ujrzeniu jakiegoś celu i wiedząc, że nigdy, nawet za milion lat, nie uda mu się go dostrzec. Mikroroboty jak zwykle dokonały swego dzieła pod osłoną nocy; stopniowo wypierały mieszkańców osady z zajmowanych dotąd terenów.

Już dziesięć rodzin spakowało manatki i przeniosło się na planetę Terra. By podjąć - o ile się to uda - dawne życie, które niegdyś porzuciły.

Wkrótce nadejdzie kolej na niego.

Gdyby przynajmniej mogli coś przedsięwziąć. W jakiś sposób przystąpić do kontraktaku. - Zrobiłbym wszystko - myślał - oddałbym cały swój majątek, żeby mieć szansę dobrania się do tych mikrorobotów. Przysięgam. Gotów byłbym zadłużyć się, oddać w niewolę, pójść na służbę, w zamian za szansę uwolnienia od nich naszego terytorium.

Trzymając ręce głęboko w kieszeniach kurtki i powłócząc posępnie nogami zaczął oddalać się od kanału, gdy nagle usłyszał nad głową ogłuszający ryk międzysystemowego pojazdu.

Stał jak słup soli patrząc w górę i czując, że jego serce przestaje bić. - Czyżby wracali? - spytał sam siebie. - Czy to statek Przedsiębiorstwa Rozrywkowego „Spadająca Gwiazda”... Czy zamierzają znowu na nas napaść, wykończyć nas do reszty? - Osłoniwszy oczy wpatrywał się gorączkowo w pojazd, nie mogąc nawet zmusić się do ucieczki, jak człowiek, którego ciało nie reaguje już na instynktowny zwierzęcy lęk.

Statek, przypominający gigantyczną pomarańczę, schodził do lądowania. Kształt pomarańczy, pomarańczowy kolor... teraz widział wyraźnie, że nie jest to błękitny, podłużny statek „Spadającej Gwiazdy”. Ale nie był to też statek z planety Terra; nie należał do ONZ. Fred nie widział jeszcze nigdy dotąd takiego pojazdu i był przekonany,

że jest to kolejny statek spoza Systemu Słonecznego; bardziej przekonany niż wtedy, kiedy ujrzał po raz pierwszy błękitny wehikuł tych istot ze „Spadającej Gwiazdy”. Nie zadano sobie nawet trudu, by upodobnić go choć trochę do pojazdów używanych na Terra.

A jednak na jego burtach widniały namalowane wielkimi literami słowa w języku angielskim.

Poruszając wargami odczytał te wyrazy, podczas gdy statek lądował na północny wschód od miejsca, w którym stał.

OPERUJĄCA W SZEŚCIU SYSTEMACH SPÓŁKA „BAWIĆ UCZĄC”
FEERIA RADOŚCI I ZABAWY DLA WSZYSTKICH!

A więc był to – dobry Boże! – kolejny wędrowny lunapark.

Chciał koniecznie oderwać wzrok od pojazdu, odwrócić się i jak najszybciej odejść. Ale nie mógł się do tego zmusić – znana mu dobrze wewnętrzna potrzeba, pokusa czy ciekawość była zbyt silna. Nadal więc wpatrywał się w wehikuł, z którego wysuwano teraz na ziemię przez otwarte już włazy samoczynne mechanizmy, przypominające kształtem spłaszczone pączki.

Najwyraźniej rozbijali obóz.

- I co teraz? – spytał podchodząc do Turka jego sąsiad, Vince Guest.

- Sam widzisz – odparł Turk. – Masz przecież oczy.

Samoczynne mechanizmy wznosiły już centralny namiot; kolorowe serpentyny wzbity się pionowo w powietrze, a potem opadły na nadal dwuwymiarowe stragany. Pojawili się też pierwsi ludzie – czy może humanoidy. Vince i Bob dostrzegli mężczyzn w jaskrawych kostiumach, a potem kobiety w trykotach. A raczej w czymś, co było znacznie bardziej skąpe niż trykoty.

- O rany! – wykrztusił Vince, przetykając ślinę. – Widzisz te damy? Czy widziałeś kiedyś kobietę z takimi...

- Widzę je – odparł Turk. – Ale ani ja, ani Hoagland nie zbliżymy się nigdy więcej do żadnego z tych nieterreńskich lunaparków spoza naszego systemu. Jestem tego równie pewien, jak tego, że nazywam się Bob Turk.

Jakże szybko zabierali się do pracy. Nie tracili ani chwili; Turk słyszał już z oddali pobrzękującą muzykę towarzyszącą zwykle karuzelom.

I czuł zapachy. Wata cukrowa, pieczone orzeszki ziemne... i subtelna woń przygody i podniecających widowisk, woń owocu zakazanego. Jakaś kobieta o długich splecionych włosach zręcznie wskoczyła na estradę i zaczęła ćwiczyć swój taniec; miała na sobie tylko skąpy stanik i strzępek jedwabiu na biodrach. Turk nie mógł oderwać od niej wzroku. Wirowała coraz szybciej i szybciej, aż w końcu podniecona rytmem, rzuciła całkowicie swój skąpy strój. Ale najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że miał poczucie obcowania z prawdziwą sztuką - nie był to zwykły lunapark zalatujący na miłą tandetą. W ruchach dziewczyny było coś pięknego i ożywczego; czuł się wprost urzeczony.

- Chyba... pójdę lepiej po Hoaglanda - wykrztusił wreszcie Vince. Liczni osadnicy, wśród których było też sporo dzieci, posuwali się już jak zahipnotyzowani w kierunku ustawionych rzędami straganów i kolorowych serpentyn, które lśniły i powiewały na tle bezbarwnego marsjańskiego nieba.

- Podejdę bliżej i dokładnie im się przyjrę - powiedział Turk - a ty postaraj się go tymczasem znaleźć. - Ruszył w kierunku lunaparku stopniowo przyspieszając bieg i wzbijając tumany piasku.

- Zobaczymy przynajmniej, co mają do zaoferowania - mówił Tony Costner do Hoaglanda. - Wiesz, to nie są ci sami ludzie; to nie oni zwalili nam na głowę te okropne, cholerne mikroroboty - możesz sam się przekonać.

- Może to być coś gorszego - powiedział Hoagland, ale odwrócił się do Freda i spytał: - A co ty o tym myślisz?

- Chcę to zobaczyć - odparł chłopiec. Był już zdecydowany.

- Okay - mruknął Hoagland kiwając głową. - Zgadza się z tobą. Nie zaszkodzi popatrzeć. Musimy tylko pamiętać o tym, co powiedział ten generał tajnej policji ONZ. Nie oszukujmy się sądząc, że będziemy w stanie ich przechytryć. - Odłożył klucz francuski, wstał od warsztatu i podszedł do szafy, by wyjąć swój podbity futrem płaszcz.

Kiedy dotarli do wesołego miasteczka, stwierdzili, że gry losowe zostały - korzystnie - umiejscowione na samym przodzie przed występującymi dziewczętami i fenomenami natury. Fred Costner szybko ruszył naprzód, zostawiając dorosłych za sobą; wciągał nosem powietrze, chłonał zapachy, słuchał muzyki. Za straganami, w których

mieściły się gry losowe, dostrzegł estradę z fenomenami natury; ich oglądanie było jego ulubionym zajęciem podczas wizyt w przyjeżdżających poprzednio wędrownych lunaparkach, ale prezentowany tu okaz górował nad wszystkim, co dotąd widział. Był to samogłowiec. Odpoczywał spokojnie w południowym marsjańskim słońcu; pozbawiona ciała głowa, z włosami, uszami, inteligentnymi oczami... - Bóg jeden wiedział, w jaki sposób utrzymywała się przy życiu... w każdym razie Fred wyczuł intuicyjnie, że jest to prawdziwy fenomen.

- Przyjdźcie obejrzeć Orfeusza, głowę bez widocznego ciała! - wołał przez megafon konferansjer, a grupa osadników, złożona głównie z dzieci, oglądała to widowisko w zalęknionym milczeniu. - Jak utrzymuje się przy życiu? Jak się przemieszcza? Pokaż im, Orfeusz! - Konferansjer rzucił w kierunku głowy garść jakichś jadalnych kapsułek - Fred Costner nie widział ich dokładnie - ona zaś otworzyła szeroko przerażająco wielkie usta i wchłonęła większość kasek, które znalazły się w jej zasięgu. Konferansjer zaśmiał się i kontynuował swój monolog. Samogłowiec kołysał się teraz, pracowicie zbierając kaseki, które przeleciały obok niego.

- Jezu! - pomyślał Fred.

- No i co? - spytał Hoagland Rae, który wyrósł nagle obok niego. - Czy widzisz tu jakieś gry, na których moglibyśmy coś zyskać? Czy masz ochotę rzucić w coś piłką do baseballu? - Jego głos przesiąknięty był goryczą. Nie czekając na odpowiedź odszedł zmęczonym krokiem małego, grubego człowieczka, który poniósł zbyt wiele klęsk, zbyt wiele razy został pokonany.

- Chodźmy - powiedział, podchodząc do grupy dorosłych mieszkańców osady. - Zbierajmy się stąd, zanim wdamy się w następną...

- Poczekajcie - zawołał Fred. Czuł już ten zapach, znany, przyjemny zapach. Dochodził on ze straganu stojącego na prawo od niego, więc od razu ruszył w tamtą stronę.

Tęga, szpakowata kobieta w średnim wieku stała przy straganie, w którym rzucało się do celu, trzymając w rękach garść lekkich, wiklinowych kótek.

- Chodzi o to, żeby zarzucić kółko na przedmiot, który jest do wygrania - tłumaczył Hoaglandowi Rae stojący za plecami Freda jego ojciec. - Jeśli zarzucone przez ciebie kółko utrzyma się - dany przedmiot jest twój. - Ruszył w ślad za Fredem w stronę kramu, mrużąc pod nosem: - To chyba wymarzona gra dla kogoś, kto ma zdolności psychokinetyczne. Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Proponuję - powiedział do Freda Hoagland Rae - żebyś tym razem uważniej przyjrzał się nagrodom. Tym przedmiotom, które można wygrać. - Mimo wszystko on również podszedł bliżej.

W pierwszej chwili Fred nie mógł się zorientować, do czego służą bliźniaczo do siebie podobne, estetyczne, skomplikowane, połyskujące metalem urządzenia. Podszedł do straganu i kobieta w średnim wieku zaczęła melodyjnym głosem recytować swój monolog, proponując mu garść kółek. Za dolara lub jego równowartość w produktach, które miała na zbyciu osada.

- Co to jest? - spytał Hoagland, mrużąc oczy. - To chyba... jakieś mechanizmy.

- Wiem, co to jest - odparł Fred. - I musimy o nie zagrać - pomyślał. - Musimy zebrać w osadzie wszystkie towary, które ci ludzie zechcą przyjąć w zamian, wszystkie główki kapusty, kurczęta, owce i wełniane koce. Ponieważ musimy wykorzystać tę szansę. I to bez względu na to, czy generał Wolff o tym wie i czy mu się to spodoba.

- Mój Boże - cicho powiedział Hoagland - to pułapki.

- Zgadza się, proszę pana - śpiewnym głosem zawołała kobieta. - Homeostatyczne pułapki; same wykonują całą pracę i samodzielnie myślą. Trzeba je tylko wypuścić, a one wędrują i wędrują, i nie spoczną, dopóki nie złapią... - Mrugnęła znacząco. - Wie pan czego. Tak, wie pan, co one łapią, mój panie: te małe paskudne stworzonka, których nigdy nie będziecie w stanie wyłapać sami, które zatrują wam wodę, zabijają wasze bydło i doprowadzają do ruiny waszą osadę. Wygrajcie jedną taką pułapkę, cenną, przydatną pułapkę, a sami się przekonacie, sami się przekonacie! - Rzuciła wiklinowe kółko, które niemal osiadło na jednej ze skomplikowanych, lśniących metalicznie pułapek; w istocie zatrzymałoby się na niej, gdyby rzuciła je choć trochę bardziej starannie. Tak przynajmniej się wydawało, i wszyscy tak to odczuli.

- Będziemy potrzebowali co najmniej dwustu takich urządzeń - powiedział Hoagland do Tony'ego Costnera i Boba Turka.

- I w tym celu - odparł Tony - musimy wymienić na bilety wszystko, co mamy. Ale to się opłaci - przynajmniej nie zostaniemy doszczętnie zniszczeni. Zaczynajmy - z błyskiem w oczach zwrócił się do Freda: - Czy potrafisz grać w tę grę? Czy możesz wygrać?

- Chyba... chyba tak - odparł Fred, choć niedaleko od nich stał w pogotowiu któryś z pracowników lunaparku, dysponujący przeciwstawnymi siłami psychokinetycznymi. - Ale ja mam nad nim pewną przewagę - doszedł do wniosku. - Niewielką przewagę.

Można by niemal pomyśleć, że celowo zaaranżowali wszystko właśnie w taki sposób.

Przełożył Michał Ronikier

Chwył reklamowy

(Sales Pitch)

Po długim dniu pracy Ed Morris wracał nareszcie do domu, na Ziemi. Wszystkie pasma trasy Ganimedes - Terra zapchane były statkami kosmicznymi wiozącymi wyczerpanych, ponurych biznesmenów; Jowisz znajdował się w opozycji do Ziemi i przelot trwał dobre dwie godziny. Co parę milionów kilometrów strumień pojazdów zwalniał i powoli się zatrzymywał; błyskały światła sygnałowe pozwalające statkom nadlatującym z Marsa i Saturna włączyć się do ruchu.

- Chryste Panie - mruknął Morris. - Czy można zmęczyć się jeszcze bardziej? - Włączył autopilota i na chwilę odwrócił się od pulpitu, aby zapalić papierosa, którego tak bardzo potrzebował. Ręce mu dygotały, w głowie wirowało. Było już po szóstej; Sally będzie się wściekać, a kolację już pewnie szlag trafił. Ciągłe to samo. Jazda szarpiąca nerwy, ryk klaksonów i widok rozwścieczonych kierowców śmigających obok jego małego stateczku, gwałtownie gestykujących, wrzeszczących, klnących...

No i te reklamy. One były najgorsze. Wszystko by zniósł, ale nie ów sznur reklam ciągnących się przez całą drogę z Ganimedesa na Ziemię. Na Ziemi zaś hordy robohandlarzy; za wiele tego wszystkiego. I nie było przed tym ucieczki.

Zwolnił, by ominąć karambol pięćdziesięciu statków. Dookoła kręciły się jednostki ratownicze, które usuwały wraki. Z głośnika doleciał jęk syreny policyjnej; Morris fachowo poderwał statek, wcisnął się między dwa powolne transporty ciężarowe, wpadł na wolne teraz lewe pasmo i pognął przed siebie, pozostawiając z tyłu karambol i wściekłe klaksony innych kierowców.

- Pozdrawia cię firma Trans-Solar! - ryknął mu w ucho potężny głos. Morris jęknął i skulił się w fotelu. W miarę zbliżania się do Ziemi napór reklam narastał. - Czy codzienne kłopoty powodują u ciebie wzrost wskaźnika napięcia powyżej punktu bezpieczeństwa? W takim razie potrzebny ci aparat Id-Persona. Tak mały, że można go nosić za uchem, w pobliżu płąta czołowego...

Dzięki Bogu, już po wszystkim: reklama ściemniała i pozostała z tyłu za szybko mknącym stateczkiem. Ale zbliżała się już następna.

- Kierowcy! Tysiące niepotrzebnych zgonów na drogach międzyplanetarnych. Kontrola hipnomotoryczna prowadzona przez wyspecjalizowany punkt obserwacyjny zapewni ci bezpieczeństwo. Poddawaj się jej swym ciałem, a uratujesz życie! - Natężenie głosu wzrosło. - Specjaliści twierdzą...

Obie reklamy były tylko foniczne, które łatwiej zignorować. Teraz jednak zaczęła powstawać reklama optyczna. Skrzywił się, zacisnął powieki, ale nic to nie pomogło.

- Mężczyźni! - obłudny głos grzmiał ze wszystkich stron. - Pozbądźcie się na zawsze obrzydliwych zapachów pochodzących z waszego wnętrza. Usunięcie przewodu pokarmowego i wprowadzenie układu zastępczego, a wszystko za pomocą współczesnych bezbolesnych metod, zlikwiduje najpoważniejszą przyczynę ostracyzmu społecznego. - Obraz był już gotowy: rozłożysta naga dziewczyna, włosy blond w nieładzie, niebieskie oczy na wpół zamknięte, usta rozchylone, głowa odrzucona do tyłu w sennej ekstazie. Rysy dziewczyny rozděły się, gdy przybliżyła usta do warg Morrisa. Orgiastyczna rozkosz znikła nagle z jej twarzy; zastąpiły ją niesmak i odraza, po czym cały obraz się rozplynął.

- Czy to ci się zdarza? - dudnił głos. - Czy w czasie gry miłosnej wywołujesz u partnerki uczucie odrazy w wyniku procesów gastrycznych, które...

Głos zamarł; Morris minął już reklamę. Znowu panując nad umysłem kopnął wściekle akcelerator i stateczek skoczył naprzód. Napór reklam, skierowany bezpośrednio na jego mózgowo-środkowe ośrodki wzrokowo-słuchowe, zszedł poniżej zakresu percepcji. Morris jęknął i potrząsnął głową, aby zebrać myśli. Wokół niego migotały i bełkotały niewyraźne, na wpół zdefiniowane echa reklam, niczym duchy odległych wideostacji. Reklamy czyhały po obu stronach trasy; Morris starał się je omijać dzięki instynktowi wykształconemu w wyniku czysto zwierzęcej desperacji, ale nie wszystkich udawało się uniknąć. Ogarnęła go rozpacz. Przed nim zarysowały się już kształty kolejnej reklamy audiowizualnej.

- Hej, panie zarobkowiczu! - ryknęło w uszach, oczach, nosach

i gardłach tysięcy zmęczonych kierowców. – Znudziła ci się praca? Firma „Superelektronik” przygotowała wspaniały dalekosiężny skaner fal myślowych. Dowiedz się, co inni myślą i mówią. Zdobądź przewagę nad kolegami z pracy. Poznaj fakty i liczby dotyczące życia osobistego twojego pracodawcy. Pozbądź się niepewności!

Desperacja ogarnęła Morrisa całkowicie. Wdusił akcelerator; stateczek aż zadygotał wydostając się z pasma ruchu w kierunku martwej strefy. Potworny zgrzyt, gdy zderzak przebijał się przez ścianę ochronną – i reklama została z tyłu.

Zwolnił, dygocąc cały ze zdenerwowania i przemęczenia. Ziemia była już niedaleko. Wkrótce znajdzie się w domu i może choć trochę uda mu się przespać. Drżącymi rękoma nacisnął ster wysokości i przygotował się do zaczepienia o wiązkę kierunkową lądowiska w Chicago.

- Najlepszy na rynku regulator metabolizmu – zapiszczał mu w ucho robohandlarz. – Gwarancja zachowania całkowitej równowagi hormonalnej albo zwracamy pieniądze.

Morris zmęczonym ruchem odepchnął robota z drogi i ruszył chodnikiem w kierunku osiedla, gdzie znajdował się jego dom. Robot poszedł za nim parę kroków, a następnie zapomniał o Morrisie i zaczepił kolejnego przechodnia o ponurej twarzy.

- Wiadomości powinny być zawsze świeże – zadudnił metaliczny głos. – Zainstaluj sobie wideoekran na siatkówce oka. Trzymaj rękę na pulsie świata; nie ograniczaj się do codziennych biuletynów, które są już nieaktualne.

- Zejdź mi z drogi – mruknął Morris. Robot odsunął się, a Morris przeszedł przez jezdnię wraz z grupą przygarbionych mężczyzn i kobiet.

Robohandlarze były wszędzie; gestykulowały, namawiały, piszczaly. Jeden poszedł za nim, więc Morris przyspieszył kroku. Robot jednak nie dawał za wygraną; wyśpiewywał swą reklamę i próbował zwrócić na siebie uwagę – przez całą drogę do domu. Nie odczepił się nawet wtedy, gdy Morris pochylił się, schwycił kamień i rzucił weń, zresztą bezskutecznie. Następnie wpadł do domu i zatrzaskał drzwi za sobą.

Robot zawahał się, a następnie zrobił skręt i pogonił za kobietą, która wspinała się pod górę z naręczem paczek. Próbowła go ominąć, ale bez powodzenia.

- Kochanie! - wykrzyknęła Sally. Wybiegła z kuchni, wycierając dłonie o plastikowe szorty; oczy jej błyszczały podnieceniem. - Och, moje biedactwo! Taki jesteś zmęczony!

Morris ściągnął z siebie płaszcz i kapelusz, po czym pocałował żonę w odkryte ramię. - Co jest na kolację?

Sally podała płaszcz i kapelusz wieszakowi. - Mamy dziś dzikiego bażanta z Urana; twoje ulubione danie.

Morrisowi ślinka napłynęła do ust, a jednocześnie poczuł, że w umęczonym ciele odezwała się resztką energii. - Nie żartujesz? A cóż to za święto, u diabła?

W brązowych oczach żony zabłysło współczucie. - Kochanie, to twoje urodziny; dziś kończysz trzydzieści siedem lat. Zapomniałeś?

- Taak. - Morris uśmiechnął się lekko. - Jasne, zapomniałem. - Wszedł do kuchni. Stół był już nakryty; w filiżankach parowała kawa, a obok stały biały chleb i masło, tłuczone ziemniaki i zielony groszek. - Boziu, naprawdę święto.

Sally nacisnęła guziki na kuchence, z której na stół wysunął się pojemnik z parującym bażantem. - Idź i umyj ręce; możemy już siadać. Pospiesz się, bo ostygnie.

Morris wstawił dłonie do myjni, po czym z zadowoleniem usiadł za stołem. Sally nałożyła delikatnego, wonnego bażanta i oboje zaczęli jeść.

- Sally - zaczął Morris, kiedy już talerze były puste, a on siedział wygodnie w fotelu i sączył kawę. - Ja już dłużej nie mogę. Coś trzeba zrobić.

- Mówisz o dojeżdżaniu do pracy? Szkoda, że nie możesz dostać pracy na Marsie jak Bob Young. Może gdybyś zwrócił się do Komisji Zatrudnienia i wyjaśnił im, jak to całe napięcie...

- Nie chodzi tylko o dojeżdżanie. Są tam. Wszędzie. Czekają na mnie. Cały dzień i całą noc.

- Kto, kochanie?

- Roboty handlarze. Jak tylko ląduję. Roboty oraz audiowizualne reklamy. Dostają się prosto do mózgu. Chodzą za ludźmi aż do śmierci.

- Wiem. - Sally ze współczuciem poklepała go po dłoni. - Kiedy idę po zakupy, łążą za mną całymi stadami. I wszystkie mówią jednocześnie. To naprawdę przerażające - nie można zrozumieć połowy z tego, co mówią.

- Musimy się z tego wyrwać.

- Wyrwać się? - Sally zawahała się. - Co masz na myśli?

- Musimy od nich uciec. One nas niszczą.

Morris pogrzebał w kieszeni i ostrożnie wyciągnął maleńki kawałek metalowej folii. Starannie go rozwinął i wygładził na stole. - Popatrz na to. Krążyło w biurze, między pracownikami. Dotarło do mnie, a ja to zatrzymałem.

- Co to oznacza? - Czoło Sally zmarszczyło się, gdy doczytała do końca. - Posłuchaj, kochanie, myślę, że to nie cała informacja. Tu musiało być coś jeszcze.

- Nowy świat - mówił cicho Morris. - Dokąd one się jeszcze nie dostały. To bardzo daleko, poza Układem Słonecznym. W gwiazdach.

- Proxima?

- Dwadzieścia planet, a połowa zdatna do zamieszkania. I tylko parę tysięcy osób. Rodziny, robotnicy, uczeni, kilka ekip badawczych. Cały teren za darmo, tylko brać.

- Ale tam jest... - Sally skrzywiła się. - Kochanie, tam jest straszny prymityw. Mówią, że tak samo jak w dwudziestym wieku. Wodne klozety, wanny, samochody benzynowe...

- Tak jest. - Morris na powrót zwinął strzęp folii; na jego twarzy malowała się śmiertelna powaga. - Proxima jest sto lat za nami. Nic takiego tam nie ma. - Wskazał kuchenkę i wszystkie urządzenia salonu. - Będziemy się musieli bez tego obejść i przyzwyczać do prostszego życia. Tak jak żyli nasi przodkowie. - Próbował się uśmiechnąć, ale mięśnie twarzy odmówiły posłuszeństwa. - Myślisz, że ci się to spodoba? Żadnych reklam, robohandlarzy, ruch odbywa się z prędkością stu kilometrów na godzinę, a nie stu milionów. Moglibyśmy kupić bilety na któryś z tych wielkich liniowców międzyukładowych. Sprzedałbym swoją rakietę...

Zapadła cisza pełna wahań i wątpliwości.

- Ed - zaczęła Sally - myślę, że powinniśmy to jeszcze rozważyć. Co z twoją pracą? Co ty byś tam robił?

- Coś znajdę.

- Ale co? Nad tym się nie zastanawiałeś? - W jej głosie pojawił się odcień irytacji. - Moim zdaniem trzeba dobrze pomyśleć, zanim się wszystko porzuci i po prostu... odleci.

- Jeśli nie pojedziemy - odparł Morris powoli, usiłując zachować spokój - one nas wykończą. Zostało już niewiele czasu. Nie wiem, jak długo zdołam je powstrzymać.

- Naprawdę, Ed! Zachowujesz się tak melodramatycznie. Jeśli nie czujesz się dobrze, to weź trochę wolnego i zrób sobie całkowity przegląd inhibicyjny. Niedawno oglądałam wideoprogram o tym, jak postawili na nogi człowieka, którego układ psychosomatyczny był w stanie o wiele gorszym niż twój. A facet był starszy od ciebie.

Zerwała się na nogi. - Chodź, wybierzemy się gdzieś w związku z dzisiejszą okazją. Dobrze? - Wąskie palce Sally manipulował przy zamku szortów. - Włożę moją nową plastysuknię, tę, której do tej pory nie odważyłam się nosić.

Jej oczy błyszczały ożywieniem, gdy wchodziła do sypialni. - Wiesz chyba, o której myślę? Kiedy patrzysz z bliska, jest tylko prześwitująca, ale z dalszej odległości robi się coraz bardziej przejrzysta, aż...

- Wiem, o której mówisz - odparł Morris znużonym głosem. - Widziałem ich reklamy po drodze do domu. - Powoli wstał i wszedł do salonu. U drzwi sypialni zatrzymał się. - Sally...

- Tak?

Morris otworzył usta. Chciał znowu ją zapytać, porozmawiać z nią o tym kawałku folii, który starannie zwinął i przyniósł do domu. Chciał pomówić z nią o dalekich szlakach. O Proximie Centauri. O tym, żeby wyjechać i nigdy nie wrócić. Ale los nie dał mu tej szansy.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

- Ktoś jest za drzwiami! - zawołała Sally, podekscytowana. - Szybko zobacz, kto przyszedł!

W mroku wieczora robot prezentował się jako milcząca, nieruchoma sylwetka. Zimny wiatr owiewał ją i wpadał do wnętrza domu. Morris zadygotał i odsunął się od drzwi. - Czego chcesz? - zapytał ostro. Przejął go jakiś dziwny strach. - O co chodzi?

Robot był większy niż wszystkie inne, jakie do tej pory widział.

Wysoki i szeroki, z ciężkimi metalowymi uchwytami i wydłużonymi sensorami optycznymi. Tułów miał kanciasty, nie jak zwykle stożkowaty, wsparty na czterech gąsienicach, nie na dwóch. Wzrostem przewyższał Morrisa; musiał mieć ponad dwa metry. Był masywny i solidny.

- Dobry wieczór - przemówił ze spokojem. Jego głos, smagany wiatrem, mieszał się z ponurymi dźwiękami wieczora, echem ruchu pasażerskiego i brzękiem odległych sygnałów ulicznych. W mroku widać było kilka niewyraźnych kształtów. Cały świat wyglądał ponuro i wrogo.

- Wieczór - odrzekł automatycznie Morris. Stwierdził, że drży. - Co sprzedajesz?

- Chcę zademonstrować panu casrada - oświadczył robot.

Umysł Morrisa był jak otępiały; całkowicie odmówił posłuszeństwa. Cóż to takiego, ten casrad? Działo się coś nierzeczywistego, koszmarnego. Z wysiłkiem zespolił w jedno ciało i umysł.

- Co takiego? - wycharczał.

- Casrada. - Robot nie zadał sobie wysiłku, by wytłumaczyć. Przyglądał się Morrisowi beznamiętnie, jak gdyby wcale nie musiał niczego objaśniać. - To zajmie tylko chwilę.

- Ja... - zaczął Morris. Cofnął się przed wiatrem. Robot zaś, nadal obojętny, przejechał obok niego do wnętrza domu.

- Dziękuję - odezwał się, stanąwszy pośrodku salonu. - Czy może pan poprosić żonę? Jej również chciałbym pokazać casrada.

- Sally - mruknął bezsilnie Morris - chodź tutaj.

Sally wbiegła bez tchu do salonu; jej piersi falowały z ożywienia. - O co chodzi? Och! - Spostrzegła robota i zatrzymała się niepewnie. - Ed, czy coś zamawiałeś? Kupujemy coś?

- Dobry wieczór - odezwał się do niej robot. - Za chwilę zademonstruję państwu casrada. Proszę usiąść na kanapie, jeśli można prosić. Oboje.

Sally usiadła, cała spięta; jej policzki zaróżowiły się, a oczy zabłyśły zdziwieniem i zachwytem. Ed, otępiały, usiadł obok niej. - Posłuchaj - mruknął ochryple - cóż to, u diabła, jest casrad? O co tu chodzi? Ja nic nie chcę kupować!

- Jak się pan nazywa? - zapytał robot.

- Morris. - Omal się zakrztusił. - Ed Morris.

Robot zwrócił się do Sally. - Pani Morris. - Skłonił się lekko. - Bardzo mi miło państwa poznać, pani i panie Morris. Państwo pierwsi w tej okolicy mają okazję zobaczyć casrada. To pierwsza prezentacja na tym terenie. - Chłodnymi oczami powiódł po otoczeniu. - Panie Morris, rozumiem, że pan pracuje. Gdzie jest pan zatrudniony?

- On pracuje na Ganimesesie - odrzekła Sally rzeczowo, niczym mała dziewczynka w szkole. - Zatrudnia go Terrańska Spółka Badań Metali.

Robot zastanowił się nad tą informacją. - Casrad się panu przyda. - Spojrzał na Sally. - A co pani robi?

- Spisuję taśmy w Zakładzie Badań Historycznych.

- Casrad nie pomoże pani w pracy, ale bardzo przyda się w domu. - Robot uniósł stół potężnymi chwyதாகami. - Na przykład czasem niezdarne goście demolują nam ulubiony mebel. - Robot roztrzaskał stół na kawałki; posypały się plastikowe i drewniane szczątki. - I wtedy potrzebny jest casrad!

Morris bezsilnie zerwał się na nogi. Nie czuł się na siłach, by zapobiec rozwojowi wypadków; odczuwał wielką ociężałość patrząc, jak robot odrzuca resztki stołu i bierze solidną lampę stojącą.

- Ojej - westchnęła Sally. - Moja najlepsza lampa.

- Kiedy casrad jest w domu, nie ma się czego obawiać. - Robot ścisnął lampę i skręcił ją groteskowo. Zdarł abażur, roztrzaskał żarówki, po czym odrzucił na bok resztki. - Podobna sytuacja może zaistnieć po jakiejś gwałtownej eksplozji, na przykład bomby wodorowej.

- Na litość boską - jęknął Morris - my...

- Wybuch termojądrowy może nigdy nie nastąpić - kontynuował robot - ale gdyby nastąpił, casrad okazałby się niezbędny. - Robot ukląkł i gdzieś z okolicy pasa wyciągnął rurkę o skomplikowanym wyglądzie, po czym za jej pomocą wypalił w podłodze ziejącą czeluść o średnicy półtora metra. Następnie cofnął się o krok. - Nie poszerzałem dalej tego otworu - oświadczył - ale widzicie teraz państwo, że casrad może wam uratować życie w przypadku ataku.

Słowo „atak” najwyraźniej skierowało metalowy mózg na nowy tor.

- Czasem ktoś zostanie zaatakowany w nocy przez złodzieja czy bandytę - ciągnął robot. Bez ostrzeżenia obrócił się gwałtownie i walnął

pięścią w ścianę, przebijając ją na wylot. Kawał muru odpadł i rozsypał się w stos gruzu. – I już po bandycie. – Robot wyprostował się i rozejrzał po pokoju. – Czasem jest pani wieczorem zbyt zmęczona, by nacisnąć guzik na kuchence. – Wymaszerował do kuchni i zaczął naciskać wyłączniki piecyka; potworne ilości różnych potraw rozleciały się we wszystkie strony.

- Przestań! – wykrzyknęła Sally. – Odejdź od mojej kuchenki!

- Może zmęczenie nie pozwoli pani puścić wody w wannie. – Robot trzasnął w kurek i poląła się woda. – Albo zechce pani od razu udać się do łóżka. – Wyszarpnął łóżko z niszy w ścianie i rzucił je na płask. Sally cofnęła się, gdy ruszył w jej kierunku. – Często po męczącym dniu nie chce się nawet pani rozebrać. W takim wypadku...

- Wynoś się stąd! – wrzasnął Morris na robota. – Sally, biegnij i wezwij gliny. Ta maszyna oszalała. Pośpiesz się!

- Casrad jest koniecznością we wszystkich nowoczesnych domach – kontynuował robot. – Na przykład psuje się jakieś urządzenie, które casrad natychmiast naprawia. – Schwycił automatyczny regulator wilgotności, wydarł ze środka wszystkie obwody, po czym odstawił regulator na miejsce. – Czasem nie chce się panu iść do pracy. Casrad ma prawo zastąpić pana przez okres do dziesięciu dni na raz. Jeśli po tym czasie...

- Mój Boże – jęknął Morris, gdy nareszcie pojął. – To ty jesteś tym casradem.

- Słusznie – zgodził się robot. – Całkowicie Automatyczny Samo Regulujący się Android Domowy. Poza tym istnieje jeszcze casrab (Budowlany), casrak (Kierowniczy), casraw (Wojskowy) i casrap (Prawny). Ja zostałem zaprojektowany do użytku domowego.

- Ty... – Sally zakrztusiła się – ty jesteś na sprzedaż. Sprzedajesz sam siebie.

- Prezentuję swoje możliwości – odparł casrad, robot. Jego beznamiętne metalowe oczy utkwione były w Morrisa, gdy kontynuował: – Jestem pewien, panie Morris, że chciałby pan mnie posiadać. Moja cena jest niewysoka i zaopatrzone mnie w gwarancję niezawodności, a także w instrukcję obsługi. Po prostu trudno mi sobie wyobrazić, że mógłby pan odpowiedzieć „nie”.

O wpół do pierwszej Ed Morris nadal siedział w nogach łóżka, trzymając w dłoni jeden but, z drugim jeszcze na nodze. Patrzył przed siebie niewidzącymi oczyma i nic nie mówił.

- Na litość boską - poskarżyła się Sally - skończ już odwiązywać ten supeł i włącz do łóżka; jutro musisz wstać o wpół do szóstej.

Morris nadal gmerał przy sznurowadle. Po chwili odrzucił zdjęty już but i szarpnął za drugi. Dom był zimny i milczący. Na zewnątrz ponury wiatr nocny gwał i smagał cedry rosnące wzdłuż ścian budynku. Sally leżała skulona pod emiterem podczerwieni, z papierosem w ustach, rozkoszując się ciepłem i na wpół drzemiąc.

W salonie stał casrad. Nie poszedł sobie. Nadal czekał, aż Morris go kupi.

- No pomyśl! - odezwała się ostro Sally. - Co się z tobą dzieje? On naprawił wszystko, co zniszczył; to była po prostu demonstracja. - Westchnęła sennie. - Oczywiście, że mnie przestraszył. Myślałam, że coś się w nim popsło. To znakomity pomysł: wysłać roboty, by same się sprzedawały.

Morris milczał.

Sally przekręciła się na brzuch i powoli zdusiła papierosa. - To niewiele, prawda? Dziesięć tysięcy sztuk złota, a jeśli namówimy kogoś z naszych znajomych, dostaniemy pięć procent prowizji. A wystarczy tylko go pokazać; wcale nie trzeba sprzedawać. One same się sprzedają. - Zachichotała. - Zawsze mówili, że idealny produkt sam się sprzedaje, nie?

Morris rozplątał w końcu supeł na sznurowadle. Ponownie włożył but na nogę i zawiązał.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała gniewnie Sally. - Chodź do łóżka! - Usiadła, wściekła, gdy Morris wyszedł z pokoju i ruszył powoli korytarzem. - Dokąd się wybierasz?

W salonie Morris włączył światło i usiadł frontem do casrada. - Słyszysz mnie? - zapytał.

- Oczywiście - odparł robot. - Nigdy się nie wyłączam. Czasem konieczność działania występuje w nocy: zachoruje dziecko albo wydarzy się jakiś wypadek. Na razie jeszcze nie macie dzieci, ale w końcu...

- Zamknij się - przerwał Morris. - Nie mam ochoty cię słuchać.

- Zadał mi pan pytanie. Samoregulujące się androidy mają łączność z centralną bazą danych. Czasem ktoś potrzebuje natychmiastowej informacji; casrad zawsze jest gotów odpowiedzieć na każde pytanie teoretyczne lub praktyczne. Byle nie metafizyczne.

Morris wziął instrukcję obsługi i przekartkował ją. Casrad potrafił mnóstwo rzeczy, nigdy się nie męczył, nic go nie zaskakiwało, nie był w stanie zrobić błędu. Morris odrzucił instrukcję. - Nie mam zamiaru cię kupować - powiedział do casrada. - Nigdy. Nawet za milion lat.

- Och, ależ pan kupi - sprostował casrad. - To okazja, jakiej nie może pan przepuścić. - W jego głosie pobrzmiwało spokojne, metaliczne przeświadczenie. - Nie może mnie pan odrzucić, panie Morris. Casrad jest absolutną koniecznością w nowoczesnym domu.

- Wynoś się stąd - powiedział spokojnie Morris. - Wynoś się z mojego domu i nie wracaj.

- Nie jestem pańskim casradem i nie może mi pan wydawać rozkazów. Dopóki mnie pan nie kupi za cenę katalogową, jestem posłuszny tylko mojemu producentowi. Ich zaś instrukcje przewidują, że mam z panem pozostać, dopóki pan mnie nie kupi.

- A jeśli nigdy cię nie kupię? - rozdrażnił się Morris, ale już w momencie pytania do jego serca zakradł się chłód. Już odczuwał grozę odpowiedzi, jaka za chwilę miała paść; nie mogło być innej.

- Pozostanę z panem - odrzekł casrad. - W końcu kiedyś mnie pan kupi. - Z wazonu na kominku wyjął jakieś zeschnięte róże i wrzucił je do własnego pojemnika na odpadki. - Napotka pan coraz więcej sytuacji, w jakich casrad jest niezbędny. W końcu sam się pan będzie dziwił, jak pan w ogóle żył dotąd bez casrada.

- Czy jest coś, czego nie potrafisz?

- Och, tak; jest mnóstwo rzeczy, jakich nie potrafię. Ale umiem robić wszystko, co pan robi - i to znacznie lepiej.

Morris odetchnął powoli. - Byłbym szalony, gdybym cię kupił.

- Musi mnie pan kupić - odparł beznamiętny głos. Casrad wysunął wydrażoną rurę i zaczął odkurzać dywan. - Jestem przydatny we wszystkich sytuacjach. Proszę zwrócić uwagę, jaki ten dywan jest teraz czysty i puszysty. - Casrad schował rurę i wysunął inną. Morris zakasłał i szybko się odsunął; z rury buchnęły obłoki białych cząstek i wypełniły cały pokój.

- To środek na mole - wyjaśnił casrad.

Biała chmura przeszła w ponury, ciemnoniebieski opar. W pokoju zapanował złowieszczy mrok; widać tylko było niewyraźny kształt poruszającego się casrada. Po chwili chmura ustąpiła i pojawiły się meble.

- Zrobiłem odkażenie przeciw bakteriom - rzekł casrad.

Pomalował ściany pokoju i zbudował dostosowane do nich meble. Wzmocnił strop w łazience. Poprawił wentylację kuchenki. Założył nową instalację elektryczną. Wyrzucił wszystkie urządzenia mechaniczne w kuchni pani Morris i zmontował nowe, o wiele nowocześniejsze. Sprawdził rachunki Morrisa i przygotował mu zeznanie podatkowe. Zatemperował wszystkie ołówki; schwycił Morrisa za przegub i szybko stwierdził, że ma podwyższone ciśnienie krwi na tle psychosomatycznym.

- Poczuję się pan o wiele lepiej, gdy przekaże mi pan całą odpowiedzialność - wyjaśnił. Wyrzucił kilka starych zup w torebkach, jakie przechowywała Sally. - Niebezpieczeństwo zatrucia - wyjaśnił. - Pańska żona jest seksualnie atrakcyjna, ale niezdolna do bardziej złożonych działań intelektualnych.

Morris podszedł do wieszaka i wziął płaszcz.

- Dokąd pan idzie? - zapytał casrad.

- Do pracy.

- O tej porze nocy?

Morris spojrzał przelotnie na sypialnię. Sally spała twardo pod uspokajającym promiennikiem. Jej szczupłe ciało było różowe i zdrowe, na twarzy nie malowała się żadna troska. Zamknął frontowe drzwi i zbiegł po schodkach w ciemność. Zimny nocny wiatr smagał go, gdy zbliżał się do parkingu. Jego mały stateczek stał obok setek innych; za pomocą monety udało mu się skłonić obsługującego parking robota, by go przyprowadził.

Po dziesięciu minutach Morris był już w drodze na Ganimesesa.

Casrad wszedł do statku Morrisa, gdy ten zatrzymał się na Marsie, by zatankować.

- Pan mnie wyraźnie nie zrozumiał - stwierdził robot. - Instrukcje, jakie otrzymałem, przewidują, że mam panu demonstrować siebie aż

do chwili, gdy będzie pan w pełni usatysfakcjonowany. Na razie nie przekonał się pan jeszcze; potrzebna jest dalsza prezentacja. – Casrad rozciągnął misterną sieć nad sterami statku, aż wszystkie wskazówki i liczniki były w pełni skoordynowane. – Powinien pan częściej dawać statek do przeglądu.

Przesunął się na tył, żeby obejrzeć silniki. Morris tępo dał znak obsługującemu i statek wysunął się z uchwytów pompy paliwowej. Nabrał szybkości i piaszczysta planeta została z tyłu. W przedzie pojawił się Jowisz.

- Silniki są w złym stanie – oświadczył casrad wróciwszy z tylnej części statku. – Nie podoba mi się ten stukot w głównym układzie hamowania. Gdy tylko wylądujemy, zrobię większy remont.

- Twoja firma nie ma nic przeciwko temu, że robisz to wszystko dla mnie? – zapytał Morris z gorzką ironią.

- Firma uważa mnie za pańskiego casrada. Pod koniec miesiąca otrzyma pan fakturę. – Robot wyciągnął pióro i plik formularzy. – Wyjaśnię panu cztery sposoby płatności. Przy zapłacie gotówką dziesięciu tysięcy sztuk złota otrzyma pan trzy procent zniżki. Ponadto może pan odsprzedać wiele sprzętów domowych, których nie będzie pan już potrzebował. Jeśli chce pan podzielić należność na cztery raty, pierwszą należy uiścić od razu, a ostatnią w ciągu dziewięćdziesięciu dni.

- Zawsze płacę gotówką – mruknął Morris. Starannie ustawiał nowe położenie sterów.

- Dziewięćdziesięciodniowy kredyt nie jest oprocentowany. Kredyt sześciomiesięczny wymaga dopłaty sześcioprocentowej w stosunku rocznym, co w sumie wyniesie około... – Casrad przerwał. – Zmieniliśmy kurs.

- Słusznie.

- Opuściliśmy dozwolone pasmo ruchu. – Casrad odłożył pióro i dokumenty, po czym pospieszył do pulpitu sterowniczego. – Co pan wyprawia? Za to jest kara dwóch sztuk złota.

Morris zignorował to. Przywarł uporczywie do sterów i wpatrywał się w ekran. Statek gwałtownie nabierał szybkości. Boje ostrzegawcze zabuczały nań gniewnie, gdy śmignął obok nich i runął w czerń Kosmosu. Po kilku sekundach ucichły wszelkie odgłosy ruchu. Byli

sami, szybko oddalając się od Jowisza, pędząc w głąb przestrzeni kosmicznej.

Casrad obliczył trajektorię. - Opuszczamy Układ Słoneczny. Lecimy do Centaura.

- Odgadłeś.

- Może zawiadomiłby pan swoją żonę?

Morris mruknął i przesunął dźwignię ciągu jeszcze bardziej do przodu. Statek zadygotał i zakołysał się, ale w końcu się wyprostował. Rozległo się wycie dysz odrzutu. Zegary pokazywały, że główne turbiny zaczynają się przegrzewać. Zignorował je i włączył dodatkowy dopływ paliwa.

- Połączę się z panią Morris - zaproponował casrad. - Niedługo będziemy poza zasięgiem fal radiowych.

- Nie rób sobie kłopotu.

- Ona będzie się martwić. - Casrad pospieszył na tył statku i znowu przyjrzał się silnikom. Wpadł do kabiny cały w nerwach. - Panie Morris, ten statek nie jest przystosowany do lotów międzyukładowych. To czterosilnikowy model klasy D, przeznaczony tylko do użytku domowego. Nie został zaprojektowany na taką szybkość.

- Taka szybkość - odrzekł Morris - jest nam potrzebna, aby dotrzeć na Proximę.

Casrad podłączył własne przewody do pulpitu sterowniczego. - Mogę trochę odciążyć obwody. Ale jeśli nie zmniejszy pan prędkości, nie mogę być odpowiedzialny za stan silników.

- Do cholery z silnikami.

Casrad milczał. Pilnie wsłuchiwał się w narastające pod nimi wycie. Cały statek zatrzęsł się gwałtownie. W powietrzu zamigotały łuski zdartej farby. Podłoga była rozpalona od nagranych dysz. Morris nadal wciskał akcelerator. Kiedy Słońce pozostało w tyle, statek nabrał jeszcze większej prędkości. Znaleźli się już poza oznaczonymi regionami; Słońce szybko malało.

- Już za późno, aby połączyć się z pańską żoną - stwierdził casrad. - W przedziale rufowym są trzy rakiety sygnalizacyjne; jeśli pan chce, wystrzelę je w nadziei zwrócenia uwagi przelatującego transportowca wojskowego.

- Po co?

- Wezmą nas na hol i odwiozą do Układu Słonecznego. Za to trzeba zapłacić sześćset sztuk złota kary, ale w tych okolicznościach wydaje mi się to najlepsze.

Morris odwrócił się tyłem do casrada i wduśił z całej siły akcelerator. Wycie przeszło we wściekły ryk. Instrumenty zaczęły pękać i rozpadać się. Na całym pulpicie przepaliły się bezpieczniki. Światła ściemniały, zgasły, potem, jakby z ociąganiem, zapaliły się znowu.

- Panie Morris - powiedział casrad - musi się pan przygotować na śmierć. Prawdopodobieństwo statystyczne wybuchu turbin jest jak siedemdziesiąt do trzydziestu. Zrobię, co będę mógł, ale punkt krytyczny został już przekroczony.

Morris powrócił do ekranu. Przez chwilę patrzył uporczywie na rosnący punkt - podwójną gwiazdę Centaura. - Ładnie wyglądają, prawda? Proxima jest ważniejsza. Dwadzieścia planet. - Spojrzał na dziko skaczące wskaźniki. - Jak się trzymają silniki? Z tego nic się nie dowiem; większość instrumentów już nie działa.

Casrad zawahał się. Chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. - Pójdę na tył je obejrzeć - rzekł i zniknął w dudniącym, wibrującym przedziale silnikowym.

Morris pochylił się i zdusił papierosa. Odczekał jeszcze chwilę, następnie wyciągnął rękę i szarpnął dźwignię pędu do końca.

Eksplozja rozdarła statek w połowie. Wokół Morrisa latały fragmenty kadłuba. Jakaś siła uniosła go i rzuciła o pulpit. Z góry leciały odłamki metalu i plastyku. Błyskające skry zamigotały, zgasły i z góry opadał już tylko zimny popiół.

Stłumiony syk zapasowych pomp powietrznych sprawił, że Morris odzyskał świadomość. Leżał przywalony resztkami pulpitu sterowniczego; jedna ręka była złamana i podwinięta pod tułów. Próbował poruszyć nogami, ale nie miał czucia poniżej pasa.

Potrzaskane szczątki jego statku nadal pędziły ku Centaurowi. Zespoły uszczelniające daremnie starały się załatać otwory w kadłubie. Automatyczne regulatory temperatury i ciążenia pracowały na najwyższych obrotach, zasilane własnymi bateriami. Na ekranie wielki płonący ogrom bliźniaczych słońc rósł cicho i nieubłaganie.

Był zadowolony. W ciszy zniszczonego statku leżał pogrzebany pod

szczętkami urządzeń, z wdzięcznością patrząc na powiększający się ogrom. Był to piękny widok. Od dawna chciał go ujrzeć. I oto był przed nim, z każdą chwilą coraz bliżej. Za dzień czy dwa statek runie w płonącą masę i ulegnie zagładzie. Ale Morris mógł cieszyć się czasem, który mu jeszcze pozostał; nic nie zakłócało jego błogości.

Pomyślał o Sally, twardo śpiącej pod promiennikiem. Czy spodobałaby się jej Proxima? Zapewne nie. Pewnie chciałyby jak najprędzej wrócić do domu. Tym widokiem musiał się cieszyć sam. Był on tylko dla niego. Zaczął doświadczać wielkiego spokoju. Mógł leżeć w bezruchu, a płomienny majestat był coraz bliżej...

Jakiś dźwięk. Coś się unosiło ze stosów popalonych urządzeń. Pokręcony, powyginany kształt, niejasno widoczny w migotliwym blasku ekranu. Morris zdołał odwrócić głowę.

Casrad z trudem stanął w pozycji wyprostowanej. Większość jego tułowia odpadła, potrzaskana. Robot zachwiał się i padł do przodu z przeraźliwym łoskotem. Powoli podczołgał się bliżej i zatrzymał. Zgrzytliwie zaterkotały kółka. Trzasnęły przekaźniki. Bezkształtne, bezcelowe istnienie ożywiało ten zniszczony kadłub.

- Dobry wieczór - zapiszczał metaliczny głos.

Morris zaczął wrzeszczeć. Chciał poruszyć ciałem, ale pogięte sztaby trzymały go mocno. Charczał i krzyczał, i próbował odsunąć się dalej. Pluł, jęczał i płakał.

- Chciałbym zademonstrować panu casrada - kontynuował mechaniczny głos. - Czy może pan poprosić żonę? Jej również chciałbym pokazać casrada.

- Odejdź! - wrzasnął Morris. - Odejdź ode mnie!

- Dobry wieczór - ciągnął casrad niczym zapętlona taśma. - Dobry wieczór. Proszę usiąść. Miło mi państwa poznać. Państwo pierwsi w tej okolicy mają okazję zobaczyć casrada. Gdzie jest pan zatrudniony?

Martwe soczewki patrzyły na niego, nie widząc.

- Proszę usiąść - powtórzył. - To zajmie tylko chwilę. Tylko chwilę. Ten pokaz zajmie tylko...

Przełożył Wiktor Bukato

Majstersztyk **(*Precious Artifact*)**

Pod kopterem Milta Biskle'a rozpościerały się żyzne od niedawna ziemie. Zrobił dobrą robotę w tej strefie Marsa, znów zielonej, odkąd odtworzył starożytną sieć nawadniającą. Wiosna – dwie wiosny rocznie przysły do tego jesiennego świata piasku i skaczących ropuch, świata wyschniętej spękanej ziemi i pyłu minionych czasów, ponurych i bezwodnych ugorów.

Już niedługo pojawią się pierwsi przybysze z Ziemi, obejmą swoje nadziei i przystąpią do pracy. On swoje zrobił. Może wróci na Ziemię albo sprowadzi rodzinę tutaj wykorzystując prawo pierwszeństwa – należało mu się to jako inżynierowi rekonstrukcji. Strefa Żółta znacznie wyprzedziła strefy wszystkich innych inżynierów i teraz przyszedł czas nagrody.

Milt Biskle wyciągnął rękę i wcisnął klawisz długodystansowego przekaźnika.

- Tu rekonstruktor Strefy Żółtej – zgłosił się. – Potrzebuję psychiatry. Wszystko jedno jakiego, byle szybko.

Kiedy Milt Biskle wszedł do gabinetu, doktor DeWinter wstał i wyciągnął rękę na powitanie.

- Słyszałem – powiedział – że ze wszystkich przeszło czterdziestu inżynierów rekonstrukcji pan okazał się najbardziej twórczy. Nic dziwnego, że jest pan wyczerpany. Nawet Bóg musiał odpocząć po sześciu dniach takiej pracy, a pan to robił przez lata. Czekać na pańskie przybycie otrzymałem z Ziemi wiadomości, które pana zainteresują – powiedział biorąc z biurka biuletyn.

- „Pierwszy transport osadników przybywa na Marsa...” i tak dalej. Zostaną skierowani do pańskiego sektora. Gratulacje, panie Biskle.

- A gdybym tak wrócił na Ziemię? – spytał Milt Biskle.

- Ale jeżeli chce pan tu objąć nadziei dla swojej rodziny...

- Chcę, żeby pan coś dla mnie zrobił – powiedział Milt. – Ja jestem zbyt zmęczony, żeby... – tu zrobił gest ręką. – Albo może przygnębiony. W każdym razie chciałbym, żeby pan załatwił umieszczenie moich

rzeczy łącznie z moim doniczkowym wugiem na pokładzie transportowca wracającego na Ziemię.

- Sześć lat pracy - powiedział DeWinter. - A teraz chce pan zrezygnować z nagrody. Byłem niedawno na Ziemi i wszystko jest tam tak, jak pan pamięta...

- Skąd pan wie, jak ja to pamiętam?

- Powinienem raczej powiedzieć - poprawił się gładko DeWinter - że wszystko jest tam, jak było. Przeludnienie, ciasne komunalne mieszkania z jedną małą kuchnią na siedem rodzin. Autostrady tak zatłoczone, że przed jedenastą nie można ruszyć z miejsca.

- Dla mnie - powiedział Milt Biskle - przeludnienie będzie atrakcją po sześciu latach spędzonych w towarzystwie automatów. - Zdecydował się. Mimo tego wszystkiego, czego dokonał tutaj, a może właśnie dlatego, postanowił wracać. Bez względu na argumenty psychiatry.

Doktor DeWinter mruzczał pod nosem.

- A jeśli pańska żona i dzieci znajdują się w tym pierwszym transporcie? - Raz jeszcze podniósł biuletyn ze swojego uporządkowanego biurka i zaczął go przeglądać. - Biskle Fay, Biskle Laura, Biskle June. Kobieta i dwoje dzieci. Czy to pańska rodzina?

- Tak - przyznał Milt drewnianym głosem patrząc wprost przed siebie.

- Sam pan widzi, że nie może pan wracać na Ziemię. Niech pan lepiej założy włosy i przygotuje się na spotkanie ich na Lotnisku Numer Trzy. I niech pan wymieni zęby. Teraz ma pan stalowe.

Dotkliwie zawiedziony Biskle kiwnął głową. Jak wszyscy Ziemianie stracił zęby i włosy na skutek opadu radioaktywnego w czasie wojny. W swojej codziennej samotnej pracy nad rekonstrukcją Strefy Żółtej Marsa nie korzystał z kosztownej peruki przywiezionej z Ziemi, co zaś do zębów, to uważał, że szczeka z nierdzewnej stali jest znacznie wygodniejsza niż plastikowa w kolorze naturalnym. Dowodziło to, jak bardzo oddalił się od współzycia z ludźmi. Poczul się lekko zawstydzony; doktor DeWinter miał rację.

Poczucie wstydu towarzyszyło mu od czasu zwycięstwa nad Proxmenami. Ta wojna budziła w nim sprzeciw; nie mógł się pogodzić z tym, że jedna z dwóch współzawodniczących ras musiała zginąć,

skoro obie miały uzasadnione potrzeby.

To właśnie Mars był źródłem konfliktu. Obie cywilizacje potrzebowały go jako kolonii dla umieszczenia nadmiaru ludności. Dzięki Bogu w ostatnim roku wojny Ziemia uzyskała przewagę techniczną i teraz nie Proxmeni, a on i inni Ziemianie przywracali Marsa do stanu używalności.

- Nawiasem mówiąc - odezwał się DeWinter - przypadkiem wiem o pańskim planowanym wystąpieniu na forum inżynierów rekonstrukcji.

Milt Biskle spojrzał na doktora.

- Prawdę mówiąc - powiedział DeWinter - wiemy, że właśnie teraz zebrali się w Strefie Czerwonej, żeby wysłuchać pańskiej relacji. - Z szuflady biurka doktor wyjął jojo, wstał i z wielką wprawą zaczął wykonywać figurę zwaną „wyprowadzaniem psa”. - Pańskiego paranoicznego wystąpienia o tym, że coś jest nie w porządku, chociaż nie potrafi pan dokładnie stwierdzić, o co chodzi.

- To jest zabawka popularna w układzie Proximy - powiedział Biskle.

- Tak w każdym razie przeczytałem w jednym z artykułów.

- Hmm. O ile wiem, pochodzi ona z Filipin. - Doktor DeWinter zamyślił się robiąc „dookoła świata”. Wychodziło mu znakomicie. - Pozwoliłem sobie przestać na to zebranie inżynierów rekonstrukcji ekspertyzę na temat pańskiego stanu psychicznego. Z przykrością stwierdzam, że zostanie ona tam odczytana publicznie.

- Nadal zamierzam powiedzieć tam swoje - stwierdził Biskle.

- No cóż, widzę pewną możliwość kompromisu. Niech pan przywita swoją rodzinę, kiedy ta przybędzie na Marsa, a potem zorganizujemy panu wycieczkę na Ziemię. Na pański koszt. W zamian za to pan zgodzi się nie występować na zebraniu inżynierów rekonstrukcji i nie obciążać ich w żaden sposób swoimi mglistymi podejrzeniami. - DeWinter wpatrywał się w niego z napięciem. - Ostatecznie jest to krytyczna chwila, przybywają pierwsi osadnicy. Nie chcemy tu awantur, nie chcemy nikogo straszyć.

- Może pan coś dla mnie zrobić? - spytał Biskle. - Niech mi pan pokaże, że ma pan perukę. I sztuczną szczękę. Tak, żebym miał pewność, że jest pan Ziemianinem.

Doktor DeWinter przekrzywił perukę i wyłuskał z ust sztuczną szczękę.

- Przyjmuję pańską propozycję - powiedział Milt Biskle. - Jeżeli dopilnuje pan, żeby moja żona dostała nadział, który dla niej wybrałem.

Skinąwszy głową DeWinter pchnął w jego stronę małą białą kopertę.

- Tu jest pański bilet. Powrotny, oczywiście.

Mam nadzieję, pomyślał Biskle biorąc bilet. Ale to zależy od tego, co zobaczą na Ziemi. Lub raczej od tego, co pozwolą mi tam zobaczyć.

Miał przeczucie, że pozwolą mu zobaczyć bardzo niewiele. Tak mało, jak to tylko będzie w proxmeńskiej mocy.

Kiedy jego statek wylądował na Ziemi, czekała na niego przewodniczka w eleganckim uniformie.

- Pan Biskle? - Szczupła, urodziwa i nieprzyzwoicie młoda, podeszła do niego energicznie. - Nazywam się Mary Ableseth, jestem pańską przewodniczką z biura podróży Tourplan. Pokażę panu planetę podczas pańskiego krótkiego pobytu. - Uśmiechnęła się promiennie i bardzo profesjonalnie, aż go odrzuciło. - Będę panu towarzyszyć w dzień i w nocy.

- W nocy też? - zdołał wyjąkać.

- Tak, panie Biskle. To mój zawód. Spodziewamy się, że może pan się czuć zagubiony po latach pracy na Marsie... pracy, którą my na Ziemi cenimy i podziwiamy tak, jak na to zasługuje. - Poszła obok niego kierując go w stronę zaparkowanego koptera. - Od czego chciałby pan zacząć? Nowy Jork? Broadway? Nocne kluby, teatry, restauracje...

- Nie, do Central Parku. Posiedzieć na ławce.

- Central Parku już nie ma, panie Biskle. Został zmieniony w parking rządowy, kiedy był pan na Marsie.

- Rozumiem - powiedział Milt Biskle. - W takim razie Portsmouth Square w San Francisco. - Otworzył drzwiczki koptera.

- To też jest teraz parking - powiedziała miss Ableseth potrząsając lśnącymi rudymi włosami. - Mamy tu takie diabelne przeludnienie. Może pan spróbuje czegoś innego. Zostało jeszcze kilka parków, zdaje się, że jest coś w Kansas i dwa w Utah, na południe, koło St. George.

- To zła wiadomość - powiedział Milt. - Czy możemy się zatrzymać przy automacie z amfetaminą? Muszę zażyć coś pobudzającego, żeby się podreperować.

- Oczywiście - powiedziała miss Ableseth wdzięcznie skłaniając głowę.

Milt Biskle podszedł do pobliskiego automatu ze środkami pobudzającymi, wyjął z kieszeni dziesiątkę i wrzucił ją do otworu automatu.

Moneta przeleciała przez automat i z brzękiem upadła na chodnik.

- Dziwne - mruknął zaskoczony Biskle.

- Chyba wiem, o co chodzi - powiedziała miss Ableseth. - Ma pan marsjańskie monety przystosowane do mniejszej grawitacji.

- Hmm - mruknął Milt Biskle podnosząc monetę. Jak przewidywała miss Ableseth, czuł się zdezorientowany. Patrzył, jak ona wrzuca swoją monetę i wyjmuje fiolkę z pastylkami amfetaminy. Jej wyjaśnienie brzmiało sensownie, a jednak...

- Mamy teraz ósmą wieczór czasu lokalnego - powiedziała miss Ableseth - a ja nie jadłam jeszcze kolacji, choć pan pewnie jadł na pokładzie. Może mnie pan zaprosi na kolację? Moglibyśmy porozmawiać przy butelce pinot noir o tych niejasnych podejrzeniach, które sprowadziły pana na Ziemię. Że dzieje się coś bardzo niedobrego i że cała wspaniała praca nad rekonstrukcją Marsa nie ma sensu. Chętnie bym o tym posłuchała. - Skierowała go do koptera i wcisnęli się razem na tylne siedzenie. Milt Biskle stwierdził, że jego towarzyszka jest ciepła, przymilna i zdecydowanie ludzka. Poczł zażenowanie, serce waliło mu jak przy Bóg wie jakim wysiłku. Od dawna nie był tak blisko kobiety.

- Proszę posłuchać - powiedział, podczas gdy kopter automatycznie wzniósł się nad parkingiem. - Jestem żonaty, mam dwoje dzieci i przyleciałem tutaj w określonym celu. Przybyłem na Ziemię, żeby dowieść, że to Proxmeni wygrali wojnę i że nieliczni pozostali ludzie są ich niewolnikami, pracującymi dla... - Umilkł. To było beznadziejne. Miss Ableseth nadal przytulała się do niego.

- Czy pan naprawdę myśli, że jestem agentką Proxów? - spytała miss Ableseth po chwili, kiedy przelatywali nad Nowym Jorkiem.

- N-nie - odpowiedział Milt Biskle. - Chyba nie. - Uwzględniając sytuację, nie wydawało się to prawdopodobne.

- Właściwie dlaczego ma pan spędzać swój czas na Ziemi w zatłoczonym, hałaśliwym hotelu? Może pan zamieszka u mnie,

w New Jersey. Miejsca jest dosyć, a mnie byłoby bardzo miło.

- Zgoda - powiedział Biskle czując daremność dyskusji.

- To znakomicie. - Miss Ableseth wydała polecenie kopterowi, który skręcił na północ. - Zjemy kolację na miejscu. Tak będzie taniej, zresztą do wszystkich przyzwoitszych restauracji jest o tej porze dwugodzinna kolejka. Pewnie pan już zapomniał. Jak to będzie cudownie, kiedy połowa ludzi wyemigruje!

- Tak - powiedział Biskle przez zaciśnięte szczęki. - I będzie im się podobało na Marsie. Zrobiliśmy tam dobrą robotę. - Poczł przyptływ optymizmu, poczucie dumy z dzieła, które wykonali on i jego współrodacy. - Sama pani zobaczy, miss Ableseth.

- Mówmy sobie po imieniu - zaproponowała poprawiając ciężką rudą perukę, która jej się przekrzywiła w ciasnej kabinie koptera.

- Dobrze - zgodził się Biskle i, jeśli nie liczyć ćmiącego poczucia niełojalności w stosunku do żony, zrobiło mu się bardzo miło.

- Na Ziemi wszystko odbywa się szybko - wyjaśniła Mary Ableseth. - Z powodu wielkiego ciśnienia przeludnienia. - Poprawiła sobie szczękę, która też jej się przesunęła.

- Właśnie widzę - zgodził się Milt Biskle i sam też poprawił perukę i zęby. Czyżbym się mylił? zadawał sobie pytanie. Widział przecież w dole światła Nowego Jorku. Ziemia zdecydowanie nie była wyludnioną pustynią i cała cywilizacja pozostała nietknięta.

A może była to tylko iluzja narzucona jego systemowi percepcyjnemu za pośrednictwem nie znanych mu proxmeńskich technik psychiatrycznych? Przecież jego moneta przeleciała na wylot przez automat z amfetaminą. Czy to nie sygnał, że coś tu jest tajemniczo i okropnie nie w porządku?

Może tego automatu wcale tam nie było?

Następnego dnia Milt i Mary Ableseth odwiedzili jeden z niewielu ocalałych parków, w południowej części stanu Utah u podnóża gór. Park, choć niewielki, był jaskrawozielony i uroczy. Milt Biskle leżał na trawie obserwując wiewiórkę, która jak na sprężynie odskakiwała w stronę drzewa ciągnąc za sobą szarą smugę ogona.

- Na Marsie nie ma wiewiórek - powiedział sennie Milt Biskle. Mary Ableseth w skąnym opalaczu wyciągnęła się na wznak z zamkniętymi

oczami.

- Przyjemnie jest tutaj, Milt. Wyobrażam sobie, że tak musi być na Marsie. - Na autostradzie za granicą parku utrzymywał się ożywiony ruch. Hałas przypominał Mikowi szum fal Pacyfiku. Podziało to na niego uspokajająco. Wszystko wyglądało dobrze. Rzucił wiewiórcę orzeszek. Ta skręciła, kicnęła w stronę orzeszka, jej zmyślny pyszczek wyrażał żywe zainteresowanie.

Kiedy usiadła trzymając w łapkach orzeszek, Milt Biskle rzucił drugi orzeszek nieco w prawo. Wiewiórka usłyszała, jak spada wśród klonowych liści i nastawiła uszy. Miltowi przypomniało to, jak bawił się ze swoim kotem, starym ospałym kocurem, którego mieli z bratem, kiedy Ziemia nie była jeszcze tak przeludniona i kiedy wolno było trzymać w domu zwierzęta. Czekał, aż Kabaczek - tak się nazywał kocur - zaśnie i wtedy rzucał jakiś mały przedmiot w kąt pokoju. Kabaczek budził się. Otwierał oczy, nastawiał uszy, odwracał się i siedział tak przez piętnaście minut nasłuchując i wypatrując, zastanawiając się, co tam hałasuje.

Milt poczuł smutek wspominając swoje dobroduszne żarty ze starego kocura, ostatniego legalnego zwierzaka domowego, który już od tylu lat nie żyje. Ale na Marsie znów będzie można mieć koty. To mu poprawiło humor.

Prawdę mówiąc, podczas swoich lat pracy na Marsie Milt miał ulubieńca. Marsjańską roślinę. Przywiózł ją na Ziemię i stała teraz na stoliku w pokoju Mary Ableseth, z gałązkami zwisającymi raczej żałośnie. Nie czuła się zbyt dobrze w obcym klimacie Ziemi.

- Dziwne - mruknął Milt - że mój wug tak zmarniał. Zdawałoby się, że w wilgotniejszej atmosferze...

- To grawitacja - odezwała się Mary nie otwierając oczu. Oddychała regularnie, prawie spała.

Milt przyglądał się leżącej kobiecie mając przed oczami Kabaczka w podobnej sytuacji. Hipnagogiczna chwila między jawą a snem, kiedy miesza się to co świadome i to co nieświadome... sięgnął ręką po kamyk.

Rzucił go w liście blisko głowy Mary.

Zerwała się z szeroko otwartymi oczami gubiąc górę kostiumu. Nastawiła uszu.

- My, Ziemianie - powiedział Milt - utraciliśmy kontrolę nad muskulaturą uszu. Nawet czysto odruchową.

- Co mówisz? - spytała mrużąc oczy i zawiązując biustonosz.

- Nasza zdolność do nastawiania uszu zanikła - wyjaśnił Milt. - W odróżnieniu od psów i kotów. Samo badanie morfologiczne człowieka nie zdradza tego, bo odpowiednie mięśnie są na miejscu. Popełniliście błąd.

- Nie wiem, o co ci chodzi - powiedziała Mary ponuro. Poświęciła całą uwagę na poprawianie biustonosza ignorując obecność Milta.

- Wracajmy do mieszkania - powiedział wstając. Odechciało mu się leżeć na trawie, bo przestał wierzyć w realność parku. Fałszywa wiewiórka, fałszywa trawa... czy rzeczywiście? Czy kiedykolwiek pokażą mu prawdę ukrytą pod maską iluzji?

Wielce wątpliwe.

Wiewiórka podbiegła za nimi kawałek, kiedy szli do zaparkowanego koptera, potem zajęła się rodziną z dwoma małymi chłopcami, dzieci rzucały jej orzechy i wiewiórka uganiała się za nimi z wielką energią.

- Jak żywa - powiedział Milt. I była to prawda.

- Szkoda, że nie spędziłeś więcej czasu z doktorem DeWinterem, Milt. On by ci pomógł - powiedziała Mary dziwnie twardym głosem.

- Nie wątpię - zgodził się Milt Biskle wsiadając do zaparkowanego koptera.

Kiedy znaleźli się z powrotem w pokoju Mary, Milt stwierdził, że jego wug usechł. Wyraźnie zginął z braku wilgoci.

- Nie próbuj szukać wyjaśnienia - powiedział do Mary, kiedy stali we dwoje patrząc na zwiędłe, martwe pędy pełnej do niedawna wigoru rośliny. - Dobrze wiesz, czego to dowodzi. Ziemia powinna być wilgotniejsza niż Mars, nawet po rekonstrukcji. Tymczasem ta roślina zupełnie wyschła. Na Ziemi nie ma kropli wilgoci, bo, jak przypuszczam, proxmeńskie bomby wysuszyły oceany. Czy mam rację?

Mary nie odpowiedziała.

- Jednego nie rozumiem - ciągnął dalej Milt. - W jakim celu podtrzymujecie te iluzje, skoro skończyłem swoją robotę.

- Może są inne planety wymagające rekonstrukcji - powiedziała Mary po chwili.

- Czy jest was aż tyle?

- Myślałam o Ziemi. Tutaj. Jej rekonstrukcja będzie wymagała pracy pokoleń; potrzebny będzie talent i umiejętności wszystkich inżynierów rekonstrukcji... Oczywiście, idę za twoją hipotetyczną logiką - dodała.

- Więc naszym następnym zadaniem jest Ziemia. Dlatego pozwoliliście mi tu przylecieć. Co więcej, będę musiał tu zostać. - Uświadomił to sobie dogłębnie i dotkliwie w przebłysku intuicji. - Nie wrócę już na Marsa i nie zobaczę więcej Fay. Ty masz ją zastąpić. - Wszystko się zgadzało.

- Cóż - Mary uśmiechnęła się z przekąsem - umówmy się, że próbuję. - Pogłaskała go po rękę. Bosa, wciąż jeszcze w opalaczu, powoli zbliżała się do niego coraz bardziej.

Odsunął się przestraszony, potem wziął uschniętą marsjańską roślinę, zaniósł ją do zsypu na śmieci i wrzucił wysuszone kruche badyle. Znikły natychmiast.

- A teraz - rzuciła pośpiesznie Mary - polecimy do Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku, potem, jeżeli starczy nam czasu, do Instytutu Smithsona w Waszyngtonie. Kazano mi znajdować ci zajęcia, żebyś nie miał czasu na myślenie.

- Ale ja już myślę - powiedział Milt, patrząc, jak Mary przebiera się w szarą wełnianą suknię. Nic mnie od tego nie powstrzyma. I ty o tym wiesz. Tak samo będzie z każdym inżynierem rekonstrukcji, który skończy swoją strefę. Ja jestem tylko pierwszy.

Przynajmniej nie jestem sam, pomyślał. Poczuł się nieco podniesiony na duchu.

- Jak wyglądam? - spytała Mary malując usta przed lustrem.

- Doskonale - powiedział Milt bez entuzjazmu, zastanawiając się, czy Mary będzie podejmować kolejno wszystkich inżynierów rekonstrukcji, zostając kochanką każdego z nich. Nie dość, że nie jest tym, kim się wydaje, to jeszcze nie będzie moja na stałe.

Odczuwał to jako nieuzasadnioną stratę.

Uświadomił sobie, że zaczął się do niej przywiązywać. Mary była żywą istotą, czy była Ziemianką, czy nie. Przynajmniej nie przegraliśmy wojny z jakimiś cieniami, przegraliśmy z autentycznymi żywymi organizmami. Trochę mu to poprawiło samopoczucie.

- Możemy ruszać do Muzeum Sztuki Nowoczesnej? - spytała Mary dziarsko, z uśmiechem.

Później, w Instytucie Smithsona, po obejrzeniu samolotu Lindbergha z 1927 roku i niesamowicie starożytnej maszyny braci Wright – wyglądała, jakby miała przynajmniej milion lat – dostrzegł eksponat, który spodziewał się zobaczyć.

Nie mówiąc nic Mary – była pochłonięta studiowaniem gabloty z kamieniami półszlachetnymi w ich naturalnym, nie szlifowanym stanie – oddalił się i po chwili stał przed eksponatem zatytułowanym ŻOŁNIERZE Z PROXIMY, ROK 2014.

Za szklaną taflą zastygli trzej proxmeńscy żołnierze, z czarnymi pyskami zaplamionymi smarem i krwią, z bronią gotową do strzału, w improwizowanym bunkrze z resztek transportera opancerzonego. Obok zwisał bezwładnie zakrwawiony sztandar. Był to ostatni punkt oporu pokonanego wroga. Te istoty musiały się poddać albo zginąć.

Wokół stała gapiąc się gromadka zwiedzających.

- Jak żywe, co? – odezwał się Milt Biskle do najbliższego.

- Bardzo – powiedział starszy, siwowłosa mężczyzna w okularach. – Czy był pan na froncie? – spytał patrząc Miltowi w oczy.

- Jestem rekonstruktorem – odparł Milt. – Inżynierem Strefy Żółtej.

- Ach tak – mężczyzna spojrzał na niego z szacunkiem. – Ale ci Proxmeni groźnie wyglądają, co? Prawie, jakby mieli za chwilę wyskoczyć z tej gabloty i walczyć z nami na śmierć i życie. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Trzeba im przyznać, że dzielnie się bronili.

- Te ich pistolety przypominają mi o gęsią skórę. Są aż nazbyt realistyczne – wtrąciła siwa, sucha żona mężczyzny i z dezaprobatą odeszła.

- Ma pani rację – powiedział Milt Biskle. – Wyglądają przerażająco prawdziwie, bo są prawdziwe. – Tutaj nie było sensu wysilać się na tworzenie iluzji, bo autentyki znajdowały się pod ręką, łatwo dostępne. Milt dał nura pod barierą ochronną i kopniakiem roztrzaskał szybę gabloty, która z wielkim brzękiem rozsypała się w deszcz okruchów.

Kiedy nadbiegła Mary, Milt wyrwał broń jednemu z zastygłych Proxmenów i wymierzył ją w stronę Mary.

Stała dysząc gwałtownie. Patrzyła na niego w milczeniu.

- Jestem gotów pracować dla was – powiedział Milt trzymając fachowo pistolet. – Ostatecznie, jeżeli moja rasa nie istnieje, nie mogę

rekonstruować światów dla niej, nawet ja to rozumiem. Ale chcę znać prawdę. Pokaż mi prawdę, a będę nadal wykonywać swoją pracę.

- Nie, Milt - powiedziała Mary. - Gdybyś poznał prawdę, nie mógłbyś żyć i pracować. Skierowałbyś tę broń przeciwko sobie. - Mówiła spokojnie, nawet ze współczuciem, ale oczy miała szeroko otwarte, czujne.

- W takim razie zabiję najpierw ciebie, a potem siebie.

- Zaczekaj - zamyśliła się. - Milt... to jest takie trudne. Nie wiesz absolutnie nic i spójrz, w jakim jesteś stanie. Wyobraź sobie, jak będziesz się czuł, kiedy zobaczysz, jak twoja planeta wygląda naprawdę. Ja ledwo mogę to wytrzymać, a ja jestem... - Zawahała się.

- Powiedz to.

- Ja jestem tylko - to słowo nie chciało jej przejść przez gardło - przybyszem.

- Więc mam rację. Powiedz to na głos.

- Masz rację, Milt - westchnęła.

Zjawili się dwaj umundurowani strażnicy z bronią.

- Nic się pani nie stało, miss Ableseth?

- Na razie nie - powiedziała Mary nie spuszczając wzroku z Milta i jego pistoletu. - Zczekajcie - poleciała strażnikom.

- Tak jest. - Strażnicy stanęli, nikt się nie ruszał.

- Czy jakieś ziemskie kobiety przeżyły? - spytał Milt.

- Nie - odpowiedziała Mary po chwili. - Ale my, Proxmeni, pochodzimy, jak wiesz, z tego samego gatunku co wy. Możemy się więc krzyżować. Czy to cię pociesza?

- Jasne - powiedział. - Bardzo. - Miał teraz ochotę strzelić sobie w łeb bez dalszej zwłoki. Tylko z największym wysiłkiem oparł się impulsowi. Więc jednak miał rację; tam, na Lotnisku Numer Trzy na Marsie, to nie była Fay. - Posłuchaj - zwrócił się do Mary Ableseth - chcę wrócić na Marsa. Przyleciałem tutaj, żeby się czegoś dowiedzieć. Dowiedziałem się i teraz chcę wracać. Może zwrócę się znów do doktora DeWintera, może będzie mógł mi pomóc. Masz coś przeciw temu?

- Nie. - Chyba rozumiała, co on czuje. - Ostatecznie cała twoja praca wiąże się z tamtym miejscem. Masz prawo do powrotu. Ale wcześniej czy później będziesz musiał zacząć pracę tutaj, na Ziemi.

Możemy poczekać rok, nawet dwa. W końcu jednak Mars zostanie zasiedlony i będziemy potrzebować przestrzeni życiowej. A tutaj, jak się sam przekonasz, będzie dużo trudniej. - Spróbowała się bezskutecznie uśmiechnąć; zauważył jej wysiłek. - Przykro mi, Milt.

- Mnie też - powiedział Milt Bickle. - Do diabła, zrobiło mi się przykro, kiedy zwiądnął mój wug. Już wtedy znałem prawdę. Nie musiałem się domyślać.

- Pewnie cię zainteresuje, że inżynier Strefy Czerwonej, Cleveland Andre, wystąpił na zebraniu zamiast ciebie. I przekazał inżynierom twoje podejrzenia dodając swoje. Przegłosowali wysłanie tu, na Ziemię, oficjalnego delegata dla zbadania sprawy. Jest teraz w drodze.

- Interesuje mnie to - powiedział Milt - ale nie ma to większego znaczenia. Nic to nie zmienia. - Odłożył broń. - Czy mogę teraz wrócić na Marsa? - Czuł zmęczenie. - Powiedz doktorowi DeWinterowi, że wracam. - Powiedz mu, pomyślał, żeby przygotował wszystkie techniki psychiatryczne, jakie ma w zanadrzu, bo będzie ich potrzebował. - A co z ziemskimi zwierzętami? - spytał. - Czy ich formy przetrwały? Co z psami i kotami?

Mary spojrzała na strażników, przebiegł między nimi błysk porozumienia.

- Może jednak spróbujemy - powiedziała.

- Co spróbujecie? - spytał Milt.

- Pokazać ci. Tylko na chwilę. Wygląda, że znosisz to lepiej, niż przypuszczaliśmy. Według nas masz do tego prawo. Tak, Milt - dodała. - Psy i koty przeżyły. Mieszkają tu wśród ruin. Chodź i patrz.

Czy nie miała racji poprzednio, myślał idąc za nią. Czy naprawdę chce to zobaczyć? Czy potrafię stawić czoło rzeczywistości - temu, co dotychczas uważali za konieczne ukrywać przede mną?

Przy wyjściu z muzeum Mary stanęła.

- Wyjdź na zewnątrz, Milt. Ja tu na ciebie zaczekam - powiedziała.

Z wahaniem zrobił kilka kroków.

I zobaczył.

Tak, jak powiedziała Mary, były to ruiny. Miasto zostało ścięte na wysokości trzech stóp od ziemi. Budynki zmieniły się w puste kwadraty pozbawione zawartości, niczym jakiś nieskończony system starożytnych dziedzińców. Nie mógł uwierzyć, że to co widzi, jest nowe;

wydawało się, że opuszczone ruiny były tu zawsze, dokładnie takie jak teraz. I... jak długo takie pozostaną?

Z prawej strony wylądował na zasypanej gruzem ulicy skomplikowany, ale niewielki mechanizm. Na oczach Milta wypuścił wiązkę pseudopodiów, które wwierciły się w pobliskie fundamenty. Żelazobetonowe ściany nagle rozsypały się w proch; ukazała się naga ziemia, ciemnobrązowa, przepalona atomowym żarem wytworzonym przez autonomiczny automat oczyszczający - bardzo podobny, pomyślał Milt Biskle, do tych, które stosują na Marsie. W jakimś niewielkim stopniu automat wykonywał zadanie usuwania przeszłości. Z własnego doświadczenia na Marsie wiedział, że wkrótce, może za parę minut, przybędzie na jego miejsce równie skomplikowany mechanizm, który przygotuje grunt pod nowe budowle.

Po jednej stronie pustej poza tym ulicy stały obserwując te nieśmiałe próby odgruzowania dwie szare, chude sylwetki. Dwaj Proxmeni z orlimi nosami, z jasnymi, naturalnymi włosami ułożonymi w wysokie fryzury, z płatkami uszu rozciągniętymi ciężkimi ozdobami.

Tryumfatorzy, pomyślał sobie. Z satysfakcją oglądają niszczenie pozostałości zwyciężonej cywilizacji. Któregoś dnia wyrośnie tutaj czysto proxmeńskie miasto: proxmeńska architektura, dziwny, proxmeński rozkład ulic, jednolite budynki jak pływające w ziemi boje z wieloma podziemnymi piętrami. I mieszkańcy, tacy jak ci, zapełnią rampy i szybkobieżne chodniki śpiesząc do swoich codziennych zajęć. A co się stanie, pomyślał z tymi ziemskimi kotami i psami, które kryją się w ruinach, jak twierdzi Mary? Czy nawet one wyginą? Może nie całkowicie. Może znajdzie się dla nich miejsce w muzeach i ogrodach zoologicznych jako dla dziwadł, na które będą się gapić. Zabytki nie istniejącego systemu ekologicznego, który już nic nie znaczy.

A jednak... Mary miała rację. Proxmeni należeli do tego samego gatunku co Ziemianie. Nawet gdyby nie mogli się krzyżować z ocalałymi Ziemianami, gatunek przetrwa. A przecież będą się krzyżować, pomyślał. Jego własny romans z Mary jest zwiastunem przyszłości. Różnice osobnicze nie są tak duże. Rezultat może być nawet całkiem dobry.

Rezultatem - myślał wchodząc z powrotem do budynku muzeum, może być rasa nie całkiem Proxmenów i nie całkiem Ziemian. Z tej

krzyżówki może się zrodzić coś autentycznie nowego. Przynajmniej możemy mieć taką nadzieję.

Ziemia zostanie odbudowana. Na własne oczy widział ograniczone, ale autentyczne prace rekonstrukcyjne. Może Proxmeni nie rozporządzali takimi umiejętnościami, jak on i jego koledzy... ale teraz, kiedy prace na Marsie były na ukończeniu, mógł zacząć tutaj. Sprawa nie była całkiem beznadziejna. Nie do końca. Podszedł do Mary.

- Zrób coś dla mnie - powiedział ochryłym głosem. - Zdobądź dla mnie kota, którego będę mógł zabrać na Marsa. Zawsze lubiłem koty. Zwłaszcza rude pasiaste.

Jeden ze strażników spojrział na swojego towarzysza.

- Da się zrobić, panie Biskle - powiedział. - Znajdziemy panu... szczeniaka, czy tak się to nazywa?

- Chyba kociaka - poprawiła Mary.

W drodze powrotnej na Marsa Milt Biskle trzymał na kolanach pudełko z rudym kociakiem i obmyślał swój plan. Za piętnaście minut statek wyląduje na Marsie, gdzie przywita go doktor DeWinter czy też to, co udawało doktora DeWintera. I wtedy będzie już za późno. Ze swojego miejsca widział wyjście awaryjne z czerwonym światłem. Jego plan wiązał się z tym wyjściem. Nie było to idealne, ale trudno.

Rudy kociak sięgnął łapką i pacnął w dłoń Milta, który poczuł, jak ostre małe pazurki kaleczą mu skórę. W zamyśleniu przeniósł dłoń poza zasięg badającego świat zwierzątka. I tak by ci się nie podobało na Marsie, pomyślał i wstał z fotela.

Trzymając pod pachą pudełko podszedł szybko do wyjścia awaryjnego. Zanim stewardesa zdołała mu przeszkodzić, otworzył drzwi. Zrobił krok i drzwi zamknęły się za nim. Znalazł się w ciasnej śluzie i zaczął otwierać ciężkie drzwi zewnętrzne.

- Panie Biskle! - dobiegł go głos stewardesy zduszony drzwiami. Usłyszał, jak tamta mocuje się z drzwiami i stara się go zatrzymać.

Kiedy zwalniał zamek zewnętrznych drzwi, kociak w pudełku pod jego pachą fuknął gniewnie.

Ty też? pomyślał Milt i zatrzymał się.

Śmierć, pustka i absolutny brak ciepła przestrzeni kosmicznej sączyły się do śluzy przez szparę w drzwiach. Poczawszy to podobnie

jak kot cofnął się instynktownie. Stał tak, trzymając pudełko, nie próbując szerzej otworzyć drzwi, i w tej chwili dopadła go stewardesa.

- Panie Biskle - powiedziała zdławionym głosem - czy pan oszalał? Na Boga, co pan wyrabia? - Udało jej się domknąć zewnętrzne drzwi i zakręcić śrubę zabezpieczającą.

- Dobrze pani wie, co robię - odpowiedział Milt Biskle, pozwalając się odprowadzić na miejsce. I niech pani nie myśli, że to pani mnie powstrzymała, dodał w myśli. Bo to wcale nie pani. Mogłem to i tak zrobić, ale się rozmyśliłem.

Sam nie wiedział dlaczego.

Później, na Lotnisku Numer Trzy na Marsie, tak jak się spodziewał, czekał na niego doktor DeWinter. We dwójkę poszli do czekającego koptera.

- Właśnie się dowiedziałem, że w drodze... - zaczął zmartwiony DeWinter.

- To prawda. Chciałem popełnić samobójstwo. Ale się rozmyśliłem. Może pan wie dlaczego. Jest pan psychologiem, specjalistą od tego, co się dzieje w środku człowieka. - Wsiadł do koptera uważając na pudełko z kociakiem.

- Czy obejmie pan z Fay przysługujący panu nadziei, mimo że... pan wie? - spytał DeWinter, podczas gdy kopter przelatywał nad zielonymi, wilgotnymi polami wysokobiałkowej pszenicy.

- Tak - kiwnął głową Milt. Ostatecznie nie widział przed sobą żadnej innej drogi.

- Ach, wy Ziemianie - DeWinter potrząsnął głową. - To wspaniałe. - Dopiero teraz zauważył pudełko na kolanach Milta. - Co pan tam ma? Stworzenie z Ziemi? - Przyjrzał się kociakowi podejrzliwie, widać było, że jest to dla niego obca forma życia. - Dość dziwnie wyglądający organizm - zauważył.

- Będzie mi dotrzymywać towarzystwa - powiedział Milt Biskle. - Podczas gdy będę kontynuować swoją pracę na mojej prywatnej działce... - Albo pomagając wam, Proxmenom, na Ziemi, dokończył w myśli.

- Czy to jest coś, co nosiło nazwę grzechotnika? Słyszę odgłos jego grzechotek. - Doktor DeWinter odsunął się nieco.

- On mruży. - Milt Biskle pogłaskał kociaka, podczas gdy automatyczny pilot prowadził ich kopter pod buroczerwonym marsjańskim niebem. Ten kontakt ze znaną formą życia zachowa mnie przy zdrowych zmysłach, uświadomił sobie. Umożliwi mi dalsze życie. Poczł wdzięczność. Moja rasa została pokonana i zniszczona, ale nie wszystkie ziemskie istoty wyginęły. Kiedy odbudujemy Ziemię, może uda nam się uzyskać od władz zgodę na założenie rezerwatów. Uczynimy to częścią naszych planów, pomyślał głaszcząc kociaka. Przynajmniej możemy żywić taką nadzieję.

Siedzący obok niego doktor DeWinter też pogrążył się w myślach. Podziwiał mistrzostwo stacjonujących na trzeciej planecie inżynierów, którzy zbudowali automaton spoczywający w pudełku na kolanach Milta Biskle. Osiągnięcie techniczne było imponujące nawet dla niego, a on widział wszystko jasno w przeciwieństwie do Milta Biskle. Ten majstersztyk techniki, uznawany przez Ziemianina za autentyczny organizm ze znanego świata, stanie się osią jego równowagi psychicznej.

A co z innymi inżynierami rekonstrukcji? Co im pomoże przeżyć moment odkrycia prawdy, kiedy każdy zakończy swoją pracę i chcąc nie chcąc będzie się musiał... ocknąć?

Będzie to dla każdego coś innego. Dla jednego pies, dla innego bardziej skomplikowany automaton, może młodziotka ludzka samica. W każdym przypadku będzie to „wyjątek” od prawdziwego stanu. Jedyna wybrana istota ze świata, który w rzeczywistości przestał istnieć. Zbadanie przeszłości każdego inżyniera dostarczy potrzebnej informacji, tak jak w przypadku Biskle’a; imitację kota przygotowano na wiele tygodni przed jego nagłą, paniczną wyprawą na Ziemię. Dla inżyniera Andre, na przykład, budowano już imitację papugi. Zostanie ukończona przed jego wyprawą na Ziemię.

- Nazwę go Grom - oświadczył Milt Biskle.

- Dobre imię - powiedział ten, który ostatnio tytułował się doktorem DeWinter. Szkoda, pomyślał, że nie mogliśmy mu pokazać prawdziwej sytuacji na Ziemi. Właściwie to ciekawe, że zaakceptował to, co zobaczył, bo na jakimś poziomie myślenia musi sobie zdawać sprawę, że nic nie ma prawa przetrwać takiej wojny, jaką prowadziliśmy. Widocznie rozpaczliwie chciał uwierzyć, że coś, choćby ruiny,

pozostało. Ale czepianie się ułudy jest typowe dla umysłu Ziemiaków. Może to wyjaśnia ich porażkę: nie byli realistami.

- Ten kot - przerwał mu rozmyślenia Milt Biskle - wyrośnie na potężnego łowcę marsjańskich myszy piaskowych.

- Na pewno - zgodził się doktor DeWinter. Jeżeli mu baterie nie wysiądą, pomyślał i on też pogłaskał kociaka.

Pod wpływem nacisku kot zamruczał głośniej.

Przełożył Lech Jęczmyk

Miasteczko

(Small Town)

Verne Haskel wchodził niechętnie noga za nogą po frontowych schodach swojego domu, ciągnąc za sobą płaszcz. Był zmęczony. Zmęczony i zniechęcony. A ponadto bolały go nogi.

- Mój Boże! - wykrzyknęła Madge, kiedy zamknął za sobą drzwi i odwieszał płaszcz z kapeluszem. - Już wróciłeś?

Haskel rzucił teczkę i zabrał się do rozwiązywania butów. Plecy miał przygarbione, twarz wyciągniętą i poszarzałą.

- Powiedz coś!

- Obiad gotowy?

- Nie, obiad niegotowy. Co się stało tym razem? Znowu pokłóciłeś się z Larsonem?

Haskel pokuśtykał do kuchni i nalał sobie szklanek ciepłej wody z sodą.

- Wyprowadźmy się stąd - powiedział.

- Jak to?

- Wyprowadźmy się z Woodland. Do San Francisco. Dokądkolwiek. - Wypił swoją sodę, opierając zgarbione, niemłode już ciało o błyszczący zlewozmywak. - Czuję się okropnie. Może powinienem pójść znowu do doktora Barnes'a. Chciałbym, żeby dziś był piątek, a jutro sobota.

- Co zjesz na obiad?

- Nic. Nie wiem. - Potrząsnął głową ze znużeniem. - Cokolwiek. - Opadł na krzesło przy stole kuchennym. - Chcę tylko odrobinę odpocząć. Otwórz puszkę z gulaszem. Wieprzowinę z fasolką. Wszystko jedno co.

- Chodźmy do Grill Baru Dona. W poniedziałek mają tam dobrą polędwicę.

- Nie. Dość się już dziś napatrzyłem na ludzi.

- Pewno jesteś zbyt zmęczony, żeby zawieźć mnie do Helen Grant?

- Samochód stoi w garażu. Znowu się zepsuł.

- Gdybyś lepiej o niego dbał...

- Czego u diabła ode mnie chcesz? Mam go nosić ze sobą w celofanowej torebce?

- Nie podnoś na mnie głosu, Vernie Haskel! - Madge zaczerwieniła się z gniewu. - Najlepiej będzie, jak sam sobie przygotujesz obiad.

Haskel wstał niechętnie. Szurając nogami podszedł do drzwi do piwnicy.

- To na razie - powiedział.

- Gdzie idziesz?

- Na dół.

- O Boże! - Zawołała Madge z wściekłością. - Te pociągi! Te zabawki! Jak może dorosły mężczyzna w średnim wieku...

Haskel nic nie odpowiedział. Był już w połowie schodów, szukając po omacku kontaktu.

Piwnica była chłodna i wilgotna. Haskel zdjął z haczyka czapkę maszynisty i włożył ją sobie na głowę. Poczł ożywienie i nowy przyływ energii w zmęczonym ciele. Raźnym krokiem podszedł do ogromnego rajzbretu.

Wszędzie wokół biegły tory. Na podłodze, pod skrzynią z węglem, pośród rur kotła centralnego ogrzewania. Spotykały się na stole, wznosząc się na starannie zbudowanych wiaduktach. Sam stół pokrywały transformatory, semafony, jakieś przełączniki, stosy rozmaitego sprzętu i kłęby przewodów. No i...

I miasteczko.

Dokładny, oddany z najdrobniejszymi szczegółami model Woodland. Każde drzewo i dom, każdy sklep, budynek, ulica i hydrant. Miniaturowe miasteczko, odtworzone cegła po cegle. Konstruowane od lat z najwyższą starannością. Odkąd Haskel pamiętał. Odkąd był dzieckiem i zaraz po szkole brał się do roboty klejąc i budując.

Haskel włączył główny transformator. Wzdłuż torów zapaliły się światła sygnalizacyjne. Uruchomił potężną lokomotywę typu Lionel ciągnącą sznur wagonów towarowych. Lokomotywa ożyła, ruszając gładko po torach. Lśniący ciemny metalowy pocisk, na którego widok wstrzymał oddech w piersiach. Przełączył elektryczną zwrotnicę i pociąg ruszył wiaduktem, potem przez tunel i ze stołu pod warsztat.

Jego pociągi. I jego miasto. Haskel pochylił się nad miniaturowymi domami i ulicami z sercem przepelnionym dumą. Sam to wszystko zbudował własnymi rękami. Każdy szczegół. Każdy idealnie dopracowany szczegół. Całe miasto. Pogładził narożnik Sklepu

Kolonialnego Freda. Wszystko było tu na swoim miejscu. Okna wystawowe. Towary w witrynie. Szyld. Lada.

Hotel Miejski. Przejechał dłonią po jego płaskim dachu. Kanapy i fotele w hallu. Widział je przez okno.

Apteka Greena. Gablota z przylepcami na odciski. Magazyny. Warsztat samochodowy Fraziera. Restauracja Meksykańska. Butik Sharpsteina. Piwniczka u Boba. Salon bilardowy.

Całe miasto. Pogładził je ręką. Sam to wszystko zbudował: miasto było jego.

Pociąg wrócił spod warsztatu. Koła przetoczyły się po automatycznym przełączniku i most zwodzony posłusznie się opuścił. Pociąg przemknął po nim, ciągnął za sobą wagony.

Haskel dodał mocy. Pociąg zwiększył szybkość. Zagwizdał. Skręcił ostro i załomotał na krzyżówce. Jeszcze szybciej. Ręce Haskela podskakiwały konwulsyjnie na transformatorze. Pociąg poderwał się i pomknął jak strzała. Zachwiał się i zakołysał na następnym zakręcie. Transformator był nastawiony na maksimum. Pociąg jak błyskawica mknął ze stukotem po torach, po mostach i rozjazdach, za rurami kotła.

Zniknął w skrzyni na węgiel. Po chwili wyłonił się z drugiej strony, pędząc dziko przed siebie.

Haskel zwolnił szybkość. Dyszał ciężko, z trudem chwytając powietrze. Usiadł na stołku obok warsztatu i drżącymi palcami zapalił papierosa.

Ten pociąg, ta replika miasta budziły w nim dziwne uczucie. Trudne do wytłumaczenia. Zawsze kochał pociągi, modele lokomotyw, sygnałów i budynków. Gdy był małym chłopcem sześć- czy siedmioletnim, ojciec dał mu wtedy jego pierwszy pociąg. Lokomotywę i parę odcinków torów. Starą, nakręcaną kolejkę. Kiedy miał dziewięć lat, dostał swoją pierwszą prawdziwą kolej elektryczną. I dwie zwrotnice.

Rok po roku dodawał do tego nowe elementy. Tory, lokomotywy, zwrotnice, wagony, semafony. Coraz silniejsze transformatory. I początki miasta.

Budował to miasto bardzo pieczołowicie. Kawalek po kawałku. Najpierw, kiedy zaczął naukę w gimnazjum, model Parowozowni

Southern Pacific. Pobliski postój taksówek. Kawiarnię, gdzie jadal kierowcy. Broad Street.

I tak dalej. Coraz więcej. Domy, budynki, sklepy. Całe miasteczko z upływem lat rośnie pod jego rękami. Dzień w dzień po powrocie ze szkoły siadał do pracy. Ciął, kleił, malował, piłował.

Teraz jego dzieło było już właściwie gotowe. Niemal skończone. Miał czterdzieści trzy lata i miasteczko było już niemal skończone.

Haskel chodził wokół dużego rajsbretu, ostrożnie i z czcią dotykając poszczególne obiekty. Tu i tam wpadł mu w oko jakiś filigranowy sklepik. Kwaciarnia. Kino. Przedsiębiorstwo Telefoniczne. Fabryka Pomp Larsona.

Tak, i ten budynek też tu stał. Jego miejsce pracy. Codziennej harówki. Doskonała miniatura fabryki, aż do ostatniego szczegółu.

Haskel skrzywił się. Jim Larson. Pracował dla tego faceta od dwudziestu lat, dzień za dniem wypruwał z siebie flaki. I co z tego miał? Świadomość, że awansują inni. Młodszy od niego. Pupile szefa. Przytakujące mu typy w jaskrawych krawatach i spodniach w kant, z głupim uśmiechem przyklepionym na wargach.

Żal i nienawiść wezbrały mu w piersiach. Przez całe życie Woodland z niego kpiło. Nigdy nie był szczęśliwy. To miasto było zawsze przeciwko niemu. Panna Murphy w gimnazjum. Koledzy w college. Ekspedientki w ekskluzywnych, snobistycznych magazynach. Sąsiedzi. Policjanci i listonosze, kierowcy autobusów i dostawcy. Nawet jego żona. Nawet Madge.

Nigdy nie pasował do tego miejsca. Bogata, droga miejscowość koło San Francisco, w głąb półwyspu, za pasem mgieł. Cholerna burżuazyjna miejscina z nadmierną liczbą dużych domów, trawników, chromowanych samochodów i leżaków. Wszędzie wokół tylko zadęcie i blichtr. I tak było zawsze. W szkole. W pracy...

Larson. Fabryka Pomp. Dwadzieścia lat ciężkiej harowy.

Palce Haskela zacisnęły się na miniaturowym budynku, replice fabryki. Rozdarł ją z wściekłością i rzucił na podłogę. Potem rozdeptał model butem, rozgniatając kawałki szkła, metalu i tektury na miazgę.

Mój Boże, cały aż się trząsał. Spojrzał pod nogi na dzieło zniszczenia, serce waliło mu jak oszalałe. Targały nim dziwne uczucia, gwałtowne emocje, niespokojne myśli, jakich dotąd nie doświadczał. Przez dłuższy

czas wpatrywał się w zmasakrowane szczątki koła buta. W to, co do niedawna było modelem Fabryki Pomp Larsona.

Nagle odwrócił się. Jak w transie podszedł do warsztatu i usiadł sztywno na stołku. Wybrał potrzebne narzędzia i materiały i włączył wiertarkę.

Zajął mu to tylko parę chwil. Operując szybko zręcznymi, wprawnymi palcami Haskel sporządził nowy model. Pomalował go, skleił, dopasował poszczególne kawałki. Wpisał mikroskopijny szyld, otoczył budynek zieloną murawą.

Potem przeniósł ostrożnie nowy model na rajzbret i przykleił w odpowiednim miejscu. W miejscu, gdzie poprzednio stała Fabryka Pomp Larsona. Nowy budynek lśnił w padającym z góry świetle, ciągle jeszcze wilgotny i błyszczący

KOSTNICA W WOODLAND

Haskel zatarł ręce z głęboką satysfakcją. Fabryka Pomp znikła. Zniszczył ją. Unicestwił. Wymazał z mapy miasta. Przed nim leżało Woodland bez zniechęconej fabryki. Zamiast niej stała kostnica.

Oczy mu błyszczały. Usta drżały nerwowo. W jego duszy szalała burza emocji. Pozbył się fabryki. W wyniku spontanicznej, błyskawicznej akcji. W jednej chwili. Cała sprawa okazała się niezwykle prosta, dziecinnie łatwa. Dziwne, że nie wpadł na to wcześniej.

Pociągając z zadumą łyk zimnego piwa z wysokiej szklanki, Madge Haskel zauważyła:

- Z Vernem jest coś nie w porządku. Rzuciło mi się to w oczy zwłaszcza zeszłego wieczoru. Kiedy wrócił z pracy.

Doktor Paul Tyler mruknął z roztargnieniem:

- Wysoce neurotyczny typ. Z poczuciem niższości. Zamknięty w sobie introwertyk.

- Ale to wygląda coraz gorzej. On i te jego pociągi. Te cholerne modele pociągów. Wielki Boże, Paul! Wiesz, że on ma całe miasto tam na dole w piwnicy?

Tyler zaciekał się.

- Naprawdę? Nie miałem pojęcia.

- To było jego hobby, odkąd go znam. Zajmuje się tym od dziecka. Pomyśl tylko, dorosły mężczyzna bawiący się pociągami! To... to obrzydliwe. Co wieczór to samo.

- Interesujące. - Tyler potarł brodę. - Robi to stale? To jego niezmienny wzór zachowania?

- Co wieczór. Wczoraj nawet nie zjadł kolacji. Wrócił do domu i poszedł prosto do piwnicy.

Gładkie rysy Paula Tylera wykrzywił grymas zatroskania. Naprzeciwko niego siedziała Madge leniwie popijając piwo. Była druga po południu. Dzień był ciepły i słoneczny. W saloniku panowała miła, swobodna atmosfera. Nagle Tyler wstał.

- Chodźmy na nie popatrzeć. Na te modele. Nie zdawałem sobie sprawy, że to zaszło tak daleko.

- Naprawdę chcesz to obejrzeć? - Madge odsunęła rękaw zielonej jedwabnej strojnej piżamy i spojrzała na zegarek. - Wróci najwcześniej o piątej. - Skoczyła na nogi, odstawiając szklankę. - W porządku. Mamy czas.

- Dobra. Chodźmy na dół. - Chwycił Madge za ramię i zbiegli do piwnicy, czując, że ogarnia ich jakieś dziwne podniecenie. Madge zapaliła światło i podeszli do dużego rajzbretu, chichocząc nerwowo jak psotne dzieci.

- Widzisz? - powiedziała Madge ściskając go za ramię. - Popatrz tylko. Zajęło mu to całe lata. Praktycznie całe życie.

Tyler pokiwał głową.

- Nie wątpię. - W jego głosie brzmiał podziw. - Nigdy dotąd nic podobnego nie widziałem. Każdy szczegół... On ma talent.

- Tak, Verne ma zręczne ręce. - Madge wskazała na warsztat. - Wciąż kupuje nowe narzędzia.

Tyler chodził wolno wokół stołu, nachylając się i przyglądając z bliska.

- Niesłychane. Każdy budynek. Całe miasto jest tutaj. Popatrz! To mój dom.

Wskazał na luksusową willę kilka bloków od Haskelów.

- Wszystko tu jest - powiedziała Madge. - Pomyśl tylko, dorosły mężczyzna spędza tu całe godziny bawiąc się pociągami!

- Potęga i siła. - Tyler pchnął lokomotywę po torach. - To właśnie

przemawia do wyobraźni chłopców. Pociągi są potężne. Wielkie i hałaśliwe. Symbol seksu. Chłopiec widzi pociąg pędzący po szynach. Wielką i bezwzględną maszynę, która go przeraża. Potem dostaje w prezencie kolejkę elektryczną. Jak te tutaj. Może robić z nią, co chce. Puszczą w ruch. Zatrzymuje. Jedzie wolniej. Jedzie szybciej. Kieruje nią. Maszyna go słucha.

Madge zadrżała.

- Chodźmy na górę rozgrzać się. Tu jest tak zimno.

- Ale kiedy chłopiec dorasta, staje się większy i silniejszy. Może już odrzucić symboliczne modele i sięgnąć po prawdziwy obiekt, prawdziwy pociąg. Może walczyć o rzeczywistą kontrolę nad światem. Rzeczywiste panowanie. - Tyler potrząsnął głową. - Nie to zastępcze. Niespotykane, aby dorosły mężczyzna posuwał się tak daleko. - Zmarszczył brwi. - Nie zauważyłem, żeby na State Street stała kostnica.

- Kostnica?

- I to. Sklep zoologiczny. Obok zakładu radiowego. Nie ma tam żadnego takiego sklepu. - Tyler zaczął szukać w pamięci. - Co tam właściwe jest? Obok tego zakładu?

- Futra Paryskie. - Madge skrzyżowała ręce na piersiach, obejmując się za ramiona. - Brrr... Zbierajmy się stąd, Paul. Chodźmy na górę, zanim zamarznię.

Tyler roześmiał się.

- Dobrze, zmarzłuchu. - Skierował się w stronę schodów i znów się zamyślił. - Ciekawe dlaczego. Sklep ze zwierzętami. Nigdy o takim nie słyszałem. Wszystko inne jest odtworzone w najdrobniejszych szczegółach. Musi znać miasto na pamięć. Ustawić tam sklep, którego nie ma... - Zgasił światło w piwnicy. - I ta kostnica. Co naprawdę stoi na jej miejscu? Czy przypadkiem nie...

- Nie zwracaj sobie tym głowy - odwróciła Madge przemykając obok niego do ciepłego salonu. - Jesteś prawie tak nieznośny jak on. Mężczyźni to takie dzieci.

Tyler nie odpowiedział. Był pogrążony w myślach. Jego gładka pewność siebie znikła; czuł się podenerwowany i roztrzęsiony.

Madge spuściła żaluzje. Pokój spowiła bursztynowa poświata. Madge opadła na kanapę, pociągając za sobą Tylera.

- Przestań mieć taką ponurą minę - zarządziła. - Nigdy cię takim nie widziałam. - Objęła go szczerpymi ramionami za szyję i musnęła ustami za uchem. - Wcale bym cię nie wpuściła, gdybym wiedziała, że to nim będziesz się przejmować.

- To czemu mnie wpuściłaś? - mruknął Tyler z roztargnieniem. Uścisk szczerpłych ramion wzmógł się. Jedwabna piżama zaszeleściła, kiedy Madge przysunęła się bliżej.

- Ty głuptasie - powiedziała.

Potężny, rudowłosy Jim Larson aż zachłysnął się ze zdumienia.

- Co to znaczy? O co chodzi?

- Odchodzę. - Haskel wrzucił zawartość swojej szuflady w biurku do teczki. - Proszę przesać czek z zaległością pod moim adresem domowym.

- Ale...

- Z drogi. - Haskel odepchnął Larsona i wyszedł do hallu. Larson stał oniemiały. Twarz Haskela była zastygła, jakby nieobecna, stężała w wyrazie takiej zaciekłości, jakiej dotąd u niego nie wiedział.

- Czy dobrze się pan czuje? - spytał.

- Oczywiście. - Haskel otworzył frontowe drzwi fabryki i wyszedł na zewnątrz. Drzwi zatrzęsły się za nim. - Jasne, że dobrze się czuję - mruknął do siebie. Torował sobie drogę poprzez tłum robiący popołudniowe sprawunki; usta mu drżały. - Diabło dobrze, możesz być pewien.

- Uważaj, kolego - warknął groźnie jakiś potrącony przez niego robotnik.

- Przepraszam. - Haskel minął go szybko, ściskając teczkę. Na szczycie wzgórza przystanął na chwilę, łapiąc oddech. Za nim stała Fabryka Pomp Larsona. Haskel zaśmiał się zjadliwie. Dwadzieścia lat - i w jednej sekundzie było po krzyku. Po wszystkim. Nie zobaczy więcej Larsona. Nie będzie dzień po dniu wykonywać nudnej, męczącej roboty. Bez perspektyw i przyszłości. Nie będzie całymi miesiącami znosić jarzma otępiającej harówki. Skończył z tym raz na zawsze. Teraz zacznie nowe życie.

Ruszył szybko przed siebie. Słońce już zachodziło. Mijały go samochody z ludźmi jadącymi z pracy do domu. Wszyscy oni powrócą

jutro do pracy – ale nie on. Już nigdy więcej.

Doszedł do swojej ulicy. Wyłonił się przed nim dom Eda Tildona, wielka okazała konstrukcja z betonu i szkła. Za furtką podbiegł do niego szczekając pies. Haskel minął go szybkim krokiem. Pies Tildona. Roześmiał się dziko.

- Lepiej trzymaj się ode mnie z daleka! – krzyknął w jego stronę.

Doszedł do domu i przeskakując po dwa stopnie wbiegł po frontowych schodach. Otworzył na rozcież drzwi. W salonie było ciemno i cicho. Nagle coś się tam poruszyło. Jakieś dwa cienie oderwały się od siebie, wstając szybko z kanapy.

- Verne! – wykrztusiła Madge. – Co robisz w domu tak wcześnie?

Verne Haskel rzucił teczkę na krzesło, na nią płaszcz i kapelusz. Jego pobrużdżona twarz była wykrzywiona, zmieniona pod wpływem targających nim gwałtownych emocji.

- No coś podobnego! – zaświergotała Madge, spiesząc ku niemu nerwowo i wygładzając po drodze piżamę. – Czy coś się stało? Nie spodziewałam się ciebie tak... – Przerwała, czerwieniąc się. – To znaczy, chciałam powiedzieć...

Paul Tyler zbliżył się za nią wolnym krokiem.

- Cześć, Verne – mruknął z zakłopotaniem. – Wpadłem na chwilę przechodząc oddać książkę twojej żonie.

Haskel skinął krótko głową.

- Dzień dobry. – Odwrócił się i skierował w stronę drzwi do piwnicy, ignorując ich oboje. – Będę na dole.

- Ależ Verne! – zaprotestowała Madge. – Powiedz, co się stało?

Verne zatrzymał się na chwilę przy drzwiach.

- Odszedłem z pracy.

- Co takiego?

- Odszedłem z pracy. Skończyłem z Larsonem. Nie chcę o nim więcej słyszeć. – Zatrzasnął za sobą drzwi.

- Dobry Boże! – krzyknęła Madge wczepiając się histerycznie w Tylera. – On zupełnie zwariował!

Na dole w piwnicy Verne Haskel zapalił niecierpliwie światło. Włożył czapkę maszynisty i przysunął stołek do rajzbretu.

Co w następnej kolejności?

Dom Meblowy Morrisa. Wielki magazyn pełen pluszowych mebli,

gdzie sprzedawcy patrzyli na niego z góry.

Zatart ręce z radością. Koniec z nimi. Koniec z aroganckimi sprzedawcami, unoszącymi brwi, kiedy wchodził.

Zdjął model Domu Meblowego i rozebrał. Pracował jak w transie, z gorączkowym pośpiechem. Teraz, kiedy naprawdę się do tego zabrał, nie zamierzał tracić czasu. Chwilę później przyklejał w to miejsce dwa małe budynki. Naprawa obuwia i Kręgielnia u Pete'a.

Haskel zachichotał z uciechą. Odpowiedni następcy luksusowego, ekskluzywnego salonu meblowego. Zakład szewski i kręgielnia. Na nic lepszego to miejsce nie zasługiwało.

Kalifornijski Bank Stanowy. Zawsze nienawidził tego banku. Odmówił mu kiedyś pożyczki. Oderwał bank od stołu.

Rezydencja Eda Tildona. Jego przeklęty pies. Ugryzł go raz w kostkę. Już po rezydencji. W głowie mu szumiało. Mógł zrobić wszystko, co zechce.

Sklep elektroniczny Harrisona. Sprzedali mu to kiepskie radio. Do diabła z nimi.

Trafika Joe'ego. Joe wydał mu w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku fałszywą dwudziestopięciocentówkę. Koniec z nim.

Wytwórnia Farb i Lakierów. Nie cierpiał zapachu farby. Może zamiast tego postawić tu piekarnię. Bardzo lubił piec chleb. Wytwórnia farb znikła ze stołu.

Elm Street była za ciemna w nocy. Parę razy się tu potknął. Przydałoby się więcej latarni.

Na High Street było za mało barów, a za dużo eleganckich sklepów z odzieżą damską, kapeluszami, futrami i biżuterią. Zerwał cały pasek i przyniósł go na warsztat.

Drzwi u szczytu schodów wolno się otworzyły. Zajrzała przez nie Madge, blada i przestraszona.

- Verne?

Zerknął w górę niecierpliwie.

- Czego chcesz?

Madge zeszła niepewnie po schodach. Za nią ukazał się doktor Tyler, nienaganny i przystojny w swoim popielatym garniturze.

- Verne... czy wszystko w porządku?

- Oczywiście.

- Naprawdę... naprawdę oszczędłeś z pracy?

Haskel kiwnął twierdząco głową. Zaczął rozbierać wytwórnę farb, ignorując swoją żonę i doktora Tylera.

- Ale dla czego?

- Z braku czasu - odburknął niecierpliwie.

Twarz doktora Tylera przybrała wyraz z troskaniem.

- Czy to znaczy, że jesteś zbyt zajęty, aby pracować?

- Tak.

- Zajęty czym? - Tyler podniósł głowę; ogarnęło go nerwowe drżenie. - Budowaniem tego twojego miasta? Wprowadzaniem zmian?

- Daj mi spokój - mruknął Haskel. Jego zręczne ręce składały śliczną małą Piekarnię Lagendorfa. Wykończył ją starannie, pomalował na biało, dodał z przodu żwirowaną ścieżkę i parę krzewów. Odłożył piekarnię na bok i zabrał się za park. Duży, zielony park. W Woodland zawsze brakowało parku. Powstanie na miejscu hotelu przy State Street.

Tyler odciągnął Madge od stołu w kąt piwnicy.

- Dobry Boże! - Drżącą ręką zapalił papierosa. Papieros wyleciał mu z palców i potoczył się po podłodze. Zignorował to i sięgnął po następnego. - Widzisz? Widzisz, co on robi?

Madge potrząsnęła głową bezradnie.

- Co? Nie rozumiem...

- Od jak dawna się tym zajmuje? Całe życie?

Przytaknęła z pobielającą twarzą.

- Tak, całe życie.

Rysy Tylera stężały.

- Mój Boże, Madge. To by każdego doprowadziło do obłądzenia. Nie mogę w to uwierzyć. Musimy coś zrobić.

- Co się dzieje? - zajęczała. - Co...

- Całkiem się w tym zatracił. - Na twarzy Tylera widniał wyraz głębokiego osłupienia. - Coraz bardziej się pogrąża.

- Zawsze tu przychodził - powiedziała Madge drżącym głosem. - To nic nowego. Zawsze szukał ucieczki.

- Tak. Szukał ucieczki. - Tyler wzdrygnął się, zacisnął pięści

i opanował się. Przeszedł przez piwnicę i stanął obok Haskela.

- Czego chcesz? - warknął Haskel na jego widok.

Tyler oblizał wargi.

- Dodajesz gdzieś to i owo, prawda? Nowe budynki.

Haskel przytaknął.

Tyler dotknął drżącymi palcami małą piekarnię.

- Co tu jest? Piekarnia? Gdzie stanie? - Przeszedł na drugą stronę stołu. - Nie pamiętam żadnej piekarni w Woodland. - Odwrócił się. - Nie próbujesz chyba ulepszać miasta? Doskonalić go tu i ówdzie?

- Wyoście się stąd - powiedział Haskel ze złowrogim spokojem. - Oboje.

- Verne! - zapiszczała Madge.

- Mam mnóstwo roboty. Możesz przynieść mi tu kanapki koło jedenastej. Mam nadzieję dziś w nocy skończyć.

- Skończyć? - zapytał Tyler.

- Skończyć - odpowiedział Haskel, wracając do pracy.

- Chodź, Madge. - Tyler chwycił ją za ramię i pociągnął na schody. - Lepiej wyjdźmy stąd. - Ruszył przed nią, wbiegł po schodach i wyszedł do przedpokoju. - Chodźże już! - Kiedy znalazła się na górze, zamknął za nimi starannie drzwi.

Madge histerycznie pocierała ręką oczy.

- On oszalał, Paul! Co teraz zrobimy?

Tyler popatrzył na nią w zadumie.

- Uspokój się. Muszę to przemyśleć. - Zaczął chodzić tam i z powrotem z głębokim marszem na czole. - To stanie się już wkrótce. W tym stadium to nastąpi niedługo. Pewno dziś w nocy.

- Co? Co masz na myśli?

- Jego ucieczkę. Do zastępczego świata. Pomiędzy ulepszone modele, które ma pod kontrolą. Które dają mu poczucie bezpieczeństwa.

- Czy nic nie możemy zrobić?

- Zrobić? - Tyler uśmiechnął się kątem ust. - A czy chcemy coś zrobić?

Madge zaniemówiła.

- Ale nie możemy po prostu...

- Może to rozwiąże nasz problem. Może na to właśnie czekaliśmy. -

Tyler zmierzył panią Haskel uważnym spojrzeniem. – Może to właśnie jest wyjście z sytuacji.

Było już po północy, niemal druga nad ranem, kiedy miasto zaczęło przybierać ostateczny kształt. Mimo zmęczenia czuł radosne podniecenie. Wszystko szło tak sprawnie. Jego projekt był na ukończeniu.

I był niemal doskonały.

Przerwał na chwilę pracę, żeby przyjrzeć się swojemu dziełu. Miasteczko zostało radykalnie zmienione. Około dziesiątej zaczął wprowadzać zasadnicze zmiany w układzie ulic. Usunął większość budynków publicznych, centrum administracyjne i leżący obok rejon banków i biur.

Wzniósł nowy ratusz, posterunek policji i ogromny park z fontannami i iluminacją świetlną. Oczyszczył dzielnicę slumsów, stare wałace się sklepy, domy i ulice. Ulice były teraz szersze i dobrze oświetlone. Domy mniejsze i czyste. Sklepy nowoczesne i atrakcyjne, lecz nie pretensjonalne.

Zniknęły wszystkie reklamy, a także większość stacji benzynowych. Na miejscu wielkiej dzielnicy fabrycznej ciągnął się łagodny wiejski krajobraz. Drzewa, wzgórza i zielone łąki.

Zamożna dzielnica willowa też została zmieniona. Zostało tu teraz tylko kilka rezydencji, należących do ludzi, których lubił. Resztę zastąpiły jednakowe parterowe domki o dwóch sypialniach i jednym garażu.

Ratusz stracił swoją rokokową ozdobną fasadę na rzecz niskiej i prostej konstrukcji, wzorowanej na Partenonie, jego ulubionej budowli.

Dziesięć czy dwanaście osób, które szczególnie zaszczyliły go za skórę, musiało się pożegnać ze swoją dotychczasową siedzibą. Wyznaczył im mieszkania w budynkach o niskim standardzie położonych na dalekim przedmieściu, gdzie wiały wiatry z zatoki, niosąc ze sobą odór gnijących ryb.

Dom Jima Larsona w ogóle zniknął z powierzchni ziemi. Unicestwił Larsona całkowicie. On już nie istniał, przynajmniej w nowym Woodland, które było niemal skończone.

Niemal. Haskel z uwagą wpatrywał się w model miasteczka.

Wszystkie zmiany muszą być zrobione teraz. Nie później. Teraz był czas tworzenia. Potem, kiedy wszystko będzie skończone, nic się już nie da zmienić. Musi wprowadzić wszystkie konieczne zmiany teraz - albo nigdy.

Nowe Woodland wyglądało całkiem nieźle. Czyste, schludne, o prostej architekturze. Bogata dzielnica została stonowana, biedna ulepszona. Agresywne reklamy, tablice i szyldy zostały zmienione albo zdjęte. Rejon biurowców zmniejszony. Miejsce fabryk zajął park i wiejski krajobraz. Centrum administracyjne było naprawdę ładne.

Dodał parę ogródków jordanowskich dla dzieci. Ogromne kino z jaskrawym neonem zastąpił mniejszym. Po pewnym namyśle zdjął większość barów, które poprzednio ustawił. Nowe Woodland będzie miastem moralnym. Bardzo moralnym. Niewiele barów, żadnego bilardu, żadnych domów pod czerwoną latarnią. I porządny, solidny areszt dla niepożądanych osobników.

Najtrudniejsze było wykonanie mikroskopijnego napisu na głównych drzwiach ratusza. Zostawił to na sam koniec, a potem z najwyższą starannością wymalował literę po literze:

BURMISTRZ
VERNE R. HASKEL

Kilka ostatnich poprawek. Podstawił Edwardsom starego plymoutha zamiast nowego cadillaca. Dodał parę drzew w południowej dzielnicy. Tu jedną więcej straż pożarną. Tam jeden mniej sklep z modą damską. Nigdy nie lubił taksówek. Pod wpływem impulsu zdjął postój taksówek i postawił na jego miejscu kwiaciarnię.

Zatarł ręce. Coś jeszcze? Czy już wszystko skończone? W każdym calu doskonałe? Sprawdzał bacznie dzielnicę po dzielnicy. Czy czegoś nie przeoczył?

Gimnazjum. Zdjął je i dołożył dwie inne szkoły średnie, na dwóch przeciwnych krańcach miasta. Jeszcze jeden szpital. To mu zajęło prawie pół godziny. Zaczynał być zmęczony. Ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Drżącą dłonią potarł czoło. Coś jeszcze? Opadł bez sił na stołek, by odpocząć i pomyśleć.

Jego miasteczko było gotowe. Doskonałe w każdym szczególe. Rozpierała go radość. W piersiach narastał okrzyk zwycięstwa. Ukończył swoje dzieło.

- Skończone! - krzyknął na cały głos.

Niepewnie podniósł się na nogi. Zamknął oczy, rozwarł ramiona i zaczął zbliżać się do stołu. Ogarniał go rękami, obejmował rozczapierzonymi palcami podchodząc coraz bliżej z wyrazem najwyższego uniesienia na pobrużdżonej, niemłodej już twarzy.

Na górze Tyler i Madge usłyszeli jego okrzyk. Odległy hałas, który przetoczył się falą po domu. Madge drgnęła przerażona.

- Co to było?

Tyler nastawił uszu. Usłyszał, jak Haskel rusza się pod nimi, w piwnicy. Nagle zdusił papierosa w popielnicze.

- Myślę, że to się już stało. Prędkiej, niż myślałem.

- To? Masz na myśli, że on...

Tyler wstał gwałtownie.

- Odszedł, Madge. Do swojego innego świata. Jesteśmy wreszcie wolni.

Madge chwyciła go za ramię.

- Może popełniamy błąd. To takie okropne. Czy nie powinniśmy... próbować coś zrobić? Sprowadzić go z powrotem... wyciągnąć go jakoś?

- Sprowadzić go z powrotem? - Tyler zaśmiał się nerwowo. - Nie sądzę, żeby to było możliwe. Nawet gdybyśmy chcieli. Jest już za późno. - Podbiegł do drzwi piwnicy. - Chodź.

- To straszne. - Madge wzdygnęła się i podeszła niechętnie. - Żałuję, żeśmy się w ogóle w to wdali.

Tyler zatrzymał się przy drzwiach.

- Straszne? On jest szczęśliwszy tam, gdzie jest teraz. I ty jesteś szczęśliwsza. Do tej pory nikt nie był zadowolony. Stało się najlepiej, jak mogło.

Otworzył drzwi. Madge wyszła za nim. Zeszli ostrożnie po schodach do ciemnej, cichej piwnicy, w której unosił się wilgotny zapach nocnej mgły.

Piwnica była pusta.

Tyler odprężył się. Ogarnęło go dojmujące uczucie ulgi.

- Nie ma go. Wszystko w porządku. Stało się tak, jak się miało stać.

- Nic nie rozumiem - powtarzała Madge bezradnie, podczas gdy buick Tylera sunął bezszelestnie po ciemnych, pustych ulicach. - Gdzie on się podział?

- Przecież wiesz, gdzie - odpowiedział Tyler. - Odszedł do swojego zastępczego świata, to jasne. - Z piskiem opon pokonał na dwóch kołach zakręt. - Reszta powinna być prosta. Wypełnimy stosowne formularze, i tyle. Właściwie nic więcej nam nie pozostaje do zrobienia.

Noc była zimna i ciemna. Gdziekolwiek tylko padało światło z przygodnej samotnej latarni. Z oddali dobiegł ich żałosny gwizd pociągu, niczym smętne echo. Rzędy cichych domów umykały za oknami samochodu po obu stronach.

- Dokąd jedziemy? - spytała Madge. Siedziała skulona przy drzwiach, pobladała z emocji i przerażenia, trzęsąc się pod płaszczem jak w febrze.

- Na posterunek policji.

- Po co?

- Żeby złożyć odpowiednie zeznania, oczywiście. Zawiadomić ich, że zniknął. Będziemy musieli trochę poczekać, upłynie dobre parę lat, zanim uznają go za zmarłego. - Wyciągnął ramię i przytulił ją przelotnie. - W tym czasie jakoś sobie damy radę, zobaczysz.

- A co... jeśli go znajdą?

Tyler ze zniecierpliwieniem potrząsnął głową. Nadal był napięty, na skraju wytrzymałości.

- Nie rozumiesz? Nigdy go nie znajdą. On nie istnieje. Przynajmniej w naszym świecie. Istnieje w swoim własnym świecie. Widziałaś ten świat. Replikę miasta. Jego ulepszoną wersję.

- To znaczy, że on jest tam?

- Pracował nad tym modelem całe życie. Zbudował go. Upodobił do stanu realnego. Ten świat w jego oczach istniał naprawdę - i teraz się w nim znalazł. Tego właśnie chciał. Dlatego go zbudował. I nie były to jedynie sny o ucieczce w jakąś krainę marzeń. On ją sobie faktycznie stworzył, kawałek po kawałku. A teraz przeniósł się do niej, znikając z naszej rzeczywistości i z naszego życia.

Madge zaczynała powoli rozumieć.

- To znaczy, że on naprawdę uciekł do swojego zastępczego świata. To właśnie miałeś na myśli mówiąc, że... że się zatracił.

- W pewnej chwili to właśnie sobie uświadomiłem. Umysł ludzki konstruuje pewną rzeczywistość. Kształtuje ją. Tworzy. Nasza rzeczywistość jest wspólna dla nas wszystkich, dla naszych wyobrażeń. Ale Haskel odwrócił się do niej tyłem i stworzył sobie własną wizję. A miał w tym kierunku nadzwyczajne uzdolnienia, o wiele większe niż przeciętne. Poświęcił całe swoje życie, cały swój talent na wykreowanie swojego świata. I teraz w nim jest.

Tyler zawahał się i zmarszczył brwi. Zacisnął ręce na kierownicy i zwiększył szybkość. Buick mknął po ciemnej ulicy przez cichą, nieruchomą pustkę uśpionego miasta.

- Jest tylko jedna rzecz - dodał Tyler w końcu. - Jedna rzecz, której nie rozumiem.

- Co takiego?

- Sprawa modelu. On również zniknął. Jak mniemałem, Verne... skurczył się, czy coś takiego. Wtopił w swoje miasteczko. Ale ono także zniknęło. - Tyler wzruszył ramionami. - Cóż, to pewno nie ma znaczenia. - Wbił wzrok w ciemność. - Jesteśmy prawie na miejscu. To Elm Street.

Nagle Madge krzyknęła:

- Spójrz!

Na prawo od samochodu stał mały, skromny budynek. A na nim widniał napis. Napis mimo ciemności dobrze widoczny.

KOSTNICA W WOODLAND

Madge wybuchła spazmatycznym płaczem. Samochód mknął naprzód, automatycznie prowadzony zdrętwiałymi rękami Tylora. Kiedy podjeżdżali pod ratusz, mignął im przelotnie inny szyld.

SKLEP ZOOLOGICZNY

Ratusz był podświetlony dyskretną iluminacją. Niski, skromny budynek, elegancki prostopadłościan jarzącej się bieli. Niczym marmurowa grecka świątynia.

Tyler zatrzymał samochód. Nagle krzyknął i znów zapalił silnik. Ale nie dość szybko.

Dwa błyszczące czarne auta policyjne podjechały cicho, blokując buicka z obu stron. Czterej groźni policjanci już trzymali ręce na drzwiczkach. Otworzyli je i stanęli nad nimi, nieubłagani i sprawni.

Przełożyła Blanka Kuczborska

Przedludzie

(*The Pre-Persons*)

Przez kępę cyprysów Walter, który bawił się w króla gór, zobaczył białą ciężarówkę i wiedział, co to jest. To ciężarówka aborcyjna, pomyślał, przyjeżdża po jakieś dziecko, żeby je zabrać na skrobankę poporodową w ośrodku aborcyjnym.

Może to moi rodzice ją wezwali, pomyślał. Po mnie.

Uciekł i schował się w jeżynach czując ukłucia kolców, ale myślał, że lepsze to, niż gdyby mu mieli wyssać powietrze z płuc. Tak oni to robią; zbiorową skrobankę wszystkim dzieciom, które tam mają. Jest taka specjalna duża komora. Dla dzieci, których nikt nie chce.

Kryjąc się głębiej w jeżynach nadśluchiwał, czy samochód się zatrzymuje. Nadal słyszał silnik.

- Jestem niewidoczny - powiedział sam do siebie cytując Oberona ze *Snu nocy letniej*, którego grał w piątej klasie. Po tych słowach nikt go już nie widział. Może to magiczne zaklęcie zadziała i w życiu. Powtórzył więc jeszcze raz „Jestem niewidzialny”. Widział jednak, że nie jest. Widział swoje ręce, nogi, buty i wiedział, że wszyscy - jego matka i ojciec, a zwłaszcza obsługa ciężarówki aborcyjnej, też mogą go zobaczyć. Jeżeli go znajdą.

Jeżeli to jego szukają tym razem.

Szkoda, że nie jest królem. Byłby cały posypany czarodziejskim proszkiem, miałby Iśniącą koronę, rządził krainą elfów i mógłby się zawsze zwierzyć wiernemu Pukowi. Albo prosić go o radę. Na przykład, kiedy pokłóciłby się ze swoją żoną Tytanią.

Widocznie, pomyślał, zaklęcia nie zawsze się sprawdzają.

Mrużył oczy od słońca, ale głównie słuchał silnika ciężarówki aborcyjnej. Nadal było go słychać i w Walterze narastała nadzieja w miarę, jak odgłos się oddalał. Jakiś inny dzieciak zostanie zabrany do ośrodka aborcyjnego, ktoś z drugiego końca ulicy.

Roztrzęsiony i podrapany z trudem wyplątał się z jeżyn i na miękkich nogach ruszył w stronę domu. Po drodze rozpląkał się, głównie z bólu od licznych zadrapań, lecz także ze strachu i ulgi.

- O Boże! - wykrzyknęła matka na jego widok. - Coś ty, na Boga,

robił?

- Ja... widziałem... ciężarówkę aborcyjną - powiedział przez łzy.

- I myślałeś, że to po ciebie?

W milczeniu kiwnął głową.

- Posłuchaj, Walterze - powiedziała Cynthia Best przyklękając i ujmując jego drżące dłonie. - Obiecuję ci, ja i twój ojciec obiecujemy ci, że nigdy cię nie odeślemy do Centrum Powiatowego. Zresztą, jesteś już za duży. Zabierają tylko dzieci do dwunastego roku życia.

- A Jeff Vogel?

- Rodzice oddali go tuż przed wejściem w życie nowego prawa. Teraz zgodnie z prawem nie można by go zabrać. Ciebie też nie mogą zabrać. Zrozum, ty masz duszę. Prawo mówi, że dwunastoletni chłopiec ma duszę. Nie możesz więc być zabrany do Centrum Powiatowego. Rozumiesz? Jesteś bezpieczny. Ilekroć widzisz ciężarówkę aborcyjną, wiedz, że to nie po ciebie. Nigdy po ciebie. Rozumiesz? To po jakieś inne, młodsze dziecko, które nie ma jeszcze duszy, po przedczłowieka.

- Nie czuję, że uzyskałem duszę; czuję się tak, jakbym zawsze miał duszę - powiedział ze spuszczoną głową, nie patrząc na matkę.

- To kwestia prawna - powiedziała jego matka pośpiesznie. - Ściśle uzależniona od wieku. A ty ten wiek osiągnąłeś. Kościół Świadków przeforsował w Kongresie ustawę w tej sprawie... właściwie kościół chciał nawet ustalić niższą granicę; twierdził, że dusza wstępuje w ciało w wieku trzech lat, ale uchwalono ustawę kompromisową. Dla ciebie najważniejsze jest, że z punktu widzenia prawa jesteś bezpieczny, niezależnie od tego, co sam czujesz, rozumiesz?

- Tak - powiedział kiwając głową.

- Przecież wiesz to wszystko?

- A wiesz, jak to jest, kiedy się czeka codziennie, czy ktoś nie przyjdzie i nie wepchnie cię do klatki w ciężarówce... - wybuchnął gniewem i żalem.

- Twoje obawy są nieuzasadnione.

- Widziałem, jak zabierali Jeffa Vogela. Płakał, a oni otworzyli tył ciężarówki, wepchnęli go do środka i zamknęli.

- To było dwa lata temu. Jesteś tchórzem. - Matka spojrzała na niego gniewnie. - Twój dziadek by cię wychłostał, gdyby cię teraz zobaczył i usłyszał, co mówisz. Twój ojciec nie. On by się tylko

uśmiechał i powiedział coś od rzeczy. Minęły dwa lata i dobrze wiesz, że przekroczyłeś limit wieku! Jak... - szukała odpowiedniego słowa. - Jesteś zdeprawowany.

- On już nie wrócił.

- Może ktoś, kto chciał mieć dziecko, pojechał do Centrum Powiatowego, znalazł go i adoptował. Może ma teraz lepszy zestaw rodziców, którzy go lubią. Trzyma się je tam trzydzieści dni, zanim się je zlikwiduje. To znaczy uśpi - poprawiła się.

Walter nie poczuł się uspokojony. Wiedział, że „uśpić” kogoś to określenie z języka mafii. Odsunął się od matki nie szukając już u niej pocieszenia. Była u niego przegrana; ujawniła coś o sobie, jakieś źródło swoich przekonań, myśli, może nawet czynów. Postępowania ich wszystkich. Wiem, myślał, że nie jestem inny teraz niż dwa lata temu. Jeżeli według prawa mam duszę teraz, to miałem duszę i wtedy albo wcale nie mamy dusz i jedyną prawdziwą rzeczą jest ta okropna ciężarówka z zakratowanymi okienkami zabierająca dzieci nie chciane przez rodziców, którzy korzystają z rozszerzenia starego prawa do usuwania ciąży, pozwalającego na zabijanie nie chcianych dzieci, zanim przyszyły na świat. Ponieważ nie miały „duszy” ani „osobowości”, wolno było je wyssać pompą próżniową, co trwało mniej niż dwie minuty. Doktor mógł przeprowadzić setkę takich zabiegów dziennie i było to zgodne z prawem, ponieważ nie narodzone dziecko nie było „człowiekiem”. Było „przedczłowiekiem”. Potem tylko przesunięto datę uzyskania człowieczeństwa.

Kongres wprowadził prosty test określający przybliżony wiek, kiedy dusza wstępuje w ciało. Wyznaczała to zdolność rozwiązywania zadań algebraicznych. Do tego czasu były tylko ciała, zwierzęce instynkty i ciała, zwierzęce odruchy i reakcje na bodźce. Jak psy Pawłowa, kiedy widziały stróżkę wody sącząca się spod drzwi laboratorium w Leningradzie; „wiedziały”, ale nie były ludźmi.

Ja chyba jestem człowiekiem, pomyślał Walter, podnosząc wzrok na szarą, surową twarz matki z twardymi oczami i wyrazem ponurej racjonalności. Jestem taki sam jak ty, myślał. Hej, dobrze jest być człowiekiem, nie trzeba się wtedy bać, że przyjedzie po ciebie biała ciężarówka.

- Widzę, że ci ulżyło - zauważyła matka. - Obniżyłam twój próg

lęku.

- Nie jestem taki głupi - powiedział Walter. Przeszło, minęło. Ciężarówka odjechała i nie zabrała go.

Ale za kilka dni wróci. Krąży nieustannie.

Przynajmniej miał przed sobą te kilka dni. A potem znów ten widok... wolałbym nie wiedzieć, że wysysają powietrze z płuc dzieci, które tam wywożą, myślał. Tak je likwidują. Dlaczego? Ojciec mówił, że tak jest taniej. Oszczędza się pieniądze podatników.

Pomyślał o podatnikach i o tym, jak taki podatnik może wyglądać. Jak ktoś, kto wykrzywia się gniewem na widok każdego dziecka. Kto nie odpowiada dzieciom na pytania. Chuda twarz wiecznie skrzywiona, oczy rozbiegane. A może tłusta; jedno albo drugie. Bardziej przerażała go ta chuda; nie cieszyła się życiem i nie chciała nowego życia. Wysyłała komunikat „Umrzyj, idź sobie, przepadnij, zniknij”. Ciężarówka aborcyjna jest jej narzędziem i dowodem na jej istnienie.

- Mamo - spytał - jak można zamknąć Centrum Powiatowe? Wiesz, klinikę aborcyjną, do której zabierają niemowlęta i małe dzieci.

- Należy się zwrócić z petycją do Rady Powiatowej.

- A wiesz, co ja bym zrobił? Poczekałbym, aż tam nie będzie dzieci, tylko pracownicy, i wrzucił tam bombę.

- Nie mów tak! - przerwała mu gniewnie matka i jej twarz nabrała surowego wyrazu chudego podatnika. Poczul lęk, własna matka budziła w nim lęk. Zimne i mętne oczy są zwierciadłem pustki, nie ma za nimi duszy. To wy nie macie dusz, pomyślał, wy i wasze chude wezwania do nieistnienia. Nie my.

I wybiegł na dwór bawić się dalej.

Kilkoro innych dzieci też widziało ciężarówkę. Stały teraz razem przerzucając się co jakiś czas pojedynczymi frazami, ale głównie kopiąc kamyki i piasek, czasem rozdeptując szkodliwego owada.

- Po kogo przyjechała ciężarówka? - spytał Walter.

- Po Fleischhackera. Earla Fleischhackera.

- Złapali go?

- Jasne. Nie słyszałeś, jak wrzeszczał?

- Czy jego starzy byli wtedy w domu?

- Nie, wyjechali wcześniej, powiedzieli mu, że jadą wymienić olej

w samochodzie.

- Czy to oni wezwali ciężarówkę?

- Jasne. Prawo mówi, że to muszą zrobić rodzice. Ale stchórzyli i nie chcieli być w domu, kiedy ciężarówka przyjedzie. A on strasznie wrzeszczał, może byłeś za daleko, żeby usłyszeć, ale naprawdę strasznie wrzeszczał.

- Wiesz, co powinniśmy zrobić? - powiedział Walter. - Podpalić ciężarówkę i załatwić kierowcę.

Wszystkie dzieci spojrzały na niego z pogardą.

- Wpakują cię na resztę życia do domu wariatów, jak zrobisz coś takiego.

- Czasami tak robią - poprawił Pete Bride - a czasami dają ci nową, społecznie dostosowaną osobowość.

- No to co mamy robić? - spytał Walter.

- Ty skończyłeś dwanaście lat i nic ci nie grozi.

- A jak zmienią prawo? - Zresztą świadomość, że był teoretycznie bezpieczny, nie przynosiła mu ulgi. Ciężarówka przyjeżdżała po inne dzieci i nadal napawała go strachem. Myślał o młodszych dzieciach tam, w Centrum wyglądających przez druciany płot godzinę za godziną, dzień za dniem, liczących czas z nadzieją, że ktoś przyjedzie i je zaadoptuje.

- Byłeś tam kiedy? - spytał Pete'a Bride'a. - W Centrum Powiatowym? Wszystkie te naprawdę małe dzieciaki, prawie niemowlaki, może roczne. Nie wiedzą nawet, co je czeka.

- Te małe idą do adopcji - powiedział Zack Yablonski. - To te starsze nie mają szansy i to ich widok jest trudny do zniesienia. Zagadują ludzi, którzy przychodzą i starają się pokazać z najlepszej strony, udają, że są miłe. Ale ludzie wiedzą, że nie oddano by ich tutaj, gdyby nie były... no wiesz, nie chciane.

- Wypuścimy im powietrze z kół - powiedział Walter, który nie przestawał myśleć.

- W ciężarówce? A wiesz, że jak się wrzuci kulkę na mole do baku, to po tygodniu silnik wysiada? Moglibyśmy to zrobić.

- Ale wtedy by nas ścigali - powiedział Ben Blaire.

- I tak nas ścigają - zauważył Walter.

- Ja myślę, że powinniśmy podpalić ciężarówkę - powiedział Harry

Gottlieb – ale w środku mogą być dzieci. Wtedy one też by się spaliły. Ciężarówka zabiera... bo ja wiem... może pięcioro dzieci z całego powiatu.

- Wiesz, że łapią też psy? – powiedział Walter. – I koty. Tamtą ciężarówkę widzi się może raz na miesiąc. Nazywa się to hycel. Poza tym wszystko jest tak samo; wpędzają je do wielkiej komory, wysysają im powietrze z płuc i one umierają. Robią to nawet z małymi zwierzętami!

- Nie uwierzę, póki nie zobaczę – powiedział Harry Gottlieb szyderczo. – Ciężarówka, która łapie psy, też coś!

Walter jednak wiedział, że to prawda. Widział samochód hycła dwukrotnie. Koty, psy i głównie my, pomyślał ponuro. Zresztą, jak zaczęli od nas, to tylko naturalne, że doszli do zabijania zwierząt domowych; różnica między nami nie jest znów taka wielka. Ale jakim trzeba być człowiekiem, żeby to robić, nawet jeżeli jest to zgodne z prawem? „Jedne prawa ustanawia się, żeby je przestrzegać, inne, żeby je łamać” przypomniał sobie zdanie z książki, którą czytał. Powinniśmy zacząć od spalenia ciężarówki hycła, pomyślał, to jest najgorsze.

Dlaczego tak się dzieje, rozmyślał, że im bardziej bezbronna istota, tym łatwiej jest ją niektórym ludziom załatwić? Jak dzieci w łonie matki, pierwotne skrobaki, usuwanie płodu czy przedludzi, jak się to dzisiaj nazywa. Jak one się mają bronić? Kto im pomoże? Tyle żywych istot, po setce dziennie na każdego doktora... i wszystkie bezbronne, milczące, a zaraz potem martwe. To świnie, myślał, dlatego to robią. Bo wiedzą, że mogą to robić, wykorzystują swoją siłę. To dlatego maleństwo, które chciało się cieszyć życiem, zostaje wyssane w ciągu niespełna dwóch minut. I doktor przechodzi do następnej kobiety.

Powinna być jakaś organizacja, myślał, podobna do mafii. Żeby likwidować likwidatorów. Wynajęty człowiek podchodzi do jednego z tych doktorów, wyjmuje rurę i wsysa do niej doktora, który kurczy się do rozmiarów płodu. Płód doktora ze stetoskopem wielkości główki od szpilki... roześmiał się na samą myśl.

Dzieci nie wiedzą? Dzieci wiedzą wszystko, wiedzą za dużo. Ciężarówka aborcyjna w drodze grała wesołą piosenkę.

Biegnie z górki dwoje dzieci
Od źródła w parku...

System głośników zbudowany specjalnie przez Ampex dla General Motors nadawał nieustannie tę melodię, z wyjątkiem chwil, kiedy ciężarówka zbliżała się do ofiary. Wówczas kierowca wyłączał głośniki i po cichu szukał właściwego domu. Jednak kiedy tylko miał niechciane dziecko w pudle ciężarówki i albo wracał do Centrum Powiatowego, albo wyruszał po następnego przedczłowieka, włączał z powrotem:

Biegnie z górki dwoje dzieci
Od źródła w parku...

„Jaś się potknął i już leci na złamanie karku”, dokończył w myśli Oscar Ferris, kierowca ciężarówki numer trzy. Czy to aby o kark chodzi? zastanawiał się. Może sobie złamał co innego. Pewnie się tym bawił, sam albo razem z Małgosią. Źródło w parku! Dobrze wiem, co tam robili w krzakach. Tyle że Jaś się potknął i złamał sobie swój interes. – Dobrze ci tak, Jasiu – powiedział na głos z wprawą prowadząc czteroletnią ciężarówkę po łagodnych krzywiznach kalifornijskiej Autostrady Numer Jeden.

Dzieciaki to świntuchy, pomyślał, i lubią świńskie zabawy.

Okolica była dzika i bezludna, w wąwozach i na polach ukrywało się wiele zbiegłych dzieci, miał więc oczy szeroko otwarte. I słusznie, bo z prawej strony drogi zmykał jakiś może sześćioletni malec. Ferris natychmiast wcisnął guzik uruchamiający syrenę ciężarówki. Chłopiec zamarł przerażony, czekając, aż ciężarówka nadal grając „Biegnie z górki dwoje dzieci” podjedzie i zatrzyma się obok niego.

– Okaż kartę C – powiedział Ferris nie wysiadając z ciężarówki; wysunął tylko przez okno rękę, demonstrując brązowy mundur z naszywką, oznaki jego władzy.

Chłopiec był wychudzony, jak wielu małych uciekinierów, ale, z drugiej strony, nosił okulary. Potargany, w dżinsach i podkoszulku, wpatrywał się z przerażeniem w Ferrisa nie robiąc żadnego ruchu, żeby okazać papiery.

– Masz kartę C czy nie? – spytał Ferris.

– C... co to jest karta C?

Ferris urzędowym głosem poinformował chłopca o przysługujących

mu prawach.

- Jedno z twoich rodziców albo twój opiekun prawny wypełnia formularz 36-W, który stanowi legalne potwierdzenie, że jesteś dzieckiem chcianym. Że oni, on lub ona chce cię mieć. Nie masz tego? To z punktu widzenia prawa jesteś pozbawiony opieki, nawet jeżeli twoi rodzice chcą cię zatrzymać. Podlegają karze pięciuset dolarów.

- Miałem, ale zgubiłem - powiedział chłopiec.

- To kopia będzie w kartotece. Wszystkie te dokumenty są mikrofilmowane. Zawiozę cię do...

- Do Centrum Powiatowego? - Patykowate nogi zatrzęśły się ze strachu.

- Rodzice mają trzydzieści dni na wypełnienie formularza 36-W. Jeżeli nie dostarczą go do tego czasu...

- Moja mama i tata zawsze się kłócą. Teraz jestem z tatą.

- I nie dał ci karty C? - W poprzek kabiny była przymocowana strzelba. Przy zatrzymywaniu małego zbiega wszystko może się zdarzyć. Odruchowo Ferris spojrział na strzelbę. Była na swoim miejscu. Użył jej tylko pięciokrotnie w całej swojej karierze wykonawcy prawa. Mogła roznieść człowieka na strzępy. - Muszę cię zabrać - powiedział otwierając drzwi kabiny i wyjmując z kieszeni kluczyki. - Jest tam już jeden chłopak, nie będzie wam się nudzić.

- Nie - powiedział malec. - Nie wsiądę. - Mrugając stał na wprost Ferrisa, uparty i niewzruszony jak kamień.

- Pewnie się nasłuchałeś historii o Centrum Powiatowym. Tam się usypia tylko kretynów i zbrojeńców. Każde miłe, porządnie wyglądające dziecko zostaje adoptowane. Ostrzyżemy cię i doprowadzimy do porządku, aż będziesz wyglądał jak ktoś profesjonalnie zadbany. Chcemy ci znaleźć dom, o to nam tylko chodzi. Mało jest takich... wiesz... chorych psychicznie albo fizycznie, których nikt nie chce. Ciebie jakaś zamożna osoba złapie od razu; przekonasz się. Nie będziesz musiał wahać się tutaj bez opieki rodzicielskiej. Będziesz miał nowych rodziców z kupą forsy, którzy cię zarejestrują. Rozumiesz? Tam, gdzie cię zawiozę, jest tylko tymczasowe miejsce zamieszkania, gdzie możesz się spotkać z przyszłymi nowymi rodzicami.

- A jeżeli nikt mnie nie zaadoptuje w ciągu miesiąca?

- Co tam, tu też możesz spaść z urwiska do oceanu. Nie martw się. Biuro Centrum skontaktuje się z twoimi naturalnymi rodzicami i najprawdopodobniej przyjadą po ciebie z formularzem 15 A, może jeszcze nawet dzisiaj. A ty się przejedziesz i poznasz dużo nowych kolegów.

- Nie - powiedział chłopiec.

- Informuję cię - powiedział Ferris już innym głosem - że jestem przedstawicielem władz powiatu. - Zeskoczył na ziemię i pokazał chłopcu lśniąca metalową odznakę. - Jestem Oficer Pokoju Ferris i rozkazuję ci wsiąść do ciężarówki.

W tej chwili zmęczonym krokiem zbliżył się do nich wysoki mężczyzna. Podobnie jak chłopiec ubrany był w dżinsy i podkoszulek, ale nie nosił okularów.

- Czy jest pan ojcem tego chłopca? - spytał Ferris.

- Zabiera go pan do rakarni? - odezwał się ochryłym głosem mężczyzna.

- My nazywamy to schroniskiem dla bezdomnych dzieci - odpowiedział Ferris. - Nazwa „rakarnia” używana jest przez różnych ekstremistów i hipisów i celowo wypacza obraz naszej pracy.

- Ma pan tam dzieci w klatkach, prawda? - spytał mężczyzna wskazując ciężarówkę.

- Chciałbym zobaczyć pański dowód - powiedział Ferris. - I dowiedzieć się, czy był pan kiedyś aresztowany.

- Aresztowany i zwolniony czy aresztowany i skazany?

- Proszę odpowiedzieć na pytanie - Ferris okazał czarną odznakę, którą legitymował się wobec dorosłych jako Powiatowy Oficer Pokoju. - Kim pan jest? Proszę okazać dowód.

- Nazywam się Ed Gantro - powiedział mężczyzna - i jestem notowany. Kiedy miałem osiemnaście lat, ukradłem z zaparkowanej ciężarówki cztery skrzynki coca-coli.

- Czy został pan ujęty na gorącym uczynku?

- Nie, kiedy odnosiłem puste butelki, żeby dostać kaucję. Wtedy mnie złapali. Odsiedziałem sześć miesięcy.

- Czy ma pan kartę C dla swojego syna?

- Nie mieliśmy dziewięćdziesięciu dolarów, żeby ją wykupić.

- Teraz będzie pan musiał zapłacić pięćset dolarów. Trzeba było ją

wykupić. Teraz radzę skorzystać z adwokata. – Ferris podszedł do chłopca i oficjalnie oświadczył: – Chciałbym, żeby dołączył do innych młodych ludzi w tylnej części pojazdu. Niech mu pan powie, żeby wykonywał moje polecenia – zwrócił się do mężczyzny.

– Tim, wsiadaj do tej przeklętej ciężarówki – powiedział mężczyzna po chwili wahania. – Wynajmiemy adwokata, załatwimy ci kartę C. Nie ma co się stawiać, z prawnego punktu widzenia jesteś bezdomny.

– „Bezdomny” – powtórzył chłopiec patrząc na ojca.

– Dokładnie – powiedział Ferris. – Ma pan trzydzieści dni na zabranie...

– Czy łapie pan też koty? – spytał chłopiec. – Są tam jakieś koty teraz? Ja bardzo lubię koty, są fajne.

– Ja zajmuję się tylko przedludźmi. Takimi jak ty – powiedział Ferris otwierając kluczem tylne drzwi ciężarówki. – Staraj się nie oddawać moczu w ciężarówce, potem cholernie trudno pozbyć się plam i smrodu.

Chłopiec nie bardzo rozumiał; przenosił wzrok z ojca na Ferrisa.

– Nie załatwaj się w ciężarówce – wyjaśnił mu ojciec. – Chcą ją utrzymać w czystości, bo to obniża kosztą własne – dodał z ponurym szyderstwem.

– W przypadku bezdomnych psów i kotów – powiedział Ferris – strzela się je na miejscu albo wyklada zatrutą przynętę.

– Tak, znam tę truciznę – powiedział ojciec chłopca. – Zwierzę to zjada i potem powoli umiera na krwotok wewnętrzny.

– Bez bólu – podkreślił Ferris.

– Czy to nie lepsze niż wysysanie im powietrza z płuc? – powiedział Ed Gantro. – Masowe duszenie?

– No, jeśli chodzi o zwierzęta...

– Mam na myśli dzieci. Takie jak Tim. – Ojciec stał obok niego i obaj zajrzeli do środka ciężarówki. W mroku można było dostrzec dwa ciemne kształty skulone w najdalszym kącie w postawie wyrażającej skrajną rozpacz.

– Fleischhacker! – zawołał Tim. – Przecież ty miałeś kartę C!

– Z powodu braków energii i paliwa – mówił Ferris – należy drastycznie zmniejszyć liczbę ludności. W przeciwnym razie za dziesięć lat nie starczy żywności dla nikogo. To jest pierwsza faza...

- Miałem kartę C - powiedział Earl Fleischhacker - ale starzy mi ją zabrali. Nie chcieli mnie więcej, więc mi ją zabrali i wezwali ciężarówkę aborcyjną. - Głos mu drżał, wyraźnie tłumił płacz.

- Czym się różni pięciomiesięczny płód od tego, co mamy tutaj? - mówił Ferris. - W obu przypadkach mamy do czynienia z niechcianym dzieckiem. Po prostu zliberalizowano przepisy.

- I pan się zgadza z tymi prawami? - spytał ojciec Tima patrząc mu w oczy.

- To jest sprawa Waszyngtonu, to oni decydują, co rozwiąże nasze problemy w tych dniach kryzysu - odpowiedział Ferris. - Ja tylko egzekwuję uchwały. Gdyby zmieniono to prawo, to cóż, woziłbym puste opakowania na makulaturę albo coś innego i byłbym tak samo zadowolony.

- Tak samo zadowolony? Jest pan zadowolony ze swojej pracy?

- Mam okazję jeździć po okolicy i poznawać nowych ludzi - odpowiedział Ferris automatycznie.

- Pan jest nienormalny - powiedział Ed Gantro, ojciec Tima. - Ten plan poporodowej aborcji wynika z wcześniejszego prawa do usuwania ciąży, kiedy dziecko nie miało żadnych praw i mogło być usuwane jak narośl. Niech pan patrzy, do czego doszliśmy. Jeżeli wolno zabić bez wyroku sądu nienarodzone dziecko, to dlaczego nie zabijać już narodzonych? To, co łączy oba przypadki, to całkowita bezbronność ofiar; mordowany organizm nie ma żadnej szansy ani możliwości obrony. Wie pan co? Niech pan mnie też zabierze. Razem z trójką dzieci.

- Ale prezydent i Kongres ustanowili, że po ukończeniu dwunastego roku życia człowiek ma duszę - powiedział Ferris. - Nie mogę pana zabrać. To byłoby niezgodne z prawem.

- Ja nie mam duszy - powiedział ojciec Tima. - Skończyłem dwanaście lat i nic się nie stało. Niech mnie pan też zabiera. Chyba że potrafi pan znaleźć moją duszę.

- O rany - jęknął Ferris.

- Jeżeli nie potrafi pan pokazać mi mojej duszy - powiedział ojciec Tima - jeżeli nie potrafi pan wskazać mi jej palcem, to domagam się, żeby mnie pan zabrał jako nie różniącego się od tych dzieci.

- Będę musiał porozumieć się przez radio z Centrum Powiatowym,

żeby zobaczyć, co oni na to powiedzą.

- Niech pan to zrobi - powiedział ojciec Tima i podsadził go, a potem sam z trudem wdrapał się na ciężarówkę, podczas gdy Oficer Pokoju Ferris, po wszystkich oficjalnych identyfikacjach, rozmawiał przez radio.

- Mam tu mężczyznę, białego, około trzydziestki, który nalega, żeby go przewieźć do Centrum Powiatowego razem z jego małym synem - mówił Ferris do mikrofonu. - Twierdzi, że nie ma duszy, co, według niego, kwalifikuje go do grupy przedludzi. Nie rozporządzam żadnym sposobem na wykrycie obecności duszy, w każdym razie nie na tym odludziu; niczym, co mogłoby później zadowolić sąd. W ogóle wygląda na osobnika inteligentnego i pewnie potrafi rozwiązywać zadania algebraiczne. Ale...

- Zezwalam na dostarczenie go - odezwał się w radiu głos jego przełożonego. - Zajmiemy się nim na miejscu.

- Zajmiemy się panem w mieście - zwrócił się Ferris do ojca Tima, który wraz z trzema mniejszymi postaciami przykucnął w ciemnym wnętrzu ciężarówki. Ferris zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz, co było dodatkowym zabezpieczeniem, gdyż chłopcy byli już unieruchomieni elektronicznie opuszczanymi przegrodami, i zapuścił silnik.

Biegnie z górki dwoje dzieci

Od źródła w parku...

Ktoś tu sobie coś złamie, myślał Ferris jadąc krętą drogą, i to nie będę ja.

Usłyszał, jak ojciec Tima rozmawia z chłopcami.

- Nie znam algebry, nie mogę więc mieć duszy.

- Ja znam - powiedział mały Fleischhacker pociągając nosem - ale mam dopiero dziewięć lat i to się nie liczy.

- To właśnie chcę wykorzystać, kiedy będę przedstawiać swoją sprawę w Centrum. Już nawet dzielenie z ułamkami szło mi z trudem. Nie mam duszy. Jestem taki sam jak wy trzej.

- Tylko nie naświńcie mi w ciężarówce - krzyknął Ferris. - Rozumiecie? To nas kosztuje...

- Nie tłumacz mi - odpowiedział ojciec Tima - bo i tak nie zrozumie. To dla mnie zbyt skomplikowane, wszystkie te pro rata i inne terminy fiskalne i monetarystyczne.

Wiozę wariata, pomyślał Ferris i poczuł zadowolenie, że ma w zasięgu ręki strzelbę. - Wiecie, że na świecie brakuje wszystkiego - krzyknął za siebie - energii, soku jabłkowego, paliw i chleba; musimy zmniejszyć liczbę ludności, a patogenne skutki pigułki...

- My nie znamy takich trudnych słów - przerwał mu ojciec Tima.

- Zerowy przyrost ludności - powiedział Ferris zły i zbity z tropu - to jest jedyna odpowiedź na kryzys żywnościowy i energetyczny. To jest, w mordę, to jest jak z tymi królikami, sprowadzonymi do Australii, które nie miały naturalnych wrogów i mnożyły się, dopóki...

- Mnożyć umiem - powiedział ojciec Tima. - I dodawać, i odejmować. Ale to wszystko.

Cztery zwariowane króliki skaczące po szosie, pomyślał Ferris. Ludzie zaśmiecają środowisko naturalne, myślał. Ciekawe, jak wyglądały te okolice, zanim pojawił się tu człowiek? Cóż, dzięki planowi poporodowego usuwania ciąży realizowanemu we wszystkich powiatach USA może się jeszcze o tym przekonamy. Może znów zobaczymy przed sobą dziewiczy kraj.

Jacy my, pomyślał. Pewnie nie będzie żadnych nas. Jakies gigantyczne myślące komputery będą obserwować wideoreceptorami krajobraz i stwierdzą, że im się podoba.

Ta myśl poprawiła mu humor.

- Zróbmy sobie skrobankę! - zaproponowała z ożywieniem Cynthia wchodząc do domu obciążona syntetyczną żywnością. - Czy to nie byłoby miłe? Czy to cię nie podnieca?

- Najpierw musisz zajść w ciążę - zauważył ironicznie jej mąż, Ian Best. - Zamów wizytę u doktora Guido, to mnie będzie kosztować najwyżej pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt dolarów, i kaź sobie usunąć sprężynkę.

- Zdaje się, że sama mi się wyśliznęła. Może, gdyby... - radośnie potrząsnęła ładną ciemnowłosą główką. - Prawdopodobnie nie działa jak należy od roku. Może więc już jestem w ciąży.

- Możesz dać ogłoszenie w Wolnej Gazecie: „Potrzebny od zaraz

ktoś, kto wyciągnie domaciczny środek antykoncepcyjny” - kwaśno skomentował jej mąż.

- Ale skrobanki są teraz takie modne - mówiła Cynthia do męża, który szedł do głównej szafy odwiesić swój prestiżowy krawat i klasową marynarkę. - Spójrz, co my mamy? Mamy dziecko. Waltera. Ilekroć ktoś przychodzi z wizytą i widzi go, wiem, że się zastanawia „Jak to się stało?” To bardzo żenujące. Te skrobanki, jakie robią teraz kobietom we wczesnym okresie, kosztują sto dolarów... cena dziesięciu galonów benzyny! A ma się temat do rozmowy z każdym, kto wpadnie.

Ian odwrócił się do niej.

- Czy można zabrać sobie płód? - spytał spokojnym głosem. - Przynieść do domu w słoju albo pokryty specjalną luminescencyjną farbą, żeby świecił w nocy?

- W dowolnym kolorze!

- Embrion?

- Nie, stój. Można też wybrać kolor płynu. To jest roztwór konserwujący, więc praktycznie jest to wydatek na całe życie. Chyba dają nawet pisemną gwarancję.

Ian założył ręce na piersi, żeby zachować spokój: stan alfa.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że są ludzie, którzy chcą mieć dzieci? Nawet zwykłe, przeciętne dzieci? Ludzie, którzy co tydzień jeżdżą do Centrum Powiatowego w poszukiwaniu niemowląt? Te pomysły... cała panika światowa na temat przeludnienia. Dziewięć bilionów istot ludzkich, stłoczonych jedne na drugich we wszystkich miastach kuli ziemskiej. Może gdyby to tak szło dalej... - wzruszył ramionami. - Tymczasem jednak mamy za mało dzieci. Co to, nie oglądasz telewizji i nie czytasz „Timesa”?

- Ale to taki kłopot - powiedziała Cynthia. - Dzisiaj, na przykład, Walter przyszedł do domu załamany, bo w okolicy krążyła ciężarówka aborcyjna. Zajmowanie się nim jest strasznie uciążliwe. Tobie dobrze, bo ty jesteś w pracy, ale ja...

- Wiesz, co ja bym zrobił z tą gestapowską ciężarówką śmierci? Wziąłbym dwóch kumpli z wojska z karabinami maszynowymi i ustawił ich z dwóch stron drogi. I kiedy to pudło by podjechało...

- To nie jest żadne pudło, tylko klimatyzowana ciężarówka.

Obrzucił ją wściekłym spojrzeniem i poszedł do baru w kuchni, żeby

zrobić sobie drinka. Szkocka będzie dobra, pomyślał. Szkocka z mlekiem, dobry przedobiedni drink.

Kiedy sobie przygotowywał napój, wszedł jego syn Walter. Był nienaturalnie blady.

- Przejeżdżała dziś ciężarówka aborcyjna, co? - spytał Ian.

- Myślałem, że może...

- Nigdy w życiu. Nawet gdybyśmy z twoją matką poszli do adwokata i podpisali dokument, formularz NC, to i tak jesteś za duży. Możesz być spokojny.

- Niby wiem - powiedział Walter - a jednak...

- Nie dopytuj się, komu bije dzwon; on zawsze bije tobie - zacytował (niedokładnie) Ian. - Posłuchaj Walt, coś ci powiem. - Pociągnął długi łyk szkockiej z mlekiem. - Istotą tego wszystkiego jest morderstwo. Zabić ich, kiedy są rozmiarów paznokcia albo piłki tenisowej, a jak nie, to później wyssać powietrze z płuc dziesięcioletniego chłopca i uśmiercić go. Propaguje to pewien typ kobiet. Kiedyś nazywano je „kobietami kastrującymi”. Może wtedy była to odpowiednia nazwa, ale tym kobietom, tym zatwardziałym rzeźniczkom, chodzi o całego chłopca albo mężczyznę, a nie tylko o tę jego część, która decyduje o jego męskości, one chcą zabić wszystkich mężczyzn, rozumiesz?

- Nie - odpowiedział Walter, ale w pewien niejasny i przerażający sposób rozumiał.

Ian pociągnął następny łyk.

- A jedna z nich mieszka tutaj - mówił dalej. - Pod jednym dachem z nami.

- Kto mieszka z nami?

- Ktoś, kogo szwajcarscy psychiatry nazywają Kindermörder. - Ian specjalnie użył słowa, którego jego chłopiec nie mógł znać. - Wiesz co? - powiedział. - Ty i ja moglibyśmy wsiąść do pociągu i jechać na północ, aż byśmy dojechali do Vancouver w Kanadzie, a tam moglibyśmy popłynąć promem na wyspę Vancouver i tyle by nas widziano.

- A co z mamą?

- Wysyłałbym jej co miesiąc pieniądze i to by ją urządziło.

- Tam jest zimno, prawda? - spytał Walter. - Brakuje im paliwa i noszą...

- Mniej więcej jak w San Francisco. Bo co? Przeraza cię noszenie kilku swetrów i siedzenie przy kominku? Czy to, co widziałeś dzisiaj, nie było gorsze?

- Było - ponuro kiwnął głową Walter.

- Moglibyśmy mieszkać na jakiejś wysepce koło Vancouver i uprawiać kawałek ziemi. Można tam sadzić różne rośliny i one rosną. Ciężarówka tam nie dojedzie; nie zobaczysz jej już nigdy więcej. W Kanadzie mają inne prawa. I kobiety tam są inne. Znałem kiedyś dziewczynę stamtąd, dawno temu. Miała długie czarne włosy, bez przerwy paliła playersy, nigdy nic nie jadła i nie przestawała mówić. A tutaj żyjemy w cywilizacji, w której dążenie kobiet do mordowania własnych... - Ian przerwał, bo do kuchni weszła jego żona.

- Nie pij więcej tego świństwa - powiedziała - bo się porzygasz.

- Okay - zawołał Ian ze złością. - Okay!

- I nie podnoś głosu - powiedziała Cynthia. - Pomyślałam, że moglibyśmy dziś zjeść obiad na mieście. W telewizji mówili, że u Dal Reya pierwsi goście dostają stek.

- Mają tam surowe ostrygi - powiedział krzywiąc się Walter.

- „Błękitne kropki” - uściśliła Cynthia. - W muszlach, na lodzie. Przepadam za nimi. No jak, Ian? Idziemy?

- Surowa ostryga - powiedział Ian do syna - najbardziej na świecie przypomina to, co ginekolog... - Umilkł. Cynthia patrzyła na niego wściekłym wzrokiem, syn nic nie rozumiał. - Zgoda - powiedział - ale ja zamówię stek.

- Ja też - dodał Walter.

Skończywszy drinka Ian spokojnym głosem spytał:

- Kiedy to ostatni raz przygotowałaś obiad w domu? Dla nas trojga?

- W piątek zrobiłam wam wieprzowe uszy i rizotto. Większość tego poszła na śmietnik, bo było to coś nowego, z nieobowiązkowej listy. Pamiętasz, mój drogi?

- Oczywiście ten typ kobiety można czasem, a nawet często, spotkać również tam - mówił Ian do syna, nie zwracając uwagi na żonę. - Istniał on we wszystkich czasach i kulturach. Ale że w Kanadzie nie zezwala się na aborcje poporodowe... - Urwał. - To mleko przeze mnie przemawia - wyjaśnił żonie. - Dodają do niego teraz siarki. Nie zwracaj uwagi albo podaj kogoś do sądu; wybór należy do ciebie.

- Czy znów snujesz fantazje, że mnie porzucisz? - Cynthia przyjrzała mu się uważnie.

- Ja też - wtrącił Walter. - Tato zabiera mnie ze sobą.

- Dokąd? - spytała Cynthia niewinnie.

- Dokąd nas szyny poniosą - powiedział Ian.

- Jedziemy na wyspę Vancouver w Kanadzie - dodał Walter.

- Ach tak? - powiedziała Cynthia.

- Tak - odezwał się Ian po chwili.

- A co, do cholery, ja mam tu robić, jak wy wyjedziecie? Iść pod latarnię? Z czego będę spłacać raty za różne...

- Będę ci co miesiąc wysyłać czeki - powiedział Ian. - Potwierdzone przez poważne banki.

- No pewnie. Jasne. Nie inaczej.

- Mogłabyś pojechać z nami - powiedział Ian. - I łapać ryby wskakując do Zatoki Angielskiej i miażdżąc je na śmierć swoimi ostrymi zębami. Mogłabyś w ciągu jednej nocy wytępić wszystkie ryby w Kolumbii Brytyjskiej. Tysiące zmiżdżonych ryb, które nie rozumieją, co się stało... przed chwilą płynęły sobie spokojnie, a tu nagle ten potwór, ten straszliwy rybobójca z jednym świecącym okiem pośrodku czoła, rzuca się na nie i miażdży je na miazgę. Wkrótce zrodzi się legenda. Takie wieści szybko się szerzą. Wśród ostatnich ryb, które przeżyją.

- Tak, ale, tato, co będzie, jak żadna nie przeżyje?

- W takim razie wszystko będzie na próżno, poza osobistą satysfakcją twojej matki, że zagryzła na śmierć cały gatunek istot w Kolumbii Brytyjskiej, gdzie rybołówstwo jest najważniejszym przemysłem i zapewnia przeżycie innym gatunkom.

- Ale wtedy wszyscy mieszkańcy Kolumbii Brytyjskiej stracą pracę - zauważył Walter.

- Wcale nie - powiedział Ian. - Będą upychać te nieżywe ryby w puszki i sprzedawać je Amerykanom. Widzisz, Walterze, w dawnych czasach, zanim twoja matka wielozębnie zagryzła na śmierć wszystkie ryby w Kolumbii Brytyjskiej, prości wieśniacy stali nad brzegiem z kijem w rękę i, kiedy ryba przepływała, walili ją w łeb. Nie. Bezrobocia nie będzie, to stworzy nowe miejsca pracy. Miliony puszek odpowiednio oznakowanych...

- Pamiętaj - wtrąciła szybko Cynthia - że on wierzy we wszystko, co ty wygadujesz.

- To, co mówię, to prawda - powiedział Ian. - Choć może nie w sensie dosłownym. Zabieram was na obiad - zwrócił się do żony. - Weź kartki żywnościowe i załóż tę niebieską bluzkę, przez którą ci widać cycki. W ten sposób zwrócisz na siebie uwagę i może zapomną wyciąć nam kupony.

- Co to są „cycki”? - spytał Walter.

- Coś, co szybko wychodzi z użycia - powiedział Ian - jak pontiac GTO. Służą wyłącznie jako ozdoba do podziwiania i macania. Ich funkcja zamiera. - Tak jest w naszej rasie, pomyślał, odkąd pozwoliliśmy się rządzić tym, którzy zabijają nienarodzonych, innymi słowy najbardziej bezbronnie istoty na świecie.

- Cycki - powiedziała surowo Cynthia - to gruczoły mleczne, które mają panie i które wytwarzają mleko dla ich małych.

- Zwykle mają dwa - powiedział Ian. - Cycek operacyjny i cycek awaryjny, na wypadek, gdyby w pierwszym zabrakło płynu. Proponuję eliminację jednego etapu w tej całej manii likwidacji przedludzi. Wyślemy wszystkie cycki świata do Centrów Powiatowych. Tam mleko zostanie z nich wyssane, rzecz jasna, mechanicznie, cycki staną się bezużyteczne i puste, i wtedy młode wymrą w sposób naturalny, przez pozbawienie pokarmu.

- Jest mleko w proszku - powiedziała Cynthia z zabójczą ironią. - Similac i różne inne. Przebiorę się przed wyjściem - powiedziała i skierowała się do sypialni.

- Wiesz - rzucił Ian w ślad za nią - gdybyś tylko mogła doprowadzić do uznania mnie za przedczłowieka, tobyś mnie tam wysłała z największą chęcią. - I założyę się, dodał w myśli, że nie byłbym jedynym mężem w Kalifornii, którego by tam wysłano. Byłoby wielu innych. W tej samej sytuacji co ja, wtedy i teraz.

- Ciekawy projekt - dobiegł go stłumiony głos Cynthii; usłyszała go.

- To nie jest tylko nienawiść do bezbronych - mówił Ian Best. - Chodzi o coś więcej. Nienawiść do czego? Do wszystkiego, co rośnie? - Uśmiercacie je, myślał, zanim są dość duże, żeby mieć mięśnie, umiejętność i taktykę walki; tak duże, jak ja w porównaniu z tobą, z moją rozwiniętą muskulaturą i wagą. Jest o wiele łatwiej, kiedy ten

drugi człowiek, powinienem był powiedzieć przedczłowiek, śni pływając w wodach płodowych i nawet nie wie, że musi się bronić.

Gdzie się podziały macierzyńskie cnoty? zadawał sobie pytanie. Czas, kiedy matki szczególnie broniły wszystkiego, co małe, słabe i bezbronne?

Winne jest nasze współzawodniczące społeczeństwo, uznał. Przetrawanie najsilniejszych. Nie najlepiej przystosowanych, tylko tych, którzy mają władzę. I nie chcą jej przekazać następnemu pokoleniu. Żli i potężni starzy przeciwko bezsilnym i łagodnym nowym.

- Tato - spytał Walter - czy naprawdę pojedziemy na wyspę Vancouver w Kanadzie, będziemy jeść naturalną żywność i nie będziemy się musieli niczego bać?

- Jak tylko będę miał pieniądze - powiedział Ian bardziej do siebie niż do syna.

- Wiem, co to znaczy. To samo, co twoje „zobaczymy”. Nigdzie nie pojedziemy, prawda? - Wpatrywał się z napięciem w twarz ojca. - Ona nam nie pozwoli, jak nie pozwala zabrać mnie ze szkoły i na inne rzeczy. Ona zawsze stawia na swoim.

- Któregoś dnia to zrobimy - powiedział Ian z determinacją. - Może nie w tym miesiącu, ale kiedyś na pewno. Obiecuję.

- I nie ma tam ciężarówek aborcyjnych?

- Nie, w Kanadzie obowiązują inne prawa.

- To pośpieszmy się, tato. Proszę cię.

Jego ojciec zamieszał sobie drugą szklanekę szkockiej z mlekiem i nie odpowiedział; minę miał ponurą i nieszczęśliwą, jakby się miał zaraz rozpłakać.

W skrzyni ciężarówki aborcyjnej kuliła się trójka dzieci i jeden dorosły. Wstrząsani na zakrętach, powstrzymywani byli siatką drucianą, która uniemożliwiała im kontakt fizyczny, i ojciec Tima Gantro boleśnie odczuwał tę przymusową separację od syna. Koszmar w biały dzień, myślał. W klatce jak zwierzęta; jego szlachetny gest naraził go tylko na dalsze cierpienia.

- Dlaczego powiedziałeś, że nie znasz algebry? - spytał Tim. - Wiem, że znasz nawet wyższą matematykę, chodziłeś do Stanford.

- Chcę wykazać, że powinni albo zabić nas wszystkich, albo nie

zabijać nikogo. A nie dzielić nas według jakichś arbitralnych, biurokratycznych kategorii. „Kiedy dusza wstępuje w ciało?” Co to za pytanie w naszych czasach? Toż to średniowiecze! – W gruncie rzeczy, myślał, to tylko pretekst, pretekst do żerowania na bezbronnych. A on nie był bezbronny. Ciężarówka aborcyjna wiozła dorosłego człowieka z całą jego wiedzą, z całą jego przebiegłością. Jak oni sobie ze mną poradzą? Wyraźnie mam wszystko to, co inni ludzie. Jeżeli oni mają duszę, to ja też mam duszę. Jeżeli nie, to i ja nie mam, ale na jakiej realnej podstawie mogliby mnie „uśpić”? Nie jestem mały i słaby, nie jestem nieświadomym, bezbronnym dzieckiem. Ja mogę podjąć spór z najlepszymi prawnikami, z samym prokuratorem okręgowym, jeżeli będzie trzeba.

Jeżeli zlikwidują mnie, myślał, to będą musieli zlikwidować wszystkich, włącznie z sobą. To jest oszukańcza gra, za pomocą której ci na górze, którzy zajmują wszystkie ekonomiczne i polityczne pozycje, bronią się przed młodszymi, mordując ich, jeżeli trzeba. W tym kraju, myślał, pełno jest nienawiści, nienawiści starych do kraju, starych do młodych, nienawiści i strachu. Cóż więc ze mną zrobią? Należę do ich grupy wiekowej, a zostałem uwięziony w ciężarówce aborcyjnej. Ja stanowię dla nich inny rodzaj zagrożenia; jestem jednym z nich, ale stoję po drugiej stronie, razem z bezdomnymi kotami i psami, dziećmi i niemowlętami. Niech się nad tym głowią, niech się pojawi nowy Tomasz z Akwinu, który to potrafi rozwikłać.

- Ja umiem tylko dzielić, mnożyć i odejmować – powiedział na głos.
- Z ułamkami mam już kłopoty.

- Ale kiedyś to umiałeś! – powiedział Tim.

- To śmieszne, jak człowiek zapomina takie rzeczy po szkole. Wy, dzieciaki, pewnie jesteście w tym lepsi ode mnie.

- Tato, czy oni cię zlikwidują? – spytał jego syn Tim ze strachem. – Ciebie nikt nie zaadoptuje. Nie w twoim wieku. Jesteś za stary.

- Spróbujemy – powiedział Ed Gantro. – Weźmy dwumian. Jak to szło? Wyleciało mi z głowy: coś tam a i b. – Ulotniło mi się z głowy wraz z nieśmiertelną duszą... roześmiał się sam do siebie. Nie zdam testu na duszę. W każdym razie, jeżeli będę mówić tak, jak teraz. Jestem jak pies w rynsztoku, jak zwierzę w rowie.

Cały błąd zwolenników usuwania ciąży, myślał, od początku polegał

na tym, że arbitralnie ustalili granicę. Do embriona nie stosują się prawa Amerykańskiej Konstytucji i może być legalnie zabity przez lekarza. Ale starszy płód był „osobą ludzką” i miał prawa, przynajmniej przez jakiś czas. A potem zwolennicy aborcji zdecydowali, że nawet siedmiomiesięczny płód nie jest „człowiekiem” i może być zabity przez dyplomowanego lekarza. A potem nowo narodzone dziecko... to właściwie jarzyna, nie potrafi skoncentrować wzroku, nic nie rozumie, nie mówi - argumentowało proaborcyjne lobby w sądzie i wygrało dzięki tezie, że noworodek jest tylko płodem na skutek przypadkowego procesu usunięty z organizmu. Ale, nawet wtedy, gdzie należało przeprowadzić ostateczną granicę? Kiedy dziecko po raz pierwszy się uśmiechnie? Kiedy wypowie pierwsze słowo, czy kiedy po raz pierwszy sięgnie po upatrzoną zabawkę? Legalna granica była bezlitośnie odpychana coraz dalej i dalej. I wreszcie teraz najbardziej okrutna i arbitralna definicja: zdolność do rozwiązywania zadań algebraicznych.

W ten sposób starożytni Grecy z czasów Platona nie byli ludźmi, gdyż nie znali algebry, tylko geometrię. Algebra była znacznie późniejszym wynalazkiem arabskim. Arbitralność, i to nie teologiczna, tylko prawna. Kościół od dawna, właściwie od samego początku, twierdził, że nawet zygota i późniejszy embrion to są równie święte formy życia, jak wszystkie inne na ziemi. Kościół wiedział, co wyniknie z arbitralnych ustaleń, kiedy „dusza wstępuje w ciało”, albo w nowoczesnej terminologii, kiedy „osoba zyskuje pełnię praw ludzkich”. Nie było teraz nic smutniejszego niż widok małego dziecka bawiącego się dzielnie na podwórku, usiłującego żyć z nadzieją i poczuciem bezpieczeństwa, którego nie ma.

Cóż, pomyślał, zobaczymy, co ze mną zrobią. Mam trzydzieści pięć lat i magisterium z Uniwersytetu Stanforda. Czy wsadzą mnie na trzydzieści dni do klatki z plastikową miską na jedzenie, źródłem wody i nie osłoniętym miejscem do załatwiania się? A jak nikt mnie nie zaadoptuje, to czy poślą mnie na automatyczną śmierć razem z innymi?

Dużo ryzykuję, myślał. Ale dziś złapali mojego syna i ryzyko zaczęło się od tego, nie od chwili, kiedy wystąpiłem i sam zgłosiłem się na ofiarę.

Spojrzał na trzech przestraszonych chłopców i spróbował wymyślić

coś, co mógłby im powiedzieć, nie tylko synowi, ale wszystkim trzem.

- Posłuchajcie - powiedział cytując - „Zdradzę wam świętą tajemnicę. Śmierć to nie jest sen”... - Tu zapomniał dalszy ciąg. - „Zbudzimy się - powiedział improwizując - w jednym błysku. W mgnieniu oka”.

- Spokój tam - huknął kierowca ciężarówki przez zakratowane okienko. - Nie mogę się skupić na tej pieprzonej drodze. Wiedźcie - dodał - że mogę wam tam puścić gaz i wszyscy stracie przytomność. To środek na rozrabiających przedludzi. Więc jak, zamkniecie się, czy mam nacisnąć guzik?

- Nie będziemy więcej rozmawiać - powiedział Tim, posyłając ojcu przerażone spojrzenie niemej prośby. Błagając go milcząco, żeby się podporządkował.

Jego ojciec zmilczał. Nie mógł znieść tego spojrzenia i skapitulował. Tak czy inaczej, rozumował, to, co dzieje się w ciężarówce, nie jest istotne. Ważne zacznie się w Centrum Powiatowym - dokąd na pierwszy sygnał czegoś niezwykłego zjadą się reporterzy gazet i telewizji.

Jechali więc w milczeniu, każdy ze swoim własnym strachem, ze swoimi myślami. Ed Gantro pograżył się w zadumie, doskonaląc w myślach plan działania. To, co musi zrobić. Nie tylko dla Tima, ale dla wszystkich kandydatów do poporodowej aborcji. Obmyślał różne warianty, podczas gdy ciężarówka podskakując i grzechocąc jechała przed siebie.

Skoro tylko ciężarówka zaparkowała na zamkniętym parkingu Centrum Powiatowego i otwarto jej tylne drzwi, Sam B. Carpenter, który kierował całą tą piekielną operacją, podszedł i zajrzał do środka.

- Masz tam dorosłego człowieka, Ferris - powiedział. - Czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś? Przywlokłeś tu rozrabiacza.

- Ale on twierdził, że nie zna matematyki poza dodawaniem i odejmowaniem - powiedział Ferris.

- Proszę mi dać swój portfel - zwrócił się Carpenter do Eda Gantro. - Chcę znać pańskie prawdziwe nazwisko, numer ubezpieczenia, numer okręgu policji, w którym pan stale zamieszkuje, dalej, chcę wiedzieć, kim pan naprawdę jest.

- To tylko jakiś wieśniak - wtrącił Ferris, patrząc, jak Gantro oddaje

swój wymięty portfel.

- I chcę też sprawdzić odciski jego stóp - dodał Carpenter. - Pełny zestaw. Natychmiast. Priorytet A. - Lubił mówić w tym stylu.

Po godzinie otrzymał dane z dzungli połączonych policyjnych komputerów z pseudopastoralnej, niedostępnej enklawy w Virginii.

- Ten facet jest absolwentem Uniwersytetu Stanforda, magistrem matematyki. Potem zrobił magisterium z psychologii, co, niewątpliwie, wykorzystuje teraz na nas. Musimy się go stąd pozbyć.

- Miałem kiedyś duszę - powiedział Gantro - ale ją straciłem.

- W jaki sposób? - spytał Carpenter, nie widząc nic na ten temat w kartotece Gantro.

- Zator. Część kory mózgowej, w której mieściła się moja dusza, uległa zniszczeniu, kiedy przez nieostrożność nałykałem się oparów środka owadobójczego. Dlatego mieszkałem z moim tu obecnym synem na odludziu, odżywiając się korzonkami i pędrakami.

- Zrobimy panu encefalogram - powiedział Carpenter.

- Co to jest? - spytał Gantro. - Jakiś test mózgowy?

- Prawo ustala, że dusza wstępuje w wieku dwunastu lat - zwrócił się Carpenter do Ferrisa - a ty przywozisz mi tutaj tego dorosłego osobnika płci męskiej, dobrze po trzydziestce. Możemy zostać oskarżeni o morderstwo. Musimy się go pozbyć. Odwieź go dokładnie tam, skąd go zabrałeś i wysadź go tam. Jeżeli nie zechce dobrowolnie wysiąść, daj mu gazu, aż się sfajda i wyrzuć go. To jest kwestia bezpieczeństwa narodowego. Od tego zależy twoja praca i twoja pozycja w świetle kodeksu karnego tego stanu.

- Moje miejsce jest tutaj - upierał się Ed Gantro. - Jestem tępakiem.

- Zabierz też jego dzieciaka - powiedział Carpenter. - To pewnie jakiś matematycznie uzdolniony mutant, jakich pokazują w telewizji. Oni cię podpuszczają; pewnie już zdążyli zawiadomić dziennikarzy. Zabierz ich wszystkich z powrotem, zagazuj ich i wyrzuć tam, gdzie ich złapałeś, a jak nie, to gdzie indziej, byle dalej.

- Nie wpadaj w panikę - powiedział z gniewem Ferris. - Zróbmy temu Gantro encefalogram i USG, i może będziemy musieli go wypuścić, ale tych trzech przedludzi...

- Wszystko geniusze - powiedział Carpenter. - To część pułapki, tylko ty jesteś za głupi, żeby wiedzieć. Wyrzuć ich z ciężarówki poza

nasz teren. I zaprzeczaj, że ich kiedykolwiek widziałeś na oczy. Trzymaj się tej wersji.

- Z samochodu! - rozkazał Ferris, naciskając guzik unoszący przegrody z siatki drucianej.

Trzej chłopcy wysypali się na zewnątrz, ale Ed Gantro pozostał w środku.

- Nie chce wyjść dobrowolnie - powiedział Carpenter. - W porządku, Gantro, usuniemy pana siłą. - Skinął na Ferrisa i obaj weszli do ciężarówki. W chwilę później Ed Gantro znalazł się na asfalcie parkingu.

- Teraz jest pan normalnym obywatelem - powiedział Carpenter z ulgą. - Może pan twierdzić, co pan chce, ale nie ma pan żadnego dowodu.

- Tato - powiedział Tim - jak się dostaniemy do domu? - Wszyscy trzej chłopcy stłoczyli się wokół Eda Gantro.

- Można by po kogoś stamtąd zadzwonić - powiedział mały Fleischhacker. - Założę się, że jeżeli ojciec Waltera Besta ma paliwo, to po nas przyjedzie. On dużo jeździ, ma specjalne kartki.

- On i jego żona stale się kłócą - zauważył Tim. - Dlatego on lubi jeździć sam nocami; to znaczy bez niej.

- Ja tu zostaję - powiedział Ed Gantro. - Chcę do klatki.

- Tato, możemy odejść - zaprotestował Tim szarpiąc ojca za rękaw. - Przecież o to chodziło. Jak cię zobaczyli, to pozwolili nam odejść. Udało się!

- Domagam się, żeby mnie zamknięto razem z przedludźmi, których tam macie - zwrócił się Ed Gantro do Carpentera wskazując na imponujący, pomalowany na wesoły zielony kolor budynek Centrum Powiatowego.

- Niech pan zatelefonuje do pana Besta - powiedział Tim. - On mieszka koło nas na półwyspie. Numer kierunkowy 669. Niech mu pan powie, żeby po nas przyjechał i on przyjedzie. Zapewniam pana. Bardzo proszę.

Carpenter poszedł do środka, do jednego z urzędowych telefonów Centrum i odszukał numer, Ian Best. Wybrał numer.

- Dodzwonił się pan pod częściowo nieczynny numer - odezwał się męski głos, niewątpliwie podpity. W tle Carpenter słyszał napastliwy jazgot wściekłej kobiety dopiekającej Ianowi Bestowi.

- Panie Best - zaczął Carpenter - kilka znanych panu osób znalazło się tutaj, na rogu Czwartej i A w Verde Gabriel. Ed Gantro i jego syn Tim, chłopiec nazwiskiem Ronald albo Donald Fleischhacker i jeszcze jeden nie zidentyfikowany chłopiec. Mały Gantro twierdził, że pan chętnie przyjedzie tu po nich i zabierze ich do domu.

- Róg Czwartej i A - Ian Best milczał przez chwilę. - Czy to rakarnia?

- Centrum Powiatowe - poprawił Carpenter.

- Ty sukinsynu - powiedział Best. - Jasne, że po nich przyjadę, będę za dwadzieścia minut. Macie tam Eda Gantro jako przedczłowieka? Czy wiecie, że on jest absolwentem Uniwersytetu Stanforda?

- Jesteśmy tego świadomi - powiedział Carpenter bez cienia emocji.

- Oni nie są zatrzymani; znaleźli się tu przypadkiem. Nie są, powtarzam, zatrzymani.

- Reporterzy ze wszystkich środków przekazu będą tam przede mną - powiedział Ian Best zupełnie trzeźwym głosem. Trzask. Odłożył słuchawkę.

Wyszedłszy na zewnątrz Carpenter zwrócił się do Tima:

- Widzę, że wrobiłeś mnie w zawiadomienie jakiegoś zacieklego aktywisty antyaborcyjnego. Sprytne, bardzo sprytne.

Minęło kilka chwil i do bramy Centrum podjechała jaskrawoczerwona mazda. Wysiadł z niej wysoki mężczyzna z jasną brodą, który z kamerą i mikrofonem swobodnym krokiem podszedł do Carpentera.

- Podobno macie tu w Centrum magistra matematyki ze Stanforda - spytał neutralnym, pogodnym tonem. - Czy mogę przeprowadzić z nim wywiad?

- Nie ma u nas takiej osoby - powiedział Carpenter. - Może pan sprawdzić w naszej księdze zatrzymań.

Ale reporter patrzył już na trójkę chłopców skupionych wokół Eda Gantro.

- Czy pan Gantro? - zawołał głośno reporter.

- Tak jest - odpowiedział Ed Gantro.

O Jezu, pomyślał Carpenter. Zamknęliśmy go w jednym z naszych urzędowych pojazdów i przywieźliśmy go tutaj. Sprawa trafi do wszystkich gazet. Już na parking wtaczała się błękitna furgonetka ze znakami stacji telewizyjnej. A za nią dwa dalsze samochody.

Centrum Aborcji likwiduje
magistra matematyki

zabłyśło w umyśle Carpentera. Albo

Powiatowe Centrum Aborcyjne
podejmuje bezprawną próbę...

I tak dalej. Wywiady w dzienniku wieczornym. Gantro, a potem, jak przyjedzie, Ian Best, który pewnie jest prawnikiem, w otoczeniu magnetofonów, mikrofonów i kamer wideo.

Zasraliśmy sprawę, pomyślał. Paskudnie zasraliśmy. Szefowie w Sacramento cofną nam nominację, poślą nas z powrotem do łapania bezdomnych psów i kotów. Klops.

Kiedy Ian Best przyjechał swoim mercedesem na węgiel, był wciąż jeszcze lekko zamroczony.

- Czy ma pan coś przeciw temu, żebyśmy wrócili nieco dłuższą, ale za to bardziej malowniczą trasą? - zwrócił się do Eda Gantro.

- Którędy? - spytał Ed. Chciał już stąd odjechać. Mała fala dziennikarzy przepytła go i odpłynęła. Powiedział to, co miał do powiedzenia, a teraz czuł pustkę i chciał do domu.

- Przez wyspę Vancouver w Kolumbii Brytyjskiej - powiedział Ian Best.

Ed Gantro uśmiechnął się.

- Te dzieciaki powinny pójść prosto do łóżek. Mój chłopak i tych dwóch. Do licha, przecież oni nie jedli kolacji.

- Zatrzymamy się przy budce McDonalda - powiedział Ian Best. - A potem możemy ruszyć do Kanady, gdzie są ryby i dużo gór, na których wciąż jeszcze leży śnieg, nawet o tej porze roku.

- Jasne - powiedział Gantro ze śmiechem. - Możemy tam pojechać.

- Chce pan? - Ian Best przyjrzał mu się uważnie. - Naprawdę pan chce?

- Załatwię kilka spraw, a potem, dlaczego nie, możemy razem pojechać.

- Niech to szlag - jęknął Best. - Pan mówi poważnie.

- Tak. To prawda. Oczywiście, muszę uzyskać zgodę żony. Nie można jechać do Kanady bez pisemnego stwierdzenia żony, że ona nie przyjedzie. Zostaje się wtedy legalnym imigrantem.

- To ja też muszę dostać pozwolenie od Cynthii.

- Da panu. Niech pan tylko zobowiąże się wysyłać jej pieniądze.

- Myśli pan, że się zgodzi? Że pozwoli mi jechać?

- Na pewno - powiedział Gantro.

- Naprawdę pan myśli, że nasze żony nas puszczą? - spytał Ian Best wspólnie z Edem wsadzając chłopców do mercedesa. - Może ma pan rację. Cynthia chętnie się mnie pozbędzie. Wie pan, jak ona mnie nazywa w obecności Waltera? „Agresywny tchórz” i tym podobnie. Nie ma dla mnie za grosz szacunku.

- Żony nas puszczą - powiedział Gantro, ale wiedział, że to nieprawda.

Obejrzał się na kierownika Centrum, pana Sama B. Carpentera i tego kierowcę ciężarówki Ferrisa, który, jak Carpenter powiedział prasie i telewizji, był od tego dnia zwolniony z pracy, a zresztą był nowym i niedoświadczonym pracownikiem.

- Nie - powiedział. - Nie puszczą nas, nikt z nich nas nie puści.

Ian Best niewprawnie manipulował skomplikowanymi przekładniami prymitywnego silnika na węgiel.

- Dlaczego mają nas nie puścić; niech pan patrzy, stoją tam i nic nie robią. Co mogą zrobić po tym, co pan powiedział do telewizji i temu reporterowi z gazety?

- Nie o nich mi chodzi - powiedział drewnianym głosem Gantro.

- Moglibyśmy uciec.

- Jesteśmy uwięzieni - powiedział Gantro. - Uwięzieni bez szans na uwolnienie. Ale niech pan spyta Cynthii. Nie zaszkodzi spróbować.

- Nigdy więc nie zobaczymy wyspy Vancouver i wyłaniających się z mgły wielkich oceanicznych promów? - spytał Ian Best.

- Kiedyś na pewno zobaczymy - powiedział Gantro, wiedząc, że to kłamstwo, absolutne kłamstwo, tak, jak czasami mówiąc coś wiemy, że to absolutna prawda.

Wyjechali z parkingu na ulicę.

- Przyjemnie jest - rzucił Ian Best - być znów na wolności, co? - Trzej chłopcy kiwnęli głowami, Ed Gantro nie odezwał się. Wolni,

myślał. Wolno nam wrócić do domu, gdzie będziemy uwięzieni w większej sieci, w większej ciężarówce niż ta mechaniczna, jakiej używa Centrum Powiatowe.

- To wielki dzień - powiedział Ian Best.

- Tak - zgodził się Ed Gantro. - Wielki dzień, w którym zadano szlachetny i skuteczny cios w obronie wszystkich bezbronnych istot, wszystkiego, o czym można powiedzieć, że jest żywe.

- Nie chcę wracać do domu - powiedział Ian Best spoglądając na Eda Gantro w zwodniczym oświetleniu. - Chcę jechać prosto do Kanady.

- Musimy pojechać do domu - przypomniał mu Ed. - Na jakiś czas. Uregulować sprawy. Kwestie prawne, zabrać niezbędne rzeczy.

- Nigdy tam nie dojedziemy. Do Kolumbii Brytyjskiej wyspy Vancouver, Parku Stanleya, Zatoki Angielskiej, tam, gdzie hodują żywność, trzymają konie i gdzie są oceaniczne promy - powiedział Ian Best prowadząc.

- To prawda - potwierdził Ed Gantro.

- Ani teraz, ani później?

- Nigdy.

- Tego się właśnie obawiałem - Bestowi głos się załamał i zaczął prowadzić jakoś dziwnie. - Podejrzewałem to od początku.

Jechali dalej w milczeniu, nie mając sobie już nic do powiedzenia. Wszystko zostało powiedziane.

Przełożył Lech Jęczmyk